

P. 9. 786. Uw. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/328 - 2/329 1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

KS. J. ZIEJA : **PAMIĘCI STEFANA STARZYŃSKIEGO**

T. DĄBCZEWSKI : **JAKIEJ PRAGNAĆ POLSKI?**

REDAKCJA : **« POTRZEBA REALNA »**

I. KOSZELIWEK : **KRONIKA UKRAIŃSKIEGO OPORU**

SPIS RZECZY

—	<i>Pamięci Stefana Starzyńskiego</i>	3
Teodor Dąbczewski:	<i>Jakiej pragnąć Polski?</i>	6
Redakcja:	<i>„Potrzeba realna”</i>	11
Marek Głogoczowski:	<i>Postępowcy i reakcjonści</i>	14
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	25

WIERSZE

Wacław Iwaniuk:	<i>Do Ikara. Drogowskaz. Nemezis idzie pustymi drogami. Cytatomania. Myśli wierszem i prozą spisywane na wewnętrzny użytek</i>	40
-----------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	<i>Za nami — przed nami</i>	46
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	57
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	68

SĄSIEDZI

Iwan Koszeliwec:	<i>Kronika ukraińskiego oporu</i>	79
George Gömöri:	<i>Kronika Węgierska</i>	94
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	99
Dominik Morawski:	<i>Kronika litewska</i>	105
Benedykt Heydenkorn:	<i>Kronika ukraińska</i>	107
Wiktor Sukiennicki:	<i>Kronika białoruska</i>	110

K R A J

Alexandra Stypułkowska:	<i>Wokół projektu ustawy psychiatrycznej</i>	116
-------------------------	--	-----

EKONOMIA

Antoni Gutowski:	<i>„Ludzkość na zwrotnym punkcie”</i> ...	124
Bohdan Brodziński:	<i>Finis Britanniae</i>	129

CI CO ODESZLI

Piotr Wandycz:	<i>Wspomnienie o moim Ojcu</i>	139
Józef Łobodowski:	<i>Zahora</i>	149

KRONIKA KULTURALNA

W. A. Zbyszewski:	<i>Profesorowie U.J. w latach dwudziestych</i>	161
Wit Tarnawski:	<i>Zakazane szkice Conrada</i>	178
M. Broński:	<i>O filozofii Bierdiajewa</i>	185

POLEMIKI

Wiktor Sukiennicki:	<i>Enwer Pasza</i>	196
---------------------	--------------------------	-----

KSIĄŻKI

Zygmunt Haupt:	<i>Dziś, przedwczoraj, wczoraj, jutro</i> ..	204
Zbigniew Byrski:	<i>„Poland” Mariana Brandysa</i>	210
Adam Kruczek:	<i>„Iz pod głyb”</i>	214
Władysław Jaworski:	<i>Ajdukiewicz po angielsku</i>	220
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	222
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	228



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	230
A. Bromke, M. Maneli, K. Łukomski, Dyrektorzy <i>Dziennika Polskiego</i> :	<i>Listy do Redakcji</i>	237

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1975

INSTYTUT



LITERACKI

DO CZYTELNIKÓW « KULTURY »

Strajk pocztowy we Francji trwał formalnie od 18 października do 30 listopada 1974 r. Formalnie gdyż rozładowywanie zaległości postępuje powoli ze względu na stosy nagromadzonych worków z korespondencją i okres świąteczny. Należy się liczyć z faktem, że rozładowywanie zaległości potrwa jeszcze kilka tygodni. Obecnie dostajemy listy naszych czytelników sprzed 2 miesięcy z zamówieniami, względnie reklamacje z powodu niedoręczenia listopadowej i grudniowej *Kultury*. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że wiele osób w ogóle nie wiedziało o tym strajku, który sparaliżował życie Francji, a dla nas był dużym ciosem zarówno materialnym jak i redakcyjnym. Cała nasza działalność oparta jest na korespondencji.

Nie będąc w stanie odpowiedzieć na wszystkie listy z reklamacjami podajemy, że *Kultura* listopadowa została rozesłana 11 grudnia, a grudniowa 18 grudnia 1974, zaś 30-ty *Zeszyt Historyczny* — 8 grudnia.

Na skutek strajku duży procent prenumeratorów dowiedział się o podwyżce cen zbyt późno i przekazywał należność według dawnych stawek. Liczymy, że Ci wszyscy rozumiejąc trudną sytuację finansową *Kultury* zarówno z powodu strajku jak i olbrzymiego wzrostu kosztów (opłaty pocztowe i papier podrożały o 100 %) nie mówią o wszystkich innych — zechcą tę różnicę wyrównać.

REDAKCJA

Zamiast kwiatów na trumnę prof. Romana Wajdy redakcja *Kultury* przekazuje na POSK kwotę £.stg.100.00 apelując jednocześnie do swoich przyjaciół i czytelników, aby pomogli w ostatecznym zrealizowaniu dzieła Jego życia.

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Dr J. Bakowski, Miami Beach, Fla. (USA), po raz piąty	F. 22,50
Prof. Zbigniew Brzeziński, Englewood, N.J. (USA), po raz dziesiąty	F. 460,00
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA), po raz dziesiąty	F. 22,50
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz jedenasty	F. 100,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz siódmy	F. 60,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz szesnasty	F. 40,00
Karol Jabłoński, London, Ont. (Kanada), po raz dziesiąty	F. 18,00
Jerzy Lubiejewski, Caracas, po raz czwarty	F. 100,00
Ilse Maybach, Heilbronn/N. (NRF), po raz jedenasty	F. 248,00
B. Partyka, Wallington, N.J. (USA)	F. 13,50
Dr Adolf Richter, Bahamas, po raz czwarty	F. 55,00
Prof. Alfred Tarski, Berkeley, Cal. (USA), po raz czwarty . .	F. 460,00
Maria i Alfred Tarscy, Berkeley, Cal. — zamiast kwiatów na grób Marii Ossowskiej	F. 90,00
Bezimiennie z Londynu, po raz drugi	F. 202,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz dwunasty	F. 26,00
Bezimiennie ze Szwajcarii, po raz drugi	F. 80,00

DZIĘKUJEMY!

Pamięci Stefana Starzyńskiego

Przemówienie, wygłoszone na cmentarzu powązkowskim w Warszawie przy tablicy poświęconej pamięci Stefana Starzyńskiego, w 35-tą rocznicę Jego aresztowania — 27 października 1974 roku.

Stanowisko, jakie zajął Stefan Starzyński w pamięci narodu polskiego, w dziejach naszej walki zbrojnej, w dziejach nie tylko stolicy, ale całego państwa, jest niezwykle i w jakiś sposób zaskakujące. Rzadko się zdarza, aby ktoś z ludzi, nawet wybitnych, w przeciągu pięciu tygodni wszedł na piedestał bohatera narodowego i takim pozostał w pamięci całego społeczeństwa.

Stefan Starzyński nie był bowiem człowiekiem łatwym. Należał raczej do ludzi trudnych, a chociaż przed wojną wszyscy przyznawali mu niezmierną pracowitość, umiłowanie Warszawy, ogromne zdolności ekonomiczne, połączone jednocześnie z szerokim światopoglądem przy podejściu do dóbr kulturalnych i do sztuki, które wyniósł z czasów komisji rewindykacyjnej w Moskwie roku 1922, był pod wieloma względami człowiekiem nie lubianym, jako człowiek twardy, nieprzystępny, wymagający bardzo wiele od innych, tak jak bardzo wiele wymagał od siebie. Na pewno nikt nie mógł mu zarzucić wstecznictwa społecznego. Był, jak sam siebie nazywał, prezydentem przedmieść, zaniedbanych przedmieść Warszawy. Był niesłuchanie dbały o jej interes, zarówno materialny, jak i o skarby duchowe. Ale od tej pozycji człowieka czystych rąk, człowieka niezmordowanej pracy do tej pozycji, jaką osiągnął Stefan Starzyński po tragicznych dniach września i października 1939 roku, jest bardzo daleko. I należałoby się zastanowić, co stało się przyczyną tego wzrostu człowieka w skali jego działalności, w rezultatach tej działalności, w jego pozycji nie tylko w stolicy, ale w narodzie.

Czy była to jakaś małość ludzi ówczesnych, i na tle tym ten człowiek, który dopełnił tak dalece swoich obowiązków, jak dopełnił Stefan Starzyński, wyrósł ponad nich?

Nie można tego powiedzieć. Mieliśmy różne zarzuty pod adresem rządów przedwrzesniowych, społeczeństwo pragnęło demokracji tak, jak pragnie jej dotychczas, ale my, Polacy, nie potrzebujemy się wstydzić postępowania naszego rządu w roku 1939.

Nasz polski rząd nie uderzył zniechęca na nikogo. Nie złamał nikomu paktu o nieagresji. Nie sprzymierzył się dla doraźnych celów politycznych z żadnym śmiertelnym wrogiem swojej ideologii i wrogiem całej ludzkości. Nie zdradził nas na polu militarnym i politycznym, jak zdradzili nas sprzymierzeńcy francuscy i rumuńscy. My, Polacy, postępowania naszego rządu w 39 roku — niezależnie od jakichkolwiek jego uprzednich błędów, które są naszym wewnętrznym rozrachunkiem — na świecie wstydzić się nie potrzebujemy. Niechaj się wstydzą inne narody.

I to wyrośnięcie niezwykle Stefana Starzyńskiego na tle normalnego, słusznego, prawidłowego postępowania w czasach wojny całego aparatu państwowego — boć przecież zarzucano naszemu rządowi, że opuścił kraj. Ale rząd radziecki również uciekł z Moskwy do Kujbyszewa, kiedy stolica została zagrożona, aby móc prowadzić wojnę. Uciekały rządy belgijski, holenderski, norweski. Gdziekolwiek przychodziła stopa okupanta, ludzie opuszczali kraj, aby prowadzić walkę. Jeżeli zaś pozostał rząd jednego wielkiego państwa — francuski — to naród francuski odwrócił się od tego rządu i wielkiego generała de Gaulle, który walczył przeciw rządowi, przyjął za swego przywódcę i za swego bohatera.

Dlaczego więc postać Starzyńskiego tak bardzo na tle wypadków 39 roku wyrosła?

Pozostał on niez mordowanie w Warszawie, jako komisarz cywilny, a później jako prezydent miasta. Dzielił ze społeczeństwem walkę i stał na czele walki stolicy. Rozumiał słuszną polityczną i daleki zasięg, jeśli chodzi o myślenie w kategoriach dziejów narodu, tej walki, jaką w 39 roku prowadziła Warszawa. Tej walki na najbliższe dni, która miała stać się załazkiem zwycięstwa, a zarazem całemu narodowi miała dać moc, całe społeczeństwo miała natchnąć potęgą wewnętrzną, potęgą ducha na nadchodzący mroczny okres okupacji.

Starzyński zdawał sobie z tego sprawę. I dlatego stojąc niez mordowanie na czele walki stolicy, miasta, które się odkryło niezliczoną ilość razy bohaterstwem, a które na progu tej wojny stało się natchnieniem dla bohaterstwa innych miast, czy będzie to Sewastopol, czy Odessa, czy Kijów, czy Moskwa, walczące w późniejszym czasie z okupantem. I Starzyński wiedział, że jest to walka celowa i jest to walka rozumna, niezależnie od tego,

jakie musi pociągnąć za sobą ofiary. W obliczu nadchodzącej przemocy niemieckiej rzucał w twarz najeźdźcom bezwzględne i twarde oskarżenia, demaskował ich w obliczu całego świata, podkreślał wielkość miasta, na czele którego stał i wielkość narodu, który pierwszy stanął do walki.

Gdy rozum polityczny i konieczność wojskowa nakazały kapitulację, Stefan Starzyński pozostał na swoim posterunku już jako człowiek cywilny, jako prezydent miasta Warszawy, pozostał w nieuchronnym obliczu śmierci. Albowiem wiadome było, że po tych słowach, które przez jego usta usłyszał wódz narodu niemieckiego, Adolf Hitler, nie może być życia dla prezydenta Warszawy, że dni jego są policzone. Ale pozostał na swoim stanowisku w najcięższej sytuacji politycznej Polski, pozostał na swoim stanowisku i w tych dniach, kiedy ów potężny wówczas mąż stanu, dzisiaj odepchnięty i odsunięty przez własny naród i w samotności dożywający swoich dni, rzucał w oczy całemu światu, że Polska już nigdy nie powstanie — gwarantują to dwa wielkie mocarstwa, Niemcy i Rosja. Te słowa, gdy Starzyński był prezydentem Warszawy, miały dla nas posępny wydźwięk. Ale jakże szybko zadrwiła z nich historia. Starzyński przygotował nie tylko Warszawę do walki konspiracyjnej. Słusznie podkreślono tutaj, że zakładał podwaliny polskiej konspiracji, która okazała się mieć jedną z najpiękniejszych kart walki konspiracyjnej z okupantem. I pozostał nieugięty na swoim stanowisku, chociaż pętla niemiecka coraz bardziej widocznie zaciskała się wokół niego, chociaż widać było, że jedynym wyjściem może być ucieczka. Uważał jednak, i słusznie, że naród musi mieć jakiś przykład i musi mieć jakąś sztandarową postać, i pozostał świadomie aż do śmierci męczeńskiej na swoim stanowisku.

Jego słowa — nie opuszczę swojego stanowiska, nie zejdem z powierzonego mi stanowiska — w jakiś sposób nawiązywały do tamtych słów, wypowiedzianych w mgłach jesiennych na zasnutej dymami wystrzałów równinie pod Lipskiem. Tylko Starzyńskiego nie wydzwignęły ręce najbliższych towarzyszy, nie uczcili go najbliżsi przyjaciele, nie uczcił go jego naród i wrogowie — tak jak uczczono księcia Józefa. Po mękach obozu, ciało jego, roztrzaskane wrogimi kulami niemieckimi na wrogiej ziemi niemieckiej, nigdy nie wróciło do Polski i nigdy nie wróciło, i zapewne nigdy nie wróci, do jego ukochanej Warszawy.

Ale pamięć Stefana Starzyńskiego, poczucie wielkości jego dzieła, poczucie nieśmiertelności jego ofiary, pozostanie w pokoleniach polskich, pozostanie w stolicy, którą ukochał, pozostanie w ojczyźnie, którą ukochał i której poświęcił swoje życie.

Jakiej pragnąć Polski ?

W czasie niedawnego pobytu za granicą zapytano mnie, jak w kraju wyobrażamy sobie Polskę, której pragniemy. Nie od razu zdałem sobie sprawę z trudności tego pytania ani z tego, że oczywista, zdawałoby się, odpowiedź, że pragniemy Polski wolnej, jest niewystarczająca i niewiele dziś znaczy. Od rozbiórów po rok 1918, pomimo nieustannych sporów o przyszły ustrój, nad wszystkim dominowało dążenie do niepodległości i ci nieliczni, którzy próbowali zastąpić je celami internacjonalistycznymi, nie znajdowali posłuchu nawet wśród lewicy. Pragnęliśmy przede wszystkim i po prostu móc rządzić się sami, jak inne wolne narody europejskie. Pragnienie to ziściło się i gdyby wolność odzyskana po pierwszej wojnie światowej trwać mogła nieprzerwanie, niczego więcej pragnąć by nie trzeba. Jeśli bowiem nawet niejedno w tym czasie wymagało zmian albo mogło wzbudzić sprzeciw, sami bez obcej pomocy umielibyśmy temu zaradzić. Głęboki oddech, który wtedy zaczerpnęliśmy, ożywia nas po dziś i na długo jeszcze będzie musiał wystarczyć. Okres ten jednak nie przetrwał nawet jednej generacji i choć zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy, by wolność zachować, zakończył się nie z naszej winy. Wniosek stąd nieodparty, że pragnienie takiej niepodległości, jaką opatrność dała nam przeżyć pomiędzy wojnami, w obecnym układzie politycznym Europy i świata jest nierealne.

Nie można zaprzeczyć, że stan, w którym się obecnie Polska znajduje, ma pewne cechy wolności i pod wieloma względami odróżnia się korzystnie od okresu sprzed pierwszej wojny światowej. Scalenie porozbiorowe dokonało się niemal w pełni, oświata jest powszechna i ogólnie dostępna, niektóre dziedziny nauki i sztuki rozwijają się bujnie i bez widocznych hamulców, postęp gospodarczy, choć osiągnąy częściowo kosztem dobrobytu, jest

bardzo znaczny. Czyżby więc można było pragnąć przedłużania się tego stanu bez zasadniczych zmian aż w nieokreśloną przyszłość? Odpowiedź musi być negatywna. Wolność w życiu jednostki to brak skrupowania w dążeniu do urzeczywistnienia uświadomionych pragnień. W życiu narodu wolność to dążenie do wspólnego celu, którego świadomość kształtować się może tylko w wyniku nie ograniczonego, powszechnego ścierania się idei i poglądów, a możliwości do tego nie ma dziś w kraju prawie zupełnie, ani na zebraniach publicznych, ani w publicystyce ani w literaturze. Grozi więc w Polsce stopniowy zmierzch świadomości wspólnych, ugruntowanych dziejami ideałów, zacieranie się swoistych cech własnej kultury, a pozostaje tylko wolność zatruty tożsamości narodowej, choćby nawet z zachowaniem języka. Niebezpieczeństwo to wzrasta w miarę dorastania nowych pokoleń, zdanych na prowadzoną wprawdzie trywialnymi sposobami, ale nieustanną infiltrację doktryny, której istotnym celem jest wygaszanie odruchu przeciw podporządkowywaniu się obcym interesom.

Pośród wszystkich krajów w analogicznym położeniu, Polska wyróżnia się nieporównanie większą swobodą. Dotyczy to przede wszystkim religii; chociaż niewiele buduje się nowych kościołów, starych się nie zamyka, są one pełne, księża prowadzą naukę młodzieży. Żywe i stosunkowo mało krępowane są kontakty z Zachodem. Propaganda jest bardziej zawołowana, cenzura trochę liberalniejsza. Liczne odpowiedzialne stanowiska (choć coraz rzadziej) obsadzane są osobami politycznie nie zdeklarowanymi. Jest to prawdopodobnie wynik tej nieugiętości temperamentu narodowego, która w czasie wojny tak się dała okupantom we znaki. Stan ten, dopóki trwa, może cieszyć, lecz nie należy opierać na nim nadmiernego optymizmu, a nawet kryje się w nim poważne niebezpieczeństwo. Już dziś można dostrzec, że możliwość wyzycia się w działalności artystycznej, naukowej, gospodarczej czy nawet społecznej, w „pracy organicznej”, zubożetnia dla sprawy narodowej, oddala ją z pola widzenia. Przedstawiciele pokolenia, które dorastało po wojnie, często nie interesują się naszą historią, nawet ostatniego półwiecza, są jej nieświadomi, albo, co gorsze, zadowolają się jej sfałszowaną wersją. Na sprawy te nie znajdują czasu, który metodycznie im się odbiera. W tych warunkach rozwój kultury wykrzywia się, słabnie w nim element świadomości narodowej.

Jeśli więc w dzisiejszym położeniu politycznym nadzieja na odzyskanie prawdziwej niepodległości jest znikoma, a przedłużanie się obecnego stanu grozi stopniowym wynarodowieniem, jakiej Polski możemy i powinniśmy pragnąć? Jaką stawiać przed oczyma młodzieży, o jaką walczyć?

Wydaje się nieodparte, że pytania te mogą być sensownie rozważane tylko w nawiązaniu do sytuacji europejskiej i światowej oraz że przerwanie supremacji politycznej Związku Sowieckiego i jego dążeń imperialistycznych jest niezbędnym warunkiem zachowania ciągłości narodowej Polski, a z nią wielu innych narodów. W ocenie „trzeźwych” polityków w kraju i poza nim warunek ten często był uważany za mrzonkę i jaśniejsze spojrzenie na możliwość jego spełnienia zawdzięczamy dopiero wystąpieniom sowieckim dysydemtów, a wśród nich głównie Sołżenicynowi. Działalność ich uświadomiła, że władze sowieckie nie tylko ujarzmiają narody, będące formalnie współgospodarzami kraju albo jego wasalami, ale także, a może nawet przede wszystkim, ujarzmiają naród rosyjski i uniemożliwiają rozwój jego kultury. Zdać więc powinniśmy sobie sprawę, że w dążeniu do wolności naród rosyjski, a z nim razem głęboko poniżane narody ukraiński, białoruski, litewski i inne wchodzące w skład Imperium, są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami.

Naczelna idea Sołżenicyna i jego przyjaciół to prymat etyki w postępowaniu pojedynczych ludzi i narodów. Etyki nie wtórnej, jak w marksizmie, lecz autonomicznej i bezspornej, będącej jedynym, ale także koniecznym ograniczeniem wolności jednostek i państw. Z ideą tą i opartymi na niej poglądami politycznymi zgodne są tradycje, które uważamy za nieodłączne od naszej kultury narodowej, zasady wolności sumienia, tolerancji narodowej i religijnej, sprawiedliwości społecznej. W świecie rządonym według tej ideologii naród nasz miałby zatem warunki do nieskrępowanego rozwoju.

Polska, jakiej pragniemy, możliwa jest więc tylko w rodzinie innych wolnych, rządzących się etyką narodów i dążenie do niej zespolone być musi z dążeniem do oswobodzenia wszystkich zniewolonych krajów. Wynika stąd dla nas nakaz współdziałania z narodami, z którymi najmocniej wiążą nas dzieje i dzisiejsze położenie, z tymi, z którymi niegdyś razem bytowaliśmy: ukraińskim, litewskim i białoruskim, a także z czeskim i słowackim i przede wszystkim z rosyjskim, którego wyzwolenie od duszącej go doktryny mieć będzie dla przyszłości rozstrzygające znaczenie. Zbliżenie z tymi narodami może i powinno się dokonywać bez trudu na emigracji, lecz i w kraju nie mniejsze, a z czasem coraz większe znaczenie mieć będzie zrozumienie, że nas los związany jest nierozdzielnie z ich losem i że w istocie żaden interes narodowy nas od nich nie dzieli. Powinna więc zaniknąć u nas wrogość do narodu rosyjskiego, utożsamianego niesłusznie z rosyjskim imperializmem i jego propagatorami, rozwinąć się przyjaźń z narodami Czechosłowacji oraz z tak bliskim nam narodem ukraińskim, z którym, niestety skutecznie, skłócali nas wspólni

wrogowie. Usytuowanie w tym samym obozie stwarza wiele sposobności do rozwijania tych przyjaznych uczuć nawet w dozwolonych przez władze i oficjalnych kontaktach. Idei zmagania o Polskę wolną pośród wolnych narodów, hasła „za wolność waszą i naszą”, nadaliśmy już w czasie niewoli żywą, pełną poświęceń treść. Warto sobie uprzytomnić, że szczery udział licznych Polaków w rewolucji rosyjskiej takie właśnie mieć musiał podłoże i nawet nam obiecywał owoce, zanim nad rewolucją zapanowało oszustwo.

Wydawać się może, że uznanie nierozdzielności sprawy odzyskania naszej wolności od przebudowy Europy i świata oddala ją w przyszłość zbyt daleką, a przyjęcie etyki jako dyrektywy politycznej jest podstawą zbyt wątpliwą, aby móc oprzeć na tych założeniach jakąkolwiek realną działalność. Spotkawszy się z takimi wątpliwościami, najpierw postawić trzeba pytanie, czy istnieje jakaś alternatywa? Nie byłaby nią z pewnością próba szczerego współdziałania z obecnymi władzami sowieckimi, bo nie trzeba wielkiej bystrości by dostrzec, że w zamiarach ich mieści się ubeznarodowienie najpierw własnych „republik”, a potem krajów satelickich. Zbyt boleśnie rozczarowano nas, gdy wierzyliśmy, że wolność pomogą nam odzyskać mocarstwa Zachodu, aby ich interwencja przyjęta być mogła jako alternatywa, widzimy zresztą, jak mocarstwa te słabną. Chiny? Straszak Amalrika, że po ich uderzeniu rozpadnie się Związek Sowiecki, a tym samym oswobodzi podległe mu narody? W następstwie tej katastrofy, której widmo roztaczał S. I. Witkiewicz w „Nienasyceńcu”, przyszłość świata wyglądałaby zbyt czarno, by wiązać z nią jakiegokolwiek nadzieje. Alternatywy więc nie ma.

A realizm wizji świata opartego na etyce? Sądzę, że nie brak podstaw do optymizmu i że urzeczywistnić się ona może prędzej, niż wynikałoby to z martwych obliczeń. Po pierwsze, w krajach naszych, tj. krajach bezpośrednio uzależnionych od Związku Sowieckiego, liczba świadomych zwolenników idei najdobitniej wyrażonych przez Sołżenicyna jest wcale nie mała i to pośród umysłowej elity. Pomimo wszelkich prześladowań dotyczy to przede wszystkim szerokich kręgów młodzieży w Związku Sowieckim, na drugim miejscu zapewne Polski. W miarę rozpowszechniania się informacji, a trudno temu przeszkodzić, liczba ta będzie się zwiększać i potencjalnie wynosi ona miliony. Pomimo ekskluzywności partii sowieckiej (w innych krajach, szczególnie w Polsce, partie są mniej ekskluzywne) i przeciwdziałań, wywołujących z kolei reakcję, miliony te nie będą pozostawały bez wpływu na bieg wydarzeń i z czasem głos ich stać się może rozstrzygający.

Bardzo poważnym źródłem optymizmu jest odrodzenie religijne, zapoczątkowane przez Jana XXIII, dojrzewające w Kościele Katolickim i w ruchu ekumenicznym. Ubóstwo światopo-

glądów materialistycznych i bankructwo gonitwy za dobrobytem, uzewnętrznione w buncie młodzieży, poszerza pole oddziaływania ideologii opartych na etyce, wyrażonych w chrześcijaństwie i innych wielkich religiach. Optymizm pewien nawet wzbudza słaby wyprowadzie na razie, lecz jakże niemiły politykom sowieckim opór Kongresu Stanów Zjednoczonych przeciwko koncesjom, które ich nieszczęsny prezydent w imię ciasnych interesów udzielać pragnął Rosji. W końcu, na co także wskazuje Sołżenicyn, bezmyślność nieograniczanego rozwoju przemysłu, pracującego dla nadmiernych i sztucznie rozdmuchiwanych potrzeb krajów zachodnich i zatruwającego przyrodę, obok nędzy Trzeciego Świata, doprowadzić musi w niezbyt odległym czasie do konieczności generalnych przemian.

Wiążąc naszą przyszłość z tymi ogólnymi i nieuniknionymi przemianami, nie wybieramy więc drogi nierealnej. Działalność nasza sprzyjać powinna ich przyśpieszeniu, polegać na pogłębianiu i szerzeniu związanych z tymi przemianami zasad i poglądów, oraz zmierzać do tego, aby nasz kraj i bliskie nam kraje były na ich przyjęcie jak najlepiej przygotowane duchowo i materialnie.

Myślę, że w powyższych rozważaniach mieści się odpowiedź na pytanie, jakiej mamy pragnąć Polski. Rozmowy, które w kraju prowadzimy upoważniają mnie do przekonania, że choć przemawiam tylko we własnym imieniu, poglądy tu wyrażone rzadko by się spotkały z zasadniczym sprzeciwem.

Teodor DĄBCZEWSKI

(Artykuł nadesłany z Kraju)

„Potrzeba realna”

Profesor Wereszycki bardzo słusznie powiada we wstępie do *Sylwetek politycznych XIX wieku* Karpińskiego i Króla: „Dziś wydaje się, że wszystkie koncepcje polskie okresu niewoli w jakimś stopniu grzeszyły przeciw realizmowi. Sądząc jednak po wynikach, trzeba przyznać że z jednej strony były one na pewno niezgodne z wymogami realizmu, ale z drugiej wynikały z realnej potrzeby”.

Utrata niepodległości paraliżuje na ogół myśl hipnozą „realizmu politycznego”. Cokolwiek wykracza poza „twardy język faktów”, jest zbywane wzruszeniem ramion jako „mrzonka”. Względnie łatwo jeszcze zrozumieć tych, którzy aspiracje do niepodległości zastępują otwarcie petycjami do tronu o rozszerzenie autonomii. Ale za „realistę politycznego” uważa się również prawdopodobnie X.Y.Z., liczący na niepodległość i suwerenność w zamian za gwarancję Polski, że będzie „skutecznie powstrzymywała ewentualne zapędy do wtrącania się w sprawy wewnętrzne Rosji”. I w imię „realizmu politycznego” Łobodowski poucza Mieroszewskiego, że nie ma Rosjan skłonnych przyznać prawo do samostanowienia Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom, i że daremnym jest trudem ich szukać. Są to dwie krańcowo różne wersje tego samego w gruncie rzeczy kompleksu własnej „niemożności absolutnej”. W pierwszej słyszymy, że tylko Rosja mogłaby nam podarować niepodległość, uprzytomniwszy sobie nareszcie korzyści płynące z takiego gestu: warto Polaków usatysfakcjonować za stanie od zachodu na straży nietykalności imperium. Druga implikuje, że tylko całkowity rozpad imperium pozwoliłby Polakom „wybić się znowu na niepodległość”. Tymczasem więc muszą cierpliwie czekać, albo na dar z rąk kolosa, albo na pęknięcie jego glinianych nóg. W życiu narodu jałowy

i deprawujący jest „realizm”, który w niczym od niego nie zależy i zwalnia go z wszelkich samodzielnych wysiłków odzyskania niepodległości czy choćby podtrzymywania myśli o niej. Właśnie to akcentuje historyk, pisząc o „realnej potrzebie”. I właśnie ta realna (choć grzesząca przeciw „realizmowi”) potrzeba dochodzi do głosu w dwóch krajowych tekstach z listopadowej *Kultury*: w artykule o *Politycznej opozycji w Polsce* i w kazaniu księdza Zieji.

W *Le Monde* z 12 grudnia ukazała się notatka o warszawskim Memoriale Piętnastu w sprawie sytuacji półtora miliona Polaków w ZSSR. Memoriał domaga się dla nich w dziedzinie kultury, szkolnictwa i religii takich samych praw, jakie posiadają ich rodacy w innych krajach świata. Jest to akt wielkiej wagi, nie przesadzi się określając go jako pierwsze w kraju o „ograniczonej suwerenności” suwerenne wystąpienie opinii publicznej w stosunku do „nadsuwerena”. W komentarzyku *Le Monde* mowa o wątpliwej „użyteczności” praktycznej Memoriału, czyli stawia się pod znakiem zapytania „realizm polityczny” jego sygnatariuszy. Memoriał stanowi jeszcze jeden dowód, że w Polsce „realna potrzeba” uniezależnia się stopniowo od rodzimej i obcej tyranii „realizmu politycznego”.

Pół biedy jeszcze z komentarzykiem *Le Monde* do Memoriału Piętnastu: ostatecznie „realna potrzeba” Polaków nie musi obchodzić znaną Francuzów, zatroskanych tradycyjnie przede wszystkim o to by w Warszawie panował porządek. Ale *Le Monde* uchodzi również za jeden z czołowych organów informacyjnych na Zachodzie. Dość szczególną próbkę tej „informacji” daje dwuodcinkowy reportaż André Fontaine *Pologne: un socialisme sur mesures*. Pierwszy odcinek sygnowany jest z Krakowa, drugi z Warszawy: oba mogłyby być z powodzeniem napisane bez wychylenia nosa z Paryża, na podstawie materiałów dostarczonych dziennikarzowi przez ambasadę PRL. Jest to obraz krainy młkiem i miodem płynącej, bez poważnych problemów, na najlepszej drodze ku świetlanej przyszłości pod rządami wytrawnego i rozumnego męża stanu. Jedyną maleńką plamkę na słońcu stanowi „niedostateczne zaopatrzenie w mięso”. Nic, dosłownie nic, nie wskazuje w reportażu na to by Fontaine informował się (w celu poinformowania swoich czytelników) u kogokolwiek poza polskimi oficjalnymi. Czy jednak informatorzy Fontaine’a trochę nie przesolili? Czy, zważywszy obecne trudności gospodarcze we

Francji, nie obawiają się że po ukazaniu się jego dwóch odcinków ruszy do Polski francuska fala emigracyjna?

Pisarz rosyjski Maksimow rozmawiał niedawno z pewnym dziennikarzem z *Le Monde*, wyrzucając mu kłamliwe informacje o ZSSR w dzienniku, który kiedyś był chlubą wolnej prasy zachodniej. „Mamy prawo pisać prawdę, mamy również prawo kłamać” — brzmiała odpowiedź. Widocznie brakowało na Zachodzie tego jeszcze tylko dowodu, że autentyczna wolność nie znosi żadnych absolutnie ograniczeń swoich dumnych praw.

REDAKCJA

Postępowcy i reakcjniści

Coraz więcej jest ludzi, a coraz mniej człowieka — i tak będzie w przyszłości.

Jan Stachura, *Siekierezada*.

Siedzieliśmy z Janem już z pół godziny na odstrzelonym bloku pierwszego spiętrzenia Filara Walkera. Była dziesiąta rano, na od kilku dni bezchmurnym niebie pojawiły się pierzaste chmurki, wróżące wieczorem niezłą burzę. Medytowaliśmy czy iść dalej, czy nie, boć ściana to wielka, śniegu na niej pełno i od ponad miesiąca nikt do niej nie ważył się przymierzyć. W dodatku dziś szliśmy niezbyt raźnie i wielcy alpinści mieli zwykłego tchórza. W pewnym momencie Jan wypatrzył po drugiej stronie doliny, na Flegère, białe punkciki: „Wiesz co to jest? To są namioty jakiejś dziwnej organizacji amerykańskiej. Przy wejściu było napisane: *'Do not disturb; Meditation Camp'* (Nie przeszkadzać, Obóz Medytacyjny)”. Zaczęliśmy się śmiać z komiczności sytuacji. My tu na skałce, medytujemy czy damy radę jakiejś zupełnie absurdalnej działalności, w jaką się pchamy, a oni tam, po drugiej stronie, medytują jak osiągnąć równie irracjonalny stan bezczynności. Zaś między nami była dolina Chamonix przykryta siną chmurką spalin, spod której dochodziły przytłumione odgłosy pomrukiwania, bekania, charczenia, gmyrania, a od czasu do czasu ucieszył ucho ryk donośniejszy — słowem kłębiło się to, co od dziś będziemy nazywać *demaforą*¹.

1. *Demafora* — słowo używane przez Greków, dla określenia populacji ludzkiej wraz z całokształtem jej działalności produkcyjno-konsumpcyjno-wydalniczej (*demos* — lud, *foros* — praca). Jest ono obecnie proponowane przez wielu uczonych amerykańskich (*Bulletin of Atomic Scientists*, 8/1973) do ponownego wprowadzenia dla ułatwienia rozwiązywanych przez naukę problemów. Na przykład gdy mówimy o „kontrolu demafory”, mamy na myśli od razu wszystko co chcielibyśmy kontrolować: kontrolę narodzin, kontrolę produkcji, kontrolę zużycia surowców i kontrolę polucji.

Góry mają to do siebie, że trzeba z nich schodzić i zająć się gmyraniem w demaforze. Jednak przejście od struktur pionowych do płaskich nie odbywa się bezboleśnie, pozwolenie sobie na realizację atawistycznych zachcianek obniża wyraźnie wydajność gmyrania, człowiek zaczyna wydziwiać, przyglądać się swemu i innym zachowaniu trochę z góry, próbować nadać jakiś sens i kierunek wszechogarniającemu pełzaniu demafory.

Z nieoczekiwaną pomocą w tym zadaniu przyszedli mi sami reżyserzy zachodzących przemian. W amerykańskim piśmie filozoficznym *The Humanist*², pojawił się krótki, cztery tysiące słów liczący „Manifest Humanistyczny”, podpisany przez 120 znanych uczonych, filozofów i teologów z A. Sacharowem i B. F. Skinnerem na czele. Ponieważ wydaje się on dokumentem dość ważnym, przytoczę w dosłownym tłumaczeniu jego co świetniejsze punkty, opublikowane przez *New York Times*³ (podkreślenia moje):

„Wierzmy, że tradycyjne dogmatyczne lub autorytatywne religie, które umieszczają objawienie, Boga, rytuał lub *wiarę* ponad ludzkie potrzeby i doświadczenia, wyrządzają szkodę ludzkiemu gatunkowi.

Przyrzeczenie nieśmiertelnego zbawienia, lub strach wiecznego potępienia są zarówno iluzoryczne jak i szkodliwe. Odrywają one ludzi od doczesnych problemów, od samo-aktualizacji i od naprawiania niesprawiedliwości społecznych... Żadna moc boska nas nie zbawi, musimy zbawić się sami...

Twierdzimy, że wartości moralne mają swe źródło w doświadczeniach ludzkich. Etyka jest autonomiczna i sytuacyjna, niepotrzebująca teologicznej lub ideologicznej sankcji. U podstaw etyki leżą ludzkie potrzeby i interesy. Negowanie tego zniekształca całą podstawę życia.

Cheemy dobrego życia, tutaj i teraz.

Rozum i inteligencja są najbardziej wartościowymi instrumentami jakie rodzaj ludzki posiada. Nie ma dla nich substytutu: nie wystarczy sama wiara ani pasja. Kontrolowane użycie metod naukowych, dzięki którym zmieniono Naturę oraz nauki społeczne, *musi* być rozciągnięte dalej, dla rozwiązania ludzkich problemów. Jednak rozum winien być złagodzony pokorą, jako że żadna grupa nie ma monopolu na mądrość i enotę.

W sprawach seksualnych, *wierzmy*, że nietolerancyjne postawy często kultywowane przez ortodoksyjne religie i purytańskie kultury niesłusznie uciskają zachowanie seksualne. Winno być uznane prawo do kontroli urodzin, aborcji i rozwodu. Podczas gdy nie popieramy eksploatacyjnych i destrukcyjnych form seksualnego zachowania, to nie chcemy zabraniać, prawem lub sankcjami społecznymi, seksualnych stosunków między godzącymi się na to dorosłymi.

By umożliwić wolność i godność (*freedom and dignity*), osobnik musi doświadczyć pełnego zakresu cywilnych wolności we wszystkich społeczeństwach. W to należy włączyć... przyznanie jednostce prawa do śmierci z godnością, eutanazję i *prawo do samobójstwa*.

Musimy rozszerzyć współuczestniczącą demokrację w jej prawdziwym

2. *The Humanist*, September 1973.

3. *New York Times*, August 26, 1973.

sensie do ekonomii, szkoły, rodziny, miejsca pracy i dobrowolnych organizacji.

Potępiamy podział ludzkości na gruncie narodowościowym. Osiągnęliśmy punkt zwrotny w historii ludzkości, gdzie najlepszym wyjściem jest przekroczenie granic narodowej niezależności i ruch w kierunku budowy światowego społeczeństwa, w którym wszystkie sektory rodziny ludzkiej mogłyby współzestnieżyć. Staramy się o rozwinięcie systemu światowego prawa i światowego porządku (*world law and world order*) opartego o ponadnarodowy rząd federalny.

Musimy rozwinąć komunikację i transport poprzez granice. Musi się znieść ograniczenia podróży. Wzywamy do pełnej międzynarodowej kooperacji w kulturze, nauce, sztuce i technologii, poprzez granice ideologiczne.

Przywiązanie do tolerancji, zrozumienia i pokojowych negocjacji nie powinno przyczynić się do zahamowania lub potępienia dynamicznych i rewolucyjnych sił. Prawdziwa rewolucja następuje obecnie i może być kontynuowana w postaci niezliczonych niegwałtownych poprawek...”

Manifest ostrzega przed oceną ekonomicznych systemów „poprzez retorykę lub ideologię”. Kryterium ich oceny winno polegać na tym „czy zwiększają one czy nie dobrobyt ekonomiczny wszystkich jednostek i grup, zmniejszają biedę i trudności, zwiększają sumę ludzkiego zadowolenia podnoszą jakość życia”.

Inne części manifestu poświęcone są wezwaniu do zakrojonego na skalę światową planowania ekologicznego, ostrzeżenia przed odwrotem od technologii. Proklamując że jest „pozytywna deklaracja w czasach niepewności”, manifest zauważa, że obecnie wielu ludzi „pod wpływem apokaliptycznych przepowiedni i scenerii sądu ostatecznego, ucieka w przerażeniu od racjonalności w objęcia irracjonalnych kultów i teologii, wycofania się i ucieczki”.

Na końcu timesowskiego skrótu Manifestu podana została lista 120 jego sygnatariuszy wraz z ich pozycjami społecznymi. Ten ostatni szczegół zaniepokoił mnie nieco, bo kryła się tutaj jakaś logiczna niekonsekwencja: jeśli sygnatariusze domagają się prawdziwej demokracji i to wszędzie, więc domagają się także i tego aby głos np. profesora uniwersytetu nie znaczył więcej niż głos studenta czy robotnika rolnego. Po co zatem te tytuły? Nasuwa się tu od razu podejrzenie, że zostały one umieszczone w celu zwiększenia autorytetu Manifestu, a zatem walczący z autorytetami autorzy albo nie w pełni rozumiały co piszą, albo cechuje ich podwójne myślenie czyli hipokryzja. Takie wytłumaczenie nie wydaje się jednak być komplementem dla autorów.

Zafrapowany tą niewielką dziurką, zaczęłam szukać większej dziury w zachęcająco wyglądającej całości. Manifest zaczyna się od słów „wierzymy”, więc ma charakter manifestu religijnego. Jasno sprecyzowane zostały wierzenia wrogie (tradycyjne, dogmatyczne lub autorytatywne religie czy ideologie — głównie katolicyzm i komunizm), prosto określony dogmat (dobre życie to

znaczy łatwe życie = dobrobyt ekonomiczny, brak biedy i trudności). Wiara w zbawienie z metafizycznej przyczyny boskiej została zastąpiona przez wiarę w fizyczne zbawienie poprzez kontrolowane użycie metod naukowych. Tak więc jest to religia materialistyczna oparta na autorytecie Nauki.

Skądinąd wiadomo, że doświadczenia naukowe — i to zarówno laboratoryjne jak i historyczne — wskazują, że zbyt długie okresy dobrobytu i braku trudności prowadzą do dekadencji i degeneracji — co wskazywałoby, że wierzenia sygnatariuszy mają niklejsze potwierdzenie empiryczne niż wiara w życie pozagrobowe. Niemniej wyznawcy mają zamiar opanować świat i zaprowadzić na nim naukowy ład i porządek. Zaś środkiem osiągnięcia tego celu jest Technologia (ekspansja komunikacji i transportu).

Jednym z ciekawszych ustępów Manifestu jest — w ramach zwiększania wolności — przyznanie jednostce prawa do śmierci z godnością, prawa do samobójstwa. Sformułowanie to brzmi nieco satyrycznie, bowiem fizyczna wolność samobójstwa istnieje we wszystkich systemach społecznych, nawet w obozie koncentracyjnym można było „iść na druty”. Traktowanie samobójstwa jako czynu niegodnego miało praktyczne znaczenie zniechęcania do samobójstwa, jako że tradycyjna religia i ideologia narzucały życiu jakiś sens. Nadanie samobójstwu znamion godności ma praktyczne znaczenie: zachęcanie do samobójstwa, a zatem pozbawianie życia sensu. Wydaje się więc, że sensem działalności sygnatariuszy Manifestu jest robienie nonsensu z życia, czyli nihilizm.

Jak stwierdzają autorzy Manifestu, ten typ humanizmu jest charakterystyczny dla Stanów Zjednoczonych, a po II wojnie światowej zaczął znajdować wyznawców w krajach Europy Zachodniej. Warto prześledzić jego rozkwit we Francji — kraju, w którym narodził się pozytywizm. Po „Wyzwaniu Amerykańskim”, rzuconym przez J.J.S.S. pojawiła się książka Ravela „Bez Marksa i bez Jezusa, rewolucja współczesna odbywa się w Ameryce”, której autor stara się wzbudzić we Francuzach kompleks niższości i zacofania wobec kraju, gdzie każdy ma wolność wyboru między 11 kanałami telewizji, a może nawet je oglądać wszystkie naraz, zaś w okolicy San Francisco 300 tysięcy młodych ludzi osiągnęło już wolność wegetacji w stanie zupełnego zubożenia. Podniecony duchem reformy, młody Kościuszko-Morzet (syn ambasadora Francji w Stanach Zjednoczonych), wydał książkę „Mafia Politechniczna”, w której rozprawia się z ostatnim przeżytkiem feudalizmu — sławną paryską szkołą politechniczną. Autor zauważył w niej niepokojący brak demokracji (nie każdy może się dostać, dzieci wychowanków tej szkoły mają

tysiącrotnie większą szansę na dostanie się do niej, niż przeciętny Francuz). W dodatku profesorowie szkoły głoszą reakcyjne ideały: „Pewien niekomfort i trochę spartańskiego trybu życia w młodym wieku wpływa dodatnio na kształtowanie charakteru i zmniejsza zainteresowanie materialne w wieku późniejszym” — Czyż nie należy się z tego wyśmiać? (Jest to komentarz Kościuszki).

Ponieważ postęp jest ideologią materialistyczną więc najłatwiej go zauważyć w sprawach doczesnych: wieniec autostrad okalających miasta europejskie, konstrukcja gigantycznych bloków, potwierdzających że przy doborze architektów stosowane były zasady pełnej demokracji. Ostatnim „krzykiem” jest tu budynek Fiata na paryskiej Défense, reklamowany jako genialne dzieło dwóch architektów amerykańskich, a który powstał prawdopodobnie przez 100-krotne powiększenie postawionej na sztorc, czarnej, wypolerowanej, niewyszukanej trumny.

Trwa także zacięta ofensywa informatyki. Przy wejściu do komputerowni Uniwersytetu Dusseldorfskiego zawieszono napis „Przestań myśleć, zacznij liczyć”. W czasie Paryskiego Salonu Komputerów, ubrani jak na pogrzeb informatorzy co chwila pociągają za rękaw zwiedzających, deklarując swą gotowość do usług. Wzruszyło to mojego ojca, który rzewnie zauważył, że ta Informatyka to prawie tak samo jak przed wojną w Krakowie: na Floriańskiej panie pociągają przechodniów za rękaw i szeptały czule: „Chłopczyku chodź ze mną, to zobaczysz”.

Tej wspianiałej inwazji pożytecznych urzędów i związanych z nimi romantycznych zawodów, towarzyszy ciche zamieranie „niewydajnych” i pasożytniczych profesji. Statystyki UNESCO podały, że w ciągu ostatnich czterdziestu lat liczba zawodowych muzyków w zaawansowanych krajach Zachodu zmalała czterokrotnie. W podobnej proporcji maleje liczba aktorów, malarzy i innych profesji artystycznych wypieranych przez kino, fotografię i telewizję. Dodawszy do tego przyrost naturalny, będziemy mieli spadek co najmniej pięćdziesięciokrotny ilości ludzi, którzy zajmowali się upiększaniem i urozmaicaniem naszego życia. Należy się także spodziewać, że wskutek automatyzacji szkolnictwa (maszyny uczące), oraz eliminacji przedmiotów pasywnych (historia, języki, etc.), będzie można niedługo zacząć zmniejszać ilość tradycyjnych nauczycieli i wychowawców.

Mimo tak jasno i logicznie zdefiniowanej linii postępu, jak i wszędzie widocznych skutków zwiększającego się dobrobytu, hydra reakcji także zaczęła zuchwale podnosić głowę. Warto tu odnotować francuskie wydanie nowej książki Theodore Roszaka o religijnym zacadeniu ortodoksyjną ekonomią: *Où va finir le*

désert? (Where the Wasteland Ends — przy czym autor ma na myśli pustynię asfaltową); amerykańskie wydanie już dość starej książki Sorela „The Illusions of Progress”, gdzie autor pozwala sobie na impertynencje pod adresem systemu demokratycznego, zauważając że dopiero demokracja pokazała do jakiego stopnia konformizmu i ogłupienia można doprowadzić ludzi.

Coraz częściej też odzywają się głosy samych uczonych „podkopujących” gmach Nauki. Jean-Marc Levy-Leblond, profesor fizyki teoretycznej Uniwersytetu Paryskiego, opublikował „Auto-critique de la Science”, gdzie twierdzi, że cele obecnych badań naukowych są narzucane z zewnątrz, przez przemysł, wojsko, że zapanowała zasada „rentowności” nawet pozornie bezinteresownych badań, a wskutek specjalizacji i gigantyzacji uczeni znaleźli się w sytuacji robotników przy taśmie, pozbawionych kontroli wytwarzanego produktu, ani świadomości celu w jakim się go wykorzystają.

W podobnym duchu utrzymane były zeszłoroczne XXIV Genewskie Międzynarodowe Spotkania Intelktualne, które poświęcone zostały „potrzebie religijnej”. Wśród uczestników widniały nazwiska Kołakowskiego, Baczki, Pomiana, Strzeleckiego, co wskazywałoby że oskarżenia w 1968 r. pod ich adresem o rewizjonizm i reakcyjność nie były całkiem bez uzasadnienia. Temat tego spotkania został narzucony przez wyraźny kryzys ideologiczny na Zachodzie i pojawienie się „dzikich” grup para-religijnych jak „Jezus Freaks”, oraz gwałtowny wzrost popularności wschodnich kultów.

Na spotkaniu zaatakowana została wprost ideologia postępu (pytanie profesora genewskiego: „czy będziemy mieli postęp jeśli przestaniemy w niego wierzyć?”). Jeśli zaś utraci się tę wiarę, to z powrotem zaczyna się słuchać uważnie tego co mówią najbardziej zaciekli reakcjoniści. Kardynał Danielou bez żadnych zahamowań stwierdził, że ludzie mają się dzielić na tych co pracują, tych co się modlą i tych co są po to, aby ich admironowano i jakiś kościół musi wszędzie być, zaś utopie Marksa, Nietzschego, to wszystko są bzdury i jedynie Platon jest ważny. Jak zauważył jeden z dziennikarzy, publiczne wypowiedanie takich poglądów, nawet przez grającego błazna kardynała, jeszcze kilka lat temu byłoby heretyckim zuchwalstwem.

Blizsza analiza współczesnego kryzysu została przeprowadzona przez Leszka Kołakowskiego, który przekazał zebrany swe refleksje nad degeneracją zjawiska świętości w naszych społeczeństwach, tak zwaną „sekularyzacją” życia. Występuje ona stopniowo w mniejszym stopniu wskutek bezpośredniej negacji i obaleniu poprzednich świętości (rewolucje), a głównie wskutek uniwersalizacji świętości, nadaniu znamion świętości wszędzie

mu, „uświęceniu” spraw przyziemnych. Zaś „zuniwersalizować świętość, to znaczy ją obalić, bowiem powiedzieć, że wszystko jest święte, to jest powiedzieć że nic nie jest, bo słowo to można zrozumieć tylko we wzajemnej opozycji do słowa 'profan'”. Ta tendencja występuje bardzo silnie w nowoczesnych teoriach społecznych, które negują istnienie zła i głoszą ideał całkowitej jednorodności bezkonfliktowej Natury. Prowadzi to z kolei do konfuzji i zaniku różnicy między szeregiem pojęć z definicji przeciwstawnych, np. między inwazją a wyzwoleniem, mężczyzną a kobietą, między uczniem a nauczycielem, sztuką a błazenadą, czy między nauką a ignorancją.

Nie posiadając zaś takich rozróżnień, człowiek czuje się „wyzwolony” z jakichkolwiek ograniczeń i drogowskazów postępowania jakimi były dawne świętości i autorytety. Gdy zaś obali się te ograniczenia to zaczyna się on zachowywać tak, że żadna świętość nie ma dla niego wartości — a zatem wszystko staje się pozbawione wartości. Tak więc wskutek pomysłów epoki Oświecenia, człowiek znalazł się „zawieszony w ciemności”.

Próba wyjścia z tej ciemności było wystąpienie Rogera Bastide, który skoncentrował się nie na modnym obecnie, technicznym „wyjaśnianiu” zjawisk społecznych, ale na próbie osiągnięcia ich głębszego zrozumienia (w sensie niemieckiego słowa *Verstehen*). Transponował on swe obserwacje nad obrzędem „Makumba” u Murzynów brazylijskich na zachowanie się nowoczesnego społeczeństwa.

Według niego, elementem kulminacyjnym każdej religii jest „święto”. W święcie biorą udział wszyscy wyznawcy. W czasie świątecznych rytuałów wyznawcy wpadają w trans, w którym utożsamiają się ze swym bogiem (komunia). Im jednostka jest bardziej arystokratyczna, tym trans jest silniejszy, wiodący czasem aż na skraj samobójstwa (jak mówi stara mądrość żydowska, za zobaczenie Boga płaci się śmiercią). Organizacją święta zajmuje się odpowiednio wyszkolona hierarchia szamanów. Roger Bastide takie święto nazywa „świętem udomowionym”.

Jednak z czasem hierarchia ta narzuca na wyznawców cały system ograniczeń, krępujących zachowanie społeczeństwa. W tej sytuacji może wystąpić świętowanie rzeczy zabronionych „na dziko”, niekontrolowanie i spontanicznie, poza istniejącym systemem społecznym. Takim „dzikim świętem” był dla autora maj 1968 w Paryżu, oraz inne zaburzenia o charakterze „rewolucji kulturalnych” na świecie — także marzec 1968 w Polsce. (Nie zapominajmy, że dla kościoła technologicznego największym świętokradztwem jest brak wytrzymałości na nudę, niepoważność, wesołość, niekontrolowanie stanów emocjonalnych). Wszystkie te imprezy miały podobny charakter: nagłe zerwanie monotonii dzia-

łałości wegetacyjnej, spontaniczne rytuały improwizowanych wieców, demonstracji, strajków, wiodąca aż na skraj prawdziwej walki kontestacja autorytetów. Po pewnym czasie zapął rewolucyjny wygasa, święto się kończy i wszyscy wracają do normalnych zajęć. Podobnie jak w obrzędach Makumba, w tych „dzikich świętach” uczestniczyły najbardziej wrażliwe części społeczeństwa (studenci, inteligencja), zaś wzbudzały one niepokój i niechęć jego bardziej profanicznych warstw (biuro i technokracja) przywiązanych do starego obrządku⁴.

Przedstawione tutaj dwa nurty filozoficzne posiadają głębokie osadzenie w kontekście historycznym. Ruch „postępowy”, jak sam się do tego z dumą przyznaje, wywodzi się z greckich filozofii przedsokratycznych, triumfował w czasie ekonomicznego rozkwitu Rzymu, pojawił się na Zachodzie z powrotem w renesansowych filozofiach mechanistycznych, by kulminować w rozkwicie industrialnym po Rewolucji Francuskiej.

Analityczny charakter tego typu myślenia doprowadzą do tego, że „wszystko się kończy przez zastąpienie poezji prozą, opisu analizą, opowieści heroicznej kategorią logiczną” (lord Adrian). Krańcowym przykładem takiego rozumowania jest stwierdzenie B. F. Skinnera: „człowiek nie kształtuje świata, to świat kształtuje człowieka”.

Taka świadomość jest charakterystyczna dla ludności przebywającej w pomieszczeniach zamkniętych, wśród wyprodukowanych przez nią przedmiotów: rzemieślnicy, kupcy (protestantyzm), technicy, biurokraci, naukowcy. Ideał społeczny stał tu się odbiciem struktury otaczającego ich świata: siły proporcjonalne są do masy, atomy są równe, emocje uważane są za defekt materii. Ideałem jest szczęśliwość zaobserwowana wśród atomów: zachowują się one racjonalnie, nie ma konfliktów, walk, zło zostało wyeliminowane, niepoważny język uczuć i obrazów został zastąpiony przez elektroniczne terminy bodźców (materiałnych), sprzążeń zwrotnych, wzmocnień pozytywnych i negatywnych.

Warto zauważyć ewolucję tych teorii strukturalnych. Jeśli pierwotne teorie struktury materii widziały materię jako zbiór

4. Przy porównywaniu wystąpień Kołakowskiego i Bastide warto zauważyć pewną różnicę w ich wypowiedziach, widoczną także między mną, a moimi francuskimi znajomymi: Jeśli obydwie strony są przekonane, że jak tak dalej pójdzie, to ta cywilizacja ulegnie eksplozji, to Polacy zdradzają tendencje do bizantyjskiego zamrażania sytuacji czy wręcz zamordyzmu, natomiast bardziej liberalni Francuzi już się na zapas cieszą, jaka to heca wyniknie jak się to wszystko będzie rozlatywało.

samodzielnych atomów (Demokryt, Leukkip) to bardziej wyrafinowane tak dojrzały, że u podstaw zachowania pozornie samodzielnych atomów leżą ściśle prawa (idee) (Platon, Heisenberg). Podobnie teorie struktury społecznej przeewoluowały od prymitywnej idei demokracji — społeczeństwo jako zbiór z natury równych i wolnych jednostek (Demokryt, Locke) do bardziej wyrafinowanych — pozornie wolne jednostki zachowują się według ściśle określonych praw (Skinner: „Poza wolnością i godnością”).

Nurt „reakcyjny” powstał jako reakcja na sterylizacyjno-petryfikatorskie zamysły poprzedniego. Jest on charakterystyczny dla ludzi przebywających w przestrzeniach otwartych, wśród przyrody ożywionej (niedawno tłumaczył mi pewien góral: „Jak się patrzy jak pszeniczka rośnie, to przecież musi być Bóg!”). Widać tu wyraźny podział na rodzaje, gatunki, rasy, formy mniej i bardziej ożywione, zasadniczy konflikt między jedzącym a zjadanym, strach i wesołość, ogólną tendencję do „opanowywania” przez przyrodę żywą obszarów spetryfikowanych. Te obserwacje były podstawą Platońsko-Arystotelesowskiej filozofii esencjalizmu (nie zapominajmy, że milionom bijącym kornie czołem przed obrazem demokracji przesyła swe pozdrowienia stary Platon, twierdzący, że sprawiedliwość społeczna polega na nierówności ludzi).

Ruch ten triumfował w Europie wraz z nadejściem Chrześcijaństwa. Od czasów Renesansu, wraz z upadkiem religii i wzrostem urbanizacji tracił on coraz bardziej na znaczeniu, odradzając się w romantycznych porywach antyindustrialnych i filozofiiach przełomu XIX i XX wieku (Sorel, Brzozowski).

Wyznawcy obu kierunku mają podobne ambicje: opanować świat. Postępowcy dążą do tego przez mechaniczne „zamurowanie”, zamknięcie ludności w wygodnych komórkach. Energię niezbędną do realizacji tego programu, otrzymuje się przez „uświęcenie” cyklu demaforycznego (tzn. produkcyjno-konsumpcyjno-wydalniczego): Święto Pracy, Święta Klasa Robotnicza, Konsument Nasz Pan, etc. Wszelaka działalność jest wartościowana tutaj z punktu widzenia ekonomicznej wydajności. Według Sorela, „ekonomia ma tendencję do stapiania dzieła jednostek w jednolitą masę, której zachowanie się przypomina zjawiska studiowane przez nauki ścisłe”. Dzięki zaś totalnej industrializacji będzie można ludzkość doprowadzić do stanu zupełnej zależności od specjalistów kontrolujących i regulujących demaforę. (Tak należy chyba rozumieć intencje wydanej przez M.I.T. książki „The Limits to Growth”, czy też działalność „The Club of Rome”).

Inaczej do swego dzieła zabierają się reakcjonisci. „Uświęcony” jest tutaj cykl biologiczny — Boże Narodzenie, Śmierć,

Zmartwychwstanie. Rzeczy święte są z definicji nieprodukcyjne (święto — tzn. dzień wolny od pracy, niedziela). „Wyrażenia „wielkość” i „upadek” odnoszą się szczególnie do działalności wolnego ducha, tj. dla sztuki, religii, filozofii” (Sorel). Takie wartościowanie daje ostre rozgraniczenie i konflikt między elitami charakterystycznymi dla obu systemów. J. Ackerman nazwał je „ograniczonymi technikami i ludźmi z wyobraźnią”. Według zaś Arystotelesa, w imię Transcendentalnej Inteligencji, ludzie z wyobraźnią mają narzucić swą wolę ograniczonym technikom. Ograniczeni technicy są świadomi zagrożenia dla swego dzieła z tej strony i próbują poprzez naukowe zakłęcia i odpowiednie „technologie zachowania”, uwarunkowywać ludność, by „nie dostrzegą” ludzi z wyobraźnią. (Np. Skinner pisze: „Winniśmy nie tylko nie mieć przyczyn by podziwiać ludzi którzy wytrzymują cierpienie, nie lekają się niebezpieczeństw, czy starają się być dobrymi. Jest osiągalny (taki system społeczny), który by nie miał zainteresowań w obrazach czy książkach o takich ludziach”).



W ramach konstrukcji Federalnego Zarządu Świata, w Genewie wybudowano ostatnio nową siedzibę organizacji o Parkinsonowskiej nazwie Międzynarodowego Biura Pracy. Sprzątając jej puste jeszcze sale wyobrażałem sobie, jak za kilka miesięcy zapełnią się one życiem, najwolniejsi na świecie ludzie będą tutaj przez 8 godzin dziennie celebrować swą wolność, jak będą sobie podgryzać stołki, marzyć o podwyżce i emeryturze, wypisywać raporty o stanie zatrudnienia na Nowej Zelandii. Zaś w przyziemiu, by uniknąć polucji, ustawi się specjalne maszyny aby miały te raporty na papkę i papier dla następnych raportów. Słowem, będzie to prawdziwa, nisko-polutująca Skrzynia Skinnera, wszyscy szczęśliwi, każdy coś pracowicie dłubie w swojej komórce.

Pewnego razu, idąc korytarzami Narodów Zjednoczonych, zapłonął we mnie reakcyjny ogień buntu. Według wskazań reakcjonistów zaczęłem wraz z młodym adeptem klanu biurokratów wyobrażać sobie opowieść heroiczną, dzięki święto czyli rewolucję kulturalną. Korytarze zapełniły się urzędnikami uzbrojonymi w krzesła, linały i saganki na herbatę. Na sali konferencyjnej delegacja Izraela odparła kolejny atak Mahometan. Wystąpienia mówców sowieckich zostały ograniczone do jednej godziny, bez możliwości powtórzeń. Dyrektor departamentu zabarykadował się w ustępie, który niedawno czyściłem i nie chce dać ustępstw kontestującym go sekretarkom. Pracownicy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża doznają ekstazy na miejscu licząc guzy woju-

jących stron. Na starej fermie, którą przewidujący jak zwykle Szwajcarzy pozostawili tuż pod oknami Biura Pracy, wprowadzono godziny obowiązkowego dokształcania w rolnictwie.

Dla ratowania porządku i prawa, zawieszano siły zbrojne ONZ, a ponieważ byli najbliżej — przylecieli polscy spadochroniarze. Szybko opanowali sytuację w Pałacu Narodów, a z rozędu także miasto, proklamując oderwanie go od Konfederacji Szwajcarskiej i restaurację Republiki Genewskiej pod ich opieką. Akcja ta była dla wszystkich zrozumiała, zważywszy na obfitość banków, barów i niezaspokojonych sekretarek.

Ponieważ każde święto się szybko kończy, więc po opadnięciu ekstazy rewolucyjnej wszyscy powrócą do swych zajęć, spadochroniarze żegnani kwiatami przez rodzaj żeński, zostaną odesłani do pilnowania złomu na pustyni, a młodzi biurokraci wrócą do pisania raportów o stanie rolnictwa na Nowej Zelandii. I tylko od czasu do czasu, któryś z nich ukradkiem wyjrzy tęsknie przez okno na starą fermę i w głębi ducha zamarzy sobie, kiedy będzie następną rewolucją kulturalną.

Marek GŁOGOCZOWSKI

GĄSIENICA (MAREK GŁOGOCZOWSKI)

(META PH. D. THESIS)

Esej naukowo-filozoficzny poruszający istotne sprawy otaczającego nas świata, napisany w języku angielskim przez młodego polskiego dysydenta, taternika, fizyka i humorystę.

„Pisałem tę pracę w Berkeley, wiosną 1972 jako projekt tez doktorskich w zakresie historii nauki. Osądzona przez mych profesorów jako przekraczająca ramy pracy doktorskiej została ona przez nich gorąco polecona do książkowej publikacji. Starania o wydanie jej przez oficjalne domy wydawnicze spełżyły na niczym. Obecnie ukazuje się ona nakładem wydawnictwa SAMIZDAT”.

Stron 160.

Cena SFr 16,50 (Dol. 7)

Zamówienia prosimy przesyłać na adres:

IMPRIMERIE GERARD CHALLAND,
Rue de Genève 64, Chêne-Bourg, (GE) Suisse

Dziennik pisany nocą

Dragonea, 11 sierpnia 1974

Poetce C. z Piemontu, niegdyś znajomej i wciąż zagorzałej admiratorce Cesare Pavese, usiłowałem wyjaśnić dlaczego nie podoba mi się jego dziennik *Mestiere di vivere*.

— Nie lubię w ogóle dzienników zbyt osobistych. Prawie zawsze narzucają autorom reguły gry nad którymi stopniowo, krok po kroku, zaczyna panować przyszedły czytelnik. Do twarzy mi z tym? A z tym? Jęknąć głośno? Przyciszyć jęk? Zostanie to dostrzeżone? Zaangażować się głębiej? Jeśli powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć „b”? Jak wyglądam w takim ustawieniu rzeczy? W człowieku istnieje i powinna istnieć strefa, gdzie nikt prócz Boga nie potrafi i nie ma prawa go osiągnąć. Paradoksalnie, dziennik dobry, czy w każdym razie wart czytania, jest ten w którym pisarz wysuwa tylko co pewien czas czułki ze skorupy. I natychmiast je chowa. Kiedy wyłazi ze skorupy cały, staje się całkowicie bezbronny, mówiony przez innych. Maksymalna szczerłość jest w literaturze wyobrażalna, dopóki korzysta z licencji osoby trzeciej, albo pierwszej osoby umownej. W dzienniku jest zgodą na suflerów, czyli szczerością aktorską. Z czego wynika że wyznaczam mu status specjalny, na peryferiach literatury. Z jednym wyjątkiem: bywa że dziennik świadomie i z góry przyjmuje reguły gry, rozgrywa je sam jako temat. Wtedy zamienia się w swoisty pojedynek pisarza z innymi: przeciw deformacji z zewnątrz, o własną „nagość” lub „autentyczność”, która nigdy zresztą nie zostaje w pełni odsłonięta, bo *primo* — znana jest mgliście, *secundo* — boi się nazwania. Nie był to przypadek Pavese. Jego dziennik jest literacki w najniebezpieczniejszym tego słowa znaczeniu: przywiązania do „postaci” w sobie, wystawio-

nej na widok publiczny, zdominowania życia przez literaturę. Pavese był ofiarą tej dominacji, zapłacił za nią życiem. Tytuł jego dziennika myli, wprowadza w błąd, wyraża raczej tęsknotę niż rzeczywistość. Nie *Mestiere di vivere*, lecz *Mestiere di scrivere*...

Wiedziałem że przeholowuję, że mówię z prowokacyjnym „nadrywem”, mając przecież szczyptę bardzo istotnej racji. Irytuje mnie mit Pavese we Włoszech, kraju niepoprawnych literatów i kultu *la bella pagina*, pięknej stronicy. Węszę w nim dwuznaczność, podsukbywanie cudzej tragedii, przystrajanie się piór jałowych i lękliwych w skrwawione piórka odwagi kogoś, kto nie zawahał się w końcu szarpnąć desperacko w siłach.

Szliśmy ścieżką w stronę Moliny, przypiekał nas upał, dolina zamknięta była na horyzoncie w obręczy pożarów. C. wysłuchiwała mnie w milczeniu, a może i nie wysłuchiwała, bo odrobinę płaczącym głosem przypomniała tylko że „stało się to właśnie w sierpniu”.

Tak, w sierpniu 1950 roku. Czterdziestodwuletni Pavese był u szczytu powodzenia: chwalony, fetowany, nagradzany, tłumaczony, pasowany na „odnowiciela” literatury włoskiej. Tom wierszy, kilka tomów wytrawnych opowiadań, ogromny wysiłek przyswojenia Włochom literatury amerykańskiej (jego przekład *Moby Dicka* jest majstersztykiem). Życie było pisaniem, żeglowaniem na oceanie papieru w pościgu za białym wielorybem. Wreszcie ten sierpniowy duszny dzień w wyludnionym Turynie, gdy w bezwietrznym worku luneta papierowego kapitana Achaba wessała się na widnokręgu w białą pustkę. Wynajął pokój w *Albergo Roma* naprzeciw *Porta Nuova*, szklanką wody popił końską dozę proszków nasennych, rozłożył się wygodnie w ubraniu na łóżku. Na nocnym stolczku znalaziono tomik jego wierszy *Dialoghi con Leucó* z wpisem na stronie tytułowej: „Przebaczam wszystkim i wszystkim proszę o przebaczenie. Zgoda? Nie plotkujcie zanadto”. Parę dni wcześniej pożegnał się z dziennikiem słowami, które dzisiaj jeszcze jego wielbiciele powtarzają jak hasło wywoławcze: *Tutto fa schifo, non scriverò più* — Wszystko mierzi, nie będę więcej pisał. Przekleństwem i stwierdzeniem „nie będę więcej pisał” kończy się „zawód zwany życiem”.

Zachował się jego list do przyjaciół, wysłany na tydzień przed samobójstwem: „Jestem jak Laokoon. Ozdabiam się artystycznie wężowymi girlandami i każę się podziwiać, potem od czasu do czasu uprzytamniam sobie w jakim jestem stanie i otrząsam się z węży, odrywam je, a one wiją się i gryzą. Ta zabawa trwa od dwudziestu lat. Zaczynam mieć jej dosyć”.

Czego biedna C. nigdy chyba nie dojrzy, to tego buntu życia w uścisku rozzuchwalonej i zachłannej literatury. Byłaby dla niej dowodem okrucieństwa konkluzja po ćwierćwieczu, że śmierć Pavese w turyńskim hotelu przeżyje jego książki łącznie z dziennikiem.

23 sierpnia

R. przywiózł mi z Ameryki książkę Magruder *An American Life — One Man's Road to Watergate*. Magruder wspomniatem raz w dzienniku, gdy po jego przesłuchaniu publicznym Mary McCarthy ukuła definicję *moral idiocy*. Był *Special Assistant* Nixona, później wicedyrektorem Komitetu Reeleksji Prezydenta, odegrał znaczną rolę w aferze Watergate. Książka jest spowiedzią skruszonego grzesznika; i — wobec dymisji Nixona — musztardą po obiedzie. Ale przeczytałem ją z nie mniejszym zainteresowaniem, niż powieść Puzo *The Godfather*. Widzę teraz że definicja *moral idiocy*, która mnie tak niegdyś zachwyciła, nie ma tu nic do rzeczy. W aferze Watergate, chociaż krew się w niej strumieniami nie leje, należy badać wpływ wzorów mafii sycylijskiej na amerykańskie walki polityczne. Podobieństwa są uderzające, począwszy od nixonowskiej odmiany *il padrino*.

Kluczową figurą był Liddy, ex agent FBI. Komitet Reeleksji zaangażował go do „spraw wywiadu”. W pierwszej z nim rozmowie Magruder poskarżył się na dziennikarza Andersona, znanego ze swojej uporczywej niechęci do Nixona. Liddy skinął głową i wyszedł z pokoju. Po chwili wpadł bez pukania do Magruder *inny* urzędnik Komitetu: „Oszalałeś? Kazałeś Liddy'emu zastrzelić Andersona?”. Okazało się że Liddy po sycylijsku wyinterpretował sobie skargę Szefa: jako aluzyjne wezwanie do mokrej roboty, do sprzątnięcia faceta. Incydent speszył nieco Magruder, nie skłonił go jednak do pozbycia się przebojowego podwładnego. Nie mógł go skłonić, skoro w Białym Domu główny adiutant polityczny Haldemana, Strachan, ujął rzecz krótko i węzłowato: „Liddy to Hitler, ale *nasz* Hitler”. W układzie mafijnym też *il nostro* rozstrzyga wszelkie wahania i wątpliwości. Liddy więc, nie straciwszy zaufania przełożonych, przygotował bogaty plan operacyjny: porwania, sabotaż, przekupstwa, kurewki na wabia i do rozwiązywania języków, włamania, aparaty podsłuchowe. Plan był za kosztowny, na naradzie u ministra sprawiedliwości Mitchella zredukowano go do operacji Watergate (włamanie i podsłuch). „Powinienem być — pisze Magruder — uprzytamniać sobie nielegalność planu, lecz w jakimś sposób wydawał się do przyjęcia, może dlatego że omawialiśmy

go w gabinecie ministra sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych". To rozumiałe: w przekładzie na sycylijski Magruder miał poczucie przynależności do *onorata società* i brał udział w naradzie kierowanej przez *uomo di rispetto*.

W jednym punkcie analogia zawodzi. Operacja się nie powiodła, całe bractwo przystąpiło do gorączkowego zacierania śladów. „Zatelefonowałem do Strachana i upewniliśmy się nawzajem, że nasze kartoteki zostały *sanitized*". Nie tłumaczę słówka *sanitized*, przypuszczalnie jest ono nowotworem biurokratycznym nieznanym mafii sycylijskiej, która kartotek wystrzega się słusznie jak ognia. Nie wykluczone, że przyszły historyk uzna skandal Watergate za dziecko nieudanego mariażu gangsterstwa z biurokracją (w ustroju demokratycznym, bo w totalitarnych są to mariaże naturalne i na ogół długowieczne).

29 sierpnia

W włoskim magazynie ilustrowanym wywiad z jakimś „postępowym” księdzem, który w ferworze „progresizmu” chciałby widzieć „ożywioną duchem chrześcijańskim” także literaturę „nieprzystojną”. Że niby nie należy tego, rozplenionego dziś i poszukiwanego przez czytelników, gatunku oddawać w pacht bezbożnikom i komercyjnym świntuchom; że można sobie na wiele pozwolić w grzesznych rzekomo opisach cielesnej miłości, nie zaniedbując ideałów i wskazań Bożej miłości.

Powstanie pornografia kościelna? Gdyby miało do tego dojść, patron jest gotowy: Pius II. Zanim wyniesiono go na stolec papieski, Sienieńczyk Enea Silvio Piccolomini był człowiekiem któremu „wszystko kojarzyło się z ...”. W roku 1444, w wieku lat czterdziestu, uważał się za „starego lubieżnika” wyżętego przez kobiety, próchno się z niego sypało, cierpiał na podagrę. Napisał wówczas swoją słynną *Historię dwojga kochanków*, nowelę „rozwiązań”, młodym ku przestrodze: aby pamiętali że chuć jest niewolą (nic to że na pozór „słodką”), źródłem „tyśiącznych kłopotów”, „szaleństwem” co kiedyś przerodzi się w „obrzydzenie”, podstępny wrogiem „prawdziwego piękna” królującego w niebie. Papieżem został w roku 1458. Zasiadł na tronie przekreślając własną chutliwą przeszłość słowami *Aeneam respuite, Pium respicite*, piorunując przeciw kościołowi obróconemu w „spelunkę bandycką i kurewski burdel”, w siedlisko „świętokupstwa i sprośności”. Teologią się nie interesował, pasjonowała go polityka. Marzył o krucjacie przeciw Turkom. Umarł w Anconie, gdy weneckie galery dobiły do brzegu w drodze na Wschód.

Historia dwojga kochanków, zameżnej damy sienieńskiej i niemieckiego rycerza z orszaku cesarskiego, jest zgrabną, pełną finezji nowelą i naturalnie jako „bogobojna przestroga” posługuje się starym u pisarzy „nieprzystojnych” trickiem: pofolgować wyobraźni erotycznej, a potem z palcem podniesionym do góry i przymrużonym okiem powiedzieć: tego, miłe dziateczki i owieczki, czynić nie przystoi. Stąd grzeszność rzekoma, która uzasadnia zaproponowanie piętnastowiecznego Ojca Świętego na patrona nowego pomysłu „progresistów” katolickich.

1 września

Paolo Uccello. Tak go lubiąc (nawet nie za sławne płótna, za *Legendę o sprofanowanej hostii* w Urbino), dopiero dzięki przedrukowi w jakiejś gazecie włoskiej dowiedziałem się, że wzruszający o nim drobiazg napisał Marcel Schwob.

Nazywał się w rzeczywistości Paolo di Dono; Florentyńczycy nadali mu przydomek Uccello lub degli Uccelli (Ptasznik), bo wciąż malował ptaki, zbyt biedny by je posiadać i karmić w klatce. Uwielbiał matematykę i geometrię, po nocach czernił zawzięcie papier kropkami i kołami, usiłując sprowadzić także ruchy i gesty ludzi do najprostszych linii. Chodziło mu o przedstawienie wszechświata jako odbicia w Oku Boga. Dokoła niego żyli i pracowali Ghiberti, Della Robbia, Brunelleschi, Donatello, niezrównani i dumni mistrzowie. Uccello bywał dla nich często przedmiotem łagodnych drwin: pokpiwali z jego manii perspektywy, załamywali ręce nad jego domem pełnym pajęczyn i o pustej zawsze spiżarni. Był jednak dumniejszy od nich: każda nowa kombinacja linii budziła w nim wiarę, że odkrył nareszcie sekret stworzenia. Pędził życie eremity, nie zwracał uwagi na to co je czy pije. Pewnego dnia zobaczył na łące młodziutką dziewczynę. Na imię jej było Selvaggia (Dzika), była córką farbiarza i miała trzynaście lat. Uśmiechała się do niego. Przyglądał jej się bacznie jako modelowi. Ale nie rozumiała lub nie domyślała się tego, wzięła go za rękę i pokochała go pierwszą miłością. Całymi dniami siedziała pod ścianą, na której wisiły arkusze z kropkami, liniami i kołami, skłębionymi w poszukiwaniu sekretu stworzenia. Wkrótce przestał jej się przyglądać. W domu było głodno, lecz zabrakło jej odwagi powiedzieć o tym znakomitym bywalcom pracowni Uccella. Umarła z wycieńczenia bez słowa skargi. Zesztywniałe zwłoki Dzikię wywołały w nim gorączkę rysowania jej twarzy, nieomkniętych oczu, rąk. Starzał się i nikomu już nie przemawiał do wyobraźni jego obrazy, płata-

nina kreski i znaczków, w której nie rozróżniało się więcej ani ziemi, ani nieba, ani ludzi, ani zwierząt, ani roślin. Od lat malował płótno, które ukrywał przed wszystkimi. Przedstawiało Świętego Tomasza, dotykającego żeber Jezusa dla upewnienia się w prawdzie. Ukończył je w wieku lat osiemdziesięciu, wezwał Donatella i pokazał mu w wielkiej tajemnicy swoje arcydzieło. „Paolo, Paolo — wykrzyknął Donatello — zasłoń twoje płótno!”. Uccello był przekonany że dokonał cudu, Donatello ujrzał tylko gmatwaninę linii. Minęło jeszcze parę lat; któregoś dnia znaleziono Uccella martwego na nędznym barłogu. W mocno zaciśniętej dłoni trzymał zwitek papierów pokreślonych krzyżującymi się liniami, które biegiły od centrum do obwodu i od obwodu do centrum.

Chciał zapewne być malarskim eksploratorem przepaści, dzielącej upadłego człowieka od Boga. Przypowieści Schwoba o nim nadałbym tytuł *Mestiere di dipingere...*

Maisons-Laffitte, 8 września

Całe popołudnie spędziłem z W. na święcie *Humanité* w Courneuve, na przedmieściu Paryża. Kiermasz, wesoły festyn ludowy, cyrk, Luna Park — ani za grosz polityki. Byłem raz na święcie *Unità* w Rzymie, miało to podobny charakter świeckiego odpustu czy partyjnego jarmarku, ale przecież wydawało się bardziej upolitycznione: włoscy towarzysze i ich sympatycy bawili się, śpiewali, tańczyli, pili wino, uprawiali „macedonię” na świeżym powietrzu, i równocześnie z zapałem wiewali, zastępując swojską gestykulację narodową proletariackim wymachiwaniem pięści. Nic z tego u komunistycznych Francuzików 1974, którzy najwidoczniej poczuli się dość blisko „obszaru rządowego”, aby rewolucyjne pierworództwo sprzedać za miskę soczewicy pogodnego *image* drobnomieszczańskiego na użytek nieufnej reakcji. Nawet „bratnie organy” przysły z pomocą francuskim towarzyszom w nagłej potrzebie. W pawilonie *Trybuny Ludu* oddychało się miłą atmosferą *Cepelii*. Pawilon *Prawdy* i agencji *Nowosti* przeobraził się w panteon literatury rosyjskiej — z portretami Gorkiego, Szołochowa, Simonowa, Fadiejewa, oraz Puszkina i Dostojewskiego. Pawilon *Borby* oczyszczono z wszelkich dwuznacznych „miazmatów”: Jugosłowianie nie tylko nie pochwalili się przekładami Sołżenicyna, ale odebrali Dedięrowi godność oficjalnego biografa Tity i oddali ją jakiemuś grzeczniejszemu nadwornemu skrybie. Pełnej uniformizacji został również poddany pawilon *Unità*: jest wprawdzie portrecik Gramsciego, lecz zabrakło pod nim miejsca dla książki towarzyski

Macchiocchi *Pour Gramsci*; włoskie wydawnictwo partyjne *Editori Riuniti* wołało nie pokazywać tłumaczeń Baumana i Brusa (Schaff też się przez to ucho igielne nie przecisnął, mimo że cieszy się zasłużoną sławą najelastyczniejszego z wielbłądów). Krótka mowa — spokój, bezkonfliktowość, *procznyj tył*, ideologiczne *pierepalki* złożone na ołtarzu „gotowości do współpracy”. Jedynie w pawilonie *Neues Deutschland* na Placu Dymitrowa (idzie się doń szeroką Aleją Romain Rollanda) powiało bojoworewolucyjnym wiatrem. Z ust trzech chłopców i tyluż dziewcząt, pięknych blond-bestii, gruchnęła piosenka o „walce klas”. Gruchnęła z takim hukiem i mocą, że w tłumie Francuzików pobladły twarze i pochyliły się głowy: starsi wspominali przypuszczalnie łomot buciorów *Wehrmachtu* o bruk Paryża. Na zakończenie swego występu wokalnego szóстка zaintonowała, z nie mniejszym upodobaniem do rąbania fraz i słów, *Międzynarodówkę*. Podchwyciło ją kilka zaledwie wątłych głosów.

Na święcie sprzedawano dwa rodzaje nakrycia głowy: ładne czapki frygijskie z czerwonego sukna i plastikowe meloniki z napisem *Humanité*, kształtem jakby skopiowane ze *Sklepów cynamonowych*. Melonik (jako symbol) pobił na głowę czapkę frygijską (jako symbol): paradowało w nim dziewięćdziesiąt procent świętujących. Na wychodnym moje złaknione oczy dostrzegły napis, którego dotąd daremnie szukały: „Tu spełnia się akt polityczny”. Niżej literami skromniejszego formatu: „Tu susia się politycznie”. Dowcip polegał na tym, że jednofrankowa opłata za pisuar dla pań i panów przeznaczona była na fundusz prasowy *Humanité*. W tym niewinnym dowcipie zawarto najistotniejszy dla organizatorów święta *message* o niewinności francuskiej partii komunistycznej.

17 września

W *Twórczości* zaskoczył mnie wierszyk Iwaszkiewicza *Premio Taormina*. „Anna Andrejewna (czyli Achmatowa) była tutaj (czyli w Taorminie) przed samym końcem... Podróż wydawał się długa prawie jak podróż jej syna (to lekka przesada, Lew Nikołajewicz Gumilew spędził w łagrach czternaście lat, podróż z Leningradu na Sycylię trwa dwie doby)”. I naraz:

*Co oni wiedzieli o ojczyźnie Anny
o chłódach Carskiego Siola
o panichidach za samobójców
o więzieniach o kołach polarnych
o światłach*

O czym myślała tu Anna Andrejewna?

O czym w Taorminie myślała Achmatowa łatwo się dowiedzieć z dziennika Czapskiego, który ją widział w Paryżu w rok po odbiorze sycylijskiej nagrody poetyckiej. „Coś się mojemu synowi w głowie pomieszało w obozie. Od powrotu mnie znienawidził i nie chce się ze mną spotykać, już trzy lata go nie widziałam”. Przeczytała Czapskiemu swój nowy wiersz, potem podała kartkę na drobny mak, ku zdumieniu obecnego w pokoju hotelowym sfrancuziałego Rosjanina. A ona do Czapskiego: *Wot widitie, sorok liet nie był w Rassiji i daze on nie panimajet! Czto gawarit' o Francuzach!*

Czemu Iwaszkiewicz z goryczą pyta „co oni wiedzieli o ojczyźnie Anny, o więzieniach o kołach polarnych”, skoro sam z goryczą *à rebours* wyrzucał niegdyś Sołżenicynowi „manię prześladowczą obozów”? O tej „manii prześladowczej” Sołżenicyna sporo się ostatnio z przekąsem mówi w kołach, które dziesięć lat temu ozdobiły w Taorminie wieńcem laurowym czoło Anny Andrejewny...

Naturalnie przysięgli admiratorzy Iwaszkiewicza rozczmokają się teraz nad jego wierszykiem, jak przed rokiem rozczmokali się nad jego słabiutkim tomikiem *Ogrody*. Że taki „czarująco nieobliczalny”, że taki „urzekająco kapryśny”, że taki „zachwycająco jarosławowaty”! Mało kto odważy się spokojnie stwierdzić, że Iwaszkiewicz jest klasycznym przykładem na prostą okoliczność: niedocieczonym zrzędzeniem Opatrzności talent bywa często ożeniony z głupotą. Podobnym przykładem, o parę oczek niżej, jest Żukrowski.

19 września

Od dawna sędzę że nasze czasy wymagają upartego powtarzania pozornych banałów, prawd oczywistych i odwiecznych, wykpiwanych przez zgraje „refinatów”. Znakomity, mądry artykuł Kołakowskiego w *Encounter* nazywa się *Can the Devil be Saved?*; nie wiadomo tylko dlaczego redaktorzy opatrzyli go pod tytułem *A Marxist Answer*. Nie jest to żadna „odpowiedź marksistowska”; jest to odpowiedź filozofa o wielkiej inteligencji i ludzkiej wrażliwości, który nie boi się odkurzania wywodów w stylu elementarza, bo zna wysokość stawki w grze.

„Staram się po prostu powiedzieć, że tkwi kulturalne niebezpieczeństwo we wszelkiej utopii doskonałego pojednania (Dobra ze Złem, z jednoczesną eliminacją diabła) i że — co jest inną stroną tego samego problemu — pojęcie grzechu pierwo-

rodnego daje nam przenikliwe wejrzenie w los ludzki”. Trudno się dziwić pokusom, jakie współczesne chrześcijaństwo odczuwa wobec optymistycznej filozofii powszechnego pojednania. Obawa przed zdystansowaniem i izolacją, przed zamknięciem w enklawie społeczeństwa z gruntu nie-chrześcijańskiego, skłania dziś myśl chrześcijańską do uznania za najważniejsze zadanie dwóch rzeczy: „wejścia w świat” i rozgrzeszania *a priori* wszystkich niemal ruchów, które powstają spontanicznie z „naturalnych” impulsów człowieka. Diabeł ulotnił się prawie całkowicie z nauk chrześcijańskich, zabierając ze sobą pojęcie grzechu pierworodnego, a w umysłach chrześcijan stopniowo zaczyna przeważać przekonanie o możliwościach bezgranicznego doskonalenia istoty ludzkiej. Nie-chrześcijanin ma i prawo i obowiązek myśleć o formach, jakie przybiera chrześcijaństwo. Ze zrozumiałych względów: „Chrześcijaństwo jest częścią naszego wspólnego dziedzictwa duchowego, i być zupełnie nie-chrześcijaninem oznaczałoby wykluczyć się z naszej kultury... Świat potrzebuje chrześcijaństwa, nie tylko w sensie subiektywnym lecz także dlatego, że bez niego nie można prawdopodobnie podjąć pewnych ważnych zadań; chrześcijaństwo musi wziąć na siebie swoją odpowiedzialność za świat, który od wieków pomagało kształtować”. Nikt nie zaprzeczy, że pojęcie grzechu pierworodnego i nieuleczalnego skażenia natury ludzkiej było narzędziem i podpórką konserwatywnego oporu przeciw zmianom społecznym i zamachom na istniejący system przywilejów. Szaleństwem jednak jest tendencja do wypierania skrajności konserwatywnej skrajnością postępową: radosną nowiną o zniknięciu diabła i o zniesieniu granic w pędzie człowieka ku doskonałości. Nasze skażenie nie jest przypadkowe. Wiemy o wszystkim co na to wskazuje, o wszystkim co składa się na realność grzechu pierworodnego, a przecież usiłujemy tę realność lekceważyć albo nawet przekreślać. Nigdy (mawiał Anatole France) nie zamordowano tylu ludzi jak w imię zasady, że istoty ludzkie są z natury dobre. Ale porzuciwszy mit prometejski, nie ma powodu wpaść w pesymistyczną statyczność mitu Syzyfa. Lepszą nam odda przystugę biblijna legenda o królu Nabuchodonozorze, zdegradowanym do stanu zwierzęcego gdy próbował wywyższyć się do godności Boga (z *Proroctwa Daniela*: „Wypędzono go od ludzi i trawę jadł jak woły, a rosa niebieska skrapiała jego ciało, aż mu włos wyrósł jak orłowi i paznokcie jakby ptasie”).

Nie mogę nie przepisać konkluzji Kołakowskiego: „Potrzebujemy zatem chrześcijaństwa, lecz nie każdego rodzaju chrześcijaństwa. Nie potrzebujemy chrześcijaństwa, które robi rewolucję polityczną, które pali się do współdziałania z tak zwanym wyzwoleniem seksualnym, które udziela przyzwolenia naszym chuciom lub chwali nasz gwałt. Dość jest na świecie sił

zajętych tymi sprawami, bez pomocy chrześcijaństwa. Ludzie potrzebują chrześcijaństwa pomocnego w wychyleniu się poza bezpośrednie naciski życia, chrześcijaństwa zdolnego im dać wgląd w podstawowe ograniczenia doli człowieczej i umiejętności ich zaakceptowania, chrześcijaństwa które uczy prostej prawdy że prócz jutra istnieje też pojutrze, i że różnica między powodzeniem i klęską jest rzadko uchwytna. Potrzebujemy chrześcijaństwa które nie jest złote czy purpurowe czy czerwone, ale szare. I zarazem potrzebujemy więcej niż chrześcijaństwa; nie aby zadowolić abstrakcyjną przyjemność rozmaitości, lecz dlatego że prawda chrześcijaństwa jest równie jednostronna jak wszelkie inne prawdy. Potrzebujemy żywej tradycji myśli socjalistycznej, która odwołuje się do ludzkich sił tylko wspieraniem tradycyjnych walorów sprawiedliwości społecznej i wolności. I tutaj znowu nie potrzebujemy byle jakiego rodzaju myśli socjalistycznej. Nie potrzebujemy obłądnych fantazji na temat społeczeństwa, z którego usunięto wszelką pokusę zła; bądź na temat rewolucji totalnej, która jednym pociągnięciem zapewni nam błogosławieństwa ostatecznego zbawienia i świat bez konfliktów. Potrzebujemy socjalizmu, który pomoże nam zrozumieć złożoność brutalnych sił działających w ludzkiej historii i wzmocni naszą gotowość do walki przeciw uciskowi społecznemu i ludzkiej nędzy. Potrzebujemy socjalistycznej tradycji świadomej swych własnych ograniczeń, gdyż sen o ostatecznym zbawieniu jest rozpaczą przebraną za nadzieję, żądzą władzy w przebraniu tęsknoty do sprawiedliwości. Nie możemy jednak oczekiwać wielkiej syntezy różnych i niezgodnych tradycji, których potrzebujemy. Możemy potrzebne nam naprawdę wartości próbować pogodzić w abstrakcyjnym uogólnieniu, ale w większości konkretnych wypadków znajdziemy je we wzajemnej opozycji. Eden ludzkiej uniwersalności jest rajem utraconym”.

20 września

Przychodzi mi do głowy taka oto analogia. W 1942 roku Croce, papież włoskich antyklerykałów, ogłosił w *La Critica* szkic *Perché non possiamo non dirci cristiani — Dlaczego nie możemy nie uważać się za chrześcijan*. Pokwitował natychmiast ten szkic ksiądz Giuseppe De Luca, znany filozof katolicki i historyk religii, w miesięczniku *Il Regno* wychodzącym w Asyżu. Jest niedorzecznością (dość dzisiaj we Włoszech rozpowszechnioną) przypisywać temu dialogowi charakter antycypacji sojuszu politycznego w przewidywaniu upadku faszyzmu. Był wyrazem wspólnej zgrozy „idealnej” w ciemnościach kryjących Europę.

22 września

Rzadko zaglądam do londyńskiej *Oficyny Poetów*, więc przeczytałem fakt że systematycznie rozmawia tam z samym sobą Jan Brzękowski. Najwidoczniej nie czuje się tym znudzony, w dobrym o sobie mniemaniu nawiązując do aforyzmu Irzykowskiego z *Lżejszego kalibru*: „Nie mogę usnąć, bo tylko z samym sobą się nie nudzę”. Osiemnasta rozmowa osnuta jest wokół *Antologii Grochowiaka i Maciejewskiego*. „Tobie poświęcono w niej dwanaście stron. Jesteś zadowolony?” — pyta Brzękowski Brzękowskiego. „Nie mam powodu być niezadowolony, ale nie mogę być zadowolony” — odpowiada Brzękowski Brzękowskiemu. Odpowiada jak Sybilla kumańska, domyślamy się jednak aluzji w stylu *Folwarku Zwierzęcego*: „Dwanaście stron dobre, trzynaście stron lepsze”. Autokonwersacje sprzyjają używaniu słówka „niewątpliwie”, i rzeczywiście występuje ono w tekście osiemnastym najczęściej. Brzękowski przypiera Brzękowskiego do muru w sprawie „drugiej awangardy”. „Nie lubię tej nazwy — opęda się przed Brzękowskim Brzękowski, — i to nie ze względów osobistych, bo ja znajduję się w tej, która nosi numer jeden”. I żeby podkreślić epokową wagę tej primogenitury, Brzękowski dyplomatycznie (służył przecież w dyplomacji) każe Brzękowskiemu postawić sobie pytanie na temat wyboru wierszy Miłosza (z „drugiej awangardy”) w *Antologii Grochowiaka*. I dyplomatycznie samemu sobie odpowiada: *No comment*. W tym miejscu komiczne nadęcie i puszenie się przebiera nieco miarkę, lecz Brzękowski pochłonięty rozmową z Brzękowskim wcale tego nie zauważa. Co więcej, podochocony samodurstwem postanawia piszącym o nim prace doktorskie polonistom w kraju zdradzić sekret, który dotąd wstydliwie zatajał. Okazuje się mianowicie, że w jakimś wierszu przywłaszczył sobie „półmisek radości” z wiersza Peipera. Jak to się stało że Peiper, tak przeczulony na punkcie plagiatów czy podkradania, puścił mu ten „półmisek radości” płazem? Przypuszczalnie (to moja hipoteza, ale mogą ją gratisowo odstąpić doktorantom polonistyki w kraju) najadł się już z niego do syta, ewoluując skrycie od „pierwszej awangardy” ku „drugiej”.

23 września

Profesor Confino wydał nareszcie w książce archiwum *Natalia Herzen i krąg Bakunin-Nieczajew*. Lektura ostatnich opublikowanych w prasie fragmentów jest pasjonująca z jednego względu: wyłania się z nich Bakunin rozdarty, Bakunin który na przemian

podziwia i przeklina Nieczajewa. Nieczajew „jezuita”, „pluga-wiec”, „intrygant”, „łgarz”, „potwór”; równocześnie, w tych samych listach, Nieczajew obdarzony „żelazną wolą”, „wewnętrznie czysty”, „całkowicie oddany sprawie”, „najcenniejszy z nas wszystkich”, „zabłąkany i wykolejony przyjaciel”. Niebawem zdanie w liście Bakunina do Natalii Herzen, zdanie które miało się stać dewizą spadkobierców Nieczajewa: „niezależnie od popełnionych błędów Nieczajew jest w moim (i mam nadzieję w pani) przeświadczeniu najlepszy i, *gdy chodzi o sprawę chociaż nie gdy chodzi o ludzi*, najbardziej prawy z nas wszystkich”. Co fascynowało tak starego rewolucjonistę w młodym? Wierzył że „Herzen był ostatnim Rosjaninem działającym w izolacji, że nad-szedł czas *jasnego myślenia i kolektywnego działania*”. Spełnienia tych dwóch ważnych atrybutów oczekiwał od Nieczajewa. Zapewne, nie robił sobie złudzeń co do „kolektywnego działania” w wersji Nieczajewa: „Niezbite fakty dowiodły nam że dyktatura Nieczajewa, dyktatura jego Komitetu (co wychodzi na jedno, ponieważ trzy czwarte lub dziewięć dziesiątych Komitetu składa się z niego samego) ma zgubne skutki w Rosji i za granicą”. A właśnie te złudzenia były nieodzowne, by bez żadnych „ale” oddać się pod komendę prebolszewickiego zwiastuna przyszłości. Stąd ciągła szarpanina Bakunina u progu rewolucyjnej emerytury.

Londyn, 25 września

Na konferencji prasowej *Kontynentu* Maksimow wygłosił trzyminutowe przemówienie. Można je streścić w dwóch punktach. Po pierwsze: jesteśmy świadkami i zamierzamy świadczyć dopóki nam starczy sił i życia, choćby nasze audytorium na Zachodzie okazało się głuchonieme. Po drugie: liczymy się na Zachodzie ze strony skrajnej lewicy z pomówieniami o „fasyzm”; odrzucamy z góry tę piłkę, według nas faszystowski jest ruch komunistyczny.

Po konferencji poszliśmy w szóstkę do pobliskiej winiarni. Byłem odosobniony w zgodzie także na drugi punkt przemówienia Maksimowa. Reszta kręciła sceptycznie głowami. Nie jest wykluczone, że odgrywa tu pewną rolę moje miejsce zamieszkania. Gdy się tak jak ja słucha codziennie diatrib o niebezpieczeństwie fasyzmu, gdy prym wiodą w nich komuniści, łatwiej zrozumieć sens wypowiedzi Maksimowa. Silone wyznał mi kiedyś, że ta dwuznaczność obrzydziła mu określenie „antyfaszysta”. Znam we Włoszech więcej obrzydzonych, powtarzających gniewnie: my antyfaszyści razem z NIMI?

Neapol, 8 października

W Mediolanie podarował mi Enzo Bettiza swoją książeczkę o Moskwie i Petersburgu, bardzo inteligentną i wnikliwą. Dużo w niej świetnych cytatów, które brzmią jak asonanse do rozważań o współczesnej Rosji. Kluczewskij o Rosji Iwana Groźnego, asonans do Amalrika: „Państwo spuchło, naród schudł”. Albo De Maistre w *Soirées de Saint-Petersbourg*: „Rosja jest jak zamrożony trup, który rozpęta straszny smród w momencie odwilży”. To asonans do wszystkich wyposażonych w jaki taki zmysł powonienia.

5 listopada

Nowy *casus* Tomasi di Lampedusa (jak chce prasa)? Guido Morselli, umarł kilka lat temu po sześćdziesiątce zupełnie nieznanymi, wszystkie próby ogłoszenia czegoś za życia spełżyły na niczym, dopiero teraz dobrano się do jego rękopisów i jako pierwszą wydano powieść *Roma senza Papa*. Porównanie z odkryciem *Gattopardo* jest grubą przesadą, ale *Rzym bez Papieża* należy do coraz radszych książek, których nie zapomina się nazajutrz po przeczytaniu.

Dziennik szwajcarskiego księdza, prowadzony podczas krótkiego pobytu w Rzymie w roku 1999. Następca Pawła VI i Libańczyka obrządku maronickiego Liberiusza I jest Jan XXIV, zakonnik irlandzki zaręczony z Hinduską (celibat zniesiono). Na Stolicę Apostolską obrał sobie miasteczko Zagarolo w odległości trzydziestu kilometrów od Rzymu, pałace watykańskie ofiarowawszy wspaniałomyślnie do użytku Narodom Zjednoczonym. Watykan „neo-awinioński” rozlokowano tam w biało-różowych domkach letniskowych. Rzym bez Papieża pozostał jednak, siłą tradycji, centrum odnowionego chrześcijaństwa. Ideologią popieraną przez kościół jest jakiś tajemniczy „socjalidaryzm”, narkotyki są wolne od zakazu, księży kształci się w sztuce „dialogologii”, tytułem do chwały i dumy stał się konkordat z ZSSR zwany „białą bombą”, a filarem zreformowanej doktryny Instytut Krzewienia Psychoanalizy Katolickiej („musimy nawrócić Antychrysta, ochrzcić Freuda”). Jan XXIV nazywany jest powszechnie *Victor Diaboli*. Autor dziennika zapisuje: „Doktorzy teologii uważają obecnie diabła za bezużyteczny rupieć, jego akcje na giełdzie katolickiej nie są już nawet notowane. Nikt o nim więcej nie mówi, nikt go się nie boi. Panuje przekonanie, że cała sprawa podlega kompetencji Freuda i Junga”. Po czym

wzdycha: cóż z tego, skoro od zmiany określił diabeł nie przestanie być diabłem.

Mało wiadomo o Morsellim, podobno „szanował i podziwiał twórczą moc religii”, sam nie będąc człowiekiem wierzącym. W jego powieści smutek i zmęczenie górują nad sztycherstwem, najczęstszym w tego rodzaju literaturze. Jak (przy całej różnicy kalibru pisarskiego i wizji) w *Roku 1984*. Jedno szczególnie zdanie, pod koniec dziennika księdza szwajcarskiego, oddaje ton *Rzymu bez Papieża*: „Miasto nie było już antyczne, lecz po prostu stare”. Gdzie „starość” oznacza proces dogorywania, któremu towarzyszą objawy senilnego zamętu.

Maisons-Laffitte, 10 grudnia

Zbiór artykułów *Iz-pod głyb* otwiera Sołżenicyn mądrą uwagą: męką jest przejście od wolności słowa do przymusowego milczenia, nie mniejszą męką powrót od milczenia i drętwy do wolnego słowa, swobodnego oddechu i pełnej świadomości. Dokoła „pustynia”, „zgliszcza”, „śmierć”. Tom zamyka artykuł Szafarewicza *Czy Rosja ma przyszłość?* o takim akordzie końcowym: „Oto dzisiejsze położenie Rosji — przeszła przez śmierć i może usłyszeć głos Boga. Lecz Bóg tworzy historię rękami ludzi i to my, każdy z nas, może usłyszeć Jego głos. A może oczywiście i nie usłyszeć. I pozostać trupem na pustyni, która pokryje ruiny Rosji”. Przeszło pięćdziesiąt lat temu, w sympozjone *Iz głubiny*, Bierdiajew przypisywał Dostojewskiemu znajomość sekretu duszy rosyjskiej: „W poszukiwaniu prawdy Rosjanin jest apokaliptykiem albo nihilistą, apokaliptykiem na dodatnim biegunie, nihilistą na ujemnym”. W sympozjone *Iz-pod głyb* znajdujemy się na biegunie dodatnim.

Książka w której wśród siedmiu autorów dominują wyraźnie Sołżenicyn i Szafarewicz — ma niesłychanie wysoką temperaturę moralną. Sołżenicyn: „Absolutnie nieodzowne zadanie sprowadza się nie do politycznego wyzwolenia, lecz do wyzwolenia naszej duszy od uczestnictwa w narzuconym kłamstwie; zadanie to nie wymaga żadnych fizycznych, rewolucyjnych, społecznych czy organizacyjnych działań”. I jeszcze dobitniej: „Leczenie naszych dusz! — nie ma dla nas rzeczy ważniejszej teraz, po wszystkim cośmy przeżyli, po naszym wieloletnim udziale w łgarstwach i zbrodniach”. Wyzwolona dusza rosyjska musi się moralnie odrodzić: skruczą, gotowością do ofiary, jakby wstąpieniem do zakonu czystości. Wybrani, inicjatorzy duchowego oczyszczenia, to według Sołżenicyna *zertwiennaja elita*. A Szafarewicz: „Być może nie zawsze, ale w decydujących epokach

historii ofiara posiada siłę przyciągania, której nie objaśni żadna socjologia”. Nawoływanie do „osobistej i publicznej (żeby dać przykład) ofiary” występuje u wszystkich niemal autorów.

Przyznaję: kiedy przed tygodniem przeczytałem *Iz-pod głyb*, uczuciom bliskości towarzyszyło często zakłopotanie. Ze opozycją rosyjską narodziła się z impulsu moralnego, jest jej drogocenną zaletą. Ale w tej książce wydawał mi się chwilami zbyt zapatrzoną w siebie, we własny ślub czystości i ofiarnictwa, aby uniknąć pociągu do uroczystrych i kategorycznych uogólnień, do intonacji profetycznego oratorstwa. Szafarewicz widzi w całym socjalizmie „instykt śmierci”. Sołżenicyn wskazuje *jedynę* wyście z „amorficzności” społeczeństwa sowieckiego — poprzez indywidualny „filtr duchowy”. To znowuż Szafarewicz, powołując się na cierpienia narodu rosyjskiego równe cierpieniom innych narodów ZSSR, wyraża nadzieję że rosnące nacjonalizmy w republikach związkowych wyrzekną się tendencji do „odosobnienia” na rzecz „ulepszenia wiekowych więzów” z osiadłymi tam i wpływającymi Rosjanami. W miarę lektury zaostrzało się wrażenie sekty, która w dobrej i czystej wierze wzbiła się za wysoko nad ziemię.

A jeśli jest to na początku, w długim i powolnym procesie ozdrowienia rosyjskiego, stadium nieuniknione? Pamiętamy, że wydobywanie się opozycji *iz-pod głyb* ucisku i zamrożonej zgnilizny ma w sobie coś ze zmartwychwstania? Nie dajemy się powodować niecierpliwości, oczekując już dziś od bliskich nam Rosjan wypełnienia treścią i wycieniowania ich namiętnego wyzwania moralnego?

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Wiersze

Wacław IWANIUK

DO IKARA

Ptaku mój powiedz, czy cię bolą pióra
Dlaczego w locie tęsknisz do spadania
I w ogniu szukasz ocalenia.

Obecny jesteś we mnie i to mnie pociesza
Łączymy się pamięcią, poznajemy w czasie
I jak jaskółka gdy dotyka wody
Orzeźwiasz moje słowo.

Jestem ci wierny wołający ptaku
Złapany w potrzask jak liść w listopadzie
Muszę ażeby przetrwać trzymać się uparcie
Twojego lotu w samobójczy płomień.

Jesteś obecny we mnie i to mnie pociesza
Piękny za życia, piękny po spaleniu
Żywy po śmierci nie padniesz już więcej —
Wybrałeś dłuższą drogę od kłęski do kłęski.

Ja też może zakwitnę jak ty a może się spałę.
Nie pierwszy i nie ostatni z ginącego szczepu.

Urodziłeś się w kraju który znam na wylot
Wspólna nas obu wykarmiła ziemia
O ileż piękniej tobie zmartwychwstawać w micie
Z głową w płomieniach aniżeli mnie.

Dziś mnie nie cieszy syty zapach chleba
Aromat jarzyn na kuchennym stole —
Cierpiące ciało nie odmładza snów
Gdy zagadkowe Parki czekają w ukryciu.

Raz się musiałeś potknąć o śmiertelny próg
Zamienić w zwitek dymu by spocząć w popiele.

Szkoda mi ciebie spóźniłeś się w locie
Jak ja gdym się zatrzymał wśród minionych lat
Jesteśmy jak zegary. Czas uwięził nas
I nic oprócz pamięci. Nic oprócz pamięci.

Po wielu drogach szedłem. Dziś już nie wiem po co.

DROGOWSKAZ

W środku słonecznego dnia pomyliłem drogi —
Wylądowałem na rozstaju wśród wielu skrzyżowań
wytatuowane słowa na dłoniach drogowskazów
nic mi już nie mówią. Litery z nich
czas uniósł w powietrze.
Czy ktoś je jeszcze czyta.
Czy był tu jakiś przede mną podróżny.
Dzień przechodzi tędy białą laską ślepeca
Noc go prowadzi za rękę.
Słychać tętent kopyt i zgrzytanie kół
to nadjeżdżają podróżni których tu nie było.
To ja ich zaprosiłem —
Ach, moja pamięć jak tłuszczyk na szkielecie.
Kadłuby moich słów zasypią kiedyś piaski
i nawarstwi ziemia naniesiona wiatrami.
Wyrosną tu potem litościwe mchy
i cienkie trawy jak głosy synogarlic
a na nich cierniste krzaki z pazurami w sobie.
Sążniste lasy przyjdą dopiero po latach oczekiwania.
Motyle posypane pyłem jakby od niechcenia
wypełnią powietrze
rozradowane śpiewem ptaków.
I zmartwychwstanie ten drogowskaz
bo jest sygnałem i jest księgą

dla pielgrzymów którzy przyjdą po nas.
 Może nawet nowy Mojżesz zabłąka się tu
 i święta gołębicą przeleci tędy
 nim się w płomień rzuci —
 a żebrak upiecze ukradzione jagnię
 na skrzyżowaniu gdzie wszystko jest Symbolem.

NEMEZIS IDZIE PUSTYMI DROGAMI

Przyzwyczałem się żyć cicho jak palec na wargach
 Złagodniałem, po wyjściu z popiołów.
 Wczoraj na moją głowę spadały pociski wypełnione ogniem
 Noce miały włosy z pożarów.

Po wojnie ministrowie wozili mnie w teczkach
 Na konferencjach siedziałem cicho w notesach agentów
 Nikt nic nie mówił
 Nikt o nic nie pytał —
 A już wtedy głowy dyktatorów wieńczono rymami
 Usłużne ręce stawiały tryumfalne bramy
 Syci oddawali się w pacht
 Gazety ogłaszały kursy dla poetów
 Jak pisać poddańcze rymy.
 Policja pracowała.

Niejedna wtedy królewska korona spoczęła na głowie kata

Nic dziwnego że jest nam trudno dogadać się dziś

My na grobach umieszczamy daty
 Oni piszą pochwalne ody
 Czeka ją na paszporty
 Dziękują za paszporty
 Jadą za granicę, cieszą się
 Gdy nam jest smutno.

Ale pewnego dnia palec się zbuntuje
 Wtedy cud się powtórzy
 Mojżesz zniesie tablice z gór
 I my będziemy je czytać.

Pieśni wypełnią okolice
 Kościoły odetchną modlitwą.
 Czekam. Bo gdy piszę te słowa
 Werble jeszcze biją
 I gońcy roznoszą wici na wojenny zbór.
 Nemezis idzie pustymi drogami

Z nogą przykutą jak galernik
 Nie spieszy się bo i po co —
 Wszystko jej przecież jedno kto wygra kto przegra
 W orwellowskim tym tłumie.

CYTATOMANIA

Z Gombrowicza: *W każdym razie uważam że pisarze emigracji nie powinni brać udziału w imprezach, które są mętną wodą na tamten młyn — co gorzej, z pozorami „obiektywizmu”.*

Z Żeromskiego: *Trza by połowę tego narodu wydusić, nowy naród by narósł.*

Z Lenina: *Niewolnik, który usprawiedliwia i upiększa swoje niewolnictwo jest lokajem i chamem wzbudzającym uzasadnione oburzenie, pogardę i obrzydzenie.*

Niech mnie nikt nie posądza o cytatomanię
 Szanuję cnotę jak starzy Rzymianie
 Jestem jak kamień odporny na zmiany
 Choć czasem skrzydło przyśni mi się w nocy
 I pawie pióro zamiast rannej zorzy.
 Wnętrze kamienia jest stałe, jak moje
 Pilnował furtki; miałem własny ogród
 Ścieżkę wiodącą w dwie przeciwne strony
 Wyłożoną uśmiechem a zmywaną łzami.
 Fascynują mnie jeszcze przydrożne tablice
 Dbał o nie mojżesz z gminy, chociaż niepiśmienny
 Nie można ich było rozbić, dlatego zostały
 Stoją, jak stały, choć ich nikt nie czyta.
 Niech mnie nikt nie posądza. Przy ogrodowej furtce
 Gdzie kiedyś było żwawo od ludzi i licznie
 Dziś mój sobowtór czeka, jak ongiś Słowianin.

MYŚLI WIERSZEM I PROZĄ SPISYWANE
NA WEWNĘTRZNY UŻYTEK

*Nagi wyszedłem z łona matki
i nagi tam wróce.*

Księga Hioba

Byliśmy jak tygrysy o błyszczących oczach
o wspaniałej palecie skóry
dziś obłąskawieni nie widzimy gwiazd —
Kradzież władzy jest dziś nagminna
Po ulicach chodzą muły objuczone smutkiem
Hiob włożył obrozę i potulnie milczy
je, co dają i z każdej ręki —

Wezuwiesz pamięci zgaś —

Umarli patrzą na nas spoza ziemskich sfer
jak wiecznopalne gwiazdy milczą
nic nie mówią.

Życie mści się gdy musi wegetować w mroku
Zdrowe ręce niepotrzebnie sięgają po gwiazdy
gdy tyle jest do zrobienia na własnym podwórku
zwalone płoty podpiera pracowity księżyc.

Domy opustoszały —

Głód stał się powszedni
dla wielu zamienił nawet w sytość.

Papieże od słów sprzedają się za grosze —

Zdrowe ręce niepotrzebnie sięgają po gwiazdy
gdy dostaną po palcach, to krzyczą że boli —
zrywajmy słowa bo te są bezpańskie
pestka w nich jest z robakiem
wyplujmy robaka
może zauważy nas wtedy Oko Opatrzności.

Stary jestem i pełny lat
Nie wydziwiam przeto i nie dziwię się.

Ze wszystkich sztuk najlepiej poznałem sztukę umierania
rozszyfrowałem jej wszystkie znaki i aluzje
gamy głodu symptomy wolnego konania
boję się o niej mówić by nie popaść w banał.

Komu Bóg przedzie babie lato —
Komu Bóg sieje bezpańskie stokrotki
I rozkazuje liliom więc lilie się męczą
Strojne jak paryżanki
Choć są bezrobotne.

★★

Dziewczęta Symfonia Mahlera jest jak msza kościelna
Tyle w niej świętych niedomówień
Gdy jej słucham
Wszechświat jest we mnie a ja we wszechświecie.

Nawet gdybym zobaczył naraz dziesięć horyzontów
I sprawdził co się za nimi kryje
To i tak za jedenastym byłoby to samo.

Wacław IWANIUK

Archiwum polityczne

Za nami - przed nami

Zacznijmy od charakterystycznego epizodu, który rozegrał się w roku 1962 w ogrodzie John J. McCloy w stanie Connecticut. McCloy był wówczas doradcą prez. Kennedy. Było już po kryzysie kubańskim ponieważ Rosjanie wycofali swoje pociski atomowe z wyspy. Fotografie lotnicze wykazały jednak, że Rosjanie nie wycofali z Kuby swoich strategicznych bombowców „Iliuszyn 28”. Prezydent Kennedy polecił McCloy'owi by załatwił tę sprawę z sowieckim dyplomatą Wasylii Kuzniecowa.

McCloy zaprosił Kuzniecowa do swojej wiejskiej posiadłości w Connecticut. Rosyjski dyplomata po przybyciu natychmiast oświadczył, że konferencja może odbyć się tylko w ogrodzie bez świadków i nie może być utrwalona na piśmie.

Kuzniecowa wysłuchał żądań prez. Kennedy'ego, przedstawionych przez McCloy'a, i oświadczył co następuje: „Rosja wycofa z Kuby bombowce „Iliuszyn 28” lecz nie może być w tej sprawie żadnego układu na piśmie. To jest ostatni raz kiedy Ameryka jest władna wymusić na Sowietach tego rodzaju ustępstwo. W przyszłości nie okaże się to możliwe”.

Zrelacjonowany epizod zaczerpnąłem z książki H. Brandon pt. „The Retreat of American Power”.

Powyższą książkę czytałem dawno. Jednak epizod z Kuzniecowa przypomniałem sobie natychmiast patrząc na godzinny program telewizyjny pt. „Czerwona Flota”. W pewnym momencie pokazano na ekranie nieprzebyte „las” — jeżeli wolno się tak wyrazić — amerykańskich okrętów wojennych na wodach kubańskich. Blokada Kuby była nawet w skali amerykańskiej bajecznym widowiskiem, które musiało przekonać każdego, że morskie potędze Stanów Zjednoczonych nikt nie może stawić czoła.

Blokada Kuby przekonała również Chruszczowa, że doktryna admiralicji sowieckiej jest słuszna. Mocarstwo lądowe, nawet w epoce międzykontynentalnych pocisków atomowych — nie może prowadzić polityki globalnej. Politykę globalną może uprawiać

tylko mocarstwo, które dysponuje flotą wojenną operującą na wszystkich oceanach i morzach świata.

Cyfrowy stan floty sowieckiej z podziałem na poszczególne kategorie okrętów jest znany i nie ma powodu powtórnie go przytaczać. Wystarczy powiedzieć, że flota sowiecka rośnie szybciej niż flota amerykańska — i celem Moskwy w tej dziedzinie — podobnie jak w całości zbrojeń włącznie z potencjałem nuklearnym — jest osiągnięcie nie równowagi lecz przewagi.

Flota jest podstawowym instrumentem polityki imperialnej. Broniami atomowymi nie można nikomu pomóc — powiedzmy na Środkowym Wschodzie w Ameryce Łacińskiej czy w Afryce. Natomiast flota operująca na morzach i Oceanach może wesprzeć komunistyczny przewrót w odległych krajach, dostarczyć broni, amunicji i co najważniejsze zniweczyć próby interferencji ze strony Stanów Zjednoczonych.

Amerykanie mogliby rozwiązać kryzys naftowy w kilkadziesiąt godzin, gdyby wystali — tam gdzie należy — zamiast Kissingera dwie lub trzy eskadry okrętów wojennych. Jeszcze kikanasie lat temu byłaby to realna i mało ryzykowna propozycja. Lecz dziś wszędzie tam gdzie są eskadry amerykańskie są również i eskadry sowieckie. Podjęcie przez Waszyngton *gunboat diplomacy* prowadziłoby do zbrojnej konfrontacji z sowiecką flotą wojenną. Z tej przyczyny wysłał się Dra Kissingera, który nie jest tak skuteczny jak okręty wojenne — lecz jest znacznie bezpieczniejszy.

Prasa zachodnia porównuje często Dra Kissingera do Metternicha, co jest czystym nonsensem. Metternich był mężem stanu małego, pobitego kraju, podczas gdy Kissinger jest sternikiem polityki zagranicznej najpotężniejszego mocarstwa świata.

Lecz różnice pomiędzy Metternichem a Kissingerem sięgają znacznie głębiej. W epoce Metternicha i przez cały wiek XIX-ty — mocarstwa uprawiały polityki imperialistyczne. Dzięki temu wszyscy politycy mówili jednym językiem. Imperializm cieszył się poparciem wyższych warstw społecznych, a nieliczni rewolucjoniści uważani byli za wyrzutków społeczeństwa i kryminalistów. Termin „imperium” wypowiediany był z dumą a polityka imperialistyczna była jedyną polityką godną wielkiego mocarstwa. Innymi słowy imperializm był nie tylko *acceptable* lecz również *respectable*.

Dziś imperializm, zarówno w Europie Zachodniej jak i w Ameryce, utracił społeczne poparcie i *respectability*. Uchwala się sankcje gospodarcze przeciwko Rodezji choć Rodezyjczycy nie robią nic innego i nic gorszego niż to, co robili Anglicy w swoich koloniach w XIX wieku. Winą Rodezji jest fakt, że nie uznaje kalendarza i pragnie zachować XIX-wieczną strukturę i stosunki społeczne w końcowym okresie XX wieku. System, który pragnie zachować Rodezja nie cieszy się dziś w świecie zachodnim szacunkiem.

Imperializm upadł z tych samych przyczyn dzięki którym upadło niewolnictwo w Ameryce. Imperializm nie został obalony

przez zwycięskich Spartakusów — tylko przez europejskie społeczeństwa zachodnie, które uznały, że imperialne ustroje i metody są niezgodne z filozofią sprawiedliwości społecznej. Za symbol tych przemian uznać można masowe zwycięstwo Labour Party bezpośrednio po zakończeniu drugiej wojny światowej i przegraną Churchilla, który „nie chciał przewodniczyć likwidacji Imperium Brytyjskiego”.

Nie jest moim zadaniem analizowanie wszystkich przyczyn, które spowodowały upadek imperializmu. Chciałem tylko uwytklić fakt, że w XIX-towiecznej Europie większość krajów była rządzona przez monarchów, którzy uprawiali polityki imperialne, ponieważ imperializm był identyfikowany z patriotyzmem (*Britania Rules the Waves, Deutschland, Deutschland über Alles*). Jak w pokerze — jedni wygrywali, drudzy przegrywali — lecz istotne było, że tak jedni jak i drudzy uważali, że imperialny poker jest jedyną cywilizowaną grą polityczną godną dżentelmanów.

To wszystko uległo radykalnej zmianie. Społeczeństwa zachodnio-europejskie — podobnie jak społeczeństwo amerykańskie — potępiają imperializm i nie uznają go za naturalną dynamiczną działalność patriotyczno-polityczną.

Anty-imperialistyczny trend — jaki obserwujemy w świecie Zachodu — jest niewątpliwie ewolucją we właściwym kierunku, niemniej porzucenie imperializmu pozostawiło próżnię. Konserwatyści na kontynencie i w Anglii utracili jedyną ideologię jaką mieli. Jeżeli nie rozbudowa imperium i pielęgnowanie świetnych tradycji to co?

Hasło „praworządność i porządek” (*law and order*) nie jest żadnym programem społecznym ponieważ za praworządnością i porządkiem opowiada się każdy rząd, który w danym momencie sprawuje władzę. Upadek ideologii imperialnej pozbawił konserwatystów wizji. W konfrontacji z socjalizmem — okazuje się, że konserwatyści nie mają ani filozofii politycznej ani programu społecznego. Ich platforma jest zbiorem często sprzecznych wskazań — których jedynym celem jest ochrona zysków i własności.

Mimo, że sam jestem demokratycznym socjalistą — uważam, że upadek partii konserwatywnych — choć leży w interesie komunizmu — nie leży w interesie demokratycznego socjalizmu. Upadek konserwatyzmu musiałby bowiem spowodować gwałtowny wzrost skrajnych partii prawicowych oraz wzrost wpływów komunistycznych. Lepiej mieć do czynienia z konserwatystami, którzy są parlamentarnymi demokratami — niż z faszystami czy komunistami, którzy dążą do obalenia ustroju demokratycznego.

Law and Order nie zawsze i nie wszędzie oznacza demokrację. Często na ów slogan powołują się grabarze demokracji. Konserwatyści są w opozycji do demokratycznego socjalizmu, lecz nie są jego wrogami. Wrogami tak demokratycznych socjalistów jak i demokratycznych konserwatystów są komuniści i faszyci.

Ustrój demokratyczny jest trudny do utrzymania nawet w okresach kwitnącej ekonomii. Anglia jest państwem średniej wielkości niemniej posiada 104 ministrów. Każdy minister stoi na czele batalionów urzędników. Nawet gdybyśmy przeżywali erę *prosperity* — gigantyczne biurokracje państwa i związków zawodowych stanowiłyby poważny i rosnący problem dla obrońców swobód demokratycznych.

Owe potężne aparaty sprawują faktyczną władzę i pobierają decyzje dotyczące nas wszystkich — pomimo, że dzierżycieli tej władzy nie wybierało społeczeństwo. Zawodowi urzędnicy państwowi są nominowani a funkcjonariusze związków zawodowych są wybierani lecz tylko przez członków związków zawodowych.

Poważny kryzys gospodarczy a zwłaszcza galopująca inflacja stanowią bezpośrednie zagrożenie dla demokracji. Bezrobocie, strajki, rozruchy — załamują w szerokich masach wiarę w możliwość przezwyciężenia kryzysu przy równoczesnym zachowaniu procesu demokratycznego. Tego rodzaju sytuacje stanowią zaproszenie dla „mężów opatrnościowych” z antydemokratycznej prawicy lub antydemokratycznej lewicy. Od demokracji jest łatwo odejść lecz jest niezmiernie trudno do niej powrócić.

Obowiązkiem socjalistów jest walczyć o reformy socjalistyczne, które nie mogą podobać się konserwatystom ponieważ często odbywają się kosztem tych ostatnich. Dlatego nie wydaje mi się możliwe ani realne proponowanie rządu koalicyjnego, który nie miałby zalet rządu socjalistycznego ani zalet rządu konserwatywnego.

Istnieje tylko jedna i jedyna płaszczyzna „wspólnoty interesów” pomiędzy socjalistami i konserwatystami. Ową płaszczyzną jest obrona ustroju demokratycznego, który może być zagrożony z zewnątrz lub z wewnątrz. Gdyby ustrojowi demokratycznemu groziło realne niebezpieczeństwo — obowiązkiem socjalistów byłoby zawrzeć sojusz ze wszystkimi partiami szczerze demokratycznymi w celu obrony ustroju demokratycznego.

Dyktatura policyjna na wzór państw komunistycznych może daleko łatwiej i sprawniej niż ustrój demokratyczny zapewnić społeczeństwu *law and order*. Lecz dobrze funkcjonująca poczta isprawnie funkcjonujące zakłady oczyszczania miast — choć są niezmiernie ważne — nie są wyznacznikiem jakości życia. Co komu z idealnie funkcjonujących pociągów i z wzorowo dostarczonej poczty jeżeli po przyjeździe z pracy do domu ma się do wyboru *Trybunę Ludu* albo *Politykę*? O jakości życia decyduje możliwość walki o sprawiedliwość społeczną, prawo do reprezentacji wyłonionej ze swobodnych wyborów, prawo do dyskusji i wolnej prasy, prawo do walki z przemocą i wyzyskiem we wszystkich jego formach i przejawach.

Więzienie doskonale zorganizowane i zapewniające więźniom nie tylko wystarczające lecz luksusowe utrzymanie — nie przestaje być więzieniem. Niewątpliwie więzienie zapewnia każdemu *law and order* oraz bezpieczeństwo, lecz za jaką cenę? Wszyscy

o tym wiemy — piszę o tym jednak dla tego, że większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z faktu, że „koszty ruchu” demokracji są zawsze bardzo duże. Należy przyjąć za pewnik socjologiczny, że żadna demokracja — nawet najbardziej wyrobiona i dojrzała — nie może z natury rzeczy funkcjonować równie sprawnie jak ustroj totalistyczny. Choćby Anglia dosłownie tonęła w nafcie — problem sprawiedliwości społecznej nie wyparowałby, związki zawodowe nie przemieniłyby się w Armię Zbawienia a parlament nie przekształciłby się w klub wzajemnych adoracji. Choćby waluta oparta była na górach złota — robotnicy dobijałoby się jak dawniej o podwyżki, bonusy oraz dłuższe urlopy, pensje i asekuracje — a przejąwszy taktykę związków zawodowych — podobnie postępowałiby lekarze, nauczyciele, dentyści, urzędnicy itd. Mielibyśmy oczywiście w dalszym ciągu strajki, zażarte dyskusje w prasie i w radio i stałe gromkie nawoływania o przywrócenie *law and order*.

W ostatnich miesiącach odchodzącego 1974 roku demokracje europejskiego Zachodu znajdowały się w fazie ostrego kryzysu gospodarczo-ustrojowego. Kryzys gospodarczy może z czasem ulec złagodzeniu — niemniej kryzys społeczny okaże się znacznie trudniejszy do rozwiązania. Wydaje mi się, że warstwa inteligencji odkrywając skuteczność taktyki robotniczych związków zawodowych — nie zrezygnuje w przyszłości z broni jaką stanowią strajki.

Inteligencja zawodowa w Anglii — jak lekarze, architekci, dziennikarze — w znacznym procencie głosuje na partię konserwatywną. Przejęcie przez *middle class* taktyki i polityki robotniczych związków zawodowych będzie bardzo trudne do pogodzenia z tradycyjnym konserwatyzmem. Przewiduję, że jeżeli brytyjska partia konserwatywna nie przekształci swojej filozofii — czeka ją los skandynawskiego konserwatyzmu, który od trzydziestu lat wegetuje na politycznej pustyni.

Dożyliśmy czasów kiedy należy obiektywnie stwierdzić, że leży w interesie demokratycznego socjalizmu by partia konserwatywna odnalazła swą drogę w przemienionym świecie. Albowiem upadek tak wielkiej i licznej partii wzmocniłby niebezpiecznie anty-demokratyczne siły wszelkich denominacji. Socjalizm można realizować tylko w ustroju parlamentarnej demokracji i dlatego socjalista musi być w pierwszej kolejności obrońcą ustroju demokratycznego a dopiero w drugiej kolejności socjalistą. Nie można być rybą bez wody. Socjaliści w krajach Europy Wschodniej — to są ryby na piasku.

Odchodzący rok 1974 obalił kilka mitów, które stanowiły fundament myśli konserwatywnej. Jak słusznie zauważył prof. Dahrendorf w jednym ze swych wykładów w BBC — w przeszłości byliśmy uwarunkowani doktryną wzrostu gospodarczego i stałego wzbogacania się. Wzrost ekonomiczny oznacza nieprzerwany wzrost stopy życiowej („jeżeli nie stać mnie na samochód dzisiaj — na pewno stać mnie będzie na przyszły rok).

Uwarunkowanie umiera daleko wolniej niż przyczyny, które je spowodowały. Kryzys naftowy odkrył przed nami fakt, że rabunkowy kapitalizm nie oglądający się na nic i na nikogo lecz produkujący stały wzrost ekonomiczny — nie może trwać bez końca, ponieważ na ogołoconej z surowców ziemi nie będzie już czego rabować.

Kapitalizm z jego filozofią stałego wzrostu ekonomicznego — co miałyby się wyrażać nieprzerwanym i bezterminowym bogaceniem się pokoleń — byłby do utrzymania, gdybyśmy odkryli kilka niezamieszkałych planet bogatych w złoża naftowe i inne surowce. Lecz dopóki to nie nastąpi nie możemy być bogatsi niż ziemia, której zasoby są ograniczone i maleją z roku na rok. Rabując ziemię — rabujemy samych siebie ponieważ ani nasza technologia ani ekonomia nie potrafią wyprodukować bogactwa z niczego.

Upadł jeszcze jeden mit a mianowicie, że „siły rynkowe” (kapitalistyczny odpowiednik „ducha dziejów” w marksizmie) są zdolne do samokorektury. Zarówno „mechanizm sił rynkowych” jak i marksistowski „duch dziejów” spoczęły na cmentarzysku mitów dwudziestego wieku.

Mity nie umierają na próżno pod warunkiem, że po pierwsze nie usiłuje się ich wskrziesić i po drugie że sekcję „zwłok” przeprowadza się obiektywnie i dokładnie.

Żyjemy w świecie nie techniki lecz *science fiction*. W każdym kraju Zachodu istnieją dziesiątki milionów właścicieli telewizorów. Jaki procent tele-widzów rozumie na czym polega telewizja? Rosnący procent prądu elektrycznego, który konsumujemy w naszych domach i fabrykach — wytwarzany jest przez reaktory atomowe. Ilu z nas wie na czym polegają reaktory atomowe?

Lecz wszystkie elektryczne „gadżety”, które nas otaczają — jak kolorowe telewizje, stereo, magnetofony, tranzystory itp. — są kosztownymi niewiniątkami, których jedynym celem jest uprzyjemnić nam życie. Dzierżycielami tajemniczej, groźnej *science fiction* są armie i floty wojenne. Używam z rozmysłem terminu *science fiction* ponieważ dla setek milionów ludzi na tej planecie — wielogłowicowy, międzykontynentalny pocisk atomowy jest nie tylko niezrozumiały, ale nawet trudny do wyobrażenia... chyba, że przyjmijmy kategorie *science fiction* i uznamy, że granica pomiędzy rzeczywistością a fantazją jest iluzją.

Owym potencjałem absolutnej siły dysponują tylko supermocarstwa.

Humanista a więc pisarz, historyk, krytyk literacki nie może być równocześnie inżynierem elektrykiem. Z drugiej strony, jeżeli chce być rzetelnym humanistą, nie może być cywilizacyjnym

analfabetą, nie może być cudzoziemcem na własnej planecie dla którego wszystko co dzieje się wokół jest czarną magią.

To jest jednak temat dla socjologa czy psycho-socjologa a nas interesuje polityczny aspekt tego zagadnienia.

Czy istnieje obrona przed super-mocarstwami, które dysponują potencjami siły wyjętymi żywcem z *science fiction*? Czytałem, że Amerykanie i Rosjanie posiadają łącznie 20 razy więcej broni atomowych niż byłoby potrzeba do zlikwidowania życia na tej planecie. Ponieważ potencjały super-mocarstw są mniej więcej wyrównane można przyjąć, że Rosjanie mają dostateczny potencjał, by zniszczyć 8 czy 10 planet wielkości ziemi.

Jeżeli przyjmujemy, że Sowiety posiadają absolutny potencjał nuklearny — tzn. władni są zlikwidować życie na ziemi — to musimy uznać, że jest obojętne czy średnie państwo klasy Francji czy Anglii posiada sześć czy dwanaście atomowych łodzi podwodnych.

Gdyby księżyc posiadał powietrze, wodę roślinność i ziemską siłę grawitacji — wówczas Amerykanie i Rosjanie mogliby się tam przenieść i z księżycą rządzić ziemią w sposób dyktatorski i bezwzględny. Dopóki jednak Rosjanie i Amerykanie mieszkają na tej planecie ich teoretyczne absolutne potencjały siły są iluzoryczne — ponieważ nie można grozić podpaleniem domu, w którym samemu się mieszka.

W naszej *science fiction* brakuje jednego członu. Absolutne potencjały siły nie mogą być przetłumaczone na absolutne władze ponieważ ziemscy nad-ludzie nie mogą użyć swych absolutnych potencjałów siły bez zagrożenia samym sobie. Sądzę, że żadne z super-mocarstw nie mogłoby użyć jednej dwudziestej swojego potencjału atomowego bez zagrożenia własnemu bezpieczeństwu. Można by pociskami atomowymi średniej mocy zniszczyć dwa lub trzy miasta — lecz zmieciecie z powierzchni ziemi Rosji czy Stanów Zjednoczonych przy użyciu setek potężnych pocisków atomowych — zagrożiliby nie tylko rzekomemu „zwyyczajcy” lecz całą planetę.

W *science fiction* nad-ludzie operują zawsze z baz położonych w przestrzeni kosmicznej i — ponieważ ich los nie jest związany z naszą planetą — mogą nad ziemią wykonywać absolutną władzę. I to jest ów brakujący człon w naszej ziemskiej *science fiction*. Amerykanie i Rosjanie mimo ich absolutnych potencjałów siły nie są nad-ludźmi tylko ludźmi związanymi, jak wszyscy inni ludzie, z losami naszej planety. Są nie tylko związani lecz uwięzieni na ziemi, która jest kolebką i grobem zarówno ich jak i nas.

Obserwujemy dwie różne reakcje. Państwa średniej wielkości jak np. Anglia czy Niemcy — starają się ograniczyć wydatki zbrojeniowe w przeświadczeniu, że tym razem wojna musiałaby być wygrana przez Amerykanów, a nie przez Europę przy pomocy Ameryki.

Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że owe potencjały siły,

którym dysponują oba super-mocarstwa — nie wywarły najmniejszego wpływu na problemy narodowe i mniejszościowe na całym świecie. Fakt, że wybuch nowego konfliktu zbrojnego mógłby doprowadzić do konfrontacji, a może nawet do wojny amerykańsko-sowieckiej, martwi Dra Kissingera lecz nie martwi przywódców PLO (*Palestine Liberation Organization*). To samo dotyczy Izraela. Napadnięci — Izraelczycy nie zrezygnują ze zbrojnej obrony swojego państwa nawet gdyby zdawali sobie sprawę, że postępując w ten sposób ryzykują wybuch wojny amerykańsko-sowieckiej.

Sytuacja Izraela w sensie bezpośredniego zagrożenia i możliwości masowych strat — jest znacznie gorsza od sytuacji Polski. O ile jednak niepodległość Polski nie jest nawet czwartorzędnym celem polityki Stanów Zjednoczonych — o tyle utrzymanie niepodległości Izraela jest i musi pozostać jednym z pierwszoplanowych celów polityki amerykańskiej.

Gdyby za rok czy za pięć lat — liczne, dobrze wyekwipowane przez Rosjan, armie arabskie zaczęły „spychać Izraelczyków do morza” oznaczałoby to klęskę Izraela jako państwa jak również oznaczałoby zagarnięcie przez Sowiety najbogatszych złóż naftowych na świecie. Po upadku Izraela „broń naftowa” w krótkim czasie byłaby w dyspozycji Rosji ponieważ Amerykanie na Środkowym Wschodzie nie mieliby ani jednej plaży czy portu w swoim władaniu. Mimo, że jestem jak najdalszy od przeceniania Amerykanów — a zwłaszcza ich polityków — nie wierzę, by Waszyngton przypatrywał się beczynnemu likwidacji państwa Izraela.

Rosja nie dąży do wojny z Ameryką na Bliskim Wschodzie czy gdziekolwiek indziej. Natomiast absurdalnym jest pogląd podzielany przez Kissingera i Breżniewa, że super-mocarstwa będą zawsze władne narzucić swoją wolę państwom-klientom.

Dla Moskwy i Waszyngtonu Bliski Wschód jest szachownicą chłodno kalkulowanej gry politycznej. Lecz dla Izraelczyków i dla Arabów to nie jest gra lecz konflikt imponderabiliów, konflikt w którym zaangażowane są najgłębsze emocje i uczucia, których zainteresowane narody nie poświęcą na ołtarzu amerykańsko-sowieckiej *détente*.

Sowiety chciałyby opanować Bliski Wschód i w tym celu uzbrajają Arabów. Im Arabowie są lepiej uzbrojeni, tym prawdopodobieństwo konfliktu z Izraelem jest większe. Gdy konflikt raz wybuchnie Rosjanie nie będą mogli powstrzymać Arabów ponieważ utraciliby ich życzliwość. Z „dobrymi radami” można się narzucać pokonanym — lecz powstrzymywanie zwycięskich armii jest rzeczą bardzo trudną.

Rozpatrując sytuację na Bliskim Wschodzie wystarczy sobie na chwilę wyobrazić co by się stało, gdyby wojnę październikową wygrali byli Arabowie? Jest oczywiste, że arabska pompa naftowa przeszłaby w zarząd Sowietów. Konsekwencje klęski Izraela za miesiąc czy za dwa lata byłyby analogiczne.

Lecz Bliski Wschód jest tylko jednym z przykładów zjawiska, które obserwujemy na innych kontynentach. Bronie atomowe wpłynęły tylko na postawy super-mocarstw. Nie zmieniły jednak ani natury ludzkiej ani dążeń narodów i społeczeństw. Żaden z narodów uciskanych czy zagrożonych nie jest gotów wyrzec się swoich podstawowych celów z obawy przed światową wojną atomową. Przeciwnie, opór przeciwko atomowym hegemonom rośnie i małe narody wykorzystują lęk hegemonów przed wojną atomową dla swoich nacjonalistycznych celów. Gdyby nie istniały bronie atomowe nie mielibyśmy inwazji petro-dolarów ponieważ problem naftowy byłby już dawno załatwiony na drodze wojskowej. W epoce przed-atomowej byłoby nie do pomyślenia by kilku szejików arabskich pięciokrotnym podniesieniem ceny naftowej doprowadziło ekonomię Zachodu na próg bankructwa. To nie Ameryka czy Sowiety — lecz szejikowie arabscy wyciągają maksymalne korzyści z epoki atomowej.

Ubiegły rok przyniósł również ostateczną likwidację imperium portugalskiego — jednego z najstarszych imperiów w Europie.

Chciałbym zakończyć ten artykuł wyodrębniając trzy charakterystyczne punkty:

Punkt pierwszy. Imperializm dawnego stylu jest skompromitowany i jest nie do przyjęcia nawet dla konserwatystów.

Imperializm sowiecki wspomaga wszędzie ruchy wolnościowe (poza granicami imperium sowieckiego) i dzięki tej operacji dla większości ludzi w tzw. „trzecim świecie” imperialistami są Amerykanie a nie Rosjanie. Dlaczego tak jest? Przecież od chwili swego powstania Ameryka była symbolem wolności a Rosja od wieków jest symbolem ucisku i niewoli. Czy nie byłoby bardziej zgodne z naturą rzeczy, by ruchom wyzwoleniczym w świecie przywołała Ameryka a nie Rosja?

We wszystkich ruchach wyzwoleniczych na obu półkulach komunisci odgrywają znaczną rolę, ponieważ choć nie są liczni są najlepiej zorganizowani. W opinii Waszyngtonu komunizm z definicji jest anty-amerykański. To jest uproszczenie równie fałszywe jak stwierdzenie, że każdy komunizm jest pro-sowiecki. W konsekwencji tej naiwnej arytmetyki Amerykanie popierają najczarniejszych reakcjonistów — nie dlatego, że sympatyzują z reakcjonistami lecz dlatego, że reakcjonisci są antykomunistami. Powyższa polityka daje fatalne rezultaty i gra bezpośrednio w ręce Sowietów. W gruncie rzeczy nie ma powodu aby Amerykanie nie mogli mieć „swojej lewicy”, tak jak Sowiety i Chiny mają swoich komunistów. Na obszarach trzeciego świata mogłoby być wiele partii typu jugosłowiańskiego gdyby Amerykanie w pełni wykorzystali fakt, że ruchy lewicowe, dążąc do wyzwolenia narodowego, odnoszą się często z nieufnością do Sowietów. Lecz postawa Ameryki wybór owych ruchów ogranicza do Moskwy lub Pekinu.

W zrozumieniu Moskwy *détente* oparta jest na atomowym terrorze. Ta *détente* — jak to wielokrotnie podkreślano w Moskwie — nie osłabia lecz wzmacnia walkę ideologiczną. Amerykanie

są partnerami w owej *détente* — dlaczego więc nie stosują tych samych zasad gry co Rosjanie?

Amerykanie nie stosują zasad gry *détente* ponieważ ich „kosmologia” jest zupełnie inna niż sowiecka. Przez „kosmologię” w tym kontekście rozumiem obraz świata. Amerykanie — ściślej mówiąc Dr Kissinger — przez pokój rozumieją zamrożenie *status quo*. Rosjanie przez *détente* rozumieją ustawicznie poszerzanie sowieckich sfer wpływu kosztem *status quo*. Sowiety reprezentują permanentną ofensywę — Amerykanie są natomiast w permanentnej defensywie. Słabość Izraela polega na tym, że choć Izraelczycy są niezmiernie dzielni — należą do defensywnego obozu, w którego ramach „monachijskie” rozwiązanie jest daleko bardziej prawdopodobne niż zdecydowane zwycięstwo.

Ideałem sowieckim byłaby Palestyna z neutralnym okręgiem jerozolimskim pośrodku. Ulice Jerozolimy patrolowałyby oddziały sowieckie i amerykańskie jak niegdyś w Wiedniu, w początkach powojennej ery. Te patrole symbolizowałyby w oczach świata status równości pomiędzy Sowietami a Ameryką — status, który jest najcudowniejszym balsamem na odwieczny rosyjski kompleks niższości. Rosjanie chcą być nie tylko zwycięscy — to za mało — chcą być równi legendarnej Ameryce, która we Wschodniej Europie była zawsze uważana za ósmy i finalny cud świata.

Punkt drugi: Amerykanie pozwolili sobie odebrać monopol na wolność, który dzierżyli od chwili powstania Stanów Zjednoczonych. Patrzymy na jeden z największych paradoksów historii. Wprawdzie w Monachium na minimalnym budżeciku funkcjonuje jeszcze „Radio Liberty” to jednak większość ruchów wyzwoleniczych na obu półkulach orientuje się na Moskwę lub Pekin — nie na Waszyngton. Obserwujemy wszędzie demonstracje anty-amerykańskie — niestety nie anty-sowieckie.

Ruchy wyzwolenicze podobnie jak ruchy dysydenckie w Rosji i w państwach satelickich zagrażają polityce „odprężenia”, która w ocenie Nixona i Kissingera miała stanowić fundament pokoju dla przyszłych pokoleń.

Wreszcie punkt trzeci i ostatni tych noworocznych rozważań. Zarówno Kissinger jak i Breżniew przeceniają stabilizacyjny wpływ broni atomowych. Wydawałoby się, że logika jest po ich stronie. Potężni nie byli nigdy tak potężni jak dziś. Dysproporcja sił pomiędzy Rosją a Polską nigdy w dziejach nie była tak olbrzymia. Rosjanie mogliby 10 milionów Polaków wywieźć na Syberię a następnie dwudziesto-milionową Polskę Ludową wcielić do Związku Sowieckiego. Lord Avon (Anthony Eden) cytuje w swoich wspomnieniach wypowiedź Stalina: „Po co ciągle mówić o Polakach? Polacy byli dla nas zawsze źródłem nieustannych kłopotów”. Dlaczego więc nie spacyfikować ich całkowicie dziś — kiedy Rosja jest niezwyciężalna?

Broni Polskę nie tyle i nie tylko względem na opinię Zachodu — ale przede wszystkim broni nas fakt, że wcielenie Polski odwróciłoby od Moskwy komunistyczne partie „Trzeciego Świata” i radykalne ruchy wolnościowe na obu półkulach. Najazd na

Czechosłowację spowodował poważne szczyby w światowym ruchu komunistycznym. „Finalne rozwiązanie” problemu polskiego mogłoby odwrócić od Moskwy znakomitą większość partii komunistycznych w świecie.

Lecz to jest tylko fragment zagadnienia. Zjawiskiem wartym wszechstronnego psychologicznego i socjologicznego studium jest fakt, że ludzie ignorują broń atomową — tak jak ignorują własną śmierć. Gdyby ludzie byli w pełni świadomi śmierci — nie powstałaby żadna cywilizacja — bo jeżeli każdej chwili każdy z nas może umrzeć nic nie jest warte troski i zachodu. Historia świadczy natomiast, że ludzie z pasją budują, walczą, tworzą — ignorują śmierć. Ta sama siła powoduje, że ludzie *de facto* ignorują broń atomową i nie są gotowi zrezygnować z istotnych pragnień i uprawnień tylko dlatego, że Sowiety i Ameryka dzierżą potencjały nuklearne.

Gdy padła pierwsza bomba atomowa na Hiroshimę byłam pewien, że broń nuklearna wywrą olbrzymi i radykalny wpływ na psychologię ludzi i narodów. Tak się nie stało.

Na całym świecie obserwujemy wojny anty-kolonialne i wywolenicze, rewolucje, krwawe przewroty. Ludzie walczą o upragnione cele narodowe i społeczne nie poświęcając sekundy uwagi potencjałom nuklearnym super-mocarstw i możliwości światowej wojny atomowej.

Gdyby Rosjanie postanowili wywieźć kilka milionów Polaków na sowiecki Daleki Wschód — Polacy stawiliby zbrojny opór bez względu na konsekwencje. Napadnięty Izrael będzie się bronił do upadłego, ignorując wszystkie potencjały atomowe świata.

Narody są niepomniernie bardziej i niepomniernie intensywniej świadome swoich praw do samostanowienia i wolności dziś niż w XIX wieku. Broń atomowa i widmo zagłady atomowej nie umniejszły na jotę dynamizmu i witalności owych dążeń. Można się dziwić, że tak jest — niemniej tak jest.

Będzie nie mniej lecz coraz więcej ognisk zapalnych; Wschodnia Europa, Bliski Wschód, Ameryka Łacińska, Afryka Południowa, Wietnam itd. Ani w Europie ani poza Europą dążenia do wolności i samostanowienia nie zdławi żaden żandarm atomowy. Nie energia nuklearna tylko pragnienie wolności jest tak dziś jak i zawsze w przeszłości głównym materiałem wybuchowym na tej planecie. Dopóki ten „potencjał” nie zostanie sprawnie rozładowany — mówienie o pokoju dla przyszłych pokoleń (amerykańskich i sowieckich) jest czymś więcej niż pobożnym życzeniem. Jest bezbrzeżną naiwnością.

Mówiliśmy o *science fiction*. Gdyby kiedy dojsz miało do kataklizmu atomowego to historyk z innej planety mógłby skomentować nasze dzieje w dwóch zdaniach: Pokój jest uniwersalną i bezcenną wartością tylko wówczas gdy nie oznacza pokoju i wolności dla jednych a niewoli i braku nadziei dla drugich. Potężni i bogaci na planecie Ziemia w czasokresie dwóch tysięcy lat nie zdołali tej prawdy pojąć.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Korespondencja z Rzymu

W sprawie polskiej „lobby” w Watykanie

Londyński *The Economist* stwierdza: „wybitni polscy biskupi odegrali na Synodzie przodującą rolę” i wymienia kard. Wyszyńskiego („wnikliwa analiza sytuacji Kościoła w świecie komunistycznym, która wywołała wielkie wrażenie”), kard. Wojtyłę („sprawozdawca najważniejszej komisji”), bp. Rubina, sekr. gen. Synodu („typowanego na metropolitę Wrocławia”) oraz bp. Des-kura, przewodniczącego Papieskiej Komisji dla prasy i informacji. *The Economist* dodaje: „trudno się dziwić, że mówiono o 'polskiej mafii' na synodzie”. Wkład polskich biskupów doceniono również w Kurii Rzymskiej ponieważ wnieśli oni element stabilności do heterogenicznych tendencji w Kościele, jakich odbiciem były poniekąd obrady synodalne. „Oddali oni dużą przysługę Papieżowi w powstrzymaniu ultra-radykalnych zapędów” — mówi mi pewien watykański dostojnik i precyzuje rzecz ważną: „wzmocni to w konsekwencji pozycję episkopatu, zwłaszcza Prymasa Polski, w rokowaniach Watykanu z rządem PRL”.

Kilka poważnych pism podjęło ponadto, zaraz po zakończeniu Synodu, kursujące pogłoski, typujące kard. Wojtyłę jako jednego z głównych „papabili” obok kard. Koeniga z Wiednia, Brazylijczyka abp. Lorscheidera, kard. Duvala z Algieru i kard. Pignedoli (najpoważniejszego jakoby kandydata włoskiego). *The Economist* twierdzi co prawda, że szanse Wojtyły na sukcesję apostolską redukuje jego wiek (54 lata) zbyt młody jak na przyjęty standart watykański. Standart ten jednak — co trzeba nadmienić — może ulec zmianie w związku z rozszerzeniem *conclave* o członków stałej Rady Synodu. Na tę zmianę może ponadto wpłynąć umiędzynarodowienie kolegium kardynalskiego, w którym zaczynają górować purpuraci w średnim wieku z krajów „trzeciego świata”. Może też ulec (wielu biskupów twierdzi, że powinna) zmianie dotychczasowa tradycja wybierania na Papieża kandydata włoskiego. Wśród dzisiejszych purpuratów włoskich brak *nota-bene* silnej indywidualności, a kard. Pignedoli ma wprowadzić opinię zręcznego dyplomaty (jest przewodniczącym Sekretariatu dla wyznań niechrześcijańskich), ale za mało uduchowionego i obciąża go ponadto — jak podają dobrze poinformowane źródła — fakt iż jest za blisko związany z obecnym Papieżem.

Pozytywne dla nas pokłosie Synodu otwiera dla polskich interesów narodowych nową perspektywę. Po raz pierwszy od 35 lat zaczyna nabierać realnych kształtów sprawa polskiej „lobby” w Watykanie, jeśli można ten termin (w braku innego

bardziej adekwatnego) transponować z jędrnego, politycznego języka amerykańskiego. W latach 30-tych, za pontyfikatu Piusa XI, taka „lobby” istniała. Główną rolę odgrywał w niej generał zakonu jezuitów Włodzimierz Ledochowski, wielka indywidualność, o dużym autorytecie w świecie i wpływach w Kurii Rzymskiej, który popierał skutecznie akcję Władysława Skrzyńskiego, ówczesnego naszego ambasadora przy Watykanie. Trzeba dodać, że akcja polskiej „lobby” na terenie watykańskim była wówczas w dużej mierze ułatwiona dzięki sympatii jaką Pius XI (dawny nuncjusz w Warszawie) darzył nasz kraj, co spowodowało, że polska „lobby” mogła z pożytkiem parować antypolskie posunięcia kard. Pacelli, Sekretarza Stanu i późniejszego papieża Piusa XII. Od samego zarania jego pontyfikatu (w 1939 roku) zaczął się dla nas „czarny okres”. Polska „lobby” zamilkła na długie lata. Pius XII był pełen admiracji dla Niemców, marzył o stworzeniu wielkiego państwa katolickiego, opartego o niemiecką wspólnotę językową, do której poza Austrią włączał również Słowację, przekształconą, jak wiadomo przez Hitlera w satelicką mini-republikę klerykalną z prezydentem-kolaboracionistą, księdzem Tiso na czele. Otoczony doradcami, zawziętymi nacjonalistami niemieckimi (głównymi jego „suflerami” byli sekretarze, jezuita — Leiber i Hentrich, prałat Kaas i bp Hudala, zniemczony Słowak), sprawy polskie odsuwał na dalszy plan, znajdując jedynie słowa pociechy dla tragicznie doświadczonego „umiłowanego narodu polskiego”. Dużo na ten temat miały do powiedzenia amb. Kazimierz Papée, dobijający się uporczywie, i często daremnie, o protest Głowy Kościoła przeciwko zbrodniom niemieckim i interwencji w obronie praw Kościoła i katolików pod okupacją (co ujawniają częściowo ogłoszone niedawno dokumenty watykańskie z okresu drugiej wojny światowej). Pius XII był jawnie pro-niemiecki i podobnie jak niektórzy jego poprzednicy ulegał wpływowi postronnym.

Ta uległość papieża na wpływy zagranicy wypływa z prowincjonalnej mentalności włoskiej, jaka w dużym stopniu wycisnęła piętno na polityce papieżstwa, jeśli dobrze wnikać w dzieje różnych pontyfikatów. Włoskim purpuratom imponuje siła (USA), kultura humanistyczna i teologiczna (Francja), dyscyplina (Niemcy). Byłby wreszcie czas aby ta włoska passa papieska uległa przerwaniu i to w interesie samego Kościoła i jego uniwersalnej misji. W ubiegłych wiekach papież — Włosi (przed zjednoczeniem Italii) odgrywali rolę pozytywną, „ponadpartyjną” i zespalałą, neutralizując skutecznie tendencje odśrodkowe. Dzisiaj ta ich funkcja centralizująca nie ma racji bytu — przeciwnie widoczne są na niej coraz większe skazy, nie mówiąc już o ujemnych skutkach uwikłania w sprawy wewnętrznej polityki włoskiej. Rotacja na szczycie byłaby bardzo pożądana, oparta jednak nie tyle na kluczu narodowościowym (by nie popaść w analogiczne odchylenia), ile na indywidualnej przydatności kandydata do nowych wymogów, jakie stawia przed Kościołem współczesnym rosnąca sekularyzacja uprzemysłowionego świata, ożywie-

nie religijne obejmujące obszary świata niedorozwiniętego, domagającego się większej autonomii od rzymskiej centrali i specyfika „drugiego świata”, stawiającego opór narzucanej przez Moskwę ateizacji. Nic dziwnego, że tak złożonej sytuacji nie jest w stanie podołać „prowincjonalna” i chwiejna, włoska dyspozycja umysłowa. Bp Sangu z Tanzanii, przemawiając na Synodzie w imieniu episkopatów afrykańskich, postulował, by watykańska centrala i korpus dyplomatyczny „miały oblicze bardziej uniwersalne, bardziej 'katolickie' niż obecne oblicze — przeważnie włoskie”.

Szansę wyboru papieża nie-Włocha wprawdzie rosną, ale Kuria Rzymska, obsadzona głównie przez Włochów i „obłąskawionych” cudzoziemców, broni uparcie swych pozycji. Kard. Suenens oświadczył kiedyś: „narodowość papieża jest rzeczą obojętną. Włoch czy nie Włoch, ważna jest funkcja sama w sobie... Kuria Rzymska stanowi nieodzowny, ludzki instrument, ale w służbie rzeczywistości nadprzyrodzonej. Krytyka pod adresem Kurii Rzymskiej jako systemu nie jest krytyką ani Kościoła ani Papieża. Trzeba to jasno powiedzieć. Już na Soborze biskupi przedłożyli długą listę zarzutów pod adresem Kurii, które nie utraciły aktualności. Zresztą Jan XXIII narzekał na hegemonię jaką jej przypisywano i jednym z motywów, jakie skłoniły go do zwołania Soboru, był właściwie zamiar sprowadzenia funkcji Kurii do bardziej stosownych proporcji”.

Wróćmy, po tej dygresji, do polskiej „lobby”. Lata pontyfikatu Jana XXIII i dotychczasowy okres pontyfikatu Pawła VI poprawiły znacznie nasze szanse. Znikła pro-niemiecka orientacja Kurii Rzymskiej ponieważ zmieniła się inspiracja odgórna. Polska grupa nacisku nie mogła jednak uformować się: stanowiska rzeczywistość w kraju i brak dostatecznych, stałych kontaktów biskupów, duchownych i świeckich, ze Stolicą Apostolską, zaciężyły negatywnie na należytej reprezentacji naszych interesów w Watykanie. Warunki dla powstania i działania takiej „lobby” stopniowo polepszały się. O możliwościach jej działania — ogólnie rzecz biorąc — nie decydują jedynie walory jednostek obecnych w Wiecznym Mieście, „kręcących się” wokół spraw swego kraju, lecz głównie stan danego Kościoła. W naszym przypadku chodzi zaś o Kościół prężny i rozwijający się, o najwyższej liczbie powołań na świecie (którą kompartia usiłuje sztucznie zredukować poprzez masowe powoływanie seminarzystów do wojska).

Odbiciem warunków panujących w łonie Kościoła w kraju jest już pokaźna liczba polskich duchownych pracujących w różnych dykasteriach Kurii Rzymskiej (jest to potencjał niedostatecznie dotąd wykorzystany), a zwłaszcza kluczowa pozycja bp. Rubina jako stałego sekretarza generalnego Synodu („jeśli go dotąd nie wygryźli — powiedział mi ostatnio wytrawny, zachodni obserwator kulisów kurialnych — znaczy to, że jest wart naprawę, jest to człowiek o mocnym charakterze, niezrażający się trudnościami”). Od przeszło roku mówi się o objęciu kierowniczego stanowiska w Kurii watykańskiej przez kard. Wojtyłę.

Jeśli to dotąd nie nastąpiło, tłumaczy się jedynie tym, że metropolita krakowski nie przyjął ofiarowanego mu stanowiska następcy kard. Roy'a (przewodniczącego Rady Świeckich i Papieskiej Komisji „Iustitia et Pax”) — czuje się bowiem potrzebny w kraju. Reasumując: powstały sprzyjające warunki dla działania polskiej „lobby” w Watykanie. Miejmy nadzieję, że ta wyjątkowa koniunktura nie zostanie zaprzepaszczona.

Polska, Niemcy a watykańska „Ostpolitik”

Przemawiając 31 października na publicznym zebraniu w Rzymie w zamkniętym gronie, abp Casaroli bronił dążenia do zbliżenia z państwami komunistycznymi w imię interesów społeczności katolickiej w tych krajach. „Wszędzie tam gdzie katolicy cierpią prześladowania — powiedział Casaroli — Kościół musi występować w obronie życia religijnego i praw sumienia wierzących”. Temu zapewnieniu szefa dyplomacji watykańskiej zaprzeczają jednak znane fakty na Litwie, Ukrainie, w Czechosłowacji i na Węgrzech, gdzie dyplomacja mons. Casaroliego poniosła fiasko, przemilczając prześladowania, a jeśli czegoś dokonała, to przechodząc do porządku dziennego nad tymi prześladowaniami, a za przyczynienie się do nieznacznego ulżenia sytuacji Kościoła zapłaciła wygórowaną cenę. Tę sprzeczność w polityce watykańskiej rozdzielił pomiędzy słowami abp. Casaroli a faktami zwizję ujął kard. Wyszyński w swym pierwszym wystąpieniu na Synodzie (w tzw. „tajnym raporcie”): „Do dyplomacji Stolicy Apostolskiej należy wprowadzić odważne i jednoznaczne elementy wiary chrześcijańskiej. Dyplomacja nie powinna utrudniać pracy ewangelizacyjnej”.

W wygłoszonej prelekcji mons. Casaroli przyznał, że akcja Papieża na rzecz pokoju jest często przedmiotem krytyki i wywołuje niepokój ponieważ powstaje wrażenie że „dla ideału pokoju poświęcane bywają wymogi sprawiedliwości”. Jego zdaniem — „jakkolwiek konkretne sytuacje mogą nieraz narzucać niełatwe decyzje praktyczne — to jednak w zasadzie Kościół nie widzi obiektywnego przeciwstawienia dwóch pojęć dylematu: sprawiedliwości i pokoju, które wzajemnie się uzupełniają”. Jest to typowy przykład włoskiej szkoły myślenia politycznego, której arkany posiadała dyplomacja watykańska. Zasada jest słuszna — nie powinno być sprzeczności pomiędzy ideałem sprawiedliwości i pokoju, cóż jednak na to poradzić, że „niełatwe decyzje praktyczne” tę sprzeczność nie tylko podtrzymują, ale konserwują zarówno niesprawiedliwość jak i „zimny pokój”. Widocznie zresztą wizja Pawła VI doprowadzenia wszelkimi sposobami do *modus vivendi* z reżymami komunistycznymi zachwiała się, gdyż „romantykowi” Casarolimu dodano jako wsparcie „realistę” Pogiego („nuncjusza do specjalnych poruczeń”).

Watykańska *Ostpolitik* jest dziś najbardziej atakowana w kraju, w którym narodził się jej pierwowzór: w Niemieckiej Repu-

blice Federalnej (zarówno przez opozycję chadecką i środowiska katolickie, jak i przez prasę związaną z partią socjal-demokratyczną). Kulminacyjny moment tych ataków nastąpił podczas trwania Synodu w związku z tym, że przedstawiciel episkopatu wschodnio-niemieckiego (kard. Bengsch z Berlina wschodniego) figurował oficjalnie pod szyldem NRD, mimo że Watykan dotąd nie uznał tego państwa i uznawał dotychczas nie dwie, lecz łączną konferencję episkopatu niemieckiego. Oburzenie wywołała również odmowa przyjęcia przez Papieża burmistrza Berlina Zachodniego — Schuetza, który chciał uzyskać audiencję z towarzyszącym mu ambasadorem Bonn przy Watykanie. Watykan uzasadnił odmowę względami protokolarnymi — faktycznie chodziło o to, by niezrażać sobie reżymu Pankow w chwili kiedy zainicjowano rokowania o normalizację stosunków z NRD. Przy tej okazji prasa, organizacje społeczne i parlamentarzyści zachodnio-niemieccy zaatakowali frontalnie całą koncepcję watykańskiej *Ostpolitik* i jej niefortunny dotychczasowy przebieg. Znany tygodnik *Der Spiegel* opublikował w pięciu odcinkach wielki reportaż na temat Watykanu („Vatikan intim”), opracowany przez zespół ekspertów, dysponujących niewątpliwie punktem oparcia w łonie Kurii Rzymskiej. We wszystkich tych atakach i oskarżeniach — zwłaszcza w reportażu *Spiegel*'a — jest część prawdy, dużo nieścisłości, przesady i uproszczeń, a najwięcej zawiedzionej miłości. Przebijają rozgoryczenie i żal do Watykanu który, mimo faszerowania go pieniędzmi i popierania, przestał Niemców faworyzować. Prasa niemiecka nie może tej „zdrady” przeboleć.

Niemcy mają własne powody do niezadowolenia, leżące na innej płaszczyźnie niż nasz często krytyczny stosunek do polityki watykańskiej. Oczywiście często zachodzi zbieżność naszych i niemieckich sądów, zwłaszcza tam gdzie chodzi o obronę praw ludzkich i religijnych. Chodzi o głosy rzeczowe, niepodrzyte emocjami, analizujące bilans watykańskiej *Ostpolitik* i wykazujące, że koncesje poczynione przez dyplomację papieską nie są odwzajemniane. Wchodzi tu w grę kwestia oceny kosztów, zbyt wysokich, zdaniem naszym i różnych ekspertów (także niemieckich), w zestawieniu z osiągniętymi rezultatami.



Inicjatywa w sprawie rokowań o normalizację stosunków, jeśli chodzi o Polskę, znajduje się na obecnym etapie, raczej po stronie rządu PRL niż Watykanu. W czasie listopadowych rozmów w Rzymie pomiędzy abp. Casarolim i wicemin. spraw zagr. Czyrkim, ustalono że rozmowy będą toczyć się zasadniczo w Wiecznym Mieście i tylko „okazyjnie w Warszawie (w porozumieniu z Prymasem Polski). Dla zagwarantowania, że episkopat będzie nie tylko stale informowany i konsultowany, ale wręcz włączony w tok tych rozmów, utworzono „komisję badawczą” w ramach „stałych kontaktów roboczych” (coś w rodzaju organu łącznikowego), w której będzie brał udział bp Dąbrowski, sekr.

episkopatu. Powołanie do życia tego organu umożliwił bp. Dąbrowskiemu regularne przyjazdy do Rzymu, gdzie ma pomocnika dla pilnowania spraw bieżących na tym odcinku. Jak z tego wynika Watykan, przychyłając się do stanowiska kard. Wyszyńskiego, zrezygnował z pierwotnie projektowanych, regularnych misji mon. Poggi do Warszawy; grupa robocza polsko-watykańska będzie pracować w Rzymie i przedstawiciel episkopatu będzie miał prawo i możliwość „trzymania ręki na pulsie” przebiegu tych prac.

Tymczasem Warszawa szykuje się do nowego propagandowego zdyskontowania rokowań z Watykanem. Jak wiadomo, radca Szablewski w ambasadzie PRL przy Kwirynale, szef „grupy do kontaktów roboczych” ze Stolicą Apostolską, otrzymał rangę ministra pełnomocnego. Nadchodzą święta Bożego Narodzenia kiedy korpus dyplomatyczny przy Watykanie składa tradycyjne życzenia Papieżowi. Warszawa liczy na to, że Szablewski będzie zaproszony na tę uroczystość. Oznaczałoby to ważny precedens i sukces prestiżowy dla PRL. Te kalkulacje mogą napotkać na przeszkodę natury formalnej (Szablewski nie jest przecież oficjalnie akredytowany przy Watykanie, nie jest więc członkiem korpusu dyplomatycznego). Watykan jest bardzo czuły na punkcie protokolarnym, co nie wyklucza jednak że w Sekretariacie Stanu mogą wymyślić „kruczek” formalny, by ominąć tę barierę protokolarną (mistrzów w takich sprawach nie brak w Kurii Rzymskiej).

Nie przypuszczam (choć nie wykluczam) by Szablewski znalazł się w szeregu dyplomatów w obliczu Pawła VI. Atmosfera do takiego ewenementu, jak i do następnej fazy rokowań polsko-watykańskich (przewidywanej na początek stycznia), nie jest jednak najlepsza. 1 grudnia odczytano w kościołach warszawskich list pasterski Prymasa, protestujący przeciwko zburzeniu kościoła bł. Władysława z Gielniowa i profanacji dokonanej przez milicję. Kościół ten zdemolowano ponieważ plany rozbudowy przewidują na tym terenie dzielnicę mieszkaniową. Ponadto demolują prowizorycznie sklecone kaplice lub obiekty gospodarcze, przekształcane przez proboszczy na punkty katechetyczne (wobec odmowy zezwoleń na budowę kościołów, w licznych przypadkach księża przystosowują do celów szkolnych budynki administracyjne czy gospodarcze, na budowę których otrzymują zezwolenia). Nowa ustawa o budownictwie posiada ostrze wymierzone przede wszystkim w Kościół. Przewiduje nie tylko wysokie grzywny i zburzenie wybudowanego obiektu, ale i konfiskatę terenu na jakim został wzniesiony. I to nie na podstawie wyroku sądowego, lecz na drodze administracyjnej, co stanowi znakomitą okazję do nadużyć.

Drugim odcinkiem napięcia jest wspomniane wyżej powoływanie do wojska alumnów seminariów duchownych, co ma wyraźnie represyjny charakter. W seminarium diecezjalnym w Sandomierzu doszło do tego, że bp Gołębiowski rozwiązał I rok studiów. Powołano bowiem do wojska 24 alumnów na 26 zapisa-

nych na I roku. Jest to wypadek bez precedensu — jak dotąd powoływano jedynie seminarzystów przynajmniej po II roku studiów. Powstała sytuacja paradoksalna: powołani do wojska przestali być seminarzystami, a ponieważ brakło formalnej motywacji do ich rekrutacji (poza samą okolicznością że byli alumnami seminarium), władze utraciły pretekst — doszło nawet do protestu władz przeciw zarządzeniu biskupa! Nie wiadomo jak się ta sprawa skończyła. Świadczy ona o dążeniu władz do zahamowania dynamiki rozwoju Kościoła w kraju.

Dzieje się to podobno na skutek nacisków sąsiadów (ZSSR, Czechosłowacji, Niemiec Wschodnich) do „wyrównania frontu państw socjalistycznych” ponieważ Polska według nich pozostaje w tyle.

Pomiędzy Mojżeszem i Mahometem

Rezolucja zgromadzenia ogólnego ONZ, a zwłaszcza skandaliczny wynik głosowania w UNESCO, wykluczający Izrael z regionalnych programów współpracy, wywołały masowy protest środowisk politycznych i kulturalnych w krajach cywilizowanych. Watykan nie zareagował na rezolucję ONZ, akceptującą punkt widzenia Arafata i jego terrorystycznej organizacji palestyńskiej, a uchylającą się od uznania prawa Izraela do egzystencji), a UNESCO... obdarzył doroczną „międzynarodową nagrodą pokoju im. Jana XXIII”. Watykan miał co prawda pecha. Nagrodę przyznano bowiem w październiku, kiedy wynik głosowania w UNESCO nie był znany. Paweł VI znalazł się w kłopotliwej sytuacji: uroczystości wręczenia nagrody byłemu i aktualnemu dyrektorowi generalnemu UNESCO nie odwołano, natomiast Papież powiedział tym panom, że jest „zaskoczony faktem, który poruszył opinię światową” i wyraził nadzieję, że „nieprzewidziany ten wypadek znajdzie szybkie rozwiązanie” (nie wymienił słowa Izrael, z którym *nota-bene* Watykan nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych). Tutejsza prasa pokwitowała to wystąpienie jako wezwanie pod adresem UNESCO do rewizji powziętej decyzji. Reakcje światowego żydostwa były złożone: przeważa niezadowolienie, a nawet oburzenie (głównie w Izraelu), że w ogóle doszło do wręczenia tej „pokojujowej nagrody”, nie brak jednak głosów bardziej umiarkowanych, wskazujących na to, że nie można było więcej oczekiwać, biorąc pod uwagę presję jaką na Watykan wywierają państwa arabskie. Watykan rozgranicza zresztą swój stosunek do judaizmu jako religii i do Izraela jako rzeczywistości politycznej. Powoduje to często w praktyce dwuznaczność i sprzeczność. O wyjaśnienie zawikłanego stosunku Watykanu do judaizmu i do Izraela zwróciłem się do dr. Józefa Lichtena, b. konsultanta Ambasady Rzeczypospolitej w Waszyngtonie, b. dyr. dep. d/s kulturalnych i religijnych w *Anti-Defamation League of B'nei B'rith* w Nowym Jorku, a obecnie reprezentanta tej organizacji z siedzibą w Rzymie, gdzie również wy-

kładła w North American College. Dr Lichten ma duże zasługi dla zbliżenia chrześcijańsko-żydowskiego, za co otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Katolickiego w Nowym Jorku i odznaczenia od Edith Stein Guild i od Instytutu d/s Chrześcijańsko-Żydowskich przy Uniwersytecie Seton Hall w USA. Oto tekst przeprowadzonego z nim wywiadu:

P.: — Jak kształtowały się dotąd stosunki pomiędzy katolicyzmem a judaizmem? Jaką rolę odegrał w tej dziedzinie Sobór Watykański?

O.: — Ruch ekumeniczny w stosunkach chrześcijańsko-żydowskich powstał jeszcze przed Soborem. W Europie miał charakter bardziej naukowy, w USA — bardziej praktyczny. Teologowie katolicycy w ramach studiów nad odnową Kościoła zaczęli patrzeć na judaizm inaczej aniżeli to czynili pierwsi Ojcowie Kościoła i ich następcy. Niewątpliwie zbrodnia nazizmu i powstanie państwa Izraela w dużej mierze przyczyniły się do nowego zainteresowania judyzmem i Żydami. Prawdziwy przełom stanowiła, uchwalona przez Concilio Vaticano II, deklaracja o stosunku do wyznań niechrześcijańskich, która zawiera rozdział poświęcony judaizmowi i potępiający antysemityzm. Jan XXIII powierzył kardynałowi Bea, przewodniczącemu Sekretariatowi d/s jedności chrześcijan, przygotowanie dokumentu o stosunku katolicyzmu do judaizmu i stworzenie biura do spraw katolicko-żydowskich. Problematyka ta znalazła się w jurysdykcji tego Sekretariatu, a nie Sekretariatu dla wyznań niechrześcijańskich, ponieważ kard. Bea był doskonałym znawcą judaizmu, a także dlatego, że stosunek katolicyzmu do judaizmu jest zupełnie inny niż do pozostałych, niechrześcijańskich religii monoteistycznych jak islam czy buddyzm.

W roku 1970 powstał międzynarodowy Komitet Współpracy złożony z przedstawicieli Watykanu oraz sześciu reprezentantów rabinatu i świeckich organizacji żydowskich. *Plenarne* posiedzenia tego komitetu odbyły się w ostatnich latach w Paryżu, Marsylii, Antwerpii i Rzymie. W Rzymie powstało też pierwsze, i bodaj jedyne na świecie, Centrum Dokumentacji katolicko-żydowskiej. Również North American College (w Rzymie), doskonały uniwersytet i zarazem seminarium duchowne dla wybranej liczby przyszłych księży w USA, zajmuje się problematyką judaizmu. Episkopat amerykański *nota-bene* szybciej niż episkopat europejski wyciągnął konsekwencje z uchwał Soboru i przygotował dokładne instrukcje (*Guidelines*) dla wprowadzenia tych uchwał w życie. Komitet watykańsko-żydowski zajmował się badaniami teologicznymi i historią stosunków chrześcijańsko-żydowskich oraz dyskutowaniem bieżących spraw interesujących obie strony (np. rewizją katechizmów i liturgicznych tekstów) — tym wszystkim, co mogłoby wypuklić wspólne dziedzictwo chrześcijan i Żydów i wyeliminować źródła antysemityzmu. Wyłączono jednak problematykę polityczną, to znaczy sprawy stosunków z państwem Izrael, która znajduje się w kompetencji innych dykasterii watykańskich.

P.: — Paweł VI powołał 22 października, podczas obrad Synodu, dwie nowe Komisje: dla stosunków z judaizmem i z islamem. Czym różni się ten nowy organ od dotychczasowych form współpracy?

O.: — Dojrzały warunki do powołania do życia stałej, oficjalnej jednostki w ramach Kurii Rzymskiej dla dialogu katolicko-żydowskiego. Należy zaznaczyć, że w strukturze organizacyjnej Kurii „Commissions” (Komisje) posiadają rangę niemal równorzędną z Kongregacjami. Jest to więc wyraźny awans i ważny krok naprzód ku bliższej współpracy i porozumieniu pomiędzy Kościołem katolickim a światowym żydostwem. Powstanie tej Komisji dowodzi, że Watykan zamierza utrzymać 'specjalny charakter' stosunków pomiędzy katolicyzmem a judaizmem. Odkładano tę sprawę, czekając na właściwy moment. Wolno przypuszczać, iż po to by nie drażnić państw arabskich utworzono równocześnie także Komisję dla stosunków z islamem. Przynajmniej na płaszczyźnie religijnej Watykan pragnie utrzymać taki sam dystans do obu tych religii. Żydzi przyjęli z satysfakcją tę decyzję. Nie da się tego powiedzieć o państwach arabskich, które przemilczały całkowicie równe potraktowanie przez Watykan obydwu wyznań, z czego można wnosić, iż odniosły się negatywnie do nowych decyzji Watykanu.

P.: — Jak wygląda stosunek Watykanu do Izraela? Czy w łonie Kurii Rzymskiej tendencje anty-izraelskie pokrywają się z rosnącymi nastrojami pro-arabskimi, jak to utrzymuje *Der Spiegel* w swych sensacyjnych reportażach, gdzie wręcz oskarża Watykan o antysemityzm?

O.: — Kraje arabskie wywierają dziś naciski na Watykan podobnie jak to czynią wobec świata zachodniego. Watykan wprawdzie dąży do zachowania równowagi pomiędzy Izraelem a państwami arabskimi, ale nie zawsze mu się to udaje, mimo przysłowiowej przezorności. W praktyce szala równowagi przechyla się — czasem pod wpływem szantażu ze strony świata arabskiego. Dużą wagę miałoby przynajmniej oświadczenie, że Izrael ma prawo do egzystencji. Tymczasem liczne państwa arabskie posiadają dyplomatów akredytowanych przy Watykanie, a Izrael jest wciąż nieuznawany jako państwo. Papież przyjął Goldę Meir, to prawda, ale oficjalnych stosunków dyplomatycznych nie starał się dotąd nawiązać. Watykan stoi na anachronicznym stanowisku traktowania tego kawałka ziemi jako Palestyny na obszarze historycznym. Odnośnie tendencji antysemitycznych w Kurii Rzymskiej, to faktycznie w niektórych dykasteriach pokutować mogą pojęcia niezgodne z dokumentami soborowymi. Pewne elementy integrystyczne i konserwatywne w Watykanie starają się hamować postęp dialogu katolicko-żydowskiego. Ocena *Spiegel*'a jest jednak niesłuszna i uproszczona. Zagadnienia nie wolno uogólniać i oczywiście nie można oskarżać *en bloc* Kurii Rzymskiej o antysemityzm.

P.: — Wydaje się, że stosunek Watykanu do sprawy Jerozolimy uległ ostatnio zmianie. W jakim stopniu?

O.: — Watykan oscylował dotąd pomiędzy pojęciem umiędzynarodowienia miasta Jerozolimy a pojęciem umiędzynarodowienia miejsc świętych. Ostatnio można zaobserwować zmianę. Papież nie mówi już więcej o umiędzynarodowieniu miasta. Nowe propozycje watykańskie są dość mgliste — nie wiadomo dokładnie jak sobie Watykan wyobraża międzynarodowe gwarancje, dotyczące ochrony miejsc świętych. W każdym razie Watykan zabiega o zalegalizowanie dostępu do swych miejsc świętych.

P.: — Czy mógłby Pan zreasumować swój pogląd na stan dialogu katolicko-żydowskiego?

O.: — Jeśli patrzy się na ewolucję stosunków katolicko-żydowskich z perspektywy minionych dziesięciu lat, to nie można nie widzieć zasadniczego zwrotu jaki w nich nastąpił. Jeśli zaś patrzy się na stan aktualny, abstrahując od tej ewolucji, sprawa oczywiście wygląda mniej różowo z uwagi na splot elementów religijnych i politycznych, czego nie da się uniknąć. Kiedy mam wyrazić syntezę w ocenie aktualnej sytuacji, przychodzi mi na myśl klasyczna anegdota o różnicy pomiędzy pesymistą i optymistą. Kiedy pierwszy widząc niepełną szklankę wody mówi, że szklanka jest od połowy próżna, optymista powie, że szklanka ta jest do połowy pełna. Osobiście jestem optymistą, ale wolałbym aby szklanka zapełniała się szybciej”.

„Kwestia komunistyczna” we Włoszech

Wejdą do rządów, a jeśli tak, to kiedy? Mimo że sami komuniści włoscy na razie nie spieszą się do partycypowania we władzy, wielu obserwatorów twierdzi że jest to kwestia najbliższego czasu. „Kwestia komunistyczna” znowu stała się aktualna we Włoszech i znajduje się w centrum debaty politycznej po raz pierwszy od roku 1948, kiedy przywódca chadecji Alcide De Gasperi po zwycięskich wyborach usunął ich z powojennej koalicji rządowej. „Chory człowiek” Europy, jak określa się dziś Włochy (najwyższy wskaźnik inflacji w Europie Zachodniej, jeden z największych deficytów bilansu płatniczego na świecie, przerosty i immobilizm biurokracji, infrastruktury pasożytnicze w aparacie gospodarczym i usługowym, nie mówiąc już o wywrotowych spiskach „czarnych” i „czerwonych”), miałyby nagle ulec uzdrowieniu dzięki dopływowi świeżej krwi komunistycznej? Są tacy którzy w to wierzą, twierdząc że włoska partia komunistyczna (PCI) jest jedyną siłą polityczną nieobjętą korupcją (co nie jest ściśle), dysponującą zdyscyplinowanymi kadrami (co jest ściśle) i wpływem na najsilniejszą centralę związków zawodowych, że trudno rządzić wbrew czy choćby bez aportu partii, na jaką głosuje 9 milionów obywateli (przynajmniej 1/3 — według pewnej ankiety — głosuje na nią jako na grupę nacisku lub by wyrazić protest). Przywódcy PCI, największej partii komunistycznej w wolnym świecie, są skromniejsi w wymaganiach i

przezorniejsi niż ich poplecznicy z elitarnych kół politycznych i intelektualnych, licytujących się w lewicowej grze słów, emocji i nieprzemysłanych aspiracji. Od chwili kiedy Enrico Berlinguer, sekretarz gen. PCI postawił propozycję „kompromisu historycznego”, niepokój ogarnął przede wszystkim partie laickie (socjaliści, socjal-demokraci i republikanie) współpracujące z chadecją od 12 lat w koalicyjnych rządach tzw. centrolewu. Wprawdzie „kompromis historyczny” w wersji komunistycznej mówi o postulowanej współpracy komunistów, socjalistów i katolików, akcent kładzie na zbliżenie i „szczególną odpowiedzialność” dwóch głównych sił ideowo-politycznych: PCI i DC (*Democrazia Cristiana*), co w praktyce oznaczałoby ich hegemonię.

Przywódcy PCI wykluczają wręcz możliwość frontu ludowego we Włoszech i objęcia władzy przez lewicę, nawet w wypadku uzyskania 51 % głosów w wyborach (obecnie komuniści i socjaliści + ugrupowania ultra-lewicowe nie osiągają łącznie nawet 40 %). Powód: lekcja Chile. W swym programie, nazwanym przez prasę „programem rządu-cienia”, komuniści akceptują dotychczasową politykę zagraniczną, przynależność Włoch do NATO, bazy amerykańskie, Wspólny Rynek, a w dziedzinie polityki wewnętrznej system parlamentarny (przeciwstawiają się bardzo energicznie projektom wprowadzenia ustroju prezydenckiego i w ogóle wzmocnieniu egzekutywy) prywatną własność środków produkcji; ostatnio zrobili się nawet heroldami interesów warstw średnich: drobnych przemysłowców i kupców, rolników i urzędników. Ten reformistyczny program, nie różniący się praktycznie od programów socjal-demokracji europejskiej, jest podyktowany jedynie wymogami taktyki — twierdzą przeciwnicy, zdaniem których cele strategiczne włoskiej partii komunistycznej nie uległy zmianie. Bezstronni obserwatorzy dostrzegają jednak ewolucję, jaką ta partia przeszła w ostatnich latach, porzucając marksistowsko-leninowski schematyzm i odzegnując się od ugrupowań ultra-lewicowej opozycji ekstra-parlamentarnej (które oskarża o fałszywą rewolucyjność i szkodliwą akcję stanowiącą obiektywnie „wodę na młyn” faszystowskiej reakcji).

Piętą achillesową włoskich komunistów pozostają ich związki z Moskwą, mimo że w łonie międzynarodowego ruchu komunistycznego włoska partia odgrywa rolę awangardową, krzewiąc tzw. policentryzm, sformułowany w słynnym memorandum poświęconym Togliattiego. Dotychczasowe próby przedstawienia siebie jako siły narodowej i niezależnej, nie powiodły się. Sprzeczności w polityce PCI i *credibility gap* istnieją nadal, choć nie można wykluczać dalszych prób uniezależnienia się tej partii na płaszczyźnie stosunków międzynarodowych, jeśli jej przywódcy uznają że nadszedł moment zapłacenia wysokiej nawet ceny dla urzeczywistnienia „kompromisu historycznego”, co uspokoiłoby opinię publiczną w kraju i zagranicą (głównie w USA, gdzie nawet Kissinger dał wyraz zaniepokojeniu perspektywą dojścia komunistów do władzy w dyskusji w Senacie nad działalnością CIA, krytykowanej za przedgolpistowskie interwencje

w Chile, ale uniewinnionej na wyrost za ewentualne „pokrycie” potencjalnie wybuchowej sytuacji w Italii).

Cóż kiedy główny kontrahent, do którego PCI kieruje swą propozycję „kompromisu historycznego”, tzn. chadecja, jak dołąd oficjalnie go odrzuca choć przyznaje komunistom miejsce w formacjach konstytucyjnych i demokratycznych (czego odmawia partii neo-faszystowskiej MSI).

Istnieją jednak dane że niektórzy działacze lewicowego skrzydła DC zerkają ku komunistom. Demokracja Cristiana przechodzi dziś poważny kryzys wewnętrzny. Niemal trzydziestoletni okres sprawowania rządów (w różnych koalicjach co prawda, ale których trzonem była i jest zawsze chadecja) doprowadził ją do zużycia. Znużeni władzą chadecy nie mogą przejść do opozycji — w przeciwieństwie bowiem do wszystkich krajów zachodnio-europejskich we Włoszech brak alternatywy. Komuniści, nawet w wypadku zwycięstwa wyborczego lewicy (możliwego na razie tylko w teorii), nie kwapią się do władzy, uprzywilejowując partnerstwo z chadecją (co prawdopodobnie odpowiadałoby pewnym czynnikom w Kurii Watykańskiej); chadecja zaś skazana jest na podtrzymywanie przy życiu wędnącej formuły *centro-sinistra*.

„Kwestia komunistyczna” we Włoszech nie zejdzie jednak z porządku dziennego: spędzać będzie nadal sen z oczu *bienpensants*, niepokoić rzetelnych demokratów, laickich i chrześcijańskich, oraz ludzi naiwnych lub marzących o ładzie społecznym (także pewnych przemysłowców stawiających na dojście komunistów do władzy w nadziei, że ich wpływ na syndykaty zahamuje ruch strajkowy).

Dominiak MORAWSKI

Widziane z Brukseli

S-2620 i ZS-1974

Opowieść jako motto: Trzy pokolenia Słepaków żyją obecnie w Moskwie. Stary Słepak, komunista, leninowiec, wyjechał jako młody człowiek w 1911 roku do USA. Wrócił, kiedy zwyciężała rewolucja bolszewicka. Ponieważ wierzy w nią do dziś, więc kiedy jego syn Włodzimierz, inżynier, 45 lat, zakomunikował mu, że zamierza wyemigrować do Izraela, stary powiedział: „Dla mnie umarłeś, nie mam już syna”. Władze sowieckie odmówiły jednak Włodzimierzowi paszportu. Pewnego dnia Słepak-ojciec zachorował. Włodzimierz, choć wyklęty, postanowił odwiedzić ojca w szpitalu. „Dobrze, żeś przyszedł, powiedział stary. Ale teraz się wynoś, dla mnie nie istniejesz”. Włodzimierz ma żonę, Marię i syna, Aleksandra, którzy też

chęć wyjechać i też nie mają zgody władzy. Kiedy więc pewien senator w kraju, z którego stary Słepak wrócił w 17 roku, aby zbudować ustrój, który prześladowa jego syna i wnuka oświadczył, że teraz już Słepaki będą mogli emigrować, Maria Słepak westchnęła: „Boże co też z nami w końcu zrobisz”, Aleksander w prawdziwych dżinsach, młody ale już doświadczony, powiedział: „To za piękne, aby było prawdziwe”, a Włodzimierz, po wysłuchaniu Radia Swobody, dodał: „Pożyjemy, zobaczymy”, po czym zamknął wszystkie zasuwki u drzwi, aby nie dać się zaskoczyć przez kolejne najście KGB.

Historię Słepaków właściwie opisać potrafiłyby jedynie Szalom Alejchem. Ale i mniej poetyczni ludzie pióra już od pewnego czasu czuli, że na coś się zbiera. Z końcem września Henry Kissinger wygłosił najdłuższe przemówienie w swojej karierze, tylko po to, aby udowodnić, że wszelka próba wywarcia przez USA nacisku na ZSSR może przynieść straszliwy wprost skutek. „Pokusa do łączenia odprężenia z naciskiem na ZSSR, mówił Kissinger, będzie narastać. Takie nastawienie byłoby katastrofalne. Wylądujemy w zimnej wojnie, bez umocnienia pokoju i nie załatwiwszy żadnej ludzkiej sprawy... Musimy być świadomi tego co może, a co nie może być zmienione w dziedzinie praw człowieka na wschodzie. Nie możemy wymagać aby Rosja nagle wyrzekała się 50 lat historii sowieckiej i kilku wieków historii rosyjskiej...”.

Co usłyszawszy fachowcy wykrzyknęli: „Uwaga, nadchodzi” i z mokrym wskazującym palcem wystawionym w górę, czuwali skąd powieje.

Powiało z kierunków albo (jak słusznie powiedziała *Trybuna Ludu* w owym październikowym roku 1956) z kierowników wschodnich. Breżniew zaprosił bawiącego służbowo w Moskwie amerykańskiego ministra finansów, niejakiego Simona, na kolację. Przy trzeciej wódce, albo jak mówią Francuzi, między serem a gruszką, Breżniew Simonowi tak przyrzęnął, że aż przykro było słuchać, a ciarki przeszły biesiadników.

„Interwencja w nasze sprawy wewnętrzne, wykrzyknął generalny sekretarz, może poważnie zaszkodzić stosunkom między USA a ZSSR. Jest rzeczą absolutnie niedopuszczalną, aby ktoś ośmielał się uzależniać rozwój współpracy sowiecko-amerykańskiej od jakiś wymaganych kwestii, które w ogóle nie istnieją, a które w każdym razie należą do naszej wyłącznej gestii. Nasze stosunki gospodarcze, straszły Breżniew, mają zasadnicze znaczenie polityczne, ale zagrożone są przez egoistyczne rachuby niektórych niewielkich ugrupowań politycznych, których psychika nie wyzbyła się jeszcze anachronicznego dziedzictwa zimnej wojny”.

Co usłyszawszy fachowcy już nic nie wykrzyknęli, a tylko udali się do swych redakcji aby sporządzić kolejny pakiet kolumnii antysowieckich i napisać, że Breżniew myśli inaczej niż mówi i że ZSSR dojrzał do poważnych koncesji w dziedzinie praw człowieka, a nawet Żydów, do wyjazdu w zamian za ułatwienia handlowe i finansowe, których Kongres nie chce udzie-

lic zanim Kreml nie zliberalizuje swej procedury emigracyjnej. W związku z tym, dodali kalumniatorzy, przemówienie Kissingera należy uznać za pic na wodzie, którego celem było ułatwienie Breżniewowi ratowania nieco przytartej twarzy.

Najgorszy moment

Zaczął się to wszystko od *détente* czyli odprężenia. *Kultura* już sporo na ten temat pisała, więc powiedzmy tylko w skrócie, że obu super-wielkim chodziło o zbudowanie skutecznego systemu ochrony przed wojną przez nieporozumienie czy zaskoczenie, o to więc, aby się pętaki nie mieszały do polityki i do poważnych spraw w ogóle. Detalicznie zaś, Ameryce chodziło o wyciszenie sowieckich aspiracji do rewolucji światowej, o pomoc Kremla w zakończeniu wojny w Wietnamie, o pohamowanie Castro i ograniczenie jego postąnnictwa do granic Kuby. Kremlovi zaś — który już dawno zrezygnował z rewolucji proletariackiej i myśli tylko o interesach rosyjskiego mocarstwa, który już zastąpił Marksa i Engelsa przez Marksa i Spencera — chodziło o neutralizację Chin, o *status quo* w Europie, o szacunek dla doktryny Breżniewa, a przede wszystkim o rękę dolarów, Niagarę zboża i ocean technologii amerykańskiej, i w ogóle za-chodniej.

Nie było więc, jak widać, sprzeczności interesów między ojczyzną socjalizmu a ojczyzną kapitalizmu. Kiedy więc Nixon z Breżniewem stopili się w gorącym pocałunku na szczycie, powiało taką odwilżą, że ruszyły nawet niektóre góry lodowe z Archipelagu Gułag. Np. Żydzi sowieccy potraktowali *détente* poważnie i poprosili o prawo do masowej emigracji.

Ale Kreml powiedział *niet*. I kiedy łagodna perswazja, to znaczy obozy, więzienia oraz najazdy KGB, nie pomogły, a Żydzi furt chcieli wyjeżdżać, władza sowiecka sięgnęła do najbardziej w socjalizmie skutecznego oręża, jakim jest bodziec materialny. Kreml ulepszył wówczas polski marcowy pomysł w tej dziedzinie i nałożył podatek od mózgow, specjalny haracz, który pod pretekstem zwrotu kosztów wykształcenia wymuszała na kandydatkach do emigracji takie sumy, że gdyby mieli oni tyle dolarów w majątku to wcale nie musieliby wyjeżdżać, a żyliby długo i szczęśliwie nawet w ZSSR.

Zaszumiało naocznie w świecie, a przede wszystkim w USA, gdzie, jak to enigmatycznie nazywa TASS, określone koła już od dawna czekały na okazję, aby zmitygować zamiłowanie Kissingera do kawioru i bałajki, i do podróży do Moskwy w ogóle. Okazji takiej dostarczyli sami Rosjanie, gdyż wybrali dla wprowadzenia haraczu najgorszy możliwie moment. Kiedy bowiem w Moskwie rozbierano Żydów do naga, do Kongresu w Waszyngtonie wpłynął projekt ustawy o handlu, tzw. *Trade Bill*, podstawowy dokument wyznaczający strategię całej dyplomacji amerykańskiej. Jeden z rozdziałów tej ustawy upoważniał prezydenta

USA do przyznania ZSSR tzw. klauzuli największego uprzewilejowania. Zakłada to, po pierwsze, stosowanie wobec towarów sowieckich najniższych możliwych stawek celnych i po drugie — pozwala na krycie państwową gwarancją pożyczek udzielanych ZSSR przez banki amerykańskie. Bez wpadania w szczególności powiedzmy, że mniej chodziło o stawki celne, chociaż np. opłaty od importu wódki, jednego z podstawowych wytworów sowieckiej myśli techniczno-naukowej, mających jakie takie szanse konsumpcji na amerykańskim rynku, spadną o 3/4, a chodzi przede wszystkim o kredyty, bez których wszystkie poważne projekty dotyczące inwestowania w Rosji amerykańskiej myśli technologicznej i sprzętu skazane są na uwiędnięcie w szufladach.

Była więc jesień 1972, kiedy dwóch żydowskich senatorów zastanawiało się jak ratować braci w Rosji od finansowego pogromu. Nie wiadomo kto pierwszy wpadł na pomysł transakcji związanej: Żydzi za dolary. Był to zapewne sen. Javits, któremu nie obce są lekcje historii i który pamiętał, że jeszcze Himmler zastanawiał się czy nie sprzedać 100.000 Żydów węgierskich za 10.000 ciężarówek amerykańskich. Totalni władcy mają pewne cechy wspólne, pomyślał sen. Javits i rzucił pomysł. Jego kolega, sen. Ribicoff, był zdaje się pierwszym, który wylansował tę smakowitą ideę z trybuny Kongresu.

Kto to jest Jackson?

Wtedy właśnie, po raz pierwszy w tym kontekście, pojawiło się nazwisko sen. Henry Jacksona. 62 lata (wygląda na 50), barczysty, mocny, Jackson był w Europie prawie nieznany. W USA jest od dawna popularny i ceniony jako wielki fachman kongresowy. Nie ma szczęścia do godności, ale ma charakter. Startował do wiceprezydentury u Kennedy'ego, nie udało się, a propozycji objęcia teki ministra obrony u Nixona nie przyjął. Teraz myśli o kandydaturze do wyborów prezydenckich w 1976 roku.

Jackson, syn norweskiego emigranta, zrobił karierę jak w opowieściach dla dzieci. Sprzedawał gazety, rąbał drzewo aby opłacić szkołę i studia prawnicze. Po raz pierwszy wybrany został do Kongresu, kiedy miał 28 lat. Łatwo obliczyć, że na Kapitolu spędził już 34 lata i że ma jakie takie doświadczenie. Złośliwi twierdzą, że Jackson zrobił karierę dzięki temu, iż wszystkim, od policjanta do sprzątaczkę, codziennie ścisną prawicę. Być może, ale trzeba wiedzieć, że ów konserwatywny demokrat nie bał się walić w McCarthy'ego, kiedy ten Savonarola w karykaturze był u szczytu potęgi, że nie bał się, z drugiej strony, ostro krytykować Kissingera za tajne układy z ZSSR i to w chwili kiedy sekretarz stanu nie był rysowany inaczej niż w postaci supermana. Liberał na wewnątrz — występował np. o równouprawnienie Murzynów — Jackson jest raczej nieufny w polityce zagranicznej. Popiera w Waszyngtonie *lobby* przemysłowo-wojskowe, tak niepopularne w Moskwie, reprezentuje np. prawie oficjalnie

interesy Boeinga. Jedzie do Pekinu, kiedy Nixon jedzie do Moskwy, ale przede wszystkim nie wierzy Rosji. W okresie kiedy umizgom nie było końca, Jackson niedelikatnie, ale głośno powiedział: „Rosjanie zachowują się jak szczury hotelowe. Snują się po korytarzach i po kolei próbują otworzyć wszystkie drzwi, a nuż się uda”. Dla całości obrazu dodajmy, że Jackson był pierwszym oficerem, który wkroczył w 1945 roku na teren obozu w Buchenwaldzie...

Nic dziwnego, że to do Jacksona zwrócili się senatorzy Javits i Ribicoff z prośbą o radę co zrobić z Żydami w Rosji i z haraczem. Jackson, człowiek doświadczony, czysty aryjczyk, a więc nie podejrzany o syjonizm, człowiek wielkiego *business'u*, a więc nieprzekupny, poparł pomysł, zajął się realizacją transakcji związanej. W ciągu kilku dni poprawka do *Trade Bill* nr S-2620 była gotowa. Tekst uzależniający przyznanie Rosji klauzuli największego uprzewilejowania od zniesienia haraczu zaopatrzony już był w podpisy 76 senatorów, czyli 3/4 senatu, co oznacza, że ustawa została skutecznie zablokowana.

Biały Dom (Nixon nie szanował Kongresu) nie od razu zrozumiał co się święci, nie uwierzył w siłę i zasięg kampanii, której poprawka Jacksona była jedyne najbardziej spektakularnym przejawem. Pewien osobnik ze sztabu Nixona, nazwiskiem Flanigan, późniejszy minister zresztą, straszył nawet senatorów, że zablokowanie współpracy z ZSSR narazi gospodarkę amerykańską na poważne straty, co grozi wywołaniem... fali antysemityzmu w USA. Został wyśmiany, a sprawę przejął osobiście Kissinger. On nie straszył, ale perswadował.

Kissinger jadał przeważnie pierwsze śniadania z żydowskimi senatorami (niektóre były nawet koszer) i tłumaczył jak dzieciom: pozwólcie mi rozmawiać z Rosjanami po cichu, ja tajną dyplomacją wyprowadzę więcej Żydów niż wy waszą hałaśliwą awanturą. Rosja niczego nie zrobi pod publiczną presją, to bardzo wielkie mocarstwo, a nie jakieś bałkańskie czy bananowe ksiąstewko.

Odezwali się równocześnie przedstawiciele *big business'u*, ci którzy tak pokochali interesy z ZSSR, że uczestniczyli nawet w „Krimtechnice” — wystawie sprzętu policyjnego w Moskwie, po której wystawione „gadgets” zostały sprzedane KGB ku większej chwale demokracji i ku rozwojowi „handlu-co-toruje-drogo-pokojowi”.

Panowie Kendall, prezes Pepsi Cola, w ramach walki z alkoholizmem w ZSSR, produkujący już dziennie 120 tys. butelek swego eliksiru w Noworosyjsku i czeka na dalsze zamówienia, oraz Hammer, który podpisał już z Rosją kontrakty na jakieś 20 miliardów dolarów, buduje hotele i centrum handlowe w stolicy kraju rad, a pierwszy swój milion dolarów zarobił właśnie w ZSSR na wojnie domowej i głodzie jeszcze za życia Lenina (to był mój wielki przyjaciel, mówi), zagrozili senatorom, że jeżeli zablokują *Trade Bill* i niezbędne dla ich, Kendalla i Hammera, przedsiębiorstw kredyty, to USA przegrają wyścig o sowiecki rynek, że

wygrają konkurenci (gdzie oni!), że się przemysł amerykański wprost załamie. Do koalicji Kissinger-Hammer doszli tzw. „przyjaciele”. Jackson, mówili, opamiętaj się, popatrz co za towarzystwo ciebie popiera, czy to nie podejrzana spółka: liberałowie, których mierzi KGB, konserwatyści, którzy nie lubią socjalizmu, Żydzi którzy nie lubią antysemitów. No i doszłusław sam Biały Dom, którego zdaniem brutalna presja na Kreml może wywołać wprost przeciwne skutki, a poprawka Jacksona zamiast otworzyć drzwi przed emigracją, może ją całkowicie zastopować.

Senat to nie sowiet

Ale raz jeszcze okazało się, że Biały Dom nie zna życia. Kreml mianowicie zareagował wprost przeciwnie niż to przepowiedzieli fachowcy. Spójrzmy na tzw. *timing* operacji.

16 marca 1973 roku, po tygodniach przetargów a przede wszystkim burzy antyharaczowej, Jackson oficjalnie przedkłada swą poprawkę w senacie: „nie będzie klauzuli bez zniesienia haraczu”. 21 marca 1973 roku p. Wiktor Louis, ulubiony dziennikarz KGB, człowiek od misji specjalnych i czarnego rynku, publikuje aż w dwóch gazetach naraz, w Londynie i... Tel Avivie, tego samego dnia artykuł, w którym wyraża swe głębokie zdziwienie o co cała awantura. Przecież — mówi Wiktor — to prowizorka, ustawa haraczowa to rzecz niekompletna, łatwa do obejścia, w *czym dieto, sza*. Bomba wybuchła 22 marca. Tego dnia opuszczają ZSSR bardzo wysoko skalkulowani Żydzi nie płacąc ani grosza. Specjalna ekipa telewizji amerykańskiej jest ponadto zaproszona do OWIR, czyli biura paszportów KGB, gdzie asystuje przy wręczaniu dokumentu podróży zupełnie przerażonym Żydom, którzy obawiają się, że — jak to już nieraz bywało — po wygaszeniu jupiterów, pojadą prosto na Sybir. Tymczasem pojechali do Izraela, gdzie mogli obejrzeć film ze sobą w roli głównej.

18 kwietnia Nixon zaprasza sen. Jacksona na pierwsze oczywiście śniadanie i komunikuje mu, że Mr. Breżniew, który szykuje właśnie bagaże na podróż do USA obiecał, na piśmie i to dwa razy, że haracz przestał być aktualny... Drogą panie kolego, mówi Nixon do Jacksona, w tym stanie rzeczy sam pan przyzna, że poprawka pańska traci sens, niech pan ją wycofa i buzi...

Jackson dopił kawy, ale buzi nie dał i poprawki nie wycofał. Tylko ją zmienił. Chwileczkę, powiedział mianowicie Jackson, a gdzie gwarancje? Ja do Rosjan zaufania nie mam, tu już nie chodzi o haracz, a o emigrację i prześladowanie emigrantów, i to nie Żydów, a ludzi sowieckich w ogóle.

No i wszystko zaczęło się *apiat*, od początku. Biały Dom i Kreml razem radzili co zrobić, aby Jacksona poskromić. Breżniew się dziwił co to władza, która nie może sobie poradzić z paru senatorami i to na dodatek Żydami. My mamy — mówił generalny sekretarz — 2.000 parlamentarzystów i w ogóle ich nie słychać, co to za moda, aby przedstawiciele narodu pchali się do

polityki. Tymczasem wybuchła afera Watergate, dymisja groziła nie senatorom a prezydentowi, Kreml nareszcie zrozumiał, że mały Kongres to nie najwyższy sowiet i że coś trzeba będzie ustąpić, bo inaczej z klauzuli nici.

Układ bez głównego podpisu

Minęło od sprawy haraczu półtora roku, wypełnionego delikatnymi negocjacjami, ale istoty rzeczy to nie zmieniało. Żadna ze stron pozornie nie ustępowała, a ton się zaostrzał. Aż doszło do przemówień jakie zacytowaliśmy na wstępie.

18 października 74 w kilka dni po podwójnej, po obu stronach oceanu, przestrodze, że Rosja nigdy nie cofnie się pod presją z zewnątrz, Jackson zwołał w Waszyngtonie konferencję prasową, na której oświadczył, że po pierwszym śniadaniu z prezydentem Fordem, może ogłosić o „wydarzeniu historycznym w dziedzinie praw człowieka”. Zgodnie mianowicie z dyskretnym porozumieniem między Białym Domem a Kremlem, ZSSR liberalizuje swą politykę emigracyjną w zamian za co Kongres wycofa swoje veto wobec klauzuli. Inaczej mówiąc: kilkadziesiąt tysięcy Żydów i nie Żydów z Rosji co roku za kilkadziesiąt miliardów dolarów kredytów, technologii i sprzętu amerykańskiego.

Układ jest bez precedensu. Strona głównie zainteresowana, tzn. Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich, formalnie bowiem w nim nie uczestniczy. Porozumienie w sprawie emigracji z ZSSR i kredytów dla ZSSR ma przedziwną formę wymiany listów między... Kissingerem a Jacksonem, ministrem z USA i senatorem z USA, emigrantem z Niemiec i emigrantem z Norwegii. W swoim liście Kissinger informuje Kongres, że otrzymał od rządu ZSSR odpowiednie zapewnienia w odniesieniu do emigracji i ludzkiego traktowania kandydatów na wyjazd. W odpowiedzi Jackson interpretuje list Kissingera. Senator uważa mianowicie, że liczba 60.000 emigrantów rocznie odpowiada wymogom sytuacji i że spadek emigracji poniżej tej cyfry oznaczać będzie, iż strona rosyjska gwałci porozumienie. Jackson dodał jeszcze, że spodziewa się szybkiego wzrostu wyjazdów, albowiem samych podań żydowskich już jest ok. 130.000, no a przecież porozumienie dotyczy wszystkich kandydatów na emigrację „niezależnie od rasy, pochodzenia, religii czy grupy społecznej i zawodowej kandydata”. Równocześnie, Jackson wyraził nadzieję, że kongres dość szybko uchwali *Trade Bill* w całości, bez poprawek. Dodał jedynie, jakby od niechcenia, że klauzula przyznana jest na 18 miesięcy, jak gdyby próbnych, i że jeżeli Biały Dom zechce ją przedłużyć, to wymagana będzie ponowna zgoda Kongresu, zależna — jak się państwo domyślają — od postępowania Kremla...

No, a teraz sam dokument. Czytelnicy *Kultury* znają dobrze — przeważnie z własnego doświadczenia — jak interpretowane są na wschodzie „prawa człowieka”, będą więc w stanie właści-

wie ocenić znaczenie sześciu „przykazań” czyli gwarancji udzielonych przez ZSSR, o jakich mówi list Kissingera.

Po pierwsze, ma ustać prześladowanie osób ubiegających się o wyjazd; będzie ono uznane za złamanie prawa.

Po drugie, mają ustać sztuczne, biurokratyczne i sprzeczne z prawem, przeszkody wnoszone przed kandydatami na wyjazd.

Po trzecie — podania o paszporty rozpatrywane będą w kolejności składania, włącznie z tymi, które już są wniesione bez względu na pochodzenie geograficzne, rasowe czy religijne kandydata.

Po czwarte — przypadki szczególne, tragiczne, będą rozpatrywane w specjalnym trybie, z sympatią i troską.

Po piąte, haracz od mózgow zostaje zawieszony.

Po szóste — strona amerykańska ma prawo sygnalizowania władzom sowieckim wszelkich przypadków gwałcenia tego porozumienia. Sygnały te będą dokładnie badane i strona amerykańska otrzyma odpowiednie wyjaśnienia.

To nie wszystko. Porozumienie zakłada jeszcze, że kandydaci na wyjazd nie będą zwalniani z pracy, że nie będą mieli trudności z uzyskaniem „charakterystyki” niezbędnej do wniesienia podania o paszport, że specjalna procedura wyjaśni szybko sytuację „więźniów Syjonu” to znaczy osób przebywających w więzieniu wyłącznie w kontekście emigracyjnym, że kandydaci na wyjazd nie będą akurat od razu po złożeniu podania, przez czysty przypadek, powoływani do wojska dla spełnienia zaszczytnego obowiązku wobec byłej ojczyzny, że osoby dojrzałe nie będą musiały ubiegać się o zgodę rodziców, że wreszcie wobec osób „podejrzanych” o kontakt z tajemnicą państwową, wystarczy okres 3-letniej kwarantanny.

Cocktail bez Mołotowa

Proszę się nie śmiać, ja wiem, że to jeszcze nie na jutro, że gdyby ZSSR i cały obóz socjalizmu szanował to, co przysiągł Breżniew Kissingerowi, to w ogóle nie byłaby potrzebna emigracja, i w ogóle nie byłoby obozu socjalizmu, a byłby po prostu socjalizm bez obozów. Ale, mimo tego i w pełni świadomy przepaści między obietnicami a rzeczywistością (Breżniew to nie samobójca przecież) upieram się przy poglądzie, że Jackson nie przesadził mówiąc o „historycznym znaczeniu” porozumienia.

Niezależnie bowiem od sposobu w jaki Rosja ma w rzeczywistości zamiar respektować swe zobowiązania (jeszcze Lenin uczył, że każdy układ, a co dopiero układ nie podpisany, ważny jest tylko dopóki służy rewolucji), zgoda Kremla na podporządkowanie choćby tylko formalne swej polityki wewnętrznej wymaganiom jakiegos obcego parlamentu oraz świadomość, że presja zachodniej opinii publicznej może politykę wewnętrzną ZSSR i

obyczaje KGB w pewnym stopniu kształtować, nie może nie zostawić śladu w historii XX wieku.

Nie wiem czy uzasadnione jest wzruszenie pewnego publicysty londyńskiego *Times'a*, który uważa, że dzieci amerykańskie uczy się będą w przyszłości listów Kissingera i Jacksona tak jak studiują obecnie Deklarację o Niepodległości czy konstytucję, ale równie przesadny w drugą stronę wydaje mi się sceptycyzm tych, co uważają, że porozumienie ogłoszone 18 października 1974 jest jedynie świstkiem papieru.

Kiedy z końcem października 74 Kissinger przybył do Moskwy, Breżniew bardzo się na niego gniewał. Nie, nie za to, że sfałszował porozumienie, że obiecał jakoby rzeczy niestychane, a tylko za to, że tyle wrzasku wokół porozumienia narobiono w Waszyngtonie, że on zaangażował jego osobisty prestiż, a tymczasem wszystko się rozniosło. Mimo oburzenia, Breżniew jednak wypuścił litewskiego marynarza Kudirkę, który do USA pojechał prosto z łagru w mordwińskim powiecie, gdzie siedział za próbę ucieczki do... USA właśnie. Państwo może pamiętać, że kiedy w listopadzie 71 roku Kudirka wskoczył na pokład amerykańskiego statku, to go oficerowie US Navy oddali sowietom, aby nie psuć harmonii współistnienia. Waszyngton wysłał za to dwóch oficerów na spokojną emeryturę, a Kreml wysłał Kudirkę na 10 lat w Archipelag Gułag. W słońcu *détente* Kudirka będzie mógł obecnie odwiedzić obu amerykańskich oficerów, aby im podziękować za trzy lata obozu pracy o specjalnym reżymie.

Równocześnie opuściła łagier Żydówka Sylwia Zalmason. Jest już w Tel Avivie, ale nie wyjechała bez odwiedzenia męża, który w tzw. pierwszym procesie leningradzkim został najpierw skazany na śmierć a potem na dożywocie za... zamiar (!) uprowadzenia samolotu. Czy znają państwo dużo takich wypadków w historii humanistycznej praworządności sowieckiej?

Kiedy Wiktor Polski, fizyk, jeden z najczynniejszych bojowników o prawo do emigracji, stanął przed sądem ze sfabrykowanego przez KGB oskarżenia o przejechanie młodej dziewczyny — fachowcy się zakładali, że nie złapie mniej niż trzy lata. Taka okazja dla KGB, mówili! Kilka godzin później wychodził wolny, skazany na 100 rubli grzywny, po procesie, przy którym po raz pierwszy w historii tej praworządności sowieckiej asystowali amerykański adwokat i amerykański dziennikarz...

Oczywiście, normalny zachodni demokrat w ogóle nie zrozumie o co tu chodzi, niemniej w kilka dni później, p. Hammer podpisał nowe układy, Rosjanie mogli bez machlojek zakupić trzy miliony ton zboża w USA, delegacja sowiecka odwiedziła zakłady Boeinga (okręg wyborczy sen. Jacksona) gdzie negocjowała zakup (na początek) 10 Boeingów 747 za 300 milionów dolarów na kredyt, w Moskwie zaczął funkcjonować amerykański bowling na 20 torów, a majster Walentyna Bobruk z fabryki Pepsi Cola mogła w zachwyceniu powiedzieć amerykańskiemu dziennikarzowi: „Nasi robotnicy piją regularnie Pepsi i dzięki

temu u końca dnia pracy czują się jakby go właśnie rozpozyczynali...”. Kto nie wierzy, niech czyta *New York Times*.

Nic dziwnego że w tej atmosferze, po wizycie w Japonii, gdzie zastosowano nigdzie jeszcze nie widziane środki ostrożności (25.000 policjantów strzegło lotniska, 200 goryli — osoby prezidenta) cała ekipa amerykańska z ulgą myślała o *week-end'zie* pod Władystokiem. Pewien dziennik brukselski zauważył przy tej okazji, że ZSSR jest jedynym krajem, gdzie prezydent USA jest naprawdę popularny i czuje się bezpieczny. Nic dziwnego więc, że woli pić zimną wódkę z właśnie zrehabilitowanym przez Wielką Encyklopedię Sowiecką Mołotowem, lub z jego następcami, aniżeli wiać przed cocktailami noszącymi to sławne imię...

Real i moral-politik

Spokojnie, nie jestem naiwny, ja nie z Białego jestem Domu, a z czerwonej gospody, ja znam życie. Prawdziwa wartość porozumienia wyjdzie w praniu. Tylko praktyka przyniesie odpowiedź na pytanie w jakim stopniu chodzi tu o próbę zwrotu, a w jakim o mały szwindel, czy Rosja zrozumiwała, że nie można budować nowoczesnego państwa epoki nuklearnej ludźmi traktowanymi jak niewolnicy z epoki piramid, czy też znowu dokonywuje sklepiarskiego manewru. Ma naturalnie rację Sacharow, dla którego porozumienie z 18 października to mały tylko krok naprzód, i choć lepiej od nas zna on wartość przepisów w ZSSR, słusznie domaga się gwarancji prawnych, możliwości apelacji sądowej od odmownych decyzji paszportowych, prawa powrotu do Rosji dla emigrantów rozczarowanych rajem zachodnim czy izraelskim. Mają również rację żydowskie koła w Moskwie, którym doświadczenie dyktuje ostrożność, i które w oczekiwaniu na przełom paszportowy, modlą się, jak Maria Słepak, o zdrowie dla Jacksona. To wszystko prawda, ale nie ulega kwestii, że dziś nic już nie będzie tak jak przed 18 października, że coś trzaśło na froncie walki o prawa człowieka w ustroju socjalistycznym.

Jakiegokolwiek byłyby plany Kremla i jego intencje kryjące się poza zapewnieniami Breżniewa, niezbędnymi dla złamania opozycji Kongresu, konkordat Jackson-Kissinger prowadzi do jednego wniosku. Tego mianowicie, że bez wpadania w przesadę, bez domagania się od Rosji ustępstw niemożliwych, bez wrzucania Kremla w sytuacje bez wyjścia, bez — w skrócie mówiąc — przypierania Breżniewa do muru, Jackson udowodnił, że cena jakiej Kissinger żądał za odprężenie, za amerykańskie gwarancje dla sowieckiego *status quo*, za wielki program uczestnictwa USA w budowie nowoczesnego Związku Sowieckiego, udziału kapitałów i myśli amerykańskiej w umocnieniu ustroju komunistycznego — że ta cena była skalkulowana za nisko, że *moral-politik* może być bardziej skuteczna od *real-politik*, lub że w każdym razie należy stosować obie polityki razem...

Komunikat specjalny nr 1

Co bardziej spostrzegawczy Czytelnicy *Kultury* zauważyli, być może, iż w grudniowym numerze zabrakło Brukselczyka. Myślą oni, że sprawiła to z jednej strony walka klasowa strajkujących pocztowców francuskich, a z drugiej — protest Breżniewa odważającego właśnie Paryż i związane z tym czasowe internowanie wywrotowców z redakcji *Kultury*. Otóż, obie te przyczyny są tylko częściowo prawdziwe. W rzeczywistości bowiem autor bawił na przełomie listopada i grudnia w Izraelu, gdzie badał skutki przeszczepu czerwonej duszy na biało-niebieskim sercu, a więc skutki polityki opisaną właśnie w dzisiejszym felietonie. Zanim może kiedyś tę podróż w *Kulturze* opiszę, oto w największym streszczeniu sytuacja kozaków znad Jordanu.

W Izraelu powiadają, że okres aklimatyzacyjny emigranta z Rosji trwa dokładnie tyle, co okres próbny klauzuli największego uprzywilejowania Rosji w USA, to znaczy 18 miesięcy. Przez pierwsze sześć miesięcy nowy emigrant zwraca psy na Izraelu. Przez drugie sześć miesięcy stary już emigrant krytykuje nowych emigrantów z Rosji. Obecnie chodzi o to, aby okres aklimatyzacji nie przedłużył się o dalszych sześć miesięcy, w czasie których starzy nowi emigranci kłębiliby senatora Jacksona...

BRUKSELCZYK

Pisane 11 listopada 1974

Komunikat specjalny nr 2

Korzystam z okazji aby łagodnie acz z nieukrywaniem żalem zawiadomić prenumeratorów mojego noworocznego biuletynu, iż nie powinni w tym roku na listonosza czekać. Z dwóch znowu przyczyn. Po pierwsze, nie miałem (patrz komunikat nr 1) czasu, a reszta rodziny jest niepiśmienna i po prostu leniwa. Po drugie, życie nasze stało się banalne, ot, mała stabilizacja po sześciu prawie latach od tzw. wydarzeń marcowych. Być może, że z okazji jakichś naprawdę ważnych wydarzeń (nie marcowych, broń Boże) wydawać będziemy biuletyny specjalne, na razie zaś najlepsze życzenia noworoczne i raczej do widzenia niż do czytania.

Dosięgo Roku!

Pisane 15 grudnia 1974

B.

Sąsiedzi**Kronika ukraińskiego oporu**

O tym, że opór ten istnieje, dowiedzieliśmy się na Zachodzie z dużym opóźnieniem. Gdy *Kultura* publikowała pierwsze utwory Siniawskiego i Daniela, z Ukrainy nie mieliśmy jeszcze żadnego znaku. To zresztą zrozumiałe — Kijów, geograficznie położony bliżej Zachodu niż Moskwa, politycznie oddalony jest o wiele bardziej, jest niemal nieosiągalny. Stolica ta niby to ma rząd z ministerstwem spraw zagranicznych, ale nikt nie wie, co to ministerstwo robi, ponieważ w Kijowie nie ma nie tylko ambasad, ale nawet konsulatów państw świata niekomunistycznego; nie ma też korespondentów zagranicznych, tak czynnie pośredniczących w przekazywaniu niedozwolonych wiadomości z Moskwy na Zachód. Kijów otaczało głucho milczenie i trudno było uwierzyć, że tli się tam iskra oporu.

W połowie lat 60-tych zaczęły przenikać wiadomości o fermentach w kręgach literackich, o pojawieniu się ulotek antyreżymowych, a prawdziwym gromem z jasnego nieba stała się dla nas książka Wiaczesława Czornowiła „Rozumnemu biada” (*Lycho z rozumu*), która przedostała się przez żelazną kurtynę i wyszła drukiem w Paryżu w 1967 roku. Z niej i z innych dokumentów, które zaczęły docierać coraz częściej, dowiedzieliśmy się, że walka z dyskryminacją narodową na Ukrainie toczyła się już wówczas od dobrych dziesięciu lat. Postaram się dać krótką jej kronikę.

Rok 1956. Chruszczow ogłasza na XX zjeździe KPZS destalinizację, walkę z „kultem jednostki”. Na pierwszą wieść o tym (według naocznych świadków) cały Kijów wyległ na ulicę. To było coś nowego. Po wielkich nadziejach szybko jednak nastąpiło gorzkie rozczarowanie; tak szybko, że dni te wspomina się już jak zamierzchłe dzieje.

W drugiej połowie lat 50-tych w Iwano-Frankiwsku (Stanisławowie) powstała Zjednoczona Partia Wyzwolenia Ukrainy. Jej celem była walka o niezależność od Moskwy. W grudniu 1958

zaaresztowano z tego powodu ok. dziesięciu ludzi a w marcu następnego roku na zamkniętym procesie skazano ich na rozmaite kary więzienia.

Następna chronologicznie była tzw. „sprawa prawników” — nazwa pochodzi stąd, że wszyscy podsądni pracowali w sowieckim sądownictwie. Przywódca tej grupy Lew Łukianenko (ur. 1927), pochodzący z okolic Czernihowa, ukończył był uniwersytet moskiewski i od 1957 roku pracował na Ukrainie. W tym to czasie dojrzał w nim przekonanie o konieczności wyzwolenia Ukrainy spod dominacji Rosji i w 1959 wraz z grupą podobnie myślących założył Ukraiński Związek Robotniczo-Chłopski, którego głównym zadaniem było — przy użyciu dróg całkowicie legalnych, w oparciu o odpowiednie artykuły konstytucji ZSSR i republiki ukraińskiej oraz pisma Lenina — domagać się wystąpienia Ukrainy ze Związku Sowieckiego. Cała ta grupa prawników, mimo wyraźnie podkreślonej legalności jej działań, została w styczniu 1961 roku aresztowana pod zarzutem prób „oderwania Ukrainy od Rosji”. W procesie, który odbył się w maju 1961 roku Łukianenko został skazany na karę śmierci (zamienioną na 15 lat więzienia), a reszta dostała wyroki więzienia różnej długości.

Taka jest logika walki z despotycznym reżymem, że mówiąc o ogniskach oporu, niemal zawsze jest się zmuszony do wyliczania kar, jakie spadły na jej uczestników. Tak też, niestety, będzie i w mojej kronice, aż do końca.

Niemal równocześnie z procesem prawników toczył się w grudniu 1961 we Lwowie proces Ukraińskiego Komitetu Narodowego. Brak bliższych danych o działalności tej organizacji. Droga pośrednią wiadomo tylko, że cele jej były takie same: domaganie się wystąpienia Ukrainy ze Związku Sowieckiego. W sprawie tej na ławie oskarżonych zasiadło ok. 20 osób: Dwie z nich — Iwan Kowal i Bohdan Hrycyna — zostały skazane na rozstrzelanie i tym razem wyrok wykonano. Wszyscy pozostali dostali po 15, 12 i 10 lat więzienia.

Jest rzeczą oczywistą, że organizacje te i procesy nie były zjawiskami izolowanymi. Były przejawem protestu, narastającego w szerokich kręgach społeczeństwa, chociaż nie możemy stwierdzić z całą dokładnością, jakie środowiska protest ten obejmował. Dotychczas wiadomo tylko, że na początku lat 60-tych ruch antyreżymowy miał szczególnie szeroki zasięg w kołach literackich. Głównym jego celem była walka z atakami mocarstwowego szowinizmu rosyjskiego, dyskryminacją narodową i przymusową rusyfikacją całego życia kulturalnego. Ruch ten był bardzo zróżnicowany: od mniej lub bardziej legalnych form „odchylenia burżuazyjno-nacjonalistycznego” aż po czyny, określane przez władze jako „zdrada ojczyzny” i „osłabianie władzy sowieckiej”. Odpowiadało temu zróżnicowanie kar: od zakazu publikowania i wykluczenia ze związku pisarzy aż po więzienie. Wśród młodych poetów, którzy ze względu na okres ich debiutów nazywani byli pokoleniem lat 60-tych, wyróżnił się szczególnie swymi satyrycznymi, ostro antyreżymowymi wierszami Wasyl

Symonenko, zmarły w 1963, którego utwory po dziś dzień należą do kanonu samizdatowej poezji.

Z pokolenia lat 60-tych wyłoniło się kilku utalentowanych krytyków literackich: Iwan Dziuba, Iwan Switycznyj, Ewhen Swerstjuk i in. Wszyscy oni stali się później znanymi działaczami ruchu oporu, choć ostateczne ich losy potoczyły się różnie; podczas gdy obaj ostatni padli ofiarą terroru i obecnie przebywają na zesłaniu, Iwan Dziuba skapitulował przed reżymem i w ten sposób znalazł się poza grą. Mimo to opowiem o nim jeszcze nieco więcej.

W okresie, o którym mowa, urodzony (w 1931) w Donbasie Dziuba wysuwał się na pierwsze miejsce. Autor znakomitych esejów krytycznoliterackich, skierowanych otwarcie przeciw dogmatom realizmu socjalistycznego, w połowie lat 60-tych wyraźnie stawał się głównym ideologiem ukraińskiego ruchu oporu.

Wtedy to pierwszy sekretarz KC partii komunistycznej Ukrainy, Petro Szelest, będący z urzędu jako namiestnik Moskwy pierwszą osobą na Ukrainie, popełnił błąd. Pod naciskiem żywiołowo narastającego protestu przeciw uciskowi narodowemu, chcąc dokładnie poznać korzenie całego ruchu, zaproponował Dziubie opracowanie w syntetycznej formie narodowych pretensji Ukraińców. Dziuba przyjął propozycję i na podstawie obszernego materiału z historii Rosji, opierając się na pismach wodzów partii, między innymi i Lenina, wywiódł, że ZSSR w dziedzinie narodowej jest kontynuatorem polityki Rosji carskiej, że pod przykrywką frazeologii internacjonalistycznej kryje się mocarstwowy szowinizm rosyjski i że ucisk narodowy i rusyfikacja przybrały formy jeszcze brutalniejsze niż przed rewolucją.

KC partii powielił rękopis Dziuby w jakichś 100 egzemplarzach i rozpowszechnił go wśród góry partyjnej celem przygotowania zamkniętej dyskusji. Zaistniała paradoksalna sytuacja: książka, napisana z inicjatywy i na zamówienie samej partii, z tegoż KC przedostała się do kanałów samizdatu i stała się głównym dokumentem ukraińskiego ruchu oporu. Taka jest geneza dzieła Iwana Dziuby pt. „Internacjonalizm czy rusyfikacja?”.

Dziuba zaadresował swą książkę do Piotra Szelesta osobiście i jako datę podał grudzień 1965 roku. Trudno powiedzieć, jakie było jej oddziaływanie (lub raczej oddziaływanie pracy nad nią autora), faktem jest jednak, że ukazanie jej zbiegło się z jednym z kulminacyjnych momentów ukraińskiego ruchu oporu, który w tym czasie ogarniał coraz szersze kręgi inteligencji. KGB odpowiedział skoncentrowanym uderzeniem i w końcu 1965 i początku następnego roku przeprowadziło masowe aresztowania, po których w różnych miesiącach 1966 roku kilkudziesięciu oskarżonych stanęło przed sądem na zamkniętych rozprawach.

Długo trwałoby wyliczanie wszystkich, którzy zostali wówczas skazani. Jedni odbyli już swe wyroki i żyją obecnie pod surowym nadzorem policyjnym, inni zdążyli już w międzyczasie stanąć przed sądem po raz drugi czy trzeci i odsiadują następne wyroki w więzieniu we Włodzimierzu lub w mordwińskich obo-

zach. Wymienię tylko najbardziej znanych. Należą do nich: pedagog i autor ciekawych prac z zakresu psychologii pracy Mychajło Horyń (ur. 1930), skazany na 6 lat łagrów o obostrzonym reżymie; instruktor KC partii na okręg lwowski Mychajło Osadczyj (ur. 1936) — 2 lata łagru o obostrzonym reżymie — który po odbyciu kary napisał książkę o swych doświadczeniach więziennych pt. „Bielmo” (ukazała się niedawno w tłumaczeniu francuskim) i który za to od 1972 przebywa ponownie za kratami; znany malarz rodem z okolic Charkowa Panas Zaliwacha (ur. 1925) — 5 lat łagru o obostrzonym reżymie; literat z chersońskiego, Mychajło Masiutko (ur. 1918) — 6 lat łagru o obostrzonym reżymie; pracownik żytomierskiej drukarni Anatol Szewczuk (ur. 1937) — 5 lat łagru o obostrzonym reżymie. Tak po kolei wygląda dokumentacja dotycząca kar dwudziestu osób. Oskarżenie wszystkich jest identyczne: „antysowiecka propaganda i agitacja”. Materiały dotyczące tych dwudziestu osób stanowią właśnie przedmiot wspomnianej książki Wjaczesława Czornowiła „Rozumne biada”. Spośród pozostałych osób, opisanych w książce Czornowiła wymienić należy postać dziś już niemal legendarną (jak gdyby więzienie we Włodzimierzu, w którym przebywał, nie było aż nadto konkretne) Swiatosława Karawanskij (ur. 1920), pochodzącego z Odessy. Aresztowany był po raz pierwszy za przynależność do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) w 1944 i skazany w 1945 roku na 25 lat.

W 1960 Karawanskij został objęty amnestią i po 16 latach i 5 miesiącach uwięzienia wyszedł na wolność. Pracując jako lingwista i literat nie przestał walczyć i protestować przeciw dyskryminacji narodowej, pisząc protesty do wszystkich instancji rządowych, nawet do konsula czechosłowackiego i polskiego i do zagranicznych partii komunistycznych (m.in. do Gomułki osobiście), za co jesienią 1965 został aresztowany i skazany na dokończenie 25-letniego wyroku. Są realne podstawy do obaw, że wyrok ten będzie przedłużany aż do końca życia więźnia. Nie bacząc na tę perspektywę Karawanskij nie odstąpił od swych poglądów, mimo ponętnych propozycji ze strony KGB.

Wreszcie w książce Czornowiła pojawia się po raz pierwszy nazwisko Walentyna Moroza (ur. 1936), pochodzącego z Wołynia, skazanego również za „antysowiecką propagandę i agitację” na 5 lat łagrów o obostrzonym reżymie. Wkrótce miał stać się on czołową postacią ukraińskiego ruchu oporu.

Zeby skończyć z książką Czornowiła, należy powiedzieć, że od czasu jej ukazania się w samizdacie (jest datowana 20. 4. 1967) autor jej znalazł się na czołowym miejscu wśród ludzi, którzy ryzykując własnym życiem, prowadzą walkę z „rusyfikacją organów państwowych, szkół, uniwersytetów, instytucji kulturalnych...”, z „ekonomicznym niedorozwojem większości okręgów Ukrainy i przymusową emigracją Ukraińców na Syberię...”, ze „sztucznie spowodowaną zmianą składu etnicznego Ukraińskiej SSR” itd. (z przedmowy Czornowiła do książki „Rozumnemu biada”).

Czornowiła aresztowano w trzy miesiące po ukazaniu się jego książki i skazano na 3 lata łagrów o obostrzonym reżymie za... „propagandę i agitację antysowiecką”. Odsiedział półtora roku. Po wyjściu z więzienia nadal występował przeciw bezprawiu zamkniętych rozpraw i represji, za co znów został aresztowany w styczniu 1972 a w marcu 1973 skazany na 7 lat łagrów o obostrzonym reżymie.

Ale póki jesteśmy w naszej kronice w połowie lat 60-tych warto jeszcze wrócić do Piotra Szelesta, ponieważ w naszej historii gra on niemałą rolę: jako członek najwyższego organu sowieckiego — politbiura KC KPZS brał on udział w układaniu planów pogromu ukraińskiej kultury. Jednak trudność jego sytuacji w porównaniu z innymi członkami politbiura polegała na tym, że jako namiestnik Moskwy na Ukrainie musiał sam te plany wykonywać: co oznaczało wrogi stosunek całej świadomej ludności na Ukrainie, szczególnie inteligencji. Należało robić dobrą minę do złej gry i choćby na pokaz udawać „ojcowską troskę” względem ukraińskiej kultury.

I tutaj Szelest dopuścił się drugiego błędu: w 1966 wystąpił na zjeździe pisarzy Ukrainy z przemówieniem, w którym „po ojcowsku” powiedział parę słów o potrzebie kultywowania języka ukraińskiego. Nikt oczywiście nie wierzył w szczerść tych słów, ale pisarze wykorzystali okazję i z trybuny zjazdu jednogłośnie zaprotestowali przeciw agresji wielkorosyjskiego szowinizmu i dyskryminacji ukraińskiej kultury. Całkowicie lojalny wobec reżymu ówczesny przewodniczący Związku Pisarzy Ukrainy Ołeś Honczar powiedział w swym przemówieniu sprawozdawczym, że status prawny języka ukraińskiego w szkole jest gorszy, niż języków obcych. Inni stwierdzali, że Ukraińcy przestali być gospodarzami swojej kultury (Witalij Korotycz), że są dyskryminowani na rzecz Rosjan we wszystkim, nawet w przydziałach papieru dla wydawnictw (Wiktor Korż). W ogólnej atmosferze protestu, panującej na zjeździe, nawet reżymowych krytyk Leonid Nowyczenko potępił tych literatów rosyjskich, którzy już zaczęli mówić o „braku perspektyw” takich języków jak ukraiński, jakoby skazanych na wymarcie. Nowyczenko miał na myśli znanego literata rosyjskiego Kornelija Zielińskiego. Tak się zdarzyło w historii sowieckiej literatury ukraińskiej, że zjazd pisarzy zamienił się w legalną trybunę oporu*.

Jak świadczą aresztowania lat 1965-66, ośrodkami ruchu oporu były Kijów i Lwów, ale rozszerzył się on też na miasta prowincjonalne, potwierdzone aresztowaniami w Odessie i Chersoniu, Charkowie i w Donbasie. W końcu 1969 wynikła głośna sprawa w Dniepropietrowsku: grupa młodych poetów, uczonych i studentów zwróciła się z listem do kierowników partii i rządu Ukrainy z protestem przeciw narodowej dyskryminacji, wyraża-

*(Odnosiłnik autora): Dokładniejsza dokumentacja na temat wszystkiego, co zostało dotychczas powiedziane znajduje się w mojej książce: „Ukraina 1956-1968”, Instytut Literacki, Paryż 1969.

jącej się systematycznym prześladowaniem świadomych swej odrębności Ukraińców. Autorzy przytoczyli dziesiątki przykładów aresztowań, zwolnień z pracy, etc.

„Zwracamy Waszą uwagę — pisali autorzy listu — komunistów, przywódców i działaczy społecznych naszego suwerennego państwa, Ukraińskiej SSR, jednego z państw-założycieli ONZ, na pogromową wrzawę, trwającą już od kilku miesięcy w rejonie Dniepropietrowska, na dzikie i bezsensowne prześladowania uczciwych i oddanych sprawie budowania komunizmu Ukraińców. Ta kampania jest tak bezlitosna i bezwzględna, że błędna wobec niej najdziksze, znane całemu światu wyczyny chińskich hunwejbików”.

Na zakończenie listu autorzy zapytują:

„Szanowni towarzysze, wyjaśnijcie nam łaskawie, o jakim „niebezpieczeństwie nacjonalistycznym” wreszczą świadomi i nieświadomi 'przyjaciele' narodu ukraińskiego? Kto dał im prawo deptać brudnym rusyfiatorskim butem ukraińską godność narodową?”.

W liście przytoczono dziesiątki nazwisk ludzi ukaranych za tę czy inną formę protestu przeciw rusyfikacji. Niekiedy karano za to (co jest przykładem, do jakiego stopnia doszedł ucisk narodowy na Ukrainie), że poeta... zaczął pisać po ukraińsku (W. Sirienko).

Sprawa „Listu młodzieży twórczej z Dniepropietrowska” (pod taką nazwą przeszła ona do historii ruchu ukraińskiego) wywołała nowe represje: w procesie w styczniu 1970 roku, za napisanie i rozpowszechnienie tego listu zostali skazani w Dniepropietrowsku na różne kary więzienia: poeta Iwan Sokulskij, student Mykoła Kulczynskij, asystent Instytutu Metalurgicznego Wiktor Sawczenko.

Rok 1970: okres kiedy w Moskwie KGB trzęsło się w bezsilnej wściekłości, że nie udaje mu się w żaden sposób zapobiec ukazywaniu się „Kroniki bieżących wydarzeń” i analogicznego wydawnictwa ukraińskiego „Ukraińskiego herolda”. Powstają plany zmasowanego ataku na ruch podziemny. I to w tych okolicznościach Petro Szelest dopuszcza się trzeciej pomyłki: wydaje w 100-tysięcznym nakładzie książkę „Ukraino nasza sowiecka” (1970). Był to rodzaj prymitywnego przewodnika po Ukrainie i te wycieczki partyjnego biurokraty z punktu widzenia literackiego równały się zeru. Początkowo nikt nie zwrócił uwagi na ukazanie się tej książki. Ale akurat wtedy w głowach moskiewskich wodzów dojrzywała myśl, by zakazać (źle widziane było to już od dawna) odwoływania się do historii Ukrainy, by nie rodmuchiwać „burżuazyjnego nacjonalizmu”. A tu sam Szelest dał zły przykład: będąc „gospodarzem” Ukrainy i chcąc pochwalić się swym majątkiem, wychylił się we wspomnianej książce mówiąc o sławie Zaporozia.

Trzeciej „pomyłki” Szelestowi nie wybaczone i choć utrzymał się jeszcze przez pewien czas na Ukrainie. Gdy wreszcie na początku 1973 zapadła decyzja usunięcia Szelesta z Ukrainy, prasa

zachodnia pobiła rekordy swej naiwności. Dotychczas zamieszczała jego portrety z uwagą „twardy Piotr Szelest” — obecnie skłonna była zaliczyć go do grona ukraińskich nacjonalistów. Można sądzić, że z punktu widzenia moskiewskiego politbiura brakowało mu właśnie twardości, ale o jakiegokolwiek sentymenty względem ukraińskiego nacjonalizmu podejrzewać go nie podobna. Taki jest po prostu los wszystkich namiestników na Ukrainie: pod naporem żywiołu nacjonalistycznego są zmuszeni przejawiać choćby na pokaz troskę o powierzony im kraj, a w Moskwie uchodzi to za słabość. Taki był koniec nie tylko Szelesta, ale w 1936 roku i jego poprzednika Pawła Postyszewa. Powróćmy jednak do kroniki oporu.

W czasie, gdy w Moskwie tuszowano sprawę Szelesta, po Ukrainie przetoczyła się fala terroru. Prologiem do niego stała się tragiczna śmierć uczonego-botanika, członka rzeczywistego Akademii Nauk w Kijowie, Dmytra Zerowa. Nazwisko to jest dobrze znane na Ukrainie. Jeden z jego braci, Mykoła Zerow, poeta i badacz literatury, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach na zesłaniu; drugi, również poeta, Mychajło Zerow (Orest) zmarł na emigracji w 1963 roku. Dmytro Zerow do ostatnich swych dni nie podlegał żadnym prześladowaniom (w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo) i kierował Instytutem botaniki AN, będąc członkiem jego prezydium. Ale wreszcie 76-letni uczone nie wytrzymał i w grudniu 1973 na zebraniu partyjnym w Akademii wystąpił z ostrym przemówieniem przeciw dyskryminacji narodowej — i padł martwy, nie schodząc z trybuny. Pogrzeb Dmytra Zerowa przekształcił się w wielką demonstrację polityczną.

W pierwszej połowie stycznia 1972 miały miejsce masowe aresztowania działaczy ruchu oporu na całej Ukrainie. W Kijowie zostali zaaresztowani:

— Iwan Switłyčnýj, wspomniany już literat, oskarżony o przekazywanie za granicę literatury samizdatowej, znalezionej u niego w czasie rewizji. W marcu 1973 został skazany na 7 lat łagru o obostrzonym reżymie i 5 lat zesłania;

— Wasyl Stus (32 lata), poeta i krytyk, którego zbiór poezji ukazał się za granicą w 1965 roku — uprzednio zatrudniony jako pracownik naukowy Instytutu literatury AN i zwolniony z niego po ukazaniu się książki — pracował w nie swoim zawodzie. Oskarżony o pisanie protestów i przekazywanie samizdatowej literatury za granicę, na procesie z 31 sierpnia - 7 września 1972 skazany na 5 lat łagrów o obostrzonym reżymie i 3 lata zesłania;

— Ewen Swerstiuk, znany krytyk literacki, współuczestnik protestów przeciw dyskryminacji kultury ukraińskiej, autor szeregu esejów, krążących w samizdacie, szczególnie „Katedra wśród rusztowań” i „Kotlarewskij się śmieje”, skazany w kwietniu 1973 na 7 lat łagrów o obostrzonym reżymie i 5 lat zesłania;

— Leonid Plusz, matematyk, członek grupy dla ochrony praw człowieka w ZSSR, podpisywał, wraz z innymi członkami grupy,

protesty przeciw aresztowaniom i naruszaniu praworządności. Przez „ekspertów” lekarskich uznany za niepczytalnego i skazany na bezterminowe leczenie w dniepropietrowskiej specjalnej klinice psychiatrycznej;

— Mykoła Płachotniuk, lekarz, lat 36, oskarżony o kolportowanie wydawanego w samizdacie „Ukraińskiego herolda” i innej zabronionej literatury. Uznany przez „ekspertów” medycznych za niepczytalnego i postanowieniem sądu skazany na przymusowe leczenie w klinice psychiatrycznej, aby po jego zakończeniu ponownie stanąć przed sądem.

Można cytować coraz to inne nazwiska, ale rozmiar artykułu nie pozwala na podanie pełnego rejestru aresztowanych i skazanych za różne akcje protestacyjne w samym tylko Kijowie.

W tym samym czasie w styczniu 1972 we Lwowie zaaresztowani zostali:

— Wjaczesław Czornowił, wspomniany już autor książki „Rozumnemu biada”; małżonkowie Ihor Kałyneć i Iryna Sasiw, obydwoje poci, skazani na długoletnie więzienie;

— były pracownik okręgowych komitetów partii i Komsomołu we Lwowie, autor opublikowanej w samizdacie książki „Bielmo”, Mychajło Osadczyj, o którym była już mowa powyżej;

— Iwan Hel, ślusarz lwowski; aresztowany w 1965 i w procesie w marcu 1966 skazany za „antysowiecką propagandę i agitację” na 3 lata łagrów; po odbyciu kary powrócił do Lwowa, ale w procesie 1972, oskarżony o to samo, dostał 5 lat łagru o reżymie specjalnym, 5 lat — obostrzonym, i 5 lat zesłania: łącznie 15 lat.

Ten lwowski przegląd jest oczywiście niepełny.

W lutym 1972 w Nałczyku (północny Kaukaz) aresztowano Jurija Szuchewycza. Urodzony w 1933, jeszcze jako chłopak więziony był za to, że jego ojciec Roman Szuchewycz był generałem UPA. I w więzieniu i w czasie krótkiego pobytu na wolności oparł się stanowczo żądaniom KGB, by potępił nacjonalizm ukraiński i działalność ojca; napisał wspomnienia, odebrane mu przy aresztowaniu. Z nowego wyroku dostał 5 lat więzienia, 5 lat łagrów o obostrzonym reżymie i 5 lat zesłania: razem 15 lat.

Wtedy, również w Nałczyku, zaaresztowana została żona Swiatosława Karawańskiego (o którym była mowa wyżej) Nina Strokatej — za to, że się nie zgodziła wyrzec męża, domagała się jego zwolnienia i protestowała przeciw samowoli rosyjskiego imperializmu, szczególnie w Odessie.

Proces N. Strokatej i sądownego razem z nią Oleksija Reznikowa odbył się w Odessie 4-8 maja 1972. Dla oddania atmosfery tego i podobnych procesów wystarczy przytoczyć krótkie sprawozdanie za „Kroniką bieżących wydarzeń” (Nr 28, grudzień 1972):

„Do wiadomości Kroniki dotarły szczegóły procesu przeciw Ninie Strokatej, Oleksiejowi Siergiejowiczowi Reznikow i Oleksiejowi Pritoka, który odbył się 4-8 maja 1972 w Odessie.

Ponieważ głównym motywem oskarżenia były 'nastroje burżuazyjno-nacjonalistyczne' Strokatej, zarzut, że 'ulegała wpływowi' swego męża, 'szpiega i rezydentysty' (sformułowanie prokuratora), Swiatosława Karawańskiego, proces toczył się demonstracyjnie w języku ukraińskim. Tym niemniej wszelkie pytania Strokatej i Reznikowa do świadków na temat sytuacji Ukraińców i innych narodowości w Związku Sowieckim sąd uchylał, jako 'nie mające związku ze sprawą'. Jako przykład może służyć następujące pytanie Strokatej: 'Czy świadek przypomina sobie, że do 1941 roku w Odessie istniały szkoły z językami wykładowymi ukraińskim, ormiańskim i żydowskim? Ponieważ jestem zdania, że szkoły z ojczystym językiem wykładowym powinny istnieć w całym Związku Sowieckim, czy nie mogłabym na tej podstawie zostać uznana za nacjonalistkę żydowską?!' Na pytanie Strokatej skierowane do świadka Parchomienki (redaktor gazety rejonowej w Bałcie „Trybuna narodowa”), czy używa wyrażenia 'patriotyzm ukraiński' ten odpowiedział, że 'takiego patriotyzmu nie ma; jest tylko sowiecki'. Tenże świadek, wraz ze swym zastępcą Cyngą, złożył przed sądem 'obciążające' zeznanie: Reznikow, po wysłuchaniu na koncercie amatorskim 'Międzynarodówki' powiedział, że pieśń ta 'dobrze brzmi po ukraińsku'.

Przyjaciół i znajomych oskarżonych do budynku sądowego nie wpuszczono, a dwie nieznanne osoby komentując to, nazwały ich 'zdrajcami' i 'banderowcami' ('niepodległości im się zachciało') i obrzuciły wyzwiskami. Te dwie damy były później też obecne na sali sądowej”.

W lutym 1972 został aresztowany Dmytro Szumuk. Losy tego więźnia są wyjątkowo ciekawe. Urodzony w 1914 na Wołyniu Szumuk był aktywnym działaczem Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy; aresztowany jako 19-letni chłopak przez władze polskie został skazany na 8 lat więzienia. Uwolniony w 1939 Szumuk spotkał się twarzą w twarz z marzeniem swego życia — sowieckim komunizmem. Spotkanie to skończyło się tak, że powołany w 1941 do sowieckiej armii Szumuk nie zamierzał walczyć za Stalina, ukrywał się na Ukrainie i wstąpił do UPA. Aresztowany w 1945 przez sowiecką policję i skazany na karę śmierci, zamienioną na 20 lat więzienia, odbywał karę na dalekiej Północy. W 1953 Szumuk był jednym z organizatorów powstania więźniów politycznych w Norylsku, znów ryzykując wyrok śmierci. W 1956 na podstawie amnestii wyszedł jednak na wolność. Dwa lata później (w 1958) został ponownie aresztowany i skazany na 10 lat. Przy rewizji znaleziono u niego pierwszy tom jego pamiętników. Odsiedziawszy i ten wyrok osiedlił się w okolicy Kijowa, pracując jako stróż. W tym krótkim okresie wolności napisał drugi tom pamiętników, który dotarł na Zachód i został wydany pt. „Za wschodnią granicą” (wyd. *Smołskyp*, Paryż-Baltimore 1974). Podaję dokładniejsze dane o tej książce, ponieważ Szumuk w obu swych wcieleniach — komunisty i później nacjonalisty — porusza w niej kwestie stosunków polsko-ukraińskich szczerze, bez tendencyjnej interpretacji.

Zanim jednak doszło do publikacji wspomnianej książki Szumuk w wyniku procesu, który odbył się w dniach 5-7 lipca 1972, został skazany za „działalność antysowiecką” na 10 lat łagrów o reżymie specjalnym i 5 lat zesłania. Odbywa karę w obozach mordwińskich. 10 października 1972 Szumuk zwrócił się do

Rady Najwyższej ZSSR, która zajmuje się rozpatrywaniem podań, z oświadczeniem: „... proszę Prezydium Rady Najwyższej ZSSR o zwolnienie mnie z sowieckiego obywatelstwa. Łatwiej przyjdzie mi umrzeć... w ciężkiej niewoli poza granicami Ukrainy, nie będąc obywatelem ZSSR”.

Dla oddania kolorytu warto wspomnieć inny jeszcze wypadek raczej tragicomiczny. Borys Kowhar (47 lat), członek partii, pracował do swego aresztowania jako kierownik działu zbiorów kijowskiego muzeum architektury i tenografii, a równocześnie jako konfident KGB. Polecono mu śledzić I. Honczara, O. Siergiejenkę, Ł. Jacenkę — kierownika administracyjnego związanego (za nacjonalizm) chóru „Homin” („Głos”) i poetę M. Chołodnyja. Wszyscy oni byli czynnymi działaczami oporu. Kowhar jakoś nie wytrzymał tego dodatkowego obciążenia i rozpowszechnił drogą samizdatu list otwarty, skierowany do śledczego KGB, któremu podlegał. List zawierał szczegóły z psychologii i technologii współpracy z KGB. Aresztowany i uznany we wrześniu 1972 przez sąd za chorego psychicznie, Kowhar został skazany na przymusowe leczenie w klinice psychiatrycznej aby po „wyleczeniu” móc ponownie stanąć przed sądem.

Kronika nasza dobiega już prawie do dnia dzisiejszego, ale gdybym ją na tym zakończył, byłaby stanowczo niepełna. Należy uzupełnić ją przynajmniej ogólnymi uwagami na temat rozszerzania się ruchu oporu.

Mówię „ogólnymi”, ponieważ nie trzeba dodawać, że nie możemy — oraz dlaczego nie możemy — operować konkretnymi danymi statystycznymi. Tym niemniej pewne formy zorganizowanej walki dadzą się uchwalić z dość dużą dokładnością. Chodzi tu o wypadki, gdzie można konkretnie zidentyfikować ludzi, którzy pojedynczo lub zbiorowo i nie anonimowo zwracali się do partyjno-rządowych dostojników, podając swoje nazwiska i nawet adresy, a także ludzi, którzy puszczali w obieg samizdatu własne utwory względnie zostali przychwyteni przez władze na rozpowszechnianiu cudzych. Jeden z uważnych obserwatorów tego problemu ocenia liczbę tych osób na ok. 600.

Trudno zresztą mówić o statystyce w wypadkach nieprzewidzianego przez władzę przekształcania się całkowicie legalnych zebrań we wrogie jej polityczne meetingi, jak np. wspomniany przeze mnie zjazd pisarzy, czy też konferencja językoznawcza w Kijowie w 1963 roku, której uczestnicy nie tylko zaprotestowali przeciw rusyfikacji, ale ponadto zażądali oficjalnie od rządu wznowienia wykładów w języku ukraińskim nie tylko w szkołach podstawowych, ale i w średnich zawodowych oraz wyższych. W takich wypadkach można mówić o setkach uczestników.

Statystyka staje się zupełnie bezsilna wówczas, gdy mowa o żywiołowych wystąpieniach o charakterze masowym, przy różnych okazjach. Wspomniałem już o pogrzebie D. Zerowa, który zamienił się w manifestację polityczną; to samo zaszło w styczniu 1965 na pogrzebie popularnego poety Władimira Sosjury, a jeszcze wyraźniejszy charakter polityczny miał pogrzeb malarki

Ałły Horskiej, czynnej działaczki ruchu oporu, zamordowanej w tajemniczych okolicznościach 28 listopada 1970.

Takimi samymi demonstracjami politycznymi, w których brały udział tysiące ludzi, były wieczory literackie organizowane bez zgody władz, na których czytano zabronione utwory i które były rozprasane przez milicję z pomocą drużynników. Tradycyjnymi stały się doroczne zgromadzenia pod pomnikiem Tarasa Szewczenki w Kijowie w rocznicę sprowadzenia jego zwłok z Petersburga na Ukrainę, przypadającą na początek maja. Istnieją inne jeszcze formy masowego oporu, w których uczestniczą tysiące ludzi.

Co jest w tym oporze rzeczą nową, to powstanie nowego psychologicznego typu ludzkiego, który przewyciężył strach i nie boi się, jak za czasów stalinowskich, przeciwstawić się despotycznemu reżymowi. Na Ukrainie typ ten nazywany jest nacjonalistą. Tak też jest w ostatecznym rozrachunku. Ale początkiem jest tu wystąpienie na rzecz prawdy i godności ludzkiej, co w ukraińskich warunkach oznacza walkę przeciw zaplanowanemu przez rosyjski imperializm unicestwieniu narodu ukraińskiego — nie tylko zaplanowanemu, ale i bez skrupułów realizowanemu.

Umowę perejaśławską (1654) Bohdana Chmielnickiego z carem moskiewskim oficjalna historiografia traktuje jako „zjednoczenie”, które uszczęśliwiło naród ukraiński. Oczywiście bzdura. Historyk Mychajło Brajczewskij w połowie lat 60-tych pisze polemiczny artykuł, w którym dowodzi, że było to nie „zjednoczenie”, a „przyłączenie”, w następstwie którego Ukraina znalazła się w stanie zależności i doznawała i doznaje ucisku narodowego. Pracy oczywiście nie drukują i zostaje rozpowszechniona drogą samizdatu. Autor jej wystąpił w imię prawdy historycznej i został zaliczony do „burżuazyjnych nacjonalistów”. Jeszcze go nie karzą sądownie, ale zwalniają z pracy w Instytucie historii Akademii Nauk. Jest to tak zwane w literaturze samizdatowej „prześadowanie pozasądowe”.

Już od jakichś dziesięciu lat prześladowane są tłumacze za to, że w ich przekładach język ukraiński jest bogatszy, niż w literaturze oryginalnej. Że bogatszy — to prawda, bo na powieść o kołchozach wystarcza słownictwo partyjnej gazety „Sowiecka Ukraina”, ale jak przełożyć nawet popularną powieść zachodnią językiem kołchozowego brygadiera? Tłumacz z konieczności musi posługiwać się różnymi źródłami, ożywiać zapomniane w propagandowym języku słowa, tworzyć nowe. Krótko mówiąc, wzbogaca język, czyni go bardziej giętkim i tym samym pośrednio występuje przeciw rusyfikacji. Z tego powodu niemal wszyscy tłumacze oskarżani są o archaizację, tworzenie neologizmów itd.

Jest rzeczą logiczną, że jak biją, to w najważniejszych. I tak w kampanii przeciw tłumaczom pierwszymi ofiarami padli przywódcy powojennej szkoły przekładowej — Hrygorij Koczur i Mykoła Łukasz. Nazwisko Łukasza — lingwisty i znawcy licznych języków europejskich — raptem w połowie 1973 znikło z listy redaktorów czasopisma „Świat”. Wkrótce wyjaśniło się dlaczego:

gdy w 1972 zaarrestowano Iwana Dziubę i śledztwo w jego sprawie przeciągnęło się aż do 1973, Łukasz — nie pozbawiony szubienicznego humoru — zwrócił się z następującym podaniem do Sądu Najwyższego: Z uwagi na to, że Dziuba choruje na płuca i ma rodzinę, małego syna, pozwólcie mi odsiedzieć za niego jego wyrok. Będzie to tym sprawiedliwsze, że całkowicie podzielam jego poglądy.

W 1974 i Łukasza i Koczura (tego ostatniego za kontakty z zagranicznymi „nacjonalistami”) wykluczono ze Związku Pisarzy. To także jest „prześladowanie pozasądowe”. Na pozór lżejsze niż siedzenie za kratami. Ale jeśli jesteście pracownikami umysłowymi i nie pozwalają wam zarabiać na chleb w waszym zawodzie, to w rzeczywistości znajdujecie się poza prawem — spróbujcie wytrzymać to „lżejsze”, gdy żaden kołchoz nie ośmiela się wziąć was na stróża, bo jesteście „polityczni” — i szczęście miał ten poeta (konkretny wypadek), który znalazł choć tymczasową pracę w kołchozowej świniaarni.

Ale w murze strachu powstał wyłom. Nie zawsze dokładnie wiemy za jakie szczegółowe przewinienia ludzie są prześladowani sądownie i pozasądowo, ale potok wiadomości nie przestaje płynąć.

W Kijowie zwolniono z pracy dyrektora Instytutu archeologii Akademii Nauk, Fedora Szewczenkę, za „nacjonalizm”. Z tego samego Instytutu zwolniono pracownika naukowego Ołenę Apanowycz. Z Instytutu toponomastyki, folkloru i etnografii zwolniono pracowników naukowych Wasyla Skrypka i Tamarę Hirnyk. Rekord zwolnień pobił tak daleki od polityki zakład naukowy, jak Instytut botaniki Akademii Nauk, w którym po śmierci jego dyrektora Dmytra Zerowa zwolniono aż 22 pracowników.

We Lwowie, w Instytucie nauk społecznych AN, zaproponowano odejście „na własne żądanie” (bo inaczej by ich po prostu wyrzucono) 14-tu „niepożądanym” pracownikom. Wśród nich znajduje się wybitny znawca literatury i folkloru Hryhorij Nydna i pracownik naukowy Roman Kurcziw.

W kirowogradzkim Instytucie pedagogicznym zwolniono językoznawcę Wasyla Horbaczuka. W Czerkasach wykluczono ze Związku Pisarzy Wasyla Zacharczenkę „za zachowanie antyspołeczne, nie do pogodzenia z członkostwem organizacji pisarskiej”. Albo takie — bynajmniej nie wyjątkowe — zdarzenie, że 16-letniego ucznia szkoły w Kijowie bezustannie ciągną na przesłuchania w KGB, ponieważ bywał na zebraniach, gdzie czytano „antysowieckie wiersze” i brał udział w zabronionych uroczystościach pod pomnikiem Szewczenki.

Ten spis można by ciągnąć dalej. Maszyna KGB wciąż pracuje.

Nie można i nie należy przemilczać trudności i porażek ukraińskiego ruchu oporu, które w tych okolicznościach z konieczności istnieją i będą występowały. Oto jedna z głównych trudności: logicznie biorąc można by oczekiwać przyjaznej współpracy najsilniejszych w Związku Sowieckim ruchów oporu —

rosyjskiego i ukraińskiego; tymczasem właśnie jej brak. Jej miejsce zajmuje chłodny dystans.

Ryzykując zarzut, że występuję jako strona zainteresowana, chcę dobitnie i z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że dzieje się tak nie z winy Ukraińców. Rzecz w tym (niech mnie ewentualny oponent przekona przy pomocy faktów), że wszyscy działacze rosyjskiego ruchu oporu — jeśli już zabierają głos na temat ruchów narodowych — to albo wypowiadają się o nich negatywnie, albo delikatnie pomijają tę kwestię. Żaden z nich — a w tej liczbie także szanowany przez wszystkich Andriej Sacharow — nie wypowiedział swego zdania na temat problemu narodowościowego w Związku Sowieckim. Może też daremnie spodziewaliśmy się takich deklaracji od tych, którzy przebywają obecnie na Zachodzie i mają ręce rozwiązane.

Ukazujący się w samizdacie „Herold ukraiński” nie raz podejmował tę myśl, zarzucając Rosjanom pretensję do roli hegmona nad innymi narodami. Zwłaszcza gdy w rosyjskim samizdacie pojawił się „Program demokratów Rosji, Ukrainy i krajów nadbałtyckich” — „Herold ukraiński” kategorycznie odciął się od niego następującym oświadczeniem:

„Herold ukraiński’ z całkowitą odpowiedzialnością oświadcza, że *ukraińskie* koła demokratyczne nie brały udziału w opracowaniu i uchwaleniu tego dokumentu, który pretenduje do rangi programu. Słowo ‘Ukraina’ zostało umieszczone w tytule dokumentu albo w celach koniunkturalnych, albo świadczy o udziale w przygotowaniu dokumentu kół rosyjskich lub zrusyfikowanych z terenu Ukrainy”.

Mówiąc o porażkach, mam oczywiście na myśli nie smutny fakt, że każdy kto ośmiela się brać udział w ruchu oporu, jeśli nie znajduje się za kratami, to w każdym razie podlega bezprawnemu „prześladowaniu pozasądowemu”. To są bolesne klęski i tragedie osobiste tych, którzy zostali skazani na więzienie, niekiedy dożywotnie. Ale jest to i tryumfem, gdy człowiek, przewyciężając strach, przystępuje do walki z przemocą.

Porażka — to kapitulacja wobec przemocy. W ciągu niemal dwudziestu lat od narodzenia się ukraińskiego ruchu oporu były i one. Na szczęście, że wypadków takich było względnie mało. Ale kronikarz obowiązany jest wspomnieć i o nich, przynajmniej o tych, które miały największy rozgłos. Na nich właśnie porzestaną.

W marcu 1972 po krótkim przebywaniu w areszcie „pokażała się” Zinowja Franko (wnuczka Iwana Franki), która dotąd odznaczała się niezwykłą determinacją i aktywnością w przekazywaniu za granicę materiałów samizdatu i w protestach przeciw bezprawiu KGB. W lipcu tego samego roku poszedł w jej ślady jeden ze zdolniejszych poetów ruchu oporu, znany ze swych antyreżymowych utworów satyrycznych Mykoła Chołodnyj.

Chyba największą porażką była kapitulacja Iwana Dziuby. Od chwili ukazania się na Zachodzie, równocześnie w kilku językach,

jego książki „Internacjonalizm czy rusyfikacja?” zastosowano wobec niego wszelkie środki nacisku, zastraszenia i szantażu. Chodziło o zmuszenie go do sprostowania własnych słów. W styczniu 1970 roku pod groźbą wykluczenia ze Związku Pisarzy — co w jego wypadku byłoby zapowiedzią aresztowania — Dziuba ogłosił w prasie oświadczenie wyjaśniające jego stanowisko. Co prawda Dziuba nie wyrzekł się od niczego ze swej poprzedniej działalności, a jedynie podkreślił swoje przywiązanie do marksizmu i zapewnił, że jego poglądy nie mają nic wspólnego „z ideologią ukraińskiego burżuazyjnego nacjonalizmu”. Oświadczenie to wywołało żywą dyskusję w samizdacie. I jako główny przeciwnik Dziuby wystąpił Walentyn Moroz.

Wspomniałem już to nazwisko w związku z aresztowaniami i procesami lat 1965-66. Uprzednio wykładowca w instytucjach pedagogicznych w Łucku i Iwano-Frankiwsku, młody historyk Moroz (ur. 1936) dostał wtedy 5 lat łagrów o obostrzonym reżymie za „antysowiecką agitację i propagandę” i na kilka miesięcy przed oświadczeniem Dziuby — 1. 9. 1969 roku — wyszedł na wolność. Pozbawiony prawa pracy zajmował się spisywaniem twórczości ludowej w halickim, a równocześnie w samizdacie rozpowszechniany był jego esej „Reportaż z rezerwatu im. Berii”. To — mówiąc z grubsza — filozoficzne wyjaśnienie istoty GUŁagu, uczyniło nazwisko autora bardzo popularnym w kołach ukraińskich. Na oświadczenie Dziuby Moroz odpowiedział esejem „Wśród śniegów”, w którym zarzucał Dziubie, że ten, wysunąwszy się na czoło ukraińskiego ruchu oporu, nie ma prawa do takich wystąpień — nie ma prawa dawać złego przykładu innym. Ponadto Dziuba myli się, sądząc, że w jego oświadczeniu nie ma kapitulacji. Sam fakt wystąpienia przeciw „burżuazyjnemu nacjonalizmowi” jest ustępstwem wobec reżymu, który nie zmarnuje tej okazji i będzie domagał się dalszych ustępstw.

Moroz miał rację. Dziubę aresztowano w kwietniu 1972 roku i „przygotowywano” do procesu przez cały rok. Nie dopiąwszy niczego, w marcu 1973 zasądzono go na 5 lat więzienia. Ale nadal trzymano go w więzieniu w Kijowie, licząc na skłonienie go do kapitulacji, i w końcu cel osiągnięto: w listopadzie 1973 wyduszono z niego oświadczenie, w którym Dziuba odżegnywał się od wszystkiego, co mówił uprzednio i nawet zobowiązał się poddać krytyce własną książkę „Internacjonalizm czy rusyfikacja?”, stwierdzając na zakończenie, że dawnego Dziuby „nie ma i nie będzie”.

Jeszcze po pierwszym oświadczeniu Dziuby w 1970 — przewidując co może nastąpić dalej — Moroz pisał w esej „Wśród śniegów”: „Idea to niedość. Idea jest naga i sucha — potrzebne są żywe jej wcielenia. Prawda jest znana — potrzeba wiary. Szczerbaty ukraiński los upatrzyl sobie Iwana Dziubę. Szczerbaty ukraiński los złożył na jego barki brzemie symbolu. I zrzucić go na ziemię — nie godzi się...”.

Być może nikt z uczestników ówczesnej dyskusji nie zdawał sobie sprawy, że (mówiąc tym samym stylem) szczerbaty los

Ukrainy nie pozwolił, na szczęście, upaść symbolowi na ziemię i przełożył go już wtedy na barki Moroz, który w tym samym esej sformułował podstawowe założenie, mogące może stanowić jedyne oparcie w zmaganiach Ukrainy z tak niebezpiecznym wrogiem, jak imperialistyczna Moskwa: to właśnie, że mało samej idei, że trzeba wiary. I to wiary na przekór wszelkim argumentom tak zwanego „zdrowego rozsądku” aż po *nieugiętość* (*oderzymist*). W języku ukraińskim w tym pojęciu mieści się to, co wypowiedziała nasza poetka Łesia Ukrainka mówiąc: „i bez nadziei się spodziewać”. Od niej też zapożyczył je Moroz. A oto dalsze jego wyjaśnienia, jak rozumie nieugiętość:

„... Nieugięci nie zawsze znajdują ścieżkę, wiodącą w przyszłość — czasem zbaczają na bezdroża. Ale z uporem 'mądrych ziół' trwają na miejscu. Nie wszystkie nasiona, wysiane w czas mrozu, wzejdą. Większość ginie. Ale innego wyjścia nie ma. Dla narodu, który od wieków żyje w *epoce lodowej*, w okowach *wiecznej zimy*, jedynym wyjściem jest: 'zasiej kwiatki na mrozie' (słowa Łesi Ukrainki, I.K.). I sama Ukraina to kwiat, co wyrósł na mrozie. Ukraina jest przebijśnięciem. Żywotność Ukrainy to alogizm, irrealizm, paradoks, kpiący sobie z logiki 'realistów' — podobnie jak kwitnąca szarotka na kamiennych turniach. Ukraina żyje dzięki innej logice — logice nieugiętości”.

Ale dzięki *nieugięty*, którzy poszli na śmierć na skutek długotrwałego więzienia (do Ukraińców stosuje się inną miarę: niektórych Rosjan wypuszczają nawet za granicę — Ukraińców nigdy; trzymają ich za kratami aż do śmierci) poznano ukraiński ruch oporu i jego natężenie. Rozmiary artykułu nie pozwalają wyliczyć wszystkich nazwisk, więc narażając się na niesprawiedliwość względem pozostałych męczenników sprawy, wymieniam tylko nazwisko Walentyna Moroz, która stało się symbolem. Moroz w szkicu pt. „Zamiast ostatniego słowa” (miał na myśli: przed sądem), powiedział:

„Wprowadziliście do obecnego, postalinowskiego etapu ukraińskiego odrodzenia to, bez czego pozostałby on niedojrzały i niepełny: wprowadziliście element ofiary. Wiara rozkwita wtedy, gdy są męczennicy. Wyście nam ich dali”.

Powiedziawszy to, poszedł za kraty i sam stał się męczennikiem, nie zostawiając prześladowcom żadnej nadziei na kapitulację. „Siedzieć za kratami — oświadczył w tymże szkicu Moroz — nikomu nie przychodzi łatwo. Ale nie mieć szacunku do siebie samego — jeszcze ciężiej. Więc będziemy o to walczyć”.

Walka na terenie więzienia zaczęła się od protestów przeciw warunkom w jakich trzymano więźniów, a w lipcu 1974 Moroz ogłosił głodówkę. Nie zakończył jej do chwili obecnej. Działacze kultury, pisarze z całego świata i amerykańscy kongresmeni zwracają się do rządu sowieckiego z prośbą o ulżenie losowi więźnia, znajdującego się na progu śmierci. Daremnie! Ale ukraiński ruch nie słabnie.

Podjąwszy się roli kronikarza, nie chcę wdawać się w prze-

widywania. Ograniczę się do faktów. Ostatni, na którym zakończyłem, jest dość wymowny także w odniesieniu i do przyszłości. Na ruch ukraińskiego oporu w ciągu ostatnich dwóch lat spadło wiele bolesnych ciosów ze strony KGB, na usługach którego pozostają wszystkie instytucje państwowe ze Związkiem Pisarzy włącznie. Między innymi wydawany przez samizdat „Herold ukraiński” urwał swą działalność na numerze 6, datowanym 1972. I oto, mimo terroru, z początkiem 1974 roku ukazał się podwójny numer 7-8. Wznowiony „Herald” określa wyraźnie swoją linię polityczną. Jego poprzednik stał na pozycjach legitymistycznych, zaznaczając, że „w żadnym wypadku nie jest publikacją antysowiecką i antykomunistyczną, i że jeśli idzie o ideologię jest ona całkowicie legalna i zgodna z konstytucją”. W nowym wydaniu „Herolda” o zgodności z konstytucją nie ma już mowy. Jego redaktorzy uważają władzę na Ukrainie za okupacyjną i odrzucają politykę narodowościową Lenina i Breżniewa, domagając się pełnej niezawisłości Ukrainy.

To jaśniejsze określenie pozycji zostało oczywiście spowodowane przemianami w samym ruchu ukraińskim i należy sądzić, że to samo z kolei wpłynie na dalszy bieg tego ruchu.

Iwan KOSZELIWEK

(Przełożył z ukraińskiego M. Broński)

Kronika węgierska

I.

W ostatnich kilku latach, szczególnie od ponownego przy-mrozkę w Czechosłowacji w roku 1969, wielu wschodnich Europejczyków rzucało zazdrosne spojrzenia na Węgry. Oto kraj rządzony przez komunistów, gdzie stopa życiowa stale rośnie, gdzie ożywiono gospodarkę reformami znanymi pod nazwą NOWEGO MECHANIZMU GOSPODARCZEGO, a w dziedzinie kulturalnej partia komunistyczna usiłowała zredukować do minimum swoje interwencje ku powszechnemu zadowoleniu artystów. Wszystkie te osiągnięcia (mówiło się) równoważyły brak polityki zagranicznej na Węgrzech, ich absolutne podporządkowanie Związkowi Sowieckiemu w sprawach międzynarodowych. W obozie socjalistycznym rozdartym sporami ideologicznymi i wstrząsanym takimi wybuchami niezadowolenia jak rewolta robotnicza w Polsce w r. 1970, Węgry robiły wrażenie wyspy spokojnego, choć oczywiście kontrolowanego, rozwoju i harmonii ideologicznej.

Ten obraz był lekko tylko przyćmiony usunięciem szeregu „opozycyjnych” filozofów i socjologów najpierw z partii a potem

z posad, oraz zaburzeniami studenckimi (w marcu 1972 i potem w marcu 1973), gdy małe nacjonalistyczne i radykalne grupki lewicowe zorganizowały demonstracje w Budapeszcie. Poważniejszym wskaźnikiem różnic w łonie kierownictwa partyjnego, oraz rosnącej opozycji przeciwko NOWEMU MECHANIZMOWI GOSPODARCZEMU, było usunięcie paru członków Politbiura na początku 1974 roku. W tej mini-czystce Rezso Nyers, jeden z mózgow reformy gospodarczej, wyleciał z sekretariatu KC, a György Aczel, którego „liberalna” polityka kulturalna budziła niechęć wschodnich Niemców oraz innych zwolenników twardej linii, także stracił część swojej poprzedniej władzy. Janos Kadar, pragmatyczny przywódca komunistyczny, zachował chwilowo swoją pozycję, lecz wśród natarczywych pogłosek że ustąpi ze stanowiska na najbliższym zjeździe partii wyznaczonym na marzec bież. roku. Niezależnie od tego czy pogłoski o ustąpieniu Kadara okażą się uzasadnione czy nie, obserwatorzy polityczni sytuacji na Węgrzech uznali tekst ostatnich uchwał partyjnych — z ich naciskiem raczej na „czujność” i „wartości socjalistyczne”, niż na wydajność gospodarczą — za definitywne przesunięcie na lewo.

Na takim tle politycznym należy oglądać literaturę węgierską w połowie lat 70-tych. A przecież nie tak dawno Tibor Déry, nestor pisarzy węgierskich, pisał w tygodniku budapeszteńskim: „Chociaż wiem że istnieje trochę zabronionych czy nienadających się do wydania książek, manuskryptów i sztuk teatralnych (jedną z nich jest moja), wiem również że można je policzyć na palcach jednej ręki”. „Naturalnie (ciągnął Déry) zawsze były i są wszędzie różne tabu, także na Zachodzie; cenzura istnieje i w innych krajach, a nasza nie jest w sumie najgorsza”.

Déry skończy w tym roku 80 lat i nie orientuje się zbyt dobrze w pracy swych młodszych kolegów. Jestem znacznie młodszy, moją więc pierwszą reakcją na jego oświadczenie była próba policzenia rękopisów, o których wiem że są oficjalnie „nie do wydania” w obecnych okolicznościach; mój szacunek jest znacznie wyższy od szacunku Tibora Déry. Jego twierdzenie mogłoby się odnosić do roku 1965, albo nawet 1968; ale teraz znowu sporo manuskryptów krąży wśród budapeszteńskich intelektualistów. Tym razem nie wszystkie są literackie; niektóre mają charakter socjologiczny czy filozoficzny, są bardziej opisem społecznym niż beletrystyką, ale nawet proza narracyjna wzbogaciła się w ostatnich latach o interesujący wymiar socjologiczny. Tak czy owak, ważna jest nie ilość tych rękopisów lecz ich waga i jakość. W tym sensie można bez wątpliwości zakwestionować optymizm Tibora Déry. Więcej dziś na Węgrzech ważnych i „niestranych” rękopisów niż 10 lat temu, a jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest właśnie okoliczność, że niektóre z nich nie są tylko dziełami literatury ale próbami zestawu i interpretacji faktów życia społecznego. Wiele z tych faktów ma posmak wyzwania, rzuconego doktrynom ideologicznym reżymu Kadara. Dajmy jednak spokój innym pisa-

rzom i przyjrzyjmy się problemom dwóch ważnych autorów węgierskich: Jozsefa Langyel'a i György Konrada.

II.

Mało czytelników polskich zna nazwisko Jozsefa Lengyel'a. Jest on niewątpliwie jednym z najlepszych pisarzy starszego pokolenia; ma swoją pozycję w świecie anglosaskim, gdyż wiele jego książek ukazało się w przekładzie angielskim. (Chociaż jego nazwisko oznacza po węgiersku „Polak”, Lengyel nie był tłumaczony na polski — jego biografia i jego ulubione tematy wyjątkowo to dziwne pominięcie).

Urodzony w roku 1896, Lengyel już w czasie pierwszej wojny światowej zaangażowany był w działalność antywojenną i rewolucyjną. Jako jeden z założycieli węgierskiej partii komunistycznej i redaktor *Voros ujsag* (*Czerwona gazeta*) podczas krótkotrwałej republiki sowieckiej Beli Kuna, Lengyel uciekł po upadku reżymu Kuna do Wiednia a stamtąd pojechał do Moskwy. W Moskwie właśnie wpadł w sieć czystek stalinowskich w 1937: po 18-tu latach sowieckich więzień, łagrów i zsyłki udało mu się wrócić do kraju rodzinnego. W ciągu tych lat dojrzał jego talent pisarski, i kiedy na początku lat sześćdziesiątych ogłosił swoje pierwsze nowele oparte na osobistych doświadczeniach w ZSSR, krytycy powitali go natychmiast jako nowy autentyczny talent w literaturze węgierskiej. Po ukazaniu się jego krótkiej powieści „Od początku do końca” (1962) nadano mu miano „węgierskiego Sołżenicyna”. Istnieje jednak zasadnicza różnica między dwoma pisarzami: Lengyel nigdy nie przestał uważać się za komunistę, jakkolwiek jego komunizm odrzuca zastąpienie moralności oportunistycznym politycznym. Na Węgrzech otacza go się powszechnym szacunkiem. Jego obecna pozycja jest niezwykła — jako jednemu pisarzowi we Wschodniej Europie wolno mu wciąż poruszać „delikatne” tematy w rodzaju terroru stalinowskiego w Rosji Sowieckiej.

Wolno mu o nich pisać, ale nie zawsze wolno jego rzeczy publikować. Przykładem powieść „Konfrontacja”, napisana w 1966 i wciąż na Węgrzech nie wydana. A raczej „wydana” w szczególnej formie: w 200-300 egzemplarzach „edycji wewnętrznej” dla funkcjonariuszy partyjnych. Tę „edycję wewnętrzną” zrecenzowano w *Times Literary Supplement* w roku 1973, a teraz powieść Lengyel'a ukazała się w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Co na „liberalnych” Węgrzech nadaje tej krótkiej powieści posmak zakazanego owocu?

Właściwie wszystko: fabuła, implikacje polityczne i przesłanie moralne. „Konfrontacja” jest doskonałą powieścią o związanej konstrukcji narracyjnej; wypełnia lukę w cyklu autobiograficznym Lengyel'a pisany od chwili powrotu na Węgry: opisuje epizod między „Od początku do końca” i opowiadaniem „Czar”, to jest po zwolnieniu Lengyel'a z obozu i przed jego przymusowym osiedleniem na Syberii. Główna postać, Endre Lassu,

żyje w czymś w rodzaju zawieszenia. Chciałby wrócić na Węgry i aby przyspieszyć repatriację przyjeżdża „nielegalnie” do Moskwy dla zobaczenia starego przyjaciela Banicza, obecnie urzędnika ambasady węgierskiej. Dużą część książki zajmuje konfrontacja i rozmowa między dwoma Węgrami, niegdyś przyjaciółmi, teraz nieodwołalnie poróżnionymi przez swoje doświadczenia życiowe. Dyskusja rozwija inną konfrontację: pomiędzy ideałami i rzeczywistością. Lassu, komunista ze „starej gwardii”, wierzy że jeśli on jest prawdziwym komunistą, to nie mogą być komunistami jego oprawcy. Oznacza to oczywiście że uważa Stalina za uzurpatora leninowskiego dziedzictwa, za bizantyjskiego tyra na postępującego się komunistycznymi hasłami i taktyką dla własnych celów. Szczerze podziwiając naród rosyjski, nienawidzi serwilistycznej biurokracji Stalina i tajnej policji typu faszystowskiego. Jedyna dla niego nadzieja tkwi w odrodzeniu zasad komunistycznych poprzez „całkowite odstonięcie prawdy” (o Stalinie) i przywrócenie proletariackiej („wewnątrzpartyjnej”) demokracji. „Władza jest rakiem... zżera żywe komórki ludzkości człowieka” — powiada Lassu do Banicza; z osobistego doświadczenia wie, że najstraszniejszą rzeczą w reżymie stalinowskim jest władza, jaką system daje tysiącom stalinków i karierowiczów bez kręgosłupa i bez żadnych absolutnych skrępułów moralnych. „Za razą naszych dni jest władza biurokratyczna”.

Tego rodzaju potępienie przeszłości nie jest dziś w modzie w Związku Sowieckim. Poza tym książka dotyka bliższej przeszłości. W ostatnich rozdziałach bohater dowiaduje się o konfliktach Stalin-Tito i szybko uprzytamnia sobie, że będzie musiał wrócić na Syberię. Mimo wysiłków Banicza nie wróci do kraju — nie teraz w każdym razie. Zresztą w nowej atmosferze politycznej po odstępstwie Tito sam Banicza nie może już liczyć na pełne zaufanie swoich przełożonych. Próba dopomożenia przyjacielowi mogłaby go jeszcze bardziej pogрузić. Książka Lengyel'a kończy się gorzką nutą: znowu Stalin odmówił mu prawa do ludzkiego życia.

III.

Jeśli przypadek Lengyel'a ilustruje zalety długowieczności — mógł napisać „Konfrontację” i władze nie ukarały go za wydanie książki na Zachodzie — losy Konrada odślanają niebezpieczeństwa błyskotliwości intelektualnej i wszechstronnej specjalizacji. Po ukończeniu studiów filologicznych Konrad pracował przez pewien czas jako urbanista, potem jako opiekun społeczny, a ostatnio zajmują się socjologią. Wielostronne zainteresowania wyszły na dobre jego prozie — wiele osobistych doświadczeń włączył do swojej pierwszej powieści „Gość”, wydanej na Węgrzech w 1969.

Jest to powieść niezwykła, zarówno tematycznie jak w sensie pisarskim. Narrator — bohater jest budapeszteńskim opiekunem społecznym, któremu kazano zajmować się dziećmi z rozbitych małżeństw. W beznamiętny i dokładny sposób opisuje swoją pracę — rozmowy z podopiecznymi i ich rodzinami, wysłuchiwanie

ich strasznych historii. Innymi słowy, Konrad opisuje te obszary społeczeństwa, które dotychczas rzadko były ukazywane przez autorów w krajach socjalistycznych; wypadki upośledzenia, uniwersalne w swojej przygnębiającej częstotliwości i niezniszczalności — ani kapitalizm ani socjalizm nie jest wolny od alkoholików i kretynów. A przecież „Gość” jest książką jedyną w swoim rodzaju z innego jeszcze względu, w swojej formie: czyta ją się jak jedno długie niekończące się zdanie, jak wolno rozwijający się monolog narratora. Świat zewnętrzny zdaje się istnieć tylko przez pryzmat jego świadomości, świat jest wizją zbudowaną z ogromnej ilości casusów. Jest rzeczą beznadziejną próbować tylko uśmierzać cierpienie swego rodzaju *komunikacją*. Stąd ostatnie, znaczące słowa pierwszej powieści Konrada: „Niech przychodzą wszyscy, którzy chcą; jeden z nas będzie mówił, drugi będzie słuchał; przynajmniej będziemy razem”.

Książka Konrada spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem zarówno na Węgrzech, jak i za granicą. „Gość” został przetłóżony na wiele języków i powitany w Stanach Zjednoczonych jako dzieło autentycznego talentu. Jego druga powieść „Założyciel miasta”, ukończona trzy lata temu, jest do dziś niewydana. Jeśli nie liczyć jednego czy dwóch rozdziałów kontrowersyjnych, druga powieść Konrada nie wydaje się bardziej polityczna od pierwszej, ale przeciw jej wydaniu na Węgrzech przemawia „narażenie się” Konrada władzom w ciągu ostatnich dwóch lat. Manuskrypt przedostał się na Zachód, do wydawnictwa niemieckiego Paul List. Przekład niemiecki ukaże się w przyszłym roku.

Kłopoty Konrada z władzami zaczęły się w maju 1973, kiedy przekazał rękopis młodego lewicowego pisarza i poety Miklosa Haraszti pewnemu pisarzowi węgierskiemu przybyłemu z wizytą do kraju z Jugosławii. Nie planowano wydania książki za granicą; nie był to też Samizdat, zważywszy że wciąż jeszcze wchodziła w grę możliwość ogłoszenia pracy w piśmie socjologicznym. Sama książka, „Praca na akord”, jest studium na temat życia robotników węgierskich. Gość z Jugosławii został zatrzymany na granicy, odebrano mu rękopis Haraszti'ego i aresztowano autora. Aresztowano również na krótko Konrada, ale sprawę wobec niego umorzono. Sam Haraszti dostał za „podżeganie” osiem miesięcy z zawieszeniem w styczniu 1974. Na rozprawie sądowej obrona powołała na świadków szereg wybitnych intelektualistów: prócz Konrada, jego przyjaciela, socjologa Ivana Szelenyi i nawet Andrasa Hegedusa, byłego premiera i reformistycznego socjologa.

Jeśli chodzi o Konrada, nie był on przyjacielem Haraszti'ego i nie podzielał jego poglądów politycznych, lecz uważał za swój obowiązek nie opuszczać go w opresji. Odebrano mu paszport, nie pozwolono wyjechać do Francji, gdzie miał się ukazać właśnie „Gość”. Nie jego jednego zresztą dotknęły restrykcje paszportowe: w ciągu ostatniego roku czy dwóch nie pozwolono wyjechać na Zachód kilku osobom, zaproszonym na konferencje międzynarodowe.

22 października 1974 roku odbył się w Budapeszcie „nieoczekiwany nalot policyjny”. Aresztowano Konrada, Ivana Szelenyi i młodego poetę „podziemnego” Tamasa Szentjoby. Na pierwszy rzut oka nie było pomiędzy trzema żadnymi powiązani, i upłynęło kilka dni zanim oskarżenie przeciwko nim zostało ujawnione. Jak doniósł *The Guardian*, bezpieka węgierska znalazła w mieszkaniu Szentjoby wspólnie napisaną książkę Konrada i Szelenyi. Chodziło o studium socjologiczne pod nieco prowokacyjnym tytułem „Ku klasowemu panowaniu inteligencji”, którym dwaj autorzy omawiali zagadnienia władzy, nierówności i klas społecznych na Węgrzech.

Jest rzeczą prawie pewną, że rękopis książki Konrada i Szelenyi nie krążył w Budapeszcie i nie był czytany przez wiele osób. Być może to właśnie — prócz natychmiastowego protestu międzynarodowego — sprawiło, że władze węgierskie wołały umorzyc sprawę i wezwać trzech zamieszanych w nią intelektualistów do opuszczenia kraju. Innymi słowy węgierskie organy bezpieczeństwa poszły za przykładem rosyjskim, z tą jedynie różnicą, że dały Konradowi i dwóm pozostałym więcej czasu na rozważenie oferty. Według ostatnich wiadomości Konrad i Szelenyi postanowili wyemigrować do Anglii lub Stanów Zjednoczonych.

Nie rozwiąże to jednak problemów obecnego reżymu węgierskiego. Można zakazać wydania takiej czy innej powieści, można się pozbyć niewygodnych pisarzy i intelektualistów, ale nie można wykorzenić przyczyn niepokoju intelektualnego ani stłumić dalszych badań socjologicznych i filozoficznych. Narzucenie pisarzom zupełnie nowych „reguł gry” też nie zdaje się prowadzić do celu. Jak długo Kadar siedzi w siodle, jakaś forma kompromisu z niekomunistyczną większością narodu jest do pomyślenia, ale czy uda mu się na dalszą metę stawiać opór naciskom antyreformistycznym, które częściowo przynajmniej pochodzą ze Związku Sowieckiego? A może zjawiska opisane w tym artykule są już pierwszymi znakami zbliżania się do końca ery kadarowskiej na Węgrzech?

George GÖMÖRI

W sowieckiej prasie

Wojna się nie kończy. Wojna okrutna, bezlitosna i krwawa. Wojna ideologiczna, którą prowadzą władze sowieckie z wszystkimi inaczej myślącymi i ze wszystkim co zagraża osławionej „moralno-politycznej jedności sowieckiego narodu”. Niedawno opinia światowa ucieszyła się z pozwolenia danego non-konformistycznym malarzom na wystawienie ich obrazów w parku moskiewskim, ale zaraz potem dowiedziano się, że po wystawie zaczęto nieposłusznych artystów wzywać „tam gdzie trzeba”.

A dwóch — Władimira Ptnickiego i Aleksieja Paustowskiego — zamknięto w domu dla wariatów, w „durdomie” jak familiarnie mówi się w Moskwie. „Durdomy” są jednym z najważniejszych narzędzi w walce ideologicznej. Niekiedy jednak domy dla wariatów okazują się niewystarczająco skuteczne. W takich wypadkach nawraca się do starych, wypróbowanych metod. W obozie Wydrino (w Czelabińskiej obłasti) zmarł, w wieku lat 60, najwybitniejszy sowiecki orientalista, buddysta, Bidija Dandaron. Z wielką przerwę — poniżej jednego roku — spędził on w sowieckich łagrach 19 lat, z których w 1956 roku został zwolniony „z powodu braku cech przestępstwa”. Pracując następnie w buriackim Instytucie Nauk Społecznych, Bidija Dandaron zajmował się przekładami i komentowaniem średniowiecznych tekstów buddyjskich. Jednocześnie jednak pisał książki rozpowszechniane przez samizdat, a zwłaszcza „refleksje buddyjskie”, w których próbował wyłożyć podstawy myśli buddyjskiej przy pomocy terminów filozofii zachodniej, jak również interpretować filozofię zachodnią w terminach buddyzmu. Był on przekonany, że idea buddyzmu i jego technika medytacji są potrzebne współczesnemu społeczeństwu. Rozgłos o Bidiji Dandaronie rozszedł się po całym Związku Sowieckim i zjeżdżali się do niego, do Ułan Ude — stolicy Buriat-Mongolii, liczni uczniowie z Moskwy, Leningradu i innych miast ZSSR, nie mówiąc już o miejscowych wyznawcach. W 1972 roku, w ramach walki ideologicznej, Bidija Dandaron został aresztowany i zamknięty w wydrinińskim łagrze. Mimo że Dandaron miał złamane nogi i rękę — skierowano go na ciężkie „ogólne prace”. Gdy złożył zażalenie, umieszczono go w karcerze. Śmierć Dandarona była całkowitą niespodzianką dla jego przyjaciół. W świadectwie lekarskim mówi się, że powodem śmierci była rozedma płuc i opuchlina na mózgu, ale ciała nie wydano rodzinie. W tym samym czasie Jean-Paul Sartre przygotowywał się do odwiedzenia w celi, w której przebywał Andreas Baader, przywódca zachodnio-niemieckiej „czerwonej armii”, oskarżony o podpalenie wielkiego magazynu w Frankfurcie, jak również o kierowanie „grupą” (czerwonej armii), która zabiła 5-ciu ludzi, a usiłowała zabić 54 osoby, napadała na banki, itd., itp. Po rozmowie z Baaderem, przekonawszy się, że w jego celi znajduje się radioaparat nastawiony tylko na jeden program, że dostaje on czasopisma i książki tylko po przejrzeniu ich przez więzienną administrację, że odwiedzać go mogą jedynie krewni i osoby „nie przedstawiające politycznego niebezpieczeństwa”, Jean-Paul Sartre zaczął publikować w całej prasie zachodniej wyrazy swego oburzenia z powodu tych „tortur” i najwidoczniej tak był tym pochłonięty, że nie miał już czasu powiedzieć choć słówka o kolejnej ofierze wojny ideologicznej, prowadzonej w Związku Sowieckim. Tym bardziej, że ofiarą był buddysta, wróg przelewu krwi, morderstw i napadów na banki...

Zamykanie niepokornych artystów w domach wariatów, zamordowanie w łagrze buddysty, wszystko to łatwo zrozumieć — są to przypadkowe epizody w wojnie ideologicznej. Jeśli jednak

przyjrzeć się im dokładnie, to można stwierdzić, że wszystkie te epizody zlewają się w jedną całość: w ideologiczną wojnę przodującego społeczeństwa sowieckiego ze syjonizmem. „W ostatnich czasach wśród licznych dywersyjnych akcji przeciw ZSSR i socjalistycznej jedności coraz bardziej uwidacznia się zorganizowana i coraz bardziej skoordynowana akcja dywersyjna syjonistów”. Trudno poddać w wątpliwość te słowa wyjęte z książki S. K. Cwiguna, którego recenzent *Mołodoj Gwardii* nazywa „utalentowanym powieściopisarzem” wstydliwie ukrywając, że obok zajmowania się literaturą S. K. Cwignun zajmuje stanowisko pierwszego zastępcy ministra MWD ZSSR. Nie zaprzętałbym uwagi czytelników dawno już stwierdzonym faktem spisku syjonistów przeciwko „ZSSR i jedności”, gdyby w *Mołodoj Gwardii* (Nr 10/1974), w tym samym numerze w którym opublikowano omówienie wskazań wiceministra MWD, nie zamieszczono jeszcze bardziej interesującej recenzji z pracy na wspomniany wyżej temat, pt.: „Syjonizm: teoria i praktyka” (Moskwa, Wydawnictwo Literatury Politycznej, 1973). Praca ta, jak wynika z recenzji, jest istotnie nowatorską gdyż uzasadnia sowiecki państwowy antysemityzm z marksistowskiego punktu widzenia. Recenzja jest bodaj ciekawsza od samej książki. Recenzent, nie będąc pewnym czy czytelnicy będą w stanie przeczytać tę książkę w całości, robi jak gdyby *digest* z zasadniczych jej koncepcji, ściślej z głównej koncepcji, która sformułowana jest następująco: „Prace twórców naukowego komunizmu mogą być dobrą metodologiczną bazą dla naukowego postawienia problemu”. Problemem tym jest antysemityzm. Ideą przewodnią książki: twórcy naukowego komunizmu są teoretykami antysemityzmu. Należy od razu podkreślić, że autorzy książki potrafili znaleźć wystarczającą ilość cytat z Marksa i Lenina, potwierdzających tę tezę, a autorowi recenzji, A. Kuźminowi, udało się na 7-miu stronach pisma wszystkie te cytaty razem zebrać, tak że można nawet książki nie czytać. Trzeba jeszcze dodać, że artykuł-recenzja jest prawdziwym przykładem braterstwa narodów: wśród twórców naukowego komunizmu, wyrażających swe poglądy na szkody przynoszone ludzkości przez Żydów, znajdujemy nie tylko Marksa i Lenina, ale także i „polskiego autora — T. Walichnowskiego”. Tak więc wstępują do ideologicznej walki — ramię przy ramieniu — Marks, Lenin i Walichnowski. Przy czym niewątpliwie w całej tej kompanii najsłabiej wygląda Lenin, aczkolwiek napisał: „Problem żydowski wygląda następująco: asymilacja, albo odrębność”, i aczkolwiek oświadczył, że dla niego — Lenina — asymilacja „to jedyne możliwe rozwiązanie problemu żydowskiego. Powinniśmy popierać wszystko co służy usunięciu żydowskiej odrębności”. Ale jak to brzmi słabo! Natomiast starzec Marks okazał się prawdziwym sowieckim człowiekiem: w swej nienawiści do Żydów założyciel naukowego komunizmu nawet porzuca na pewien czas swoją teorię walki klas i — jak z zadowoleniem podkreśla A. Kuźmin — ostro krytykuje nie „żydowskiego *bourgeois*, ale zwolenników mojżeszowej religii”, gdyż „dla Karola

Marksa Żydzi to nie naród ale religijna sekta". Bynajmniej nie przypadkowo — cieszy się Kuźmin — Karol Marks „uważa żydostwo” za synonim „kramarstwa” i „antyspołecznego elementu”. W tej sprawie całkowicie zgadza się on z Marksem i T. Walichnowskim, który podkreśla, że „ponieważ plany Żydów są przeciwnie naturze, opierają się oni na chytrności, gwałcie i fałszu”.

Autor recenzji konstatuje, że „materiały podane w książce świadczą o tym, że obecnie ze syjonizmem związana jest znaczna część najbardziej odrażających przestępstw wobec ludzkości”, a uwagi Marksa o judaizmie — zdaniem Kuźmina — „odnoszą się całkowicie do syjonizmu”.

A. Sołżenicyn, rozmyślając w „Archipelagu Gułag” dlaczego nie było łagrów imienia powiedzmy Lwa Tołstoja czy Iwana Turgieńiewa, a były łagry imienia Maksima Gorkiego, przychodzi do wniosku: „Powiedz słowo, spojrzysz, a oto już jesteś poza literaturą”. Marks, Lenin i Walichnowski — sądząc z recenzji — wypowiedzieli się wystarczająco, by ich nazwiska mogły zdobić bramy dziesiątków łagrów, całych wysp Archipelagu.

Wojnę ideologiczną prowadzi się, rzecz jasna, nie tylko na terytorium Związku Sowieckiego, ale również daleko poza jego granicami. W *Litteraturnoj Gazecie* z 2. 10. 1974, przewodniczący zarządu Wszechzwiązkowej Agencji do Praw Autorskich, W. Pankin, z zadowoleniem podsumowuje rezultaty działalności swego urzędu w bieżącym roku. Urząd ten był stworzony zaraz po przyłączeniu się Związku Sowieckiego do Światowej Konwencji o prawach autorskich. W. Pankin z dumą wylicza podpisanie umów z autorskimi związkami Francji, Anglii, NRF, Belgii i Portugalii. W tych krajach — zapewnia przewodniczący Agencji — będzie się obecnie więcej przekładać pisarzy sowieckich, przede wszystkim tych, których poprzednio trzeba było samemu przekładać w domu. Teraz „książka wydana na Zachodzie... w zwykłej, znanej zachodniemu czytelnikowi 'szacie', znajdzie więcej odbiorców niż ta sama książka przełożona i wydana w naszym kraju”, mówi Pankin. No, ale są i inne reakcje. W tekście umowy podpisanej przez sowiecką Agencję z francuskim Związkiem Pisarzy i Kompozytorów — obie strony zobowiązują się w szczególności: „nie nawiązywać żadnych bezpośrednich kontaktów z członkami drugiego związku”. Można przypuszczać, że umowy z innymi związkami są identyczne, a więc, że pisarze zachodni pogodzili się z tym, że pisarze sowieccy stali się własnością państwa, z którą można mieć kontakt tylko za pośrednictwem oficjalnej Agencji. Moskiewski korespondent pisma *Le Monde* nie ukrywa, że jednym z następstw podpisania tej umowy będzie faktyczna „niemożność publikacji lub przedstawienia we Francji utworu sowieckiego autora bez zgody władz sowieckich. ZSSR może przekazać sprawę do sądu francuskiego opierając się na umowie, podpisanej ze Związkiem francuskim i każdy obywatel sowiecki, oskarżony o przekazanie rękopisu za granicę, może być pociągnięty do karnej odpowiedzialności za naruszenie monopolu

handlu zagranicznego”. I znowu nie ma żadnych odchyłeń od Marksa. Wszystkie dzieła rąk ludzkich to towar. Wszystkie towary należą do państwa sowieckiego. Nielegalna sprzedaż towaru-maszynopisu jest identyczna z nielegalną sprzedażą powiedzmy — nafty.



W mieście Banff (Kanada) bojownikom sowieckiego „frontu ideologicznego” udało się zaatakować swoich przeciwników na wrogim terytorium. W *Kulturze* (Nr 11/326, listopad 1974) była zamieszczona nota o międzynarodowej konferencji, poświęconej ZSSR i krajom słowiańskim Wschodniej Europy, zorganizowanej w Kanadzie przez uczonych USA, Kanady i Zachodniej Europy. Na konferencję zaproszono również uczonych sowieckich, którzy zjawili się w liczbie 9-ciu osób z akademikiem A. Narocznickim na czele, w ostatnich czasach zajmującym się zbieraniem historycznych dowodów praw Związku Sowieckiego do Syberii i Dalekiego Wschodu. Nota o konferencji miała w *Kulturze* charakter czysto naukowy. Ale obecnie mamy o tej naukowej konferencji szczegóły bardziej — jak by to powiedzieć — intymne. Na konferencję zaproszono kilku niedawnych rosyjskich emigrantów, przebywających w USA, w ich liczbie b. pracownika naukowego Moskiewskiego Instytutu Historii i Sztuki, Borysa Szragina i znanego poetę Korżawina. W trzech wielkich artykułach, zamieszczonych w paryskiej *Russkoj Mysli*, Naum Korżawin barwnie oddaje atmosferę konferencji. Delegaci sowieccy nie wygłaszali referatów — występowali jedynie w dyskusjach i dawali oceny referentom. Referentów ogromnie to przerażało. Jak wiadomo, KGB prowadzi ścisłą ewidencję wszystkich wystąpień zachodnich rusycystów, a w razie niezadowolenia z ich występów odmawia się wiz specjalistom, którzy chcą przyjechać do Związku Sowieckiego. Łatwo więc sobie wyobrazić zaniepokojenie zachodnich uczonych, czujących w czasie swych prelekcji bezlitosne spojrzenia wysłanników Moskwy, którzy nie tylko mieli możliwość słuchania treści wykładu, ale nawet mogli obserwować wyraz twarzy z jakim te prelekcje były wygłaszane przez zachodnich uczonych. Naum Korżawin, interesujący się — jako że poeta — tylko literaturą, który wygłosił referat o „Wspomnieniach” Nadzieży Mandelsztam, opowiada jakiego strachu napędził uczestnikom seminarium wysłannik Moskwy A. Dymyszyc. „Trzeba otwarcie powiedzieć — pisze Korżawin — że Dymyszyc na konferencji obawiano się, obawiano się jego erudycji i umiejętności przekształcania tej erudycji w zło”. Nowy emigrant Korżawin przypuszcza, że obawiano się „erudycji Dymyszycy”. Jest jasne, że nie tylko tego. Widać przecież z opisu, że zachodni prelegenci czuli się jak studenci pierwszego roku na egzaminie, a gdy po odczycie, w którym było powiedziane, że w okresie stalinowskim nie publikowano Jesienina, Dymyszyc oświadczył, że w 1940 roku ukazał się jego tomik wierszy — przerażenie zachodnich profesorów sięgnęło szczytu. Tym bar-

dzie, że Dymyszyc nie powiedział że nakład tomiku Jesienina był humorystycznie niski, a znalezienie tomiku przy rewizji było wystarczającym powodem do otrzymania wyroku 10-ciu lat w ła-grze. Że zwycięstwo Dymszyca było dla niego samego oczywiste, dowodzi następujący fakt: w czasie seminarium, zwracał się do przewodniczącego — prof. michigańskiego uniwersytetu, Deminga Browna — oficjalnie, stale nazywając go: „profesor Edward Brown”. W przerwie, do Dymszyca podszedł jakiś nieznamy i powiedział: „Proszę wybaczyć, panie Dymyszyc, to ja jestem profesorem Edwardem Brownem, a przewodniczy profesor Deming Brown”. Dymszyca to nie speszyło: „Nic podobnego — odpowiedział ostro. — Prof. Deming Brown jest chory”. Deming Brown był rzeczywiście chory przed konferencją i wszystkowiedzące „organy” widocznie poinformowały o tym Dymszyca. Dlatego też zdecydował się nie ulec prowokacji. „Organy” lepiej wiedzą co i jaki Brown robi.

W *Izwiestiach* z 13. 9. 1974 wzmianka o konferencji była zatytułowana zwycięsko: „Kryzys zagranicznej 'sowieologii'”. We wzmiance podkreśla się przede wszystkim jako pierwsze zwycięstwo — „organizatorzy konferencji stwierdzili niemożność badania Związku Sowieckiego i innych krajów socjalistycznych bez pomocy uczonych z tych krajów”; jako drugie zwycięstwo — zdemaskowanie „w licznych wystąpieniach polemicznych bankructwa zagranicznej 'sowieologii' i kłamliwej informacji o krajach socjalizmu rozpowszechnianej przez reakcyjną nacjonalistyczną emigrację; jako trzecie zwycięstwo — „podniesienie autorytetu nauki sowieckiej wśród uczestników konferencji”. Można przypuszczać, że prof. Deming Brown rzeczywiście położył się do łóżka dowiedziawszy się, że „organy” uważają go za chorego — do tego stopnia podniósł się ich autorytet wśród uczestników konferencji.

Prowadzi się wojnę ideologiczną, w której Zachód nie przestaje się cofać, a Związek Sowiecki osiąga zwycięstwo za zwycięstwem. I to nazywa się *détente*. Jak daleko zaszły te zwycięstwa można ocenić na podstawie artykułu Arthura Koestlera, wydrukowanego w dn. 10 marca 1946 roku w *New York Times'ie*, a przedrukowanego obecnie w londyńskim piśmie *Soviet Analyst* z przedmową angielskiego historyka i poety, Roberta Conquesta, autora wybitnej książki „Wielki Terror”. W artykule swym Koestler wyjątkowo przejrzysto wyliczył warunki niezbędne dla zabezpieczenia prawdziwego pokoju. Jednocześnie artykuł wykazuje jakie sukcesy osiągnął Związek Sowiecki w ciągu minionych 30-tu lat. Arthur Koestler pisał:

„W 1938 roku łągodziliśmy Niemców, cierpiących na manię wielkości, teraz łągodzimy Sowiety, cierpiące na manię prześladowczą... Rząd sowiecki po raz pierwszy w historii wprowadził całkowity państwowy monopol nie tylko na produkcję i rozpowszechnianie dóbr materialnych, ale i na produkcję i rozpowszechnianie idei, poglądów, uczuć. Pokój w całym świecie stanie się realny jedynie wtedy, gdy zniknie podejrzliwość. Podejrzliwość

tę można odrzucić i przezwyciężyć jedynie pod warunkiem zgody rządu ZSSR na przekreślenie głównego wyłącznika w swojej maszynie propagandowej... Przede wszystkim niezbędne jest, by nasi działacze państwowi zrozumieli, że żadne pertraktacje polityczne i umowy handlowe nie mogą gwarantować długiego pokoju dopóki świat będzie psychologicznie podzielony na dwa obozy: jeden ogarnięty chorobliwą manią prześladowczą, a drugi rosnącą trwogą... Broń psychologiczna powinna stać się przedmiotem międzynarodowych pertraktacji i umów, tak jak każdy inny rodzaj broni, i umowy o psychologicznym rozbrojeniu powinny składać się ze ścisłych, ściśle sformułowanych i sprecyzowanych punktów — tak samo jak umowy o każdym innym rozbrojeniu”.

Proponowane przez Arthura Koestlera „ściśle i ściśle sformułowane i sprecyzowane punkty” rozbrojenia psychologicznego wyjątkowo jasno wykazują ile wody upłynęło przez minione 30-ci lat. W 1946 roku Koestler przypuszczał, że „państwa zachodnie powinny wysunąć żądania psychologicznego rozbrojenia” obejmujące: swobodne rozpowszechnianie w Związku Sowieckim zagranicznych pism i filmów, dostęp do swobodnej informacji o świecie zewnętrznym, swobodny dostęp dla akredytowanych dziennikarzy i delegacji parlamentarnych, zlikwidowanie ograniczeń w poruszaniu się cudzoziemców po terytorium ZSSR i obywateli sowieckich po terytoriach innych krajów, „zagraniczne urlopy” dla studentów, nauczycieli, pisarzy, robotników, ludzi wolnych zawodów — na zasadzie wymiany.

„Domaganie się swobodnej wymiany idei poprzez granice — kończył swój artykuł Arthur Koestler — wznowienie normalnego krwioobiegu światowego systemu należy wysuwać na wszystkich konferencjach na szczycie, w Radzie Bezpieczeństwa, w komisjach i na generalnych posiedzeniach ONZ. Te żądania powinny być zasadniczym warunkiem przy wszystkich ustępstwach o charakterze geograficznym, ekonomicznym i naukowym. Jest całkowicie uzasadnione i usprawiedliwione moralnie, że państwa zachodnie, domagając się przyjęcia tych warunków i wykonania tych żądań, będą wykorzystywały wszystkie dźwignie tak politycznego jak i ekonomicznego nacisku”.

Przeszło trzydzieści lat...

Adam KRUCZEK

Kronika litewska

Litwa: „Nie zapominajcie o waszych braciach-męczennikach”

Dalszy ciąg numeru 10-tego „Kroniki Kościoła Katolickiego na Litwie” przynosi szczegóły dotyczące rozprawy sądowej, jaka

odbyła się w Wilnie przeciw kilku uczonym, etnografom i badaczom kultury litewskiej i łotewskiej. Początkowo aresztowano ponad stu pracowników naukowych i osób utrzymujących z nimi stosunki. „Liczni i wybitni naukowcy, jak R. Matulis z Wilna, byli przed zwolnieniem zmuszani do podpisania oświadczenia, zobowiązującego do „nieprowadzenia w przyszłości z własnej inicjatywy studiów nad kulturą kraju”. Młodszych zaś uczonych zmuszano pod groźbą do współpracy z organami bezpieczeństwa. Trybunał oskarżał ich o należenie do tajnej organizacji, przechowywanie i rozpowszechnianie publikacji zakazanych, a nawet o pomoc finansową udzielaną rodzinie S. Kudirki.

Podczas rewizji w domach aresztowanych zaskwestrowano m.in. książkę braci Miedwiediew o represjach w szpitalach dla obłąkanych, kilka numerów „Kroniki”, „Historię Litwy” A. Sapoka, „T.S.R.S. uzienio-politika 1939-40” (Polityka ZSSR w latach 1939-40). Przebieg procesu wykazał jaki jest jego istotny cel: oszkalowanie i sparaliżowanie ruchu uczonych, badających problematykę narodowej kultury litewskiej. S. Zukauskas, uznany za przywódcę grupy (skazany na 6 lat obozu o rygorze surowym), przemawiał godzinę w swej obronie. Z tej mowy obrończej, a właściwie oskarżycielskiej pod adresem reżymu, przedostały się do Rzymu pewne fragmenty, które przytaczamy. Oskarżony stwierdził na wstępie, że w roku 1918 „rewolucja” na Litwie nie powstała jako spontaniczny ruch ludowy, lecz była przygotowana i importowana z Moskwy na bagnietach Czerwonej Armii oraz przybyłych z jej dowództwem dwóch renegatów, Angarietisa i Kapsukasa. W lokalnym rządzie przeważali Rosjanie, Polacy i Żydzi, nie mający nic wspólnego z narodem litewskim, dążącym do niepodległości. Przytoczył pakt Ribbentrop-Mołotow w sprawie rozbioru Państw Bałtyckich, co umożliwiło ustanowienie w roku 1940 rządów sowieckich na Litwie. „Tak zwana rewolucja czy sytuacja rewolucyjna, istniejąca rzekomo wówczas na Litwie — stwierdził — jest obrzydliwym kłamstwem. Aresztowania, terror i masowe deportacje, rozpoczęte wówczas, przyniosły w pierwszych latach powojennych 300 tysięcy ofiar. Po wojnie Litwinów rozstrzeliwano i deportowano na Sybir nie z powodów klasowych, lecz narodowych. Jeszcze dotąd są ludzie, którym nie wolno powrócić do ojczyzny. Dziś, bardziej niż kiedykolwiek, panoszy się szowinizm wielkorosyjski, realizujący politykę okrutnego wynaradawiania. Wzrost liczby ludności rosyjskiej uzasadnia się brakiem rąk do pracy, podczas kiedy, równocześnie, nakłania się ludność litewską do pracy w Kazachstanie i na innych obszarach ZSSR. Imperializm rosyjski jest wciąż więzieniem narodów. Różne narody świata walczą o wolność, a wszystkie siły postępu je popierają — czyż my, Litwini, jesteśmy gorsi od innych?”. W ostatnim słowie, w którym domagał się nie redukcji kary, lecz uniewinnienia, powiedział m.in.: „To nie jest proces, lecz krzywdzące nadużycie... Dlaczego toczy się on przy drzwiach zamkniętych? Czy naprawdę trybunał boi się, że rozwszczęszczony lud rozszarpie mnie na kawałki? Czy też to raczej

wy boicie się?... Ponieważ przynajmniej z nazwiska jesteście Litwinami. Mądrość ludu ma rację kiedy mówi: 'własny pies kąsa najmocniej'... 'Wróg ściska nas rękami z żelaza, ale słowem najcenniejszym pozostaje wolność'" (cytat z poezji Mykolaitis-Putinasa).

Na Synodzie episkopat litewski reprezentowany był przez bp. Matulaitis-Labukasa, administratora apost. z Kowna, którego władze sowieckie wypuściły, roztaczając nad nim jednak dozór polityczny przez cały czas pobytu w Rzymie. Kiedy grupka księży litewskich mieszkających w Rzymie, chciała złożyć mu wizytę, pilnujący go sekretarz oświadczył, że biskup jest chory i odprawił ich z kwitkiem. Niezrażeni tym niepowodzeniem księża ponowili dalsze próby i wreszcie im się to udało. Przed dostaniem się jednak do biskupa, cieszącego się najlepszym zdrowiem, zażądano od nich przedłożenia paszportów. Podczas rozmowy bp Labukas uważał na każde wypowiedziane słowo, ale żegnając się nie wytrzymał: obejmując każdego z osobna powiedział ze łzami w oczach: „Nie zapominajcie o waszych braciach męczennikach i módlcie się ponieważ nic innego nie jest możliwe” (bp Labukas spędził na Sybirze dziesięć lat za „działalność antykomunistyczną”).

Dominik MORAWSKI

Kronika ukraińska

W dniach 25, 26 i 27 października 1974 roku odbyła się w Hamiltonie na uniwersytecie McMaster konferencja naukowa, poświęcona zagadnieniom współczesnej Ukrainy, zorganizowana przez międzywydziałowy Komitet Spraw Komunistycznych i Wschodniej Europy pod przewodnictwem prof. P. J. Potichnyja. W konferencji brali udział profesorowie oraz pracownicy nauki zajmujący się problematyką ukraińską ze Stanów Zjednoczonych i Kanady oraz kilku gości europejskich.

Prof. Hazard w ostatecznym wniosku stwierdził iż przyszłość ZSSR jako całości zależy głównie od rozwoju sytuacji na Ukrainie, gdyż stanowi ona najważniejszy człon federacji sowieckiej. Zwycięstwo odśrodkowych tendencji nacjonalistycznych na Ukrainie doprowadzi do oderwania się od ZSSR.

Dr Bialer, analizując krytycznie politykę Stanów Zjednoczonych, starał się przedstawić następstwa jej w ZSSR. Wskazał iż odprężenie na arenie międzynarodowej bynajmniej nie powoduje odprężenia w stosunkach wewnętrznych, ani też nie wpływa na zasadniczą linię dążeń sowieckich.

Niewątpliwie najciekawsze były referaty oraz dyskusje na temat istoty i źródeł ruchu dysydenckiego na Ukrainie oraz oblicza partii komunistycznej Ukrainy po 1966 roku.

Referentem pierwszego tematu był dr J. Birch, Anglik, wykładawca na uniwersytecie w Sheffield, a drugiego dr Y. Bilinsky z uniwersytetu Delaware, Stany Zjednoczone.

Prof. Birch przeprowadził rozróżnienie między dysydentami religijnymi a politycznymi wskazując iż ci ostatni odnoszą się wysoce życzliwie do pierwszych. *Samizdat* rosyjski rejestruje działalność dysydentów ukraińskich. Jeśli chodzi o odcinek religijny to najaktywniejsi są baptyści. Jest to inteligencja wiejskiego pochodzenia, młoda jeśli chodzi o wiek, i z dużą przewagą kobiet.

Jeśli idzie o dysydentów politycznych to zdecydowanie nie tylko antykomunistyczne, ale antyrosyjskie są jednostki i grupy pochodzące z obszarów zajętych przez ZSSR w wyniku ostatniej wojny, a więc terenów, które należały do Polski i Czechosłowacji. Należą oni do pokolenia urodzonego i wychowanego w obecnych granicach ZSSR.

Inny odłam dysydentów jest również antykomunistyczny i nacjonalistyczny, ale nie antyfederacyjny. Widzi możliwość bytu narodowego i państwowego w ramach federacji, ale w innym ustroju. W tej grupie jest sporo zawiedzionych komunistów i bodajże wszyscy rekrutują się z obszarów zadnieprzańskiej Ukrainy. Prelegent zdołał ustalić, iż kierunek ten ma zwolenników wśród studentów teologii oraz literatury, ale uchylał się od wyciągania wniosków, zaznaczając iż jest na to zbyt mało ścisłych danych.

Drugi referat był analizą struktury i układu wewnętrznego partii komunistycznej Ukrainy i charakterystyką jej przywódców. Zarówno referent jak i dyskutanci poświęcili najwięcej czasu osobie Piotra Szelesta, zdeponowanego pierwszego sekretarza Ukrainy i członka władz centralnych partii w Moskwie. Zdaniem wszystkich mówców z odejściem Chruszczowa nastąpiło znaczne pogorszenie na Ukrainie, wzmogła się polityka rusefikacyjna na wszystkich odcinkach. Następca Szelesta oraz jego współpracowników na wojewódzkich i powiatowych szczeblach partyjnych są li-tylko posłuszni wykonawcami rozkazów Moskwy. Partia Ukrainy i jej przywódcy spadli również jeśli idzie o rangę i miejsce we władzach centralnych w Moskwie. Dalej mówcy wskazywali na postępujący proces rusefikacji jako wynik zarówno świadomej polityki sowieckiej jak i obiektywnych warunków: mieszane małżeństwa, lepsze warunki pracy poza ukraińskim obszarem etnicznym. Wskazano dalej, iż zarówno w państwowym jak i partyjnym aparacie biurokratycznym Ukrainy stale wzrasta odsetek Rosjan.

Jedna sesja poświęcona była zagadnieniom studiów problemów ukraińskich, w tym języka i literatury, na Zachodzie. Aktualny stan na wyższych uczelniach w USA i Kanadzie przedstawiało 5-ciu profesorów. Jedni wskazywali, iż należy przede

wszystkim stworzyć zdrowe podstawy, to jest wydać podręczniki dla nauki, wypisy — w języku angielskim — z literatury i dopiero po wyszkoleniu dostatecznej grupy pracowników naukowych zorganizować instytuty badawcze itp. Inni uważali, iż trzeba jak najlepiej wyposażyć ośrodek ukrajinoznawczy w Harvard University i projektowany podobny ośrodek w Kanadzie i w ten sposób zaktualizować i rozszerzyć wiedzę o Ukrainie. Oczywiście ośrodki badawcze muszą być finansowane przez społeczność ukraińską na Zachodzie.

Ostatnia sesja poświęcona była dwóm zagadnieniom: społecznej i politycznej roli Żydów na Ukrainie oraz Rosjanom na Ukrainie i zagadnieniu tożsamości ukraińskiej w ZSSR. Oba tematy są natury konfliktowej, nic więc dziwnego iż zarysowały się wyraźne różnice między stanowiskiem referentów oraz koreferentów i zabierającymi głos w dyskusji. Prof. Gitelman wskazał iż Żydzi doznali wielu krzywd od Ukraińców. Stanowili oni bardzo odmienną grupę ludności, nie tylko pod względem wyznania, ale i struktury zawodowej, wykształcenia itp. Byli niemal wyłącznie elementem miejskim podczas gdy Ukraińcy wiejskim. Zarówno za caratu jak i później stanowili element rusefikacyjny, uważali się za grupę najbardziej rozwiniętą kulturalnie. Współżycie nie było szczęśliwe, ale dramat rozpoczął się dopiero w 1917 roku z proklamacją niepodległości Ukrainy. Prelegent wymieniał kolejne pogromy, podawał ilość ofiar i strat materialnych. Akcje różnych grup ukraińskich, wojskowych, partyzanckich i cywilnych doprowadziły do tego iż w 1923 roku żydowski stan posiadania — ludności, dobytku, itp. — został niemal doszczętnie zniszczony. Z tego upadku Żydzi już nie podnieśli się.

Prof. Gitelman następnie wskazał, iż system sowiecki zmienił radykalnie oblicze społeczne mniejszości żydowskiej a proces rusefikacji i ucisku narodowego doprowadził do zbliżenia między Ukraińcami i Żydami. Jest on szczególnie zaawansowany na Zachodzie.

Prof. Lewickij, nie kwestionując wywodów poprzednika, przypomniał iż w narodowej republice ukraińskiej, podczas jej krótkiego żywota, mniejszość żydowska posiadała równe prawa i brała udział w życiu publicznym. Za krwawe wypadki odpowiedzialne są przede wszystkim elementy rozbójnicze i awanturnicze. Jego zdaniem Ukraińcy mają jeden uzasadniony żal do Żydów, a mianowicie iż współdziałali w procesie rusefikacyjnym, podobnie jak najbardziej uzasadnioną może być pretensja Żydów, iż żadna organizacja ukraińska działająca w podziemiu, wydająca czasopisma itp., nie wystąpiła z potępieniem zbrodni hitlerowskich.

Po zakończeniu dyskusji referent dr Gitelman, wypowiadając się jak najbardziej za tezą prof. Lewickija, zauważył iż podziemna Rada Ukraińska zabrała głos w czasie kiedy Niemcy mordowali Żydów, i odczytał paragraf głoszący iż Żydów, Polaków i Rosjan należy zabijać. Było to bardziej aniżeli dramatyczne zakończenie dyskusji.

Referent ostatniego zagadnienia był pochodzenia ukraińskiego, podczas gdy koreferent rosyjskiego. Zarówno jednak prof. Szporluk jak i Pośpiełowski pochodzą z Polski. Obu cechowała powściągliwość w formułowaniu swoich tez. Godzili się z tym iż proces rusyfikacji postępuje naprzód, ale zdaniem prof. Pośpiełowskiego nie tylko w wyniku nacisków politycznych i administracyjnych.

W konferencji uczestniczyło około 400 osób, w przytłaczającej większości pochodzenia ukraińskiego. Obrady toczyły się wyłącznie w języku angielskim. Uderzająca była bardzo znaczna ilość młodych wiekiem słuchaczy. Gdyby tak na polskich zjazdach naukowych za granicą...

Benedykt HEYDENKORN

Kronika białoruska

BIAŁORUSKIE CZASOPISMA NAUKOWE NA ZACHODZIE (2)

Stałym czytelnikom *Kultury* przedstawiać Auberona Herberta nie trzeba*. Zrobił to sam w 1958, pisząc o sobie w numerze 3/125 (str. 104-5):

„Siedemnaście lat współżycia z Polakami. Ułan starszy ułan, spadochroniarz. Podporucznik do specjalnych zleceń i — jakoś bardzo niespecjalnych osiągnięć. Sztabowy oficer i morze wypitej wspólnie wódki. Walka ze zdradą Jałtańską. Koniec wojny i Towarzystwo Angielsko-Polskie. Robiło się co się mogło, często głupio i prawie zawsze nie skutecznie, ale z całego serca”.

Po wstąpieniu na ochotnika do Polskich Sił Zbrojnych angielski katolik odkrył również światy ukraiński i białoruski. Były jeszcze bardziej egzotyczne, a zatem pociągające.

W roku 1961 Prezes Anglo-Ukraińskiego Towarzystwa w Wielkiej Brytanii, Auberon Herbert, został zaproszony przez Komitet Ukraińców Kanady do odwiedzenia kanadyjskich ośrodków ukraińskich celem nawiązania łączności i omówienia współpracy. Objechał 13 miast i mówił bez przerwy. Podejmowany był z gościnnością już nie przysłowiową ale wprost wzruszającą; rezerwowano dla niego najlepsze hotele i pokrywano wszystkie wydatki. W zakończeniu ogłoszonego w *Kulturze* (nr. 7-8/165-6) sprawozdania z tej podróży, Herbert pisał:

„Sprawy polsko-ukraińskie są nade wszystko bolesne. Prywatnie, wybitni

* Pisząc to, nie wiedziałem jeszcze o nagłej śmierci Herberta.

Ukraińcy kanadyjscy chcieliby odprężenia... na pewno współpracy, być może pojednania. Ale żaden z nich nie zaryzykuje publicznej obrony tych tez. Właściwy czas jeszcze nie nadszedł. Muszę tu stwierdzić, iż za każdym razem podkreślałem starannie, iż miałem zaszczyt służyć w Wojsku Polskim podczas 2-ej wojny światowej, i że jestem jak najściślej związany ze społecznościami tak ukraińską jak i polską w Anglii, a uczuciowo z obydwojoma krajami w ogóle. Nie wyczuwałem jakichkolwiek oporów czy zastrzeżeń z tego powodu wśród moich ukraińskich gospodarzy i przyjaciół w Kanadzie”.

W sumie wyprawa do Kanady większych rezultatów nie dała. Szczere rozmowy z Ukraińcami okazały się również mało skuteczne, co wódka wypita z Polakami. „Właściwy czas jeszcze nie nadszedł”, smętnie stwierdzał Herbert, robiąc rachunek sumienia ze swej wieloletniej działalności „z całego serca”. W sytuacji, jaka się utrzymała, trzeba było znaleźć inne metody pracy dla osiągnięcia czegoś bardziej konkretnego.

Towarzystwo Anglo-Białoruskie powstało w Londynie na początku lat 50-tych. I tam „robiło się co się mogło”, a mogło niewiele, i po kilku latach wegetacji Towarzystwo zamarło. Po wskrzeszeniu go na początku 1965, Herbert ograniczył się do działalności kameralnej. W oparciu o parę zaprzyjaźnionych rodzin angielskich oraz kilku naukowców, interesujących się sprawami słowiańskimi, jak również Białorusinów-katolików (którzy prowadzili w Londynie jedyną na Zachodzie internatową szkołę białoruską im. św. Cyryla oraz w 1964 wznowili wydawanie dotąd we Francji dwumiesięcznik *Bożym Słiacham*), odrodzone Towarzystwo Anglo-Białoruskie zaczęło organizować spotkania towarzyskie z pogadankami na tematy Białoruskie. Początkowo liczyło ono 19 członków — 12 Brytyjczyków i 7 Białorusinów — z których prawie połowa wchodziła w skład władz Towarzystwa. Prezydium stanowili: Lord Ferlech, pani Maurycowa Macmillan, przysłała wiceprzewodniczącą partii konserwatywnej, oraz ks. Biskup Czesław Sipowicz, Wikariusz Apostolski dla Białorusinów. Prezesem Zarządu był Herbert; wiceprezesami — Markiza Dufferin & Ava, Stanisław Sawicki oraz John Jolliffe; honorowym sekretarzem Guy de Picarda i honorowym skarbnikiem Paweł Asipowicz. Z czasem dorywcze pogadanki czy odczyty nabrały charakteru bardziej systematycznych cykli wykładów, dostępnych również dla nie-członków. Aczkolwiek wzmianki o odbywających się w Instytucie Francuskim, Royal Scottish Corporation czy Londyńskim Towarzystwie Miłośników Starożytności (*Antiquaries*) wykładach białorusoznawczych pojawiały się w *Times*'ie oraz *Daily Telegraph*'ie, frekwencja nie była duża, wahała się pomiędzy kilkunastu a 30-kilku osobami. Nie zrażało to organizatorów i od 1966 cykle sześciu wykładów odbywały się co roku, zaś liczba członków Towarzystwa ustabilizowała się w latach 70-tych na poziomie 35-ciu.

Wygłaszane wykłady dostarczały materiału dla *The Journal of Byelorussian Studies*, którego wydawnictwo Towarzystwo rozpoczęło w 1965 i który się stał jego istotnym i trwałym osiągnię-

ciem. Redagowany początkowo przez Ing. Ausey'a a od 1967 przez Arnolda B. McMillina, *Lecturera* w London School of Slavonic Studies, *Journal* ukazywał się regularnie co roku w zeszytach tworzących co cztery lata oddzielne tomy, zaopatrzone w szczegółowe indeksy. Tom I za lata 1965-68 liczył 381 stron, tom II za lata 1969-72 — 431 stron. Zeszyt IX, liczący 120 stron, został wydany w 1973 pod naczelną redakcją James'a Dingley'a, wykładowcy na uniwersytecie w Reading, przy udziale komitetu redakcyjnego w składzie: A. B. McMillin, F. A. Nadson i Guy de Picarda. Administratorem wydawnictwa jest Jan Michaluk¹.

Pod względem technicznym wydawnictwo stoi na bardzo wysokim poziomie. Dobry papier umożliwia doskonałe reprodukcje; cytaty i teksty w różnych językach są składane właściwymi dla nich czcionkami; druk całości przyjemny i „czysty”; korekta bez zarzutu (*Journal* jest drukowany w Londynie przez Multilingual Printing Services, 200 Liverpool Rd.). Wszystko to przyciąga zarówno czytelników jak i (ostatnio) współpracowników również ze Stanów Zjednoczonych, Kanady i Izraela. Drukowany w ok. 500 egzemplarzy, *Journal* jest otrzymywany przez 120 uniwersytetów, 55 bibliotek i 46 towarzystw naukowych w różnych krajach świata. Drukowane w nim były interesujące teksty źródłowe, jak np. współczesny raport angielski o zdobyciu Połocka przez Batorego w 1579 (1965); pisany po białorusku pamiętnik podsejdyka nowogródzkiego Teodora Jewłaszewskiego z lat 1564-1604 (1968 — pamiętnik ten był ogłoszony w tłumaczeniu polskim w Warszawie w 1860 przez księcia Lubomirskiego); białoruskie wiersze Jana Czeczota z lat 1819-46 (1970); fragmenty tekstów pisanych po białorusku pismem arabskim przez Tatarów w XVIII i XIX ww. (1970); nuty i tekst hymnu cerkiewnego z Supraśla z XVII w. (1970); fragmenty z modlitewnika Franciszka Skaryny z XVI w. (1972). Zaopatrzone w wyczerpujące komentarze, niektóre z nich (pamiętnik Jewłaszewskiego) były tłumaczone w całości na angielski.

Spśród członków Towarzystwa Anglo-Białoruskiego najbardziej płodnymi współpracownikami *Journalu* byli o.o. Marianie i osoby z nimi związane. Biskup Sipowicz w 1970 wydrukował pracę o katolickiej diecezji mińskiej, a w 1973 o zagadnieniu językowym w kościele katolickim na Białorusi w XIX w. Dyrektor szkoły im. Św. Cyryla w Londynie, Aleksander Nadson w 1965 omówił spuściznę literacką patrona tej szkoły, w 1966 wpływy zachodnie w literaturze białoruskiej i w 1967 wydawnictwo *Naszej Niwy* w Wilnie w latach 1906-15; w 1968 przetłumaczył i zaopatrzył w komentarze pamiętnik Jewłaszewskiego; a w 1969 życiorys Św. Eufrosynii, księżniczki połockiej z XII w.; w 1970 wspólnie z profesorem studiów islamskich na uniwersytecie w

Toronto, G. M. Meredith-Owens, omówił białoruskie piśmiennictwo Tatarów, a w 1972 modlitewnik Skaryny. Dyrektor chóru Domu Marianów w Londynie i sekretarz honorowy T-wa A-B., Guy de Picarda, pod pseudonimem Gabriel lub H. Piczura w 1965 pisał o podlaskiej i poleskiej ceramice; w 1967 o sztychach w Biblii Ruskiej F. Skaryny z 1517-19; oraz w 1966 i 1970 o muzyce cerkiewnej. Były redaktor *Bożym Słuchem* w Paryżu, o. Leon Horoszko, w 1965 pisał o Kostusiu Kalinowskim, a w 1966 o białoruskiej mitologii. Wiceprezes zarządu T-wa A-B., St. Sawicki w 1966 i 67 szkicowo omówił źródła białoruskiego prawa. Redaktor A. McMillin w 1966 i 1967 pisał o J. Karskim, w 1969 o J. Czeczocie i w 1971 o literaturze białoruskiej w XIX w. Jego obszerna 336-stronicowa praca doktorska o słownictwie XIX-stowiecznego białoruskiego języka literackiego ukazała się nakładem T-wa Anglo-Białoruskiego w 1973. Nowy naczelny redaktor, J. Dingley, w 1972 omówił dwie wersje XVII-stowiecznej Gramatyki Słovenskiej J. Użewicza. Poza tym wykładowca geografii na uniwersytecie londyńskim, R. A. French, w 1967 wydrukował pracę o lasach na Białorusi w XVI w. i w 1969 o XVII-stowiecznej Bobrujszczyźnie; profesor R.G.A. de Bray w 1967 o gramatycznych zmianach we współczesnym białoruskim języku literackim; *lecturer* H. Leeming w 1971 o XVII-stowiecznej *Aleksandryji* W. Mianżynskiego; R. Patry-Tamuszanski w 1965 o białoruskich wierszach z epoki Renesansu i w 1972 o wileńskim profesorze filozofii Aniole Dowgirdzie. W 1973 *Journal* wydrukował pracę Shirina Akinera o słownictwie XIX-stowiecznego tatarsko-białoruskiego rękopisu znajdującego w British Museum.

Spoza Anglii, poza już wspomnianym Meredith-Owensem, w *Journalu* drukowane były prace J. Sadowskiego, profesora uniwersytetu w Ontario w Kanadzie, o pobycie Fr. Skaryny w Danii (1969); J. Zaprudnika, profesora uniwersytetu w New Yorku, o sprawie autonomii Białorusi w I Dumie rosyjskiej (1971); oraz profesorów w Izraelu M. Althbauera i P. Wexlera o białoruskim tłumaczeniu Biblii oraz o gwarach żydowskiej, taraskiej i kairamskiej i ich wpływach na język białoruski (1972 i 1973).

Z natury rzeczy, artykuły drukowane w *Journalu* nie były na jednakowym poziomie. Na ogół jednak metoda obiektywnego przedstawiania faktów była stosowana i niektóre z tych artykułów będą niewątpliwie poszukiwane i cenione przez specjalistów.

Użyteczne i wartościowe są również stale drukowane w *Journalu* działy informacyjne: treściwe coroczne sprawozdanie Prezesa Herberta z działalności T-wa A-B.; coroczna kronika dotyczących Białorusi wypadków politycznych i kulturalnych zarówno w kraju jak i poza nim i wreszcie przegląd corocznej treści głównych białoruskich periodyków krajowych i emigracyjnych. Nowy redaktor naczelny w 1973 zastąpił ten ostatni dział „Wybraną bibliografią o Białorusi”, podając tytuły 127 książek i 271 artykułów, jakie się ukazały w 1972 w ZSSR i na Zachodzie.

1. *The Journal of Byelorussian Studies* (11 Ridgeway Road, London, N.20), wydawany przez The Anglo-Belorussian Society (230 Strand, London, W.C.2), Vol. III, No. 1 — Year IX, 1973, str. 120. Cena £.1 lub \$ 2.50.

Dzięki tej zmianie, łatwiejsze być może stanie się kompletowanie bibliografii, dotyczącej poszczególnych zagadnień, czytelnicy jednak *Journalu* stracili możliwość łatwego orientowania się o czym w danym roku jakie białoruskie periodyki pisały.

Stały jest również dział recenzji książek. W ciągu 9 lat w *Journalu* zostały krytycznie omówione około 150 książek bezpośrednio lub pośrednio dotyczących Białorusi. Z nich 110 ukazały się w ZSSR (głównie w Mińsku), 5 w krajach satelickich (głównie w Polsce), oraz ok. 30 na Zachodzie. Na ogół recenzje są rzeczowe i często krytyczne, jednakże w stosunku do książek wydawanych na Zachodzie jest stosowane coś w rodzaju taryfy ulgowej. Jest to może w warunkach emigracyjnych zrozumiałe, ale na dalszą metę raczej szkodliwe. W szczególności zdziwiła mnie i zaskoczyła pozytywna recenzja przez A. Nadsona książki Lubachki, omawianej krytycznie zarówno w *Zeszytach Historycznych* (23) jak i w *Kulturze* (5/320). Recenzent *Journalu* (1973, str. 95) uważa ją — po „rather unsatisfactory” książce N. Vakara z 1956 — za „pierwszą poważną próbę” wypełnienia luki w informowaniu Zachodu o Białorusi. Jest on wyraźnie pod wrażeniem „na ogół przejrzystego i rzeczowego” stylu autora, „cennych tablic statystycznych i artystycznie wykonanych map”, oraz „dużej troski” (*great care*) powoływania się na źródła, zestawione w „nader imponującej” (*very impressive*) 17-stostronicowej bibliografii. Wprawdzie bardziej krytyczny stosunek do tych „źródeł” mógłby, zdaniem recenzenta, zapobiec nierzadkim w książce błędom (*mistakes*) w rodzaju dwukrotnego uśmiercenia Dworczanina i Hawryluka, bałamutnym informacjom o Skarynie i Karskim, przesadnemu nazywaniu sowieckiego NEP’u „Złotym Wiekiem Białoruskiej Kultury”, oraz nader wątpliwym tezą „o podłożu historycznym” we wstępnym rozdziale książki. Wszystko to jednak recenzent uważa za usterki „przeważnie dotyczące spraw drugorzędnych”, które łatwo dadzą się usunąć w następnych wydaniach tej „pracy pionierskiej”, której „real-value” polega na tym, iż podważa ona „pewne zakorzenione idee” (*a pioneer work... bound to upset certain well-established ideas*). Recenzję kończy zdanie następujące:

„Niekoniecznie podzielać wszystkie poglądy wypowiedziane przez prof. Lubachko, wydaje się (*one feels*), że przez potraktowanie Białorusi jako odrębnej jednostki przyczynił się on istotnie (*made a valid contribution*) do sformułowania bardziej zrównoważonego poglądu (*more balanced view*) na historię całej Wschodniej Europy”.

Przyznam się, że nie rozumiem o co właściwie w tym zdaniu chodzi, ani też jak książka, której poglądów recenzent nie podziela i w której się roi od kardynalnych błędów i bałamutnych informacji, może „istotnie się przyczynić do sformułowania bardziej zrównoważonego poglądu”. Nie sądzę też by zawarte w książce p. Lubachko *mistakes* mogły być łatwo poprawione. Moim zdaniem, bałamutnych informacji i twierdzeń niezgodnych

z notorycznymi faktami jest w niej tak dużo, że w razie radykalnego ich usunięcia, z pierwotnego tekstu pozostałyby jedynie — jak to mówią Białorusini — „rożki da nożki”.



Pisałem tę recenzję o londyńskim wydawnictwie na dalekim Zachodzie amerykańskim, dokąd zwykła (nie lotnicza) poczta z Europy dochodzi wciąż nie szybciej niż przed stu laty. Z otrzymanej dziś wrześniowej *Kultury* (Nr 9/324) dowiaduję się o nagłej śmierci Auberona Herberta jeszcze 21 lipca br., i omówienie to staje się nagle niezamierzonym nekrologiem. Niezamierzonym, gdyż Auberona Herberta znałem zbyt mało, bym mógł coś pisać o jego barwnej i nieczęsto spotykanej osobowości. Sądzę, że choć w dziesiątym kolejnym zeszytzie *Journalu*, jaki miał się ukazać w tym roku, nie będzie już tradycyjnego corocznego sprawozdania Prezesa Herberta, pozostanie po nim ślad trwały w historii białoruskiej kultury, gdyż praca ostatniej dekady jego raczej zbyt krótkiego życia była bardziej owocna i skuteczna, niż uprzednie „robienie, co się mogło” wśród Ukraińców, Polaków czy Brytyjczyków.

Wiktor SUKIENNICKI

Kalifornia, 17 października 1974

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Kraj

Wokół projektu ustawy psychiatrycznej

Któryż to już raz pojawia się w Polsce dokument: projekt względnie projekt projektu ustawy o ochronie zdrowia psychicznego, potocznie zwanej ustawą psychiatryczną? Jeśli dobrze zliczyć, przygotowane przez Komisję Ekspertów „Tezy dotyczące regulacji prawnej ochrony zdrowia psychicznego” są szóstą z kolei próbą ujęcia problematyki psychiatrycznej w ramy ustawowe. Usiłowano opracować taki projekt dwukrotnie przed wojną. A w PRL było już projektów trzy. Pierwszy, z roku 58 był dziełem Instytutu psycho-neurologicznego. Nie zyskał aprobaty władz. Następny, z roku 65 powierzono Ministerstwu Zdrowia. Wycofano jednak gotowy tekst pod naciskiem opinii publicznej. Trzeci projekt rządowy, z roku 70, spotkał się również z dezaprobatą tak fachowców jak prasy i został wycofany, mimo że znajdował się już na warsztacie sejmowym. Opinia nie przyjęła tych dwóch projektów głównie z powodu niedostatecznych gwarancji ochrony praw ludzkich.

Ustawa psychiatryczna jest ustawą trudną. W toku prac legislacyjnych ścierają się poglądy niektórych lekarzy, którzy wolą mieć więcej swobody w decyzjach o losie pacjenta, i prawników opowiadających się w większości za ograniczeniem uprawnień lekarza i kontroli jego orzeczeń przez instancję niezależną, a więc przez sąd. Trudności nastęrcza sama materia, z którą prawodawca ma do czynienia. Psychiatria i psychologia poczyniły w naszych czasach ogromne postępy. Coraz trudniej o definicję choroby psychicznej. Zacięra się granica. Co jest w psychice ludzkie normą, a co stanowi już odstępstwo od normy? Jakże często w procesach kryminalnych opinie o poczytalności oskarżonego różnią się diametralnie! A jednak ustawa psychiatryczna, aby bronić przed nadużyciami, powinna zawierać ścisłą definicję i to nie tylko przejawów choroby, które są jej wynikiem, lecz samego schorzenia.

Aby chronić przed nadużyciami... Nadużycia w dziedzinie psychiatrii mogą być natury prywatnej, ale mogą i są także wynikiem bezprawnej penalizacji przez organa policyjne. W ustrojach demokratycznych ustawa chroni obywatela przed intrygą osób prywatnych, np. przed rodziną, która chce pozbyć się krewnego, aby zawładnąć jego majątkiem. W ustrojach totalnych — przede wszystkim w Związku Sowieckim — obok niebezpieczeństwa ze strony złośliwych współobywateli lub nieuczciwych kombinatorów, występuje dużo poważniejsza groźba: znana i powszechnie potępiona praktyka umieszczania w zamkniętych szpitalach psychiatrycznych osób których wystąpienia, bądź nawet tylko poglądy, odbiegają od ideologii marksizmu-leninizmu, od polityki rządu sowieckiego, w szczególności od polityki narodowościowej, lub są jedynie krytyczne wobec stanowiska władz w określonych sprawach.

Chociaż w Polsce Ludowej sowieckie praktyki psychiatryczne nie są szeroko stosowane, zdarzały się już alarmujące sygnały. Swego czasu próbowano poddać terapii psychiatrycznej sędziwego pisarza Januarego Grzędzińskiego. Do szpitala dla umysłowo chorych skierowano Teresę Orłowską, która protestowała przeciwko zbrojnej interwencji sowieckiej w Czechosłowacji i udziałowi w pacyfikacji wojsk PRL. Niedawno władze bezpieczeństwa po społu z prokuratorem zastosowały środki przymusu, umieszczając w szpitalu psychiatrycznym ks. Piotra Zabielskiego, który odprawiał nabożeństwa w prywatnym pomieszczeniu. Powszechnie wiadomo, że jest w PRL grupa lekarzy-psychiatrów związanych z władzami bezpieczeństwa. W ZSSR są to po prostu funkcjonariusze KGB. Sowieckie szpitale psychiatryczne, podlegające Ministerstwu Spraw Wewnętrznych (MWD) a nie Ministerstwu Zdrowia, są katownią dla politycznych dysydentów.

Wszystkie te fakty są znane polskiej opinii ze źródeł zachodnich. Powoduje to specjalne uczulenie na tematykę prawno-psychiatryczną. Niewiele projektów nowych ustaw wywołało taką lawinę wypowiedzi prasowych, jak właśnie kolejne projekty ustawy o ochronie zdrowia psychicznego. Sowieckie praktyki stanowią oczywiście tabu. Nikt nie śmie wspomnieć, że u źródeł obaw i krytyki rodzimych projektów leży przede wszystkim strach przed przejściem przez władze bezpieczeństwa PRL wzorów sowieckich i świadoma wola zabezpieczenia społeczeństwa przed tą groźbą. Czy taka ochrona jest możliwa? Czy może ją zapewnić najlepsza, najbardziej precyzyjna ustawa? Niestety, środek uznany za najskuteczniejszy: kontrola sądowa — jest w ustroju totalnym także zawodna wobec problematycznej niezawisłości sądów. Ale przynosi w każdym razie większe gwarancje. I dlatego w dyskusjach nad poprzednimi projektami ustawy psychiatrycznej ten postulat zajmował czołowe miejsce. Ogłoszone niedawno Tezy ekspertów czynią wreszcie temu postulatowi zadość, co znalazło w opinii uznania. Ale chociaż eksperci podjęli rzetelny wysiłek, żeby zapewnić obywatelowi środki obrony przed bezprawnym ograniczeniem wolności osobistej, także i owoc

prac Komisji spotkał się z krytyką, w niektórych wypadkach nawet namiętną. Można się zgodzić lub nie zgodzić z tymi czy innymi zastrzeżeniami i postulatami wysuwanymi w dyskusji prasowej, ale sam fakt, że w opinii gwarancje uważane są wciąż za zbyt szczupłe, jest bardzo znamieny.

Nowa ustawa o ochronie zdrowia psychicznego miała by zastąpić obowiązującą obecnie instrukcję Ministerstwa Zdrowia z roku 52 — lakoniczną i nie zapewniającą ochrony swobód osobistych. Pozostaną zapewne w mocy przepisy prawa cywilnego i opiekuńczego o sądowym ubezwłasnowolnieniu. Procedura ubezwłasnowolnienia wiąże się często z procedurą kierowania do zakładów psychiatrycznych. Ale chodzi tu o uregulowanie cywilnoprawnej zdolności obywatela, nie mogącego kierować swoją wolą. W krajach, w których grają rolę poważne interesy finansowe, postępowanie o ubezwłasnowolnienie ma szczególne znaczenie. We Francji np. aby położyć kres notorycznym nadużyciom ze strony łasych na majątek członków rodzin lub współników, uchwalono 3. I. 68 roku reformę kodeksu cywilnego, która zapewnia daleko idącą ochronę *incapables majeurs*, czyli osób pełnoletnich, które nie są w stanie bronić własnych interesów materialnych, które dzięki cechom charakteru popadają w niedostatek, lub które nie wypełniają obowiązków wobec rodziny. Ochronę tę sprawuje wymiar sprawiedliwości. W ustroju socjalistycznym, w którym własność prywatna jest ograniczona, wypadki wspomnianych nadużyć zdarzają się rzadziej. Opiekę otoczyć raczej trzeba rodziny pozbawione środków utrzymania wskutek rzeczywistej choroby psychicznej osoby łożącej na to utrzymanie. Rzecz ciekawa: postępowanie o ubezwłasnowolnienie w prawodawstwie PRL jest bardziej rygorystyczne niż wszelkie dotychczasowe projekty rozwiązań, które miałyby zawierać ustawę regulującą przymusowe leczenie psychiatryczne i przymusową hospitalizację!

Nim przejdę do omówienia głównych zasad zawartych w Tezach ekspertów, wspomnę że sprawę przymusu psychiatrycznego wobec osób, przeciwko którym toczy się postępowanie karne, regulują przepisy Kodeksu Karnego i Kodeksu Postępowania Karnego. Art. 184 KPK przewiduje, że w razie potrzeby sąd lub prokurator może na żądanie biegłych zarządzić badanie psychiatryczne oskarżonego w zakładzie leczniczym. Takie badanie — powiada Kodeks Postępowania — trwa 6 tygodni, ale można ten termin przedłużyć. Kodeks Karny zajmuje się natomiast wypadkami ustalonej niepoczytalności lub ograniczonej poczytalności oskarżonego. Według art. 99 KK, gdy uznano, że sprawca dopuścił się czynu zabronionego w stanie niepoczytalności jego pozostawianie na wolności grozi poważnym niebezpieczeństwem dla porządku prawnego, sąd orzeka umieszczenie sprawcy w szpitalu psychiatrycznym albo innym odpowiednim zakładzie. To samo dotyczy w myśl art. 100 KK wypadku ograniczonej poczytalności, z tym że sąd może ale nie musi orzec umieszczenie sprawcy w zakładzie. Warto mieć w pamięci, że w teorii ten

tryb może być stosowany wobec osób oskarżonych o przestępstwa polityczne.

Ogłoszone Tezy nie stanowią gotowego projektu ustawy psychiatrycznej. Jest to ich zaleta, ale i wada. Zaleta — bo dają szansę wykorzystania w toku procesu legislacyjnego materiału, który przynosi dyskusja publiczna. Wada — bo ujęcie prawne niektórych rozwiązań grzeszy brakiem przejrzystości. Zbyt liczne odsyłacze i powtórzenia wprowadzają zamęt, utrudniając analizę tekstu. Gotowy projekt — abstrahując od meritum — będzie wymagał korekty prawników, którzy nadaliby mu bardziej klarowny kształt. Eksperti w niektórych punktach nie uzgodnili poglądów, przewidując warianty. Tak jest np. przy definicji stanu wyższej konieczności uprawniającej do stosowania bez zgody pacjenta, jego opiekuna lub sędziego, poważnych zabiegów i leków połączonych z ryzykiem. Tak jest, gdy chodzi o kategorie osób, które wolno umieścić przymusowo w zakładach psychiatrycznego lecznictwa zamkniętego. Pozostawiono otwartą sprawę przymusowego kierowania do takiego zakładu osoby, która z powodu choroby psychicznej pozbawia środków utrzymania siebie lub najbliższych.

Zasadnicza teza XXII powiada: „Osoba, u której stwierdzono zaburzenia psychiczne może być przymusowo umieszczona w zakładzie psychiatrycznego lecznictwa zamkniętego, jeżeli jej dotychczasowe zachowanie wskazuje na to, że z powodu tych zaburzeń zagraża ona bezpośrednio życiu lub poważnym stopniowi zdrowiu własnemu, życiu lub zdrowiu innych osób, bądź wyrządzeniem znacznych szkód majątkowych”. Jest to sformułowanie dość ścisłe i ograniczające wypadki, w których wolno pacjenta zamknąć w szpitalu wbrew jego woli. Dużo ściślejsze i dużo bardziej ograniczające niż przepisy sowieckie, które mówią o „niebezpieczeństwie społecznym” i — dając wskazówkę kiedy to niebezpieczeństwo zachodzi — zaliczają m.in. do objawów „stanu hipochondrycznego delirium* wywołujący niewłaściwy, agresywny stosunek chorej osoby do określonych osób, organizacji i instytucji”. Przy złej woli orzekającego zamknięcie w zakładzie każdy przepis można oczywiście interpretować rozszerzająco z krzywdą dla pacjenta. Ale intencją autorów Tez było niewątpliwie ograniczenie wypadków, w których wolno pozbawić obywatela wolności do sytuacji wyjątkowych, w których jest to podyktowane względami bezpieczeństwa pacjenta i jego otoczenia.

Największą zaletą Tez jest — jak już wspomniałam — wprowadzenie zasady sądowej kontroli decyzji o przymusowej hospitalizacji. Poprzedni, odrzucony projekt ustawy psychiatrycznej dawał pewne gwarancje, mianowicie odwołania od decyzji lekarskiej miała rozpatrywać komisja złożona z sędziego i lekarzy. Komisja taka byłaby jednak pozbawiona niezawisłości, nawet tej ułomnej niezawisłości jaka jest udziałem sądu w komunis-

* Tłumaczenie z angielskiego tekstu Dyrektyw z roku 1961 — „Hypochondriac delirious conditions”.

tycznym ustroju. Dlatego projekt spotkał się z druzgocącą krytyką. Tezy inaczej rozwiązały problem kontroli. Zobowiązuja mianowicie kierownika szpitala do zawiadomienia w ciągu 48 godzin miejscowego Sądu Powiatowego o przymusowym umieszczeniu pacjenta w zamkniętym zakładzie. Także sam pacjent, jego najbliżsi lub opiekun mogą żądać sądowego rozpatrzenia sprawy. Sąd po wysłuchaniu biegłych najdalej w ciągu 14 dni wydaje orzeczenie o prawidłowości decyzji. Orzeczenie Sądu Powiatowego jest zaskarżalne do wyższej instancji. Czy jest to idealne rozwiązanie zagadnienia kontroli sądowej nad decyzją lekarza-psychiatry? Nasuwa się szereg zarzutów. Przede wszystkim zarzut zbyt powolnej procedury, w toku której zdrowy obywatel może przebywać za murami „szpitala wariatów”, bo decyzja lekarza jest natychmiastowo wykonalna. Postępowanie sądowe w dwóch instancjach przy obecnym tempie rozpatrywania spraw przeciągnie się zapewne 2 miesiące albo i dłużej. Należałoby może skrócić termin rozpatrzenia sprawy przez Sąd Powiatowy i w wypadku gdy wpływa zażalenie — wyznaczyć Sądowi Wojewódzkiemu równie szybki termin rozprawy. Albo też zezwolić sądowi pierwszej instancji, który uchyla decyzję o przymusowej hospitalizacji, by opatrywał swoje orzeczenie rygiorem natychmiastowej wykonalności. Nie wydaje się słuszny wniosek wysuwany w dyskusji prasowej, aby powierzyć kontrolę Sądowi Wojewódzkiemu a nie Powiatowemu. Wprawdzie sprawy o ubezwłasnowolnienie rozpatruje Sąd Wojewódzki, co przemawiałoby na korzyść tego wniosku. Ale postępowanie w Sądzie Wojewódzkim i Sądzie Najwyższym wlekłoby się jeszcze bardziej, narażając niesłusznie hospitalizowanego na jeszcze większe cierpienia. Skreśleniu powinien natomiast ulec przepis, że Sąd może odstąpić od rozpatrywania sprawy, jeśli przymusowo umieszczony w zakładzie pacjent wyrazi w ciągu 48 godzin zgodę na pobyt w szpitalu. Taka zgoda mogłaby być w pewnych warunkach wymuszona. Ale, zakładając że pacjent cierpi istotnie na poważną chorobę psychiczną, jego zgoda nie może pociągać skutków prawnych, bo przy braku zdolności wyrażania woli dotknięta jest nieważnością.

Jedną z Tez poświęcono prawu pacjenta, przymusowo umieszczonemu w zakładzie, do żądania uchylecia orzeczenia Sądu w tej sprawie, jeśli odpadnie przyczyna umieszczenia. Ograniczono jednak to prawo terminem 30 dni od daty uprawomocnienia się ostatniego postanowienia Sądu. Ten termin jest znacznie krótszy niż to przewidywały poprzednie projekty. Ale czy konieczny?

Bezwzględnej rewizji powinno ulec postanowienie, że o przymusowej hospitalizacji decyduje lekarz-psychiatra po zasięgnięciu opinii drugiego lekarza — „w miarę możliwości psychiatry”. Jeśli współopiniujący lekarz nie jest specjalistą chorób psychicznych, jego diagnoza nie ma znaczenia i decyzja o pozbawieniu obywatela wolności jest *de facto* jednoosobowa. Nawet w niewielkim szpitalu psychiatrycznym można chyba znaleźć *team* specjalistów, którzy w wypadkach — nie zdarzających się osta-

tecznie codziennie — wydadzą orzeczenie *Tres faciunt collegium*. Jest to — rzecz jasna — głos laika. Lekarze znający organizację pracy szpitalnej powinni znaleźć rozwiązanie, zabezpieczające lepiej prawa pacjenta.

Niezmiernie ważną z punktu widzenia praw człowieka jest sprawa przymusowego badania psychiatrycznego. Tezy przewidują, że decyzję w tej sprawie podejmuje w zasadzie kierownik przychodni psychiatrycznej, ale polecenie może wydać w razie potrzeby jakikolwiek lekarz. Trzeba tylko zawiadomić *post factum* sędziego do spraw leczenia psychiatrycznego. Zawiadomić i nic więcej. Tymczasem takie badanie stanowi poważną dolegliwość i wstrząs. A jeśli spojrzeć za Bug — może być stosowane w charakterze policyjnej szkyany. Gwarancja, którą proponują Tezy, jest platoniczna w każdym wypadku.

Równie, jeśli nie bardziej, istotny jest problem metod leczenia, a więc zabiegów operacyjnych i nie-operacyjnych oraz stosowania leków psychotropowych. Tezy przewidują, że na poważne zabiegi i ryzykowne lekarstwa pacjent szpitala musi wyrazić zgodę pisemną. Jeżeli nie ma zdolności wyrażania woli — wymagane jest zezwolenie sędziego, chyba że zachodzi wypadek wyższej konieczności. W tym przepisie tkwi także pewne niebezpieczeństwo. Ale trudno go chyba uniknąć.

Trafnie rozwiązują Tezy sprawę uprawnień pacjentów szpitali psychiatrycznych. Mogą porozumiewać się z rodziną i innymi osobami. Korespondencja nie podlega cenzurze. Pacjentowi, który nie ma zdolności wyrażania woli Sąd wyznacza doradcę tymczasowego na czas pobytu w zakładzie. Należałoby sobie życzyć, by doradcami byli adwokaci i by ustawa wyraźnie stanowiła, że w każdej czynności sądowej może uczestniczyć adwokat na mocy pełnomocnictwa bądź samego pacjenta bądź jego bliskich.

Przymus fizyczny — stwierdzają Tezy — wolno stosować wobec pacjenta tylko w obronie koniecznej, dla ratowania życia i zdrowia pacjenta oraz przy koniecznym zabiegu, gdy spełnione są warunki zezwalające na taki zabieg. Projekt Ustawy Psychiatrycznej z roku 70 przewidywał cenzurę listów i kontrolę paczek, a projekt rozporządzenia wykonawczego zezwalał na przymus bezpośredni wobec pacjenta „gdy na zastosowanie innych środków brak czasu” (!). Komisja Ekspertów poszła innym torem. Torem, który wyznacza nowoczesna psychiatria „otwartych drzwi”.

Inną gwarancją dla przymusowo hospitalizowanego obywatela byłaby opieka i kontrola sędziego dla spraw leczenia psychiatrycznego. Instytucja to nowa. Funkcję tę miałby pełnić sędzia sądu opiekuńczego. Posiadałby on szereg obowiązków, m.in. wizytowania co najmniej raz na 3 miesiące pacjentów umieszczonych przymusowo w zamkniętym zakładzie i kontroli warunków w jakich pacjent przebywa.

Z zadowoleniem można powitać dwie zasady przyjęte przez Komisję Ekspertów. Pierwszą: że lekarze i personel szpitalny

zobowiązani są do zachowania w tajemnicy tego, czego dowiedzieli się w związku z dokonywanymi czynnościami i że nie wolno tych osób przesłuchiwać jako świadków na okoliczność przyznania się pacjenta do przestępstwa. Oraz drugą: że za fałszywe doniesienie o czyjejs chorobie psychicznej grozi kara. Utopią jednak byłoby spodziewać się, że sankcją karną mogliby być objęci funkcjonariusze władz bezpieczeństwa za nałożenie zdrowemu człowiekowi kaftana bezpieczeństwa...

Pomijam w tych uwagach deklaratywną część Tez o ogólnych zasadach ochrony zdrowia psychicznego. Na ten temat powinna wypowiedzieć się medycyna, jak również socjologia i psychologia. Pomijam też tezy dotyczące ochrony pracy i zasiłków przysługujących chorym psychicznie. Projektowane przepisy są prawdziwe.

Tezy — przypominam — nie są gotowym projektem. Ich generalna linia jest słuszna, choć trzeba się domagać, by ustawodawca poszedł jeszcze dalej w gwarancjach praw człowieka. Zaznacza się w każdym razie zasadnicza różnica w prawnym ujęciu problemu psychiatrycznego między Polską i Związkiem Radzieckim. W ZSSR obowiązują Dyrektywy z roku 1961 o natychmiastowej hospitalizacji osób chorych psychicznie, które zagrażają porządkowi społecznemu. Na mocy tych dyrektyw psychiatra, a jeśli go brak — jakikolwiek lekarz, może przymusowo skierować obywatela do szpitala psychiatrycznego. Milicja ma udzielać lekarzowi pomocy w użyciu środków przymusu. Dyrektywy wymieniają szereg symptomów chorobowych, które — stanowiąc „niebezpieczeństwo społeczne” — uprawniają do przymusowego umieszczenia w zakładzie. Przykład wyszczególnionych przez Dyrektywy objawów podałam wyżej. Funkcjonariusze KGB w lekarskich kitlach mogą czerpać z tej ściągaczki dowoli. W ciągu 24 godzin pacjent odstawiony do sowieckiego szpitala psychiatrycznego ma być zbadany przez komisję trzech psychiatrów, którzy decydują o dalszej hospitalizacji. W czasie przymusowego pobytu w szpitalu o zwolnieniu decyduje także komisja lekarska. Dyrektywy sowieckie nie przewidują żadnej kontroli decyzji lekarskich i metod leczenia, jakkolwiek iluzoryczna by nie była. Pacjent jest zdany na łaskę lekarzy, z wiadomym skutkiem, gdy się bierze pod uwagę kim są i jacy są sowieccy eksperci psychiatryczni, powołani do zadań specjalnych.

Jaki będzie los wyników dwuletniej pracy polskiej Komisji Ekspertów? Czy taki jak wszystkich poprzednich projektów? Nie opłaciłby się trud rzeczoznawców, gdyby przepisy dotyczące leczenia psychiatrycznego i opieki nad psychicznie chorymi miały być włączone do projektowanej Ustawy o ochronie zdrowia. Wyśuba się taką koncepcję wbrew głosom opinii fachowców, m.in. Instytutu Nauk Prawnych PAN. Nie tylko odwrętkoby to regulację prawną zagadnień związanych z psychiatrią co najmniej do roku 78, ale spowodowałoby kondensację przepisów, pozbawiając je precyzji i szczegółowości koniecznej w tej delikatnej i niebezpiecznej materii. Lecznictwo psychiatryczne jest dziedzi-

ną specjalną, jego problemy, związane ściśle z szerokim obszarem ochrony swobód obywatelskich, wymagają odrębnego potraktowania. Tak to uczyniono np. w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Tak to widzą polscy eksperci i taki jest głos polskiej opinii publicznej.

Alexandra STYPUŁKOWSKA

FRAGMENTS (FRAGMENTY)

publikują w języku angielskim niektóre artykuły
z *KULTURY*

Ukazuje się rocznie 10 numerów. Cena prenumeraty:

\$ 8,50 rocznie łącznie z przesyłką pocztową.

Redaktor: Charles JOEL;

Wydawca: CORRESPONDENCE HOME STUDY
OF LANGUAGES.

Dotychczas ukazały się przekłady:

- 1) *Gorzkie zboże* — Brukselczyka;
- 2) *Białe noce w Helsinkach* — Brukselczyka;
- 3) *Archipelag Gułag* — M. Hellera;
- 4) *Milczenie nie jest złotem* — J. Mieroszewskiego;
- 5) *W sowieckiej prasie* — A. Kruczka;
- 6) *Miraże i Fantomy* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka;
- 7) *Od Maltawy do Mansholta* — Brukselczyka i wyjątek z *Sowieckiej Prasy* — A. Kruczka;
- 8/9) *Détente* — Zbigniewa Byrskiego nr podwójny. Cena \$ 1,20.

Powyższe numery są do nabycia po cenie \$ 0,60 za numer (wraz z przesyłką).

W przygotowaniu: J. Mieroszewskiego: *Materiały do refleksji i zadumy*.

Korespondencję i zamówienia na prenumeraty wraz z czekiem należy kierować na adres:

CORRESPONDANCE HOME STUDY OF LANGUAGES,
P. O. BOX 744, SUTTER CREEK, CAL. 95 685 (USA).

Ekonomia

“Ludzkość na zwrotnym punkcie”

Tytuł nie pochodzi ode mnie, tak brzmi *Drugi Raport* opracowany przez dwóch naukowców dla *Club of Rome* — luźnego związku 100 naukowców z trzydziestu krajów. *Pierwszy Raport*, sporządzony przez zespół specjalistów z *Massachusetts Institute of Technology* (MIT) pod kierownictwem Dennis Meadow'a i opublikowany w 1972 roku, wywołał szok w krajach wysoko rozwiniętych, zburzył spokój polityków i ekonomistów, technologów i demografów. W studium pod tytułem „Granice wzrostu” Dennis Meadow przepowiedział ludzkości katastrofę, która wystąpi najpóźniej w drugiej połowie XXI wieku, jeżeli nie nastąpi drastyczne zahamowanie wzrostu gospodarczego. Uczony prorok z amerykańskiego instytutu postawił przed ludzkością trzy warunki dla uniknięcia katastrofy: po pierwsze, należy zahamować wzrost ludności; po wtóre, istniejące bogactwa trzeba rozdzielić pomiędzy obecnie żyjącymi; po trzecie — i to był kluczowy warunek — ludzkość powinna zrezygnować z dalszego wzrostu gospodarczego. A ponieważ wszystkie wspomniane cele byłyby nieosiągalne, utopijne, więc jedyną alternatywą pozostał kataklizm o nieznanym w dziejach rozmiarach... „Granice wzrostu” stały się międzynarodowym *best-seller'em*, który został rozchwytyany w dwudziestu pięciu językach i w ilości 2,5 miliona egzemplarzy. Niespodziewanie, w połowie października ub.r., opublikowany został *Drugi Raport*, obalający założenia pierwszego i zażyła iskra nadziei dla świata nękanego głodem, eksplozją demograficzną, kryzysem energetycznym i inflacją. Katastrofa nie jest nieunikniona...

Cybernetyczny model świata

Eduard Pestel, profesor Uniwersytetu w Hanowerze, i Mihailo Mesarovic, profesor Uniwersytetu w Cleveland, przeprowadzili

wspólnie badania w których doszli do wniosku, że jest wprawdzie bardzo źle ale nie aż tak źle, jak sądzi Meadow. W studium pt. „Ludzkość w zwrotnym punkcie” autorzy przedstawiają cybernetyczny model świata do roku 2025, opracowany z udziałem czterdziestu specjalistów i doradców, reprezentujących niemal wszystkie gałęzie nauki. Nowa komputerowa wizja świata sporządzona została na podstawie milionów liczb i setek tysięcy równań cybernetycznych, podczas gdy model Meadow'a zawierał „jedynie” 250 równań. Zdaniem Pestela i Mesarovica, Meadow oparł się na zbyt małej ilości agregatów, a jego model przedstawia świat w postaci zamkniętego systemu — czegoś w rodzaju gigantycznego automatu, którego rozwój następuje mechanicznie i jest trudny do sterowania przez świadome ludzkie oddziaływanie. Pestel i Mesarovic krytykują wymienione trzy warunki, jakie wysunął Meadow, stwierdzając, że w przypadku zahamowania wzrostu gospodarczego nastąpi zamrożenie *status quo* obecnego rozwoju gospodarczego, co doprowadzi do uwiecznienia wszystkich niedoborów panujących na naszej planecie, a przede wszystkim nędzy i głodu w krajach zacofanych. Świat jest do uratowania bez takich ofiar i wyrzeczeń.

Czy optymistyczna wizja obu naukowców nie jest aby próbą uspokojenia przepełnionej strachem ludzkości w obliczu nadciągającej katastrofy? Ich odpowiedź brzmi zdecydowanie: *Nie!* Chodzi im w pierwszym rzędzie o to, aby odpowiedzialnym politykom udzielić pomocy w podjęciu ważnych decyzji, żeby umożliwić im dalekowzroczne myślenie — ponad bieżące zjawiska i skutki. Pestel jest pesymistyczny — ale w stosunku do polityków. W przepelnionym berlińskim hotelu Hilton, gdzie w październiku zaprezentował publicznie „Ludzkość w zwrotnym punkcie”, ujawnił opinię pewnego polityka: „Czy pomyślał pan o tym, jak zareagują moi wyborcy, gdy zalecę im aby wyrzekli się poprawy w najbliższym czasie na rzecz długofalowych perspektyw?” Bo w samej rzeczy, dla uratowania świata trzeba będzie podjąć niepopularne decyzje, ale dla naukowców to żaden argument.

Mimo to prognozy zawarte w studium „Ludzkość w zwrotnym punkcie” mają więcej szans powodzenia niż kassandryczna przepowiednia *Pierwszego Raportu*. Pestel i Mesarovic za punkt wyjścia obrali nie cały świat, jako hermetyczną całość, lecz świat zróżnicowany, podzielony na dziesięć rejonów, jak Europa Zachodnia, Ameryka Łacińska, Europa Wschodnia, Południowa Azja itd. Ponadto nie proponują — jak Meadow — jednej uniwersalnej recepty dla całej ludzkości — biednej i bogatej, kapitalistycznej i socjalistycznej, białej i czarnej — ich wnioski składają się z alternatyw, wśród których politycy winni dokonać wyboru, jeżeli pragną nie dopuścić do zagłady ludzkości. Najważniejsze, że nie potępiają wzrostu gospodarczego jako takiego, przeciwnie — uważają go za niezbędny w rejonach zacofanych, gdzie dochód narodowy na głowę mieszkańca stanowi obecnie jedną piątą dochodu narodowego krajów uprzemysłowionych. W biednych państwach Południowej Azji relacja ta wynosi na-

wet 1:20 i tam właśnie niezbędny jest szybki wzrost gospodarczy aby wyrównać niesprawiedliwe dysproporcje. Jeśli jednak kontynuowana będzie dotychczasowa polityka, to różnica w poziomie życia między tymi krajami a krajami wysoko uprzemysłowionymi wyniesie za pięćdziesiąt lat nie 1:5 lecz 1:8...

Pestel i Mesarovic dzielają wprawdzie opinie Meadow'a, że niepokamowany rozwój sił produkcyjnych wcześniej lub później sprowadzi na nasz świat niebываły chaos, jednakże nastąpić to może nie jednocześnie i nie na całym świecie, lecz w różnych rejonach o różnym czasie oraz z całkiem odmiennych przyczyn. W tych właśnie dyferencjach tkwi możliwość przeciwdziałania, pod warunkiem że przyszedł rozwój gospodarczy świata odbywać się będzie w sposób planowy i kontrolowany — przynajmniej tak długo, jak długo istnieć będzie groźna dysproporcja pomiędzy krajami zacofanymi i wysoko rozwiniętymi. Humanistyczna wizja najbliższego pięćdziesięciolecia wymaga podejmowania wspólnych ogólnosiwiatowych ale zróżnicowanych decyzji. Jak do tego doprowadzić w skłóconym i rozrywanych konfliktami świecie?

Koszty wyrównania dysproporcji

Odpowiedź na powyższe pytanie Pestel i Mesarovic pozostawili politykom, obliczyli natomiast kto, ile, i gdzie powinien zainwestować, żeby uniknąć katastrofy. Otóż kraje uprzemysłowione w najbliższym pięćdziesięcioleciu powinny inwestować w rejonach zacofanych 500 miliardów dolarów rocznie, żeby zmniejszyć dysproporcje do relacji 1:3. Jeżeli jednak polityka pomocy dla krajów nierozwiniętych do roku 2000 utrzyma się na dzisiejszym poziomie, trzeba będzie wydać dodatkowo 3,5 biliarda dolarów aby osiągnąć ten sam cel. Gdy natomiast kraje przemysłowe skoncentrują swoją pomoc w latach 1975-2000, wówczas mogą zaoszczędzić połowę — w takim wypadku bowiem wystarczy inwestować w krajach zacofanych tylko 250 miliardów dolarów rocznie, dzięki czemu kraje otrzymujące dzisiaj jałmużnę od bogatych będą mogły stanąć na własnych nogach już pod koniec tego wieku.

Jednym z najtrudniejszych problemów jest wyżywienie świata. Od 1936 roku produkcja środków żywności dotrzymywała na ogół kroku wzrostowi ludności. Od pewnego wszak czasu przyrost ludności stał się znacznie szybszy. Również Meadow zwrócił na to uwagę, ale Pestel i Mesarovic weszli w tę sprawę znacznie głębiej, ukazali dyferencje między poszczególnymi rejonami świata. Według ich obliczeń, dla wyprodukowania 1 kilograma mięsa potrzeba prawie 7 kilogramów zbóż. Jeśli cały świat zapragnie dzisiaj odżywiać się tak jak Amerykanie, w takim wypadku wszystkie zapasy żywności wystarczą zaledwie dla 1,2 miliarda ludzi, zamiast dla żyjących obecnie blisko 4 miliardów ludzi. Gdyby natomiast głód panujący w niektórych rejonach

świata postanowiono zlikwidować poprzez import z bogatych krajów, wówczas szybko wyjdzie na jaw, iż jest to niemożliwe. Bowiem do przewozu towarów trzeba byłoby zatrudnić całą flotę morską Stanów Zjednoczonych i mimo to w roku 2025 umarłoby z głodu pięćset milionów ludzi. Z drugiej strony przesunięcie inwestycji z przemysłu do rolnictwa doprowadzi do wykrwawienia się przemysłu i wywoła ciężkie zaburzenia w społeczeństwach krajów industrialnych. Jedyna droga do uzdrowienia całego świata prowadzi poprzez wspomnianą wyżej pomoc w rozwoju krajów zacofanych w latach 1975-2000. Tylko w ten sposób można doprowadzić do wyrównania dysproporcji między światowym przemysłem i rolnictwem i nie dopuścić do tego by co rok miliony ludzi umierały z głodu.

Dwa scenariusze z komputera

Pestel i Mesarovic nie są fantastami, są futurologami mocno tkwiącymi w rzeczywistym świecie. Ich wnioski są oryginalne, zaskakujące, ale metody badawcze wzbudzają zaufanie. Świadczy o tym część studium „Ludzkość w zwrotnym punkcie” poświęcona skutkom ruchu cen ropy naftowej, w której wykazują „z komputerem w rękę”, że niska cena ropy naftowej była niezdrowa dla gospodarki światowej. Obydwaj naukowcy opracowali dwa scenariusze ruchu cen tego surowca do roku 2025, w jednym wzrost cen jest powolny, w drugim wysoki. Rok 2025 wybrali dlatego, ponieważ od tego czasu znacznie się zmniejszać zależność krajów przemysłowych od ropy naftowej i wzrastać będzie zużycie innych pierwotnych surowców energetycznych.

W jednym i drugim scenariuszu naukowcy prześledzili, jaki wpływ wywrze poziom cen ropy naftowej na kształtowanie się w różnych rejonach świata produktu socjalnego brutto i kapitałów międzynarodowych pochodzących ze sprzedaży tego surowca. Jeśli założyć, że początkowa cena ropy naftowej pozostanie niezmienna w latach 1975-2025, w takim wypadku, z uwagi na korzystną cenę ropy w stosunku do innych surowców energetycznych, nastąpi znaczny wzrost kapitałów międzynarodowych. W przypadku jednak, gdy cena znacznie się podnosi, wielkość kapitału będzie wzrastać relatywnie wolniej, ale jak tylko początkowa cena ropy naftowej przekroczy granicę 50 %, rozpocznie się szybki spadek wielkości tych kapitałów, a wartość inwestycji lokowanych za granicą będzie o połowę niższa. Stanie się to w wyniku szybkiego zmniejszenia zakupów zbyt drogiej ropy naftowej i wzrostu zużycia innych surowców energetycznych, które w poprzednim układzie byłyby mało opłacalne. A ponieważ znane dzisiaj zasoby ropy naftowej są ograniczone, oznacza to, że zbyt niska i nadmiernie wysoka cena ropy naftowej, ponad czerwoną linię 50 %, mieć będą dla krajów-eksporterów taki sam skutek: po pewnym czasie ich produkt socjalny brutto oraz

kapitały zaczną się szybko zmniejszać. Innymi słowy, istnieje jakaś optymalna cena ropy naftowej, a jeśli tak, należy zaplanować racjonalną politykę cenową nie oglądając się na bieżące koniunkturalne zjawiska. Te rewelacyjne wywody prowadzą do ważnego wniosku, że można rozwiązać konflikt między eksporterami i importerami ropy naftowej uwzględniając interesy obu stron.

Pestel i Mesarovic nie poprzestali na badaniach skutków ruchu cen, sprawdzili również, czy istnieje realna możliwość racjonalnego rozwiązania konfliktu. W tym celu podzielili 10 rejonów opracowanego przez nich modelu świata na cztery grupy. Do pierwszej włączyli: zachodnie kraje przemysłowe — Północną Amerykę, Europę Zachodnią, Japonię, Australię i kilka innych mniejszych obszarów. Do drugiej grupy zaliczono kraje socjalistyczne — Europę Wschodnią ze Związkiem Sowieckim i Chiny. Do trzeciej grupy — Północną Afrykę i Środkowy Wschód. Do czwartej — resztę krajów rozwijających się. Jako kryterium przyjęto produkt socjalny brutto w roku 2025 w każdej z tych grup.

Według pierwszego scenariusza (niskie ceny ropy naftowej), rozwój innych źródeł energetycznych będzie tak długo hamowany, aż nastąpi wyczerpanie zasobów ziemskich ropy, to znaczy na początku XXI wieku. Uderzy to z całą mocą w kraje wysoko uprzemysłowione, które wprawdzie początkowo profitowały z niskich cen ropy naftowej, ale w XXI wieku nastąpi upadek ich gospodarki. Wprawdzie do roku 2000 będzie miał jeszcze miejsce niepojęty rozwój gospodarczy — katastrofa rozpocznie się w następnym ćwierćwieczu... Przy czym spadek produktu socjalnego brutto, po okresie wzrostu, obejmie także kraje rozwijające się, Północną Afrykę i Środkowy Wschód. Wyczerpanie zasobów ropy naftowej na Środkowym Wschodzie najmniej dotknie Stany Zjednoczone, w o wiele większym stopniu Europę Zachodnią i Japonię. Taki rozwój sytuacji byłby brzemienne w niebываłe skutki społeczne, zaburzenia i rewolty...

Drugi scenariusz ukazuje całkiem inny rozwój wydarzeń. A więc nastąpi wzrost cen ropy naftowej średnio w roku o 3%, aż cena ta osiągnie swój optymalny poziom. Skorzystają na tym oczywiście kraje Środkowego Wschodu, ich produkt socjalny brutto będzie znacznie wyższy niż w pierwszym scenariuszu; wyższy będzie także ten dochód w krajach socjalistycznych. Zdumiewające jest, że również gospodarka świata zachodniego, mimo wyższych cen ropy naftowej, będzie stale wzrastała, a w roku 2025 osiągnie wyższy poziom, niż w pierwszym scenariuszu. Oznacza to, że wysokie ale optymalne ceny ropy naftowej okazały się korzystne dla krajów importujących ropę naftową, ich rozwój gospodarczy przebiegać będzie w sposób bardziej uporządkowany, aczkolwiek niektóre z nich napotkają około roku 2000 poważne trudności w związku z wyczerpaniem zasobów ropy naftowej w Północnej Ameryce i Europie Zachodniej.

Współpraca — albo zagłada

Na przykładzie cen ropy naftowej autorzy *Drugiego Raportu* pokazują, czym grozić może ludzkości brak globalnej, uzgodnionej polityki gospodarczej. Niskie ceny ropy naftowej były niezdrowe, ponieważ sprzyjały zbyt szybkiemu wzrostowi gospodarczemu, zwłaszcza Europy Zachodniej i Japonii, co na dłuższą metę nie może być utrzymane. Przedłużanie się takiego stanu rzeczy doprowadziłoby do stagnacji gospodarczej a potem jej ruiny, albo do totalnie sterowanej gospodarki, w której nie byłoby miejsca dla mechanizmów gospodarki rynkowej ze wszystkimi wypływającymi stąd skutkami społecznymi i politycznymi.

Konflikt energetyczny — tak jak i inne konflikty nękające dzisiaj świat — mogą być rozwiązane, jeśli uwzględni się wszystkie wchodzące w grę czynniki i jeżeli rozwiązywanie nurtujących świat problemów odbywać się będzie w drodze międzynarodowej kooperacji. Jest to jedyne rozsądne wyjście, zapewniające korzyści wszystkim zainteresowanym. Każda próba szybkiego powiększania kapitałów jednych krajów kosztem drugich wyrządzi szkody wszystkim krajom. Końcowy wniosek naukowców: jedność wzmacnia, niezgoda rujnuje. Dzisiejsza sytuacja na świecie nie daje jeszcze powodów do optymizmu, jednak Pestel i Mesarovic są pełni nadziei. Czy ich optymizm okaże się uzasadniony, zależeć będzie od polityków sprawujących rządy na naszej planecie. Wybór jest niewielki — dalszy rozwój, lub zagłada...

Antoni GUTOWSKI

Finis Britanniae

Koniec drugiej wojny światowej. Kontynent europejski leży w gruzach i zgłiszczach. W tłumie zgłodniałych żebraków trudno dopatrzeć się potomków wielkich artystów, myślicieli, twórców, którzy ongiś budowali największą cywilizację świata. W tym oceanie zniszczenia i nędzy jedynie Anglia zachowuje pozory ładu, pokoju i zamożności. Jej pozycję *vis-à-vis* reszty Europy Zachodniej najlepiej ilustrują liczby rocznego dochodu narodowego na głowę ludności (w dolarach, według *Rocznika Statystycznego Narodów Zjednoczonych*, rok 1948): Belgia 666, Dania 802, Francja 428, Niemcy Zachodnie 195, Włochy 225, Anglia 899. Dumny Albion organizuje w 1951 drugi „Festiwal Brytanii”; pierwszy, w roku 1851, miał zadziwić świat pokazem potęgi i bogactwa państwa królowej Wiktorii, teraz ma otworzyć się nowa epoka elżbietańska. Ale nie ma cudów, festiwalowe zaklęcia nie

mogą wyczarować zmiany realiów. W tym samym roku przydział mięsa w Anglii spada do pół funta na głowę, a więc poniżej poziomu najgorszych lat wojennych. Podczas gdy Anglia marzy, inne narody z Niemcami na czele pracują. W 1955 roku ekonomista Colin Clark rzuca pobieżnie okiem na europejską scenę i ostrzega Anglię: jeśli tak dalej pójdzie, to za 20 lat większość krajów Europy Zachodniej znacznie przewyższy Anglię w bogactwie, a Włochy ją dogonią (ironiczne śmiechy na widowni angielskiej).

Właśnie mija 20 lat. Tendencje schyłkowe nie tylko nie zostały wyeliminowane z organizmu gospodarczego Anglii, ale wprost przeciwnie — występują ze wzmożoną siłą. A że Kontynent przez ten czas bezustannie orał, siał i zbierał, więc nastąpiło to, co nastąpić musiało: większość krajów Europy Zachodniej jest teraz około dwa razy zamożniejsza niż Anglia, Włochy zaś niemal zrównały się z nią. Roczny produkt narodowy brutto na głowę ludności kształtuje się obecnie (1973 rok) tak (w dolarach): Belgia 4550, Dania 5.850, Niemcy 5.500, Francja 4.600, Holandia 4.350, Norwegia 4.900, Włochy 2.350, Anglia 2.550. Porównanie tych liczb z podanymi powyżej jest miarą zastraszającego upadku Anglii.

Tu przystańmy i zróbmy dygresję ku pożytkowi tych, którzy do dzisiejszego dnia mozolnie chałturzą porównania wyników gospodarczych Polski międzywojennej i Polski Ludowej; takie porównania mogą przemawiać tylko do osób o niskiej inteligencji i to też nie za długo. Po trzydziestu latach już nawet małorolni spod Grójca zauważają, że jeśli Polska Gierka produkuje więcej pralek niż Polska Jagiełły, to niekoniecznie musi znaczyć, że Gierek jest lepszym władcą od Jagiełły. W liczbach absolutnych Anglia daje teraz każdemu mieszkańcowi dochód dwa i pół razy wyższy niż w 1948 roku, mimo to nie piejemy z podziwu, że to tak dużo. Na odwrót, mówimy że to skandaliczny upadek, bo Niemcy dają 25 razy więcej, Francja 10 razy więcej itd., itd.

Gospodarcza impotencja Anglii stała się tak widoczna, że temat ten przeszedł do salonów, gdzie jest już częścią żelaznego repertuaru konwersacji towarzyskiej. Powiedzenia typu „angielska choroba”, „Anglia — chory człowiek Europy” znalazły się w powszechnym użyciu. Każdy stara się dorzucić swój komentarz; odnotujmy np. takie powiedzenie szacha Persji: „Anglia znalazła się na drodze powrotnej do jaskiń”.

Ostatnio salonowe dyskusje zostały zagłuszone głosem z niebios. Oto Instytut Hudsona, główny amerykański „zbiornik myślicieli” (*think tank*) opublikował autorytatywny i definitywny raport o stanie i przyszłości Zjednoczonego Królestwa*. *Raport* jest produktem ubocznym innego raportu, ogłoszonego w 1973 r. Wcześniejszy raport powstał na zamówienie rządu francuskiego i miał za cel postawienie prognozy na przyszłość dla gospodarki

* The United Kingdom in 1980 — *The Hudson Report*. Wydany w Anglii w 1974 roku przez The Associated Business Programmes Ltd.

francuskiej (prognoza wypadła szczególnie korzystnie). Instytut Hudsona, który jest czymś w rodzaju firmy konsultantów i trzymuje się z kontraktów na prace badawcze, zebrał w trakcie pisania raportu francuskiego sporo materiału porównawczego odnoszącego się do innych krajów i usiłował sprzedać te materiały wraz ze swymi usługami. Ze zrozumiałych względów Anglia powinna zainteresować się obiektywną analizą własnej gospodarki. Niestety, zamówienie z tego kraju nie przyszło, Instytut zdecydował więc opracować i ogłosić raport na własny koszt. Z tego powodu *Raport* jest przypuszczalnie niedopracowany. Dane statystyczne nie wychodzą poza rok 1972, co wskazywałoby, że opiera się on na badaniach robionych dla raportu francuskiego. Projekcje statystyczne są też powtórzone za raportem francuskim. Autorzy dali natomiast nowy komentarz, nie ekonomiczny a publicystyczny, który ma mało praktycznej wartości, natomiast stanowi interesującą i inteligentnie podaną lekturę. *Raport* zawiera 125 stron, z których lwia część poświęcona jest dyskusjom o wiktoriańskiej przeszłości, klasowości i innych psychologicznych i socjologicznych hamulcach w gospodarce angielskiej. Żenująco mało — jak na organizację o takim prestiżu — podano faktów, które umożliwiłyby diagnozę i kurację „angielskiej choroby”. Możliwe, że — jak to jest w zwyczaju wśród firm konsultanckich — Instytut Hudsona potraktował ten pierwszy raport jako darmową przynętę dla potencjalnego klienta, spodziewając się w następstwie zamówień na dalsze, bardziej specyficzne raporty. Autorzy nie kryją, że *Raport* nie zawiera owoców własnych badań statystycznych; wszystkie dane pochodzą z drugiej ręki, przeważnie z roczników statystycznych Narodów Zjednoczonych i opracowań Organizacji dla Gospodarczej Współpracy i Rozwoju (angielski skrót OECD). Celem publikacji — według jej autorów — jest nie tyle powiedzenie czegoś nowego, co wykorzystanie ogromnego prestiżu ich organizacji dla powiedzenia powszechnie znanych faktów w taki sposób, aby zatrząsły się posady angielskiego *establishment*'u. Ale cóż z tego? Nawet gdyby się zatrząsły i rozpadły, nie wiedzielibyśmy jak je zrekonstruować, bo *Raport* nie daje żadnych wskazówek w tym kierunku.

Podstawą *Raportu* jest wspomniany fakt nienadążania Anglii za większością krajów europejskich. Fakt ten przedstawiony jest w dziesiątku różnych wariantów zależnych od metody obliczeniowej. Ponieważ sam fakt jest ogólnie znany i przyjmowany bez protestu, więc wysiłek ten wydaje się niepotrzebnie duży. Rzutowanie trendu na rok 1980 jest tylko ozdobą niewiele w praktyce dającą. Po prostu widać, że w 1970 roku Anglia była z tyłu, a w 1980 roku będzie też z tyłu, tylko jeszcze bardziej. Najbardziej dramatyczny akt tego procesu dokonał się w okresie minionym. Interesujące jest może to, że Włochy, które już prawie dogoniły Anglię w 1973 roku, zmniejszą swój odstęp jeszcze bardziej w 1980 roku, ale jednak ciągle będą w tyle. Przypomina to klasyczny już wypadek doganiania Ameryki przez Związek Sowiecki.

Stosunkowo najlepszy jest niewielki rozdziałek o mitach zbawienia. Wprawdzie niektóre mity istnieją głównie tylko w wyobraźni autorów *Raportu* (nikt w Anglii nie oczekuje zbawienia przez Amerykę, mit o ratunku przez związek z Europą ma bardzo niewielu wyznawców), ale niewątpliwą zasługą *Raportu* jest bezlitosna krytyka naiwnej wiary, że nafta z morza Północnego rozwiąże wszystkie problemy gospodarcze Anglii. *Raport* argumentuje w sposób następujący.

Nafta z Morza Północnego mogłaby w rzeczywistości zaspokoić wewnętrzne zapotrzebowanie Anglii w roku 1980 lub 1985. Jednak koszty produkcji na tym terenie są tak wysokie (10-15 razy wyższe niż w Zatoce Perskiej), że produkcja jest opłacalna tylko przy bardzo wysokich cenach światowych ropy. Wystarczy drobny spadek cen światowych — a jest to bardzo prawdopodobne — aby cała impreza stanęła pod znakiem zapytania. Po drugie, nafta ma mały związek z przemysłem brytyjskim i przez to nie ma żadnych możliwości uleczenia jego bolączek. Cała akcja eksploracji i eksploatacji ropy na Morzu Północnym prowadzona jest w ogromnej większości przez nieangielską technologię, personel (np. 60 % wiertników to Norwedzy) i finanse. Anglia jest więc tylko biernym widzem, przyglądającym się jak inni dysponują jej naftą. W podobnej pozycji były do tej pory kraje arabskie.

Instytut Hudsona zorganizował szeroko zakrojoną akcję reklamową swego raportu angielskiego długo przed jego ukazaniem się, a nawet przed jego napisaniem. Główne wnioski na temat sytuacji Anglii znane były autorom już w trakcie pisania raportu o Francji. Stąd już w końcu 1972 roku wybrane myśli zostały udostępnione prasie angielskiej, a główny myśliciel, Herman Kahn, zjawiał się w Anglii i wystąpił w telewizyjnej debacie z przedstawicielami rządu (lord Hailsham) i opozycji (Roy Jenkins, obecnie minister spraw wewnętrznych). W czasie debaty socjalista Jenkins użył fantastycznego argumentu: wprawdzie Anglia nie wykazuje wzrostu gospodarczego, ale wzrost gospodarczy nie jest Anglii potrzebny, bo Anglicy cenią więcej inne wartości. Widać tu biurokratyczną arogancję godną demokracji ludowych: osobnik płacący sobie 15.000 funtów rocznie z pieniędzy podatników mówi tymże podatnikom, którzy w większości zarabiają 10 % tego co on, że nie potrzebują większego dochodu!

Możliwe że na skutek tej debaty wstawiono do *Raportu* rozdział rozprawiający się z angielskimi pretensjami do wyższej „jakości życia”. Bo rozdział robi wrażenie dostawionego na przędcę, nieprzemysłanego. Atak na angielską *way of life* oparty jest na podkreśleniu nierówności w rozdziale majątku narodowego (90 % całego majątku jest w rękach 50 % ludności). Autorzy wykazują niezajomość metody obliczania odnośnych statystyk, co prowadzi ich do wyciągania fałszywych wniosków. W rzeczywistości podział ten jest po pierwsze bardziej egalitarny niż np. we Francji, którą *Raport* stawia jako wzór do naśladowania, a po drugie jest zupełnie bez znaczenia dla zasadniczego pro-

blemu. Ludność może być zamożna przy nierównym podziale majątku (jak w Stanach Zjednoczonych) i uboga przy równym (jak w Chinach). Ważny bowiem jest dochód, a nie prawno-formalne tytuły do własności mechanizmu dochód ten produkującego. Można by postawić tezę, że nadmiar uwagi poświęconej przez Anglików problemowi nierówności majątków jest jednym z powodów „angielskiej choroby”, a ciągła walka o zmniejszenie największych dochodów powoduje, że najmniejsze dochody są tak małe. Autorzy raportu tezy takiej nie stawiają. Możliwe, że zdają sobie sprawę, z faktu, że postawienie jej unicestwiłoby ich szanse na otrzymanie zamówień od obecnego rządu Anglii. Jeśli chodzi o jakość życia, to *Raport* postępuje się następującymi wskaźnikami: a) długość życia, b) śmiertelność niemowląt, c) ilość na tysiąc mieszkańców: doktorów, samochodów, telefonów, wybudowanych domów. Wybór ten jest wyjątkowo mało pomysłowy, nie próbuje on nawet w części ująć różnych aspektów życia, którego jakość stara się określić. Długość życia i śmiertelność niemowląt to dwa końce tego samego kija; jeśli śmiertelność niemowląt jest duża, to przeciętne trwanie życia będzie krótsze, gdy maleje, to długość życia wzrasta. Pozostałe wskaźniki są po prostu funkcją ogólnej zamożności i możemy spodziewać się, że bogaty kraj będzie miał więcej aut, telefonów, doktorów, domów, a biedniejszy mniej. Tak więc Anglia, ten przysłowiowy już biedny Europy, powinna *ex definitione* mieć wszystkiego mniej, co jeszcze nie ma nic wspólnego z niematerialnymi wartościami życia. Tymczasem dane przytoczone przez *Raport* nie świadczą o niczym. Czytamy np. w *Raporcie*, że przeciętna długość życia w Anglii w 1970 roku była dla mężczyzn 68 lat, dla kobiet 74. Ale z bieżących statystyk wiemy, że w 1973 wartości te były 68,8 i 75 odpowiednio, a więc więcej niż w Niemczech. Śmiertelność niemowląt była zawsze niższa w Anglii niż w Niemczech. Francja ma 18 % więcej samochodów niż Anglia, a Anglia ma 56 % więcej telefonów niż Francja. Przytaczanie ilości domów zbudowanych w dwóch przypadkowych latach mija się z celem; takie dane mogą tylko wtedy mieć sens jakościowy, gdy zostaną podparte informacją o: a) domach wyburzonych w tym samym czasie, b) domach zbudowanych dla cudzoziemców (wysokie liczby dla Hiszpanii i Francji pochodzą m.in. stąd, że nad morzem Śródziemnym buduje się Skandynawia, Niemcy, Belgia, Holandia no i ta nieszczęsna Anglia), c) ilości średniej domów budowanych rocznie przez dłuższy okres czasu, d) ogólnej ilości domów posiadanej przez dany kraj. Autorzy *Raportu* czują, że nie są tu w porządku i dodają jakby od niechcenia, że Anglia ma duży zasób domów (w rzeczywistości zagęszczenie osób na izbę mieszkalną jest w Anglii najniższe w Europie).

Wskaźniki podane w *Raporcie* wskazują niewiele. A przecież przy odrobinie wysiłku można było znaleźć wiele innych, które dałyby się użyć dla obalenia stanowiska min. Jenkinsa. Tak więc Anglicy pracują dłużej niż inne narody zachodnie (44,7 godzin tygodniowo, podczas gdy Niemcy 37,4, Francuzi 43,3, Szwedzi,

Norwedzy, Austriacy — niecałe 39, nawet Hiszpanie 44); mają mniej urlopów; tracą więcej czasu na dojazdy do pracy; stosują dyskryminację w płacach i stanowiskach w stosunku do kobiet; płacą więcej za przejazdy transportem publicznym; mają niezbyt sprawiedliwy system wyborczy (choć bardziej sprawiedliwy niż Francja). Anglia ma najwyższą (poza Włochami) liczbę dni pracy straconych na skutek strajków (495 dni średniorocznie na 1.000 robotników w pięcioleciu 1969-73, podczas gdy Niemcy 25, Francja 150, Szwajcaria 1, Dania, Norwegia, Austria — 15), z czego można by wypracować dane na temat ilości dni w roku, w ciągu których ludność pozbawiona była chleba, elektryczności, gazu, transportu itp. Można by nawet sprawdzić, czy nie ma przypadkiem korelacji między takimi strajkami a często się trafiającymi masowymi zgonami ludzi w podeszłym wieku.

Gdyby na zagadnienie spojrzeć poważnie, to można by zrobić długą listę wskaźników, które demonstrują stan wprost przeciwny. I tak Anglia ma: najlepiej postawiony teatr; większy procent ludności w dziale usług; najwyższy procent ludności wyjeżdżającej na wczasy (Anglia 61 %, Niemcy 48 %, Francja 49 %); dużo wydanych nowości książkowych (Anglia 35.000 tytułów w 1973, Francja 22.000); mało samobójstw (Anglia 0,9 na 1.000 ludności, Niemcy 2, Francja 1,5); dobre wyniki w walce z zanieczyszczeniem otoczenia (Londyn ma czystsze powietrze niż Paryż, Hamburg, Mediolan, Madryt, Bruksela, za wysiłki w oczyszczaniu rzek eksperci dają Anglii notę 4, Francji 3, Niemcom 2 +); największą ilość gazet (Anglia 670 dziennie na 1.000 ludności, Niemcy 415, Francja 170).

Jak widać obraz „jakości życia” nie jest zbyt jasny. Można zaciemnić go jeszcze bardziej przez podanie następującego szczegółu. Gdyby za „Anglię” przyjąć tylko wyspę wielkobrytyjską* tzn. wyłączyć ze statystyk Półn. Irlandię, to wskaźniki dobrobytu materialnego podwyższyłyby się znacznie i trudno byłoby mówić o jakichś rażących różnicach między Anglią a jej sąsiadami z Kanału. W sumie Instytut Hudsona dość nieopatrnie wdał się w dyskusję o jakości życia. Na razie jest za wcześnie na poruszanie tego tematu. Natomiast należałoby stwierdzić, że materialna bieda spowoduje w końcu zubożenie kulturalne. Anglia nie będzie mogła wiecznie żyć na kredyt, a gdy kredyt się wyczerpie trzeba będzie zredukować i ochronę środowiska i teatry i wiele innych rzeczy.

Raport robi dziwne stwierdzenie, że w pewnym sensie Anglia jest w gorszej sytuacji niż Włochy. Włochy cierpią zaledwie na niewydolność polityczną, Anglia wymaga zmian strukturalnych.

Pomiędzy problemy włoskie i zastanówmy się nad zmianami strukturalnymi. Pojęcie to stało się modne w latach międzywo-

* W angielskiej nomenklaturze „Wielka Brytania” = Anglia, Walia i Szkocja czyli cała wyspa; „Zjednoczone Królestwo” to Wielka Brytania plus Północna Irlandia. Zgodnie z polskim językiem potocznym w niniejszym artykule słowo „Anglia” używane jest w tym szerszym znaczeniu.

jennyh. W latach kryzysu, biedy, milionowego bezrobocia, rządy i urzędowni mędrzy odpowiadali na wszystko rozłożeniem rąk i frazesem „winne są strukturalne maladiustacje”. Można dodać, że carska Rosja też cierpiała na to samo schorzenie. „Maladiustacje strukturalne” występują w organizmie gospodarczym wtedy, gdy uprzywilejowana grupa (klasa) zabiera znacznie większą część dochodu narodowego niż to się jej należy z racji jej funkcji. Nacisk jest na słowie „znacznie”. Nowoczesna organizacja jest normalnie bardzo produktywna i bez trudności pokrywa drobniejsze straty, awarię powoduje dopiero rabunek na wielką skalę. Usunięcie „maladiustacji” to zlikwidowanie przywilejów i odebranie nadmiernych przychodów całym grupom ludności. Jest to zadanie *par excellence* polityczne. Maladiustacje Rosji carskiej usunięte zostały przez wystrzelanie rodziny carskiej i paru milionów osób postronnych; kryzysowa struktura międzywojennych Niemiec naprawiona została równie radykalnie przez Hitlera.

Obecna sytuacja Anglii przekroczyła już granice problematyki ekonomicznej i znalazła się na platformie czysto politycznej. Do dyskusji w tej dziedzinie raport Instytutu Hudsona nie wnosi nic. Potrzebny jest nowy raport, idący taką np. linią rozumowania. Anglia jest biedna bo nie produkuje wystarczająco, a to z kolei dlatego, że ma niską wydajność pracy. Fakt ten znany jest oficjalnie od lat. Już pierwszy powojenny rząd socjalistyczny stworzył „anglo-amerykańskie zespoły wydajności” dla wieku przemysłów, które badały warunki po obu stronach Atlantyku. Wynikiem tej akcji było kilkanaście raportów (jeden dla każdej gałęzi przemysłu). Ogólny wniosek był monotony: robotnik w Ameryce jest dwa razy bardziej wydajny niż w Anglii. Dziś jest gorzej; np. w przemyśle stalowym trzeba w Anglii trzech ludzi aby otrzymać taką produkcję jaką w Stanach robi jeden. Porównanie z Europą wypada dla Anglii niekorzystnie. Weźmy kilka przykładów (wszystkie dane z 1973 roku).

Volkswagen, Fiat i British Leyland zatrudniają mniej więcej taką samą ilość pracowników (200.000), ale pierwsza z tych firm produkuje 6,3 miliona dolarów wartości rocznej, druga 3,8 a trzecia 3,6. Na jednego robotnika wypada więc rocznie 29, 19 i 17 tysięcy dolarów odpowiednio.

Każdy z 319.000 górników angielskich produkuje średniorocznie węgla za 7 tysięcy dolarów, dla 91.500 górników francuskich średnia ta wynosi 11 tysięcy dolarów.

Wydajność pracy w stalowniach Thyssen-Hütte (Niemcy) wynosi sumą 47.000 dolarów rocznie, w Arbed (Luxemburg) 96.000 dol. a w British Steel (Anglia) 19.000 dolarów.

Dyckerhoff Zementwerke (Niemcy) wykazują wydajność pracy równą 58.000 dol. na robotnika, Poliet et Chausson (Francja) 57.000 dol., a angielski Associated Portland 22.000 dol.

To samo prawo działa wewnątrz tej samej multinarodowej firmy Esso (Francja) produkuje 225 tysięcy dolarów na pracownika, Esso (Niemcy) 620 tys. dol., Esso (Anglia) 101 tys. dol.

IBM (Niemcy) 70 tys. dol., IBM (Francja) 62 tys. dol., IBM (Anglia) 52 tys. dol. Przykład firm multinarodowych jest tu może najważniejszy, bo dowodzi, że nie można składać winy na nieudolne kierownictwo.

Gdyby pracownik angielski osiągnął już nie amerykański a tylko europejski poziom wydajności pracy, to obecny poziom produkcji można by osiągnąć siłą roboczą o około 5 milionów mniejszą niż obecna; i *vice-versa*: obecna siła robocza powinna produkować około 30% więcej niż produkuje. Te miliony zbędne, nieproduktywne, stanowią właśnie ową strukturalną maladiustację gospodarki brytyjskiej. Są one dokładnym odpowiednikiem zbędnych milionów na przedwojennej wsi polskiej. „Przeludnienie” angielskiej gospodarki jest wynikiem przede wszystkim złe ustawionej roli związków zawodowych. One to wymagają, aby „maszynista” na kolei elektrycznej miał „palacza”, aby w określonym urzędzie było tylu urzędników co w 1910 roku, aby zainstalowanie dźwigu portowego nie pociągało za sobą zwolnienia niepotrzebnych wskutek tego dokerów. Dalej, biurokracja związkowa wyżywa się w komplikowaniu tzw. „warunków pracy” — wymaga np. aby robotnik płacony był tygodniowo i to banknotami o małej denominacji, samą płacę określają setki drobniastogowych „bonusów” (za deszcz, za ciemność, za użycie świdra itd.), co w sumie wymaga ogromnej biurokracji w zakładach pracy, nie mówiąc już o dodatkowej „infrastrukturze” (aparatus bankowy, policyjny, prywatne firmy do pilnowania pieniędzy na wypłaty). Rozrost biurokracji związkowej stwarza problemy demarkacyjne: robotnik może świdrować dziury w drzewie, ale do świdrowania dziur w metalu trzeba innego robotnika, bo to inny związek, a stąd wynika konieczność obsadzenia jednego stanowiska dwoma czy trzema ludźmi. Wszystko to nazywało się kiedyś — za czasów Marksa i aż do pierwszej wojny światowej — zdobyczami robotniczymi. Dziś to już smutny objaw rozkładu społecznego i powód zubożenia wszystkich, łącznie z tzw. klasą robotniczą. Oczywiście nie całą klasą robotniczą. Na 25 milionów ludności pracującej w Anglii zaledwie 43% (10,9 milionów) należy do związków zawodowych. Mniejszość ta przypuszczalnie odczuwa głębokie zadowolenie z przysługujących jej przywilejów. Wewnątrz tej mniejszości jest jeszcze mniejsza grupa, aparat związkowy, która nie tylko czerpie materialne korzyści z panującego systemu, ale wyżywa się w sprawowaniu daleko sięgającej władzy.

Drugim źródłem „maladiustacji” angielskich to szeroko rozbudowana, nienasycona i z roku na rok rosnąca biurokracja. Pierwsza rewolucja przemysłowa w Anglii nastąpiła dzięki likwidacji biurokratycznych ograniczeń z okresu merkantylizmu. Stało się to m.in. pod wpływem błyskotliwej krytyki systemu przez wielu ówczesnych pisarzy, m.in. A. Smitha. Przez wiele lat następowało zanikanie biurokracji. W XX wieku wzrost państwa opiekuńczego łączy się z powstaniem nowej biurokracji. Obecnie Anglia ma jedną cechę wspólną z Włochami: najwyższy procent urzędników

państwowych (łącznie z samorządowymi) w całości ludności pracującej. Nie przez przypadek oba te kraje znajdują się na dole listy krajów europejskich według zamożności.

Wzrost biurokracji powoduje komplikacje ze statystykami dochodu narodowego. Jeśli milion bezrobotnych wstawimy do fabryki samochodów i zaksięgujemy ich fikcyjnie jako pracowników przemysłowych, to nie wpłynie to na ogólną sumę dochodu narodowego. Ale jeśli zatrudnimy ich w radzie miejskiej jako np. pomocników przy przechodzeniu przez ulicę, to wiarygodność statystyki dochodu narodowego poważnie ucierpi. Statystyka ta jest bowiem oparta na założeniu, dotychczas nie kwestionowanym, że urzędnicy państwowi wykonują usługi i że wartość tych usług równa się ich płacy. Dlatego zarobki ich dopisuje się do dochodu narodowego. Obecnie mnożą się oznaki, że biurokracja często nie tylko nie produkuje usług, ale jest antyproduktywna. Tak np. biurokracja dobroczynna nie jest wcale zainteresowana pomaganiem biednym aby przestali być biednymi — jej celem jest troskliwe kultywowanie biedy jako pożywki dla dalszego wzrostu biurokracji.

Wszelka reforma gospodarcza Anglii musi zacząć od obciążenia przywilejów „wielkich batalionów” związków zawodowych (wyrażenie premiera Wilsona socjalisty) i redukcji ponad półtora-milionowej armii urzędników państwowych. Dokonać tego można tylko na płaszczyźnie politycznej i wymagałoby to zgody obu głównych partii. Na razie nie zanoszą się na to, bo obie partie stawiają interes własny wyżej od interesu kraju. I tak partia socjalistyczna, która doszła do władzy w latach 1964 i 1966 głosami lokatorskimi, miała w planie akcję antyzwiązkową. Opozycja konserwatywna broniła wtedy związków w imię wolności zrzeszeń. Kolejny rząd konserwatywny uwikłał się w ciężką walkę ze związkami, ale wtedy socjaliści zauważyli, że głosy lokatorskie skończyły się i w poszukiwaniu mocnej bazy wyborczej sprzymierzyli się ze związkami. Obecny rząd Partii Pracy opiera się głównie na „wielkich batalionach” i nadzieje na reformę są znikome.

Recenzję z raportu Instytutu Hudsona zatytułował londyński *Sunday Times* „Śmierć z uśmiechem na ustach”. Jest to typowa dziennikarska przesada. Imperia mogą się rozpadać, ale kraje pozostają. Italia nie wyparowała z mapy Europy po upadku cesarstwa rzymskiego, Waterloo nie zamieniło Francji w martwą pustynię. Anglia na razie tylko biednieje. Do wymierania jeszcze daleko, choć nie należy odrzucać i takiej możliwości. Obecnie na 56 milionów ludności jest w Anglii 7,5 miliona ludzi w wieku 65 lat i ponad. Już obecnie słyszy się głosy, że kraj nie będzie mógł utrzymać ciężaru emerytur, a z innych stron, że eutanazja to wyjątkowo humanitarny wynalazek. W 1980 roku liczba starych przekroczy 8 milionów, a liczba pracujących zmaleje. Głosy niezadowolonia będą więc odpowiednio głośniejsze i można wyobrazić sobie sytuację, w której seria strategicznie rozłożonych strajków radykalnie zmniejszy ciężar emerytur. Stopa wzrostu

naturalnego ludności jest obecnie bardzo bliska zeru i z łatwością może spaść poniżej zera. Emigracja jest regularnie wyższa niż imigracja. Wszystko to razem może sprawić, że liczba ludności spadnie i będzie tak długo spadać, aż nie przestaną działać siły destrukcyjne w organizmie kraju. W ten ściśle naturalny, demograficzny sposób nastąpić mogą konieczne zmiany strukturalne. Ale jest to proces powolny, obliczony na dekady. Nie wiadomo czy w sumie nie zawiera on więcej nieszczęścia, biedy i cierpień, niż jednorazowe cięcie dla usunięcia strukturalnych maladiustacji.

Bohdan BRODZIŃSKI

POMÓŻCIE NATYCHMIAST. SYTUACJA JEST
KRYTYCZNA. KRYZYS EKONOMICZNY TEGO KRAJU
DOTKNĄŁ DOTKLIWIE I P.O.S.K.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY
P.O.S.K.

prosi społeczeństwo polskie w wolnym świecie o doraźną i szybką pomoc finansową dla dokończenia dzieła budowy gmachu w Londynie.

Każda polska organizacja i każda osoba może pomóc w miarę swych możliwości:

- stając się Fundatorem POSK przez wpłatę co najmniej £ 250;
- stając się Członkiem POSK za jednorazową wpłatą £ 10;
- Członkowie wpłacając dodatkowe udziały: [dodatkowe prawo głosu — £ 10];
- wpłacając dobrowolny dar każdej wysokości.

Czeki i przekazy pieniężne wysyłać na adres:
POLISH SOCIAL and CULTURAL ASSOCIATION
9, PRINCES GARDENS, LONDON, S.W.7.

Ci co odeszli

Wspomnienie o moim Ojcu

Nie wiem czy syn powinien pisać o swym ojcu. Jako zawodowy historyk zdaję sobie w pełni sprawę z tego, iż *scripta manent*, że brak jest perspektywy i że element uczuciowy jest nie do wyeliminowania. Ale pozostało już tak niewielu ludzi pokolenia mego Ojca, którzy Go naprawdę znali i mogliby o Nim pisać. Odeszli najbliżsi Jego koledzy ze studiów uniwersyteckich; odeszli prawie wszyscy Jego towarzysze broni z kompanii Lisa-Kuli z 6-tego baonu I Brygady. Przed rokiem zmarł komendant Jego batalionu gen. Marian Kukiel i bliski towarzysz broni „Bartek” Biernacki twórca słów Pierwszej Brygady. Odeszli przyjaciele i współpracownicy z gazowni krakowskiej jak Doliński, koledzy chemicy jak powojenny rektor Uniwersytetu Poznańskiego Suszko; nie ma już wśród żywych luminary przedwojennego przemysłu naftowego: Stanisława Piłata, Stefana Dażwańskiego, Hłaski, Pechego, Suknarowskiego i tylu innych. Odszedł Jego wieloletni przyjaciel Tadeusz Święcicki. Na parę tygodni przed śmiercią Ojca zmarł w Warszawie najbliższy bodaj Jego przedwojenny współpracownik, zasłużony dla przemysłu naftowego i handlu zagranicznego Czesław Dańczak. Odchodzi powoli całe pokolenie, które walczyło o niepodległość Polski, pracowało dla niej w jakże krótkim dwudziestolecu i umierało bądź to na emigracji bądź to w Polsce Ludowej.

Każdy człowiek, a odnosi się to chyba szczególnie do wybitnych jednostek jest jedyny i unikalny w swej psychice, charakterze i postawie, a równocześnie jest częścią swego pokolenia i swej epoki, formacją swego narodu i środowiska. Rozpowszechniająca się tendencja pisania biografii zbiorowych, przekrojowych — że wspomnę tylko Cywińskiego *Rodowody niepokornych* — jest słusznym potwierdzeniem tej oczywistej prawdy. Dlatego też pisząc o mym Ojcu, chciałbym pokazać w Jego sylwetce zarówno to co było jedyne i niepowtarzalne, jak i to co dzielił ze swą generacją Polaków. Osobiste uwagi przeplatać się tu będą

z uogólnieniami, które być może też będą miały swą wartość dla czytelnika.

Ojciec mój urodził się osiemdziesiąt dwa lata temu w zabrze rosyjskim. Wiele wspomnień, pamiętników i opracowań odmalowuje tło tych czasów. Rodzinę Ojca określić można jako inteligencję miejską; w domu panowała atmosfera polska i patriotyczna. Nic dziwnego zatem, że Ojciec brał udział w Strajku Szkolnym 1905 roku — maturę musiał zdawać jako eksternista w galicyjskim Krakowie — a na studiach na politechnice w Pradze czeskiej należał do młodzieży postępowo-niepodległościowej. Z zamiłowania był humanistą i wielbicielem i znawcą muzyki. Ale warunki materialne nie pozwalały na „niepraktyczne” studia. Już w gimnazjum musiał udzielać korepetycji; w studiach pomagali mu trochę bogatsi krewni i pewien znajomy. Do końca życia jedną z ulubionych noweli mego Ojca był *Feralny tydzień* Janusza Korczaka. Być może, że odnajdywał siebie w tej świetnie oddanej atmosferze domu i szkoły owych czasów.

W latach przedwojennych Ojciec jest już w pełni włączony w nurt niepodległościowy. W Pradze zostaje członkiem sekcji zagranicznej PPS, co stanowi raczej epizod typowy dla niego i wielu innych, którzy nie są później socjalistami. Jest członkiem Związku Walki Czynnej i Związku Strzeleckiego. W legionach jest sierżantem i gdy Jego komendant pada obejmuje pluton i prowadzi go do ataku w bitwie pod Krzywopłotami. Dzieli losy I Brygady aż do kryzysu przysięgowego; później odkomenderowany do Krakowa współpracuje w wydawnictwie „Kultura”, którego duszą jest Leon Wasilewski. Młodzieńcze Jego artykuły w „Kulturze” o stronnictwach politycznych czeskich i o zasadzie samostanowienia narodów odznaczają się dojrzałością, nawet gdy czyta się je w roku 1974. Rok temu, podczas pobytu w Kraju, przyjaciele umożliwili Ojcu zrobienie paru odbitek z tych artykułów. Żyłka polityczna odzywa się również w Jego kontaktach z młodzieżowymi organizacjami czeskimi, jak i w wystąpieniach na wiecach polsko-czesko-chorwackich w Pradze. Czeskim władą dobrze, co stwierdzali znajomi Czesi jeszcze po wielu latach. Duże zdolności językowe pozwalają mu w późniejszych latach opanować niemiecki, francuski a wreszcie angielski a także nie zapomnieć do końca życia rosyjskiego — kiedyś w Ameryce jakaś biała emigrantka wzięła Go za Rosjanina, choć Ojciec szybko wyprowadził ją z błędu.

W grudniu 1918 roku Wasilewski proponuje Ojcu wyjazd z odczynnym listem Piłsudskiego do Masaryka. Epizod ten, który Ojciec wy dobył z niepamięci po latach, ogłaszając swoje wspomnienia po polsku w *Orle Białym* i po angielsku, jest już obecnie dobrze znany historykom. Rzuca on ciekawe światło na wczesne stosunki między Drugą Rzeczpospolitą a Czechosłowacją. Ale kariera dyplomatyczna nie pociąga mego Ojca, tym bardziej, że w tym mniej więcej czasie żeni się ze Stefanią Dunikowską, wdową po Tadeuszu Marsie, matką trojga dzieci: Kazimierzy,

Anny Marii i Witolda. Rodzina mej matki jest raczej nieprzeciętna — matka jest pisarką, głównie powieści młodzieżowych, jej brat Juliusz Dunikowski wkrótce zostanie wiceministrem spraw wewnętrznych w gabinecie Witosa a następnie prezesem Najwyższego Trybunału Administracyjnego. Drugi szwagier mego Ojca, dr Kazimierz Mieroszewski, nosi nazwisko dobrze znane czytelnikom *Kultury*: syn jego to Juliusz Mieroszewski. Kuzynem matki jest wybitny uczony lwowski prof. Stanisław Piłat; inny krewny to Juliusz Zdanowski jeden z czołowych działaczy Narodowej Demokracji. W rodzinie mego Ojca są również markantne postacie. Najstarszy brat Jerzy, to typ lekarza-społecznika, wspomniany jeszcze po Drugiej Wojnie przez starsze pokolenie na Pradze. Najmłodszy Seweryn żonaty z dr Janiną Kraszewską, Peowiak, aktywny politycznie, zbliżony temperamentem do mego Ojca, umiera młodo jako błyskotliwie zapowiadający się prawnik. Jego praca doktorska o prawie teatralnym ukazuje się drukiem pośmiertnie. Trzeci brat Michał, radca Ministerstwa Skarbu, deportowany do Rosji w 1939 roku, gdzie pełni funkcje prezesa jednej z polskich organizacji, umiera wraz z żoną po przejściu granicy Iranu. Takie to zwykłe dzieje polskiej inteligencji tego okresu.

Dyplom inżyniera chemii uzyskuje Ojciec w 1920 roku na politechnice we Lwowie. Jest to jeden z pierwszych dyplomów wystawionych na polskim już papierze z Orłem. Fakt ten Ojciec niejednokrotnie podkreślał, choć po Drugiej Wojnie nie udało mu się już uzyskać kopii dyplomu ze względu na nieznany los archiwum politechniki lwowskiej. Jak gdyby cały dramat Lwowa odbija się w tych dwóch skądinąd drobnych faktach. Po rocznej współpracy naukowej z prof. Karolem Dziewońskim (chemia organiczna) na Uniwersytecie Jagiellońskim, Ojciec przechodzi do przemysłu. Ślady Jego prac naukowych odnaleźć można w różnych publikacjach jak „Przemysł naftowy”, „Przemysł chemiczny” itp. Prowadzi też zleczone wykłady na politechnice lwowskiej o gazach ziemnych i węglowych. W przemyśle zajmuje stanowiska kierownika laboratorium i inżyniera ruchu w gazowni krakowskiej a później w rafineriach nafty w Jedliczu i Dziedzicach. Od 1927 do 1930 roku jest wicedyrektorem rafinerii państwowej Polmin w Drohobyczu; przez następne trzy lata pełni funkcję wicedyrektora w centrali Polminu we Lwowie.

W 1933 roku zostaje mianowany naczelnym dyrektorem nowoutworzonej instytucji-kartelu pod nazwą Polski Eksport Naftowy (PEN). Jest to apogeum Jego kariery i wyzwala najbardziej może charakterystyczne cechy Jego usposobienia: dynamikę, talenty organizacyjne i wszechstronną inteligencję. PEN, dotąd nie opracowany przez historyków gospodarczych jest zupełnie nowym eksperymentem. Łączy przemysł państwowy i prywatny, ministerstwo w Warszawie i dyrekcje potężnych firm naftowych reprezentujących często kapitały zagraniczne. Słowo „łączy” brzmi tu zresztą nieomal paradoksalnie, bo wydaje się, że wchodzi tu w grę sprzeczne interesy, trudne do pogodzenia. Ojciec,

którego do ostatnich chwil życia interesowały tylko sprawy trudne a do przeszkód podchodził jak alpinista do niezdojanych szczytów górskich, oddaje się nowej pracy z całą energią i oddaniem. PEN absorbuje Go bez reszty a piętrzące się trudności pokonuje z całą pasją. Nagrodą za Jego wysiłki jest jednomyślne poparcie przemysłu naftowego w chwili gdy powstaje kwestia czy PEN jako eksperyment należy kontynuować czy też nie. Tę wielką wygraną ceni sobie chyba bardziej od uznania w Warszawie i odznaczeń. Dekorowany Krzyżem Niepodległości, orderem Polonia Restituta, Złotym Krzyżem Zasługi — odznaczenia te nosi na oficjalne rauty i uroczystości. Ale na ścianie w Jego gabinecie w naszym lwowskim mieszkaniu wisi oprawny w ramki skromny Krzyż I Brygady „Za Wierną Służbę”; wisi pod portretem Ojca w mundurze legionowym.

Członek Izby Przemysłowo-Handlowej we Lwowie, członek Komitetu Energetycznego i Komitetu Normalizującego, radny miejski, naczelny dyrektor PEN'u, często wyjeżdżający na konferencje międzynarodowe, czterdziestokilkoletni a wyglądający jeszcze młodziej, Damian Wandycz stoi u szczytu swej kariery. Nazwisko Jego figuruje w polskim odpowiedniku *Who's Who* — *Łoży* — *Czy wiesz kto to jest?* — tym nieocenionym źródle biograficznym dla międzywojennej Polski. Pensje w przemyśle są wysokie i kłopoty materialne pomimo licznej rodziny nie istnieją. W sprawach finansowych Ojciec zajmuje stanowisko purytańskie. Gdy wprowadzony zostaje zakaz lokowania pieniędzy za granicą, Ojciec przestrzega go ze skrupulatnością, wywołując niekiedy wzruszenia ramion u znajomych. Z diet na wyjazdy zagraniczne ani jeden funt, frank czy dolar nie jest deponowany na zagranicznych kontach. Kiedy byłem przed rokiem w Warszawie stwierdziłem identyczne nastawienie i to w roku 1973 w Polsce Ludowej u wieloletniego współpracownika mego Ojca, dyr. Dańczaka. Stara szkoła!

Zaabsorbowany swą pracą, Ojciec nie bierze czynnego udziału w polityce. Gorący piłsudczyk — pamiętam rodziców płaczących przy radiu, gdy słychać było werble z Pola Mokotowskiego w dniu pogrzebu Marszałka — Ojciec nie jest bezkrytyczny wobec polskiej rzeczywistości politycznej. Koło legionistów 6-go baonu, któremu Ojciec jakiś czas przewodniczył we Lwowie, zbiera się periodycznie na rozmowy ze swym duchowym szefem, gen. Kazimierzem Sosnkowskim. Wśród ludzi, z którymi Ojciec utrzymuje żywy kontakt w tych latach jest Kazimierz Bartel; w naszym mieszkaniu bywa dowódca OK Lwów, gen. M. Karaszewicz-Tokarzewski. Są to ludzie, którzy patrzą z troską i niepokojem na rozwój sytuacji w Polsce, na ewolucję obozu rządzącego, na Ozon, na narastający szowinizm młodzieży spod znaku mieczyka Chrobrego. A we Lwowie napięcia są szczególnie widoczne. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza powstaje Związek Młodzieży Społeczno-Demokratycznej, któremu między innymi patronuje i Ojciec. Ma On też żywe sympatie dla tworzących się Klubów Demokratycznych; nie jest natomiast nigdy maso-

nem, do których zaliczył Go w dość bałamutnym artykule o polskim wolnomularstwie Leon Chajn.

Zbliża się wojna, w której PEN jest przekształcony w Wojskowy Związek Naftowy z Ojcem na czele. Jego przydział jako cywila jest do sztabu Naczelnego Wodza. Funkcję tę spełnia do 17 września 1939 roku, w którym to dniu przechodzi most w Kutach. Cały bagaż Jego stanowi teka-torba, przerzucona przez ramię. Rodzina Jego przejeżdża do Rumunii parę godzin wcześniej.

Szczęśliwym trafem Ojciec nie jest skazany w Rumunii na bezczynność i roztrząsania przyczyn klęski wrześniowej w atmosferze „potępieńczych swarów”. Los stawia przed Nim trudne, ale ważne zadanie. Rumunia podpisała z Polską umowę naftową w wyniku której na terenie Rumunii znajdują się należące do rządu polskiego cysterny i spore zapasy zakupionej ropy naftowej. Niemcy zgłaszają do nich pretensje jako spadkobiercy Drużej Rzeczypospolitej i rozpoczyna się proces o charakterze międzynarodowym. Ojciec mój reprezentuje stronę polską i po wielu wysiłkach udaje Mu się sprawę wygrać. Rumunia wypłaca odszkodowanie w wysokości 23 milionów lei, które Ojciec przekazuje Ambasadzie RP w Bukareszcie. Cysterny zostają wydzierżawione sojuszniczej Francji i Anglii. W zbiorach Ojca zachowały się materiały do powyższego procesu, które zamierzał opublikować. Śmierć stanęła na przeszkodzie temu jak i wielu innym planom naukowo-wydawniczym.

Wiosną 1940 roku Ojciec zgłasza się do wojska polskiego we Francji. Blisko pięćdziesięcioletni podporucznik piechoty nie jest potrzebny, ale Ojciec opuszcza obóz oficerski w Carpiagni w dobrym nastroju: przypomniaty mu się dawne lata z Pierwszej Wojny. Po krótkim pobycie w Angers i Paryżu, gdzie Ojciec nie należy do tych, którzy odzegnują się od przeszłości pierwszobrygadowej, źle widzianej przez rząd Sikorskiego, przeżywa wraz z rodziną drugą z kolei klęskę — upadek Francji. Po tułaczce w Pirenejach, krótkim pobycie w Nicei, Ojciec zamieszkuje z rodziną w domu dla uchodźców polskich w Grenoble. Jest to ośrodek specjalny, zwany żartobliwie „madralinem”, skupiający dużą część elity uchodźczej we Francji. Szeroki wachlarz obejmuje ludzi od płk. Jaklicza i amb. Wacława Grzybowskiego po obecnego przewodniczącego Rady Państwa PRL, Henryka Jabłońskiego. W Grenoble przybywa do września 1942 roku, pełniąc funkcję kierownika działu finansowego delegatury Polskiego Czerwonego Krzyża w Grenoble, tej namiastki polskiej państwowości w pętainowskiej Francji. Po śmierci mej matki, Ojciec wraz z pasierbicą i synem dostaje się do Anglii, gdzie obejmuje kierownictwo sekcji energetycznej Ministerstwa Przemysłu i Handlu, oraz pełni funkcję delegata polskiego do Komitetu Przemysłowego UNRRA. W listopadzie 1944 roku zostaje wysłany przez rząd do Stanów Zjednoczonych jako ekspert przemysłowy do rokowań w sprawie odbudowy gospodarczej powojennej Polski z Foreign

Economic Administration w Waszyngtonie. Jest to Jego ostatnia misja jako przedstawiciela rządu polskiego.

Jałtę przeżywa ciężko. W Ameryce jest sam, odcięty od rodziny w Anglii, bez środków materialnych, zdawałoby się bez jutra. Odrzuca stanowczo propozycje powrotu do Kraju i świadomie wybiera emigrację polityczną. W wiele lat później rozmawiając z Ojcem o epitafium, które chciałoby się mieć na swym grobie, prawie równocześnie zacytowaliśmy *Pana Tadeusza*:

*Polak, chociaż stąd między narodami stynny,
Ze bardziej niżli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawždy rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy,
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy.*

Podczas blisko trzydziestu lat, przeżytych na emigracji w Ameryce, Ojciec zaznaje i poniewierki i walki z ludźmi i losem, ale pociesza Go myśl, że „Ojczyźnie służy”. Początki są ciężkie i powrót do pracy w przemyśle naftowym niemożliwy. Ma zbyt dobre kwalifikacje, by można Mu oferować podrzędną posadę, a w chwili gdy w podaniach opuszcza swe przedwojenne osiągnięcia, nie przedstawia dla nikogo zainteresowania. *Fellow of the Institute of Petroleum* z Londynu, autor rozdziału o polskiej nafcie w podstawowej książce Nauwelaerts, uznany ekspert naftowy, znajduje wreszcie kolejne posady w firmach przemysłowo-eksportowych jak *Atelier de Construction Electrique de Charleroi* (filia amerykańska), *Panamerican Trade Development Corporation* w Nowym Jorku i *Westrade* na Florydzie. Tak jak przez całe swe życie, niezależnie od pracy jaką wykonywał, wkłada wiele wysiłku i energii w te prace, tak różne od Jego dotychczasowych działań. I tak jest szczęśliwszy od wielu swych dawnych kolegów, którzy muszą poprzestać na pracy fizycznej lub półfizycznej.

Gdy tylko może, oddaje się pracy dla Polski. Współpracuje z Ignacym Matuszewskim, Floyar-Rajchmanem i innymi w organizowaniu KNAPP; stoi blisko Ligi Niepodległości i odnawia swe kontakty z gen. Sosnkowskim. Przyczynia się do rozwinięcia aktywności Instytutu Piłsudskiego, odtworzonego w Nowym Jorku w 1943 roku. W latach 1951-56 jest dyrektorem Instytutu, a jak stwierdza *Zarys Historyczny* wydany w trzydziestą rocznicę, jest to „bodaj najtrudniejszy, początkowy okres walki” trwający „do początków 1956 roku”. W *Zarysie* znajdujemy następnego lapsus, przypisujący główną zasługę za osiągnięcia tego okresu gen. Kowalskiemu, który jak dalej z *Zarysu* wynika, objął funkcje dyrektora dopiero w 1956 roku. Następnie mój Ojciec zostaje prezesem „Polonia Technica”, później członkiem Rady Bratniej Pomocy jak również Koła Lwowian, które nadaje mu Złotą Odznakę. Najintensywniejszy jednak okres prac kulturalno-naukowo-organizacyjnych przypada na lata 1964-71. W 1964

roku Ojciec pełni przez rok funkcję Sekretarza Generalnego a następnie przez pięć lat dyrektora Polskiego Instytutu Naukowego w Ameryce. Lata te to jak gdyby drugie i ostatnie apogeum Jego życia.

W 1966 roku organizuje nakładem ogromnego wysiłku rzecz bez precedensu na kontynencie amerykańskim: Kongres Naukowców Polskiego Pochodzenia, który odbywa się przy udziale kilkuset osób w salach uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Podczas bankietu, zasłużony działacz i prezes nowojorskiego Kongresu Polonii Amerykańskiej, Franciszek Wazeter, oświadcza: „Działam wśród 'Polonii' od przeszło trzydziestu lat, od długiego czasu jestem zarazem jednym z przywódców Kongresu oraz przewodniczącym Komitetu dorocznej Parady Pułaskiego i wydaje mi się, że coś przecież dla sprawy polskiej w Ameryce zdziałalem. Ale dziś, patrząc na wyniki tego pierwszego Kongresu Nauki Polskiej w Stanach Zjednoczonych, stwierdzić muszę, że inżynier Wandycz doprowadzając swym wysiłkiem do tej wspaniałej manifestacji naukowo-kulturalnej zrobił w krótkim stosunkowo okresie więcej niż ja przez całe życie” (cyt. za A. W. Marth, *Damian Wandycz*, „Nowy Dziennik” 21 maja 1974).

W roku 1971 mój Ojciec, już po rezygnacji ze względów zdrowotnych z dyrektury Instytutu, zdobywa się na ostatni gigantyczny wysiłek i poważnie chory organizuje drugi Kongres Naukowców. Udaje Mu się nawet zainteresować Kongresem prasę amerykańską i *New York Times* przysyła korespondenta, który 23 kwietnia ogłasza artykuł o kongresie z fotografią mego Ojca. Echa kongresu na szerokie i wzmianki — choć bez podania nazwiska Ojca — ukazują się także w prasie krajowej. Zebrani na kongresie doceniając w pełni zasługi organizatora, urządzają mu burzliwą owację; cała ogromna sala wstaje i bije długie brawa. Jest to chyba jeden z piękniejszych dni w życiu mego Ojca. Wybrane referaty z pierwszego kongresu ukazują się drukiem pod Jego redakcją jako *Studies in Polish Civilization*. Wśród innych Jego prac z tego okresu wymienić można broszurę *Polish Americans and the Curzon Line*, wspomniany już artykuł o misji do Masaryka oraz artykuły w *Kulturze*, *Zeszytach Historycznych*, *Wiadomościach*. Na specjalne podkreślenie zasługuje pionierskie opracowanie rejestru uczonych polskich w Stanach: *Register of Polish American Scholars, Scientists, Writers and Artists* (Nowy Jork, 1969). Do nieco wcześniejszego okresu emigracyjnego należą artykuły fachowe w *Petroleum Times* i *Refiner*. *Zarys Historii Polskiego Instytutu Naukowego* ukaże się pośmiertnie; studium o Polsce międzywojennej pisane do ostatnich nieomal chwil życia nie jest już doprowadzone do końca. W związku ze swymi pracami naukowymi Ojciec zostaje powołany na członka Stowarzyszenia Profesorów i Docentów na Obczyźnie. W 1972 roku Instytut Naukowy nadaje Mu nagrodę im. Tadeusza Sendzimira za szczególne zasługi położone dla Instytutu. Jest on pierwszym, który nagrodę tę otrzymuje.

Nie poruszając wszystkich działań Ojca w ostatnim dziesię-

cioleciu, co mogłoby znużyć czytelnika, wspomnieć trzeba o Jego wyteżonej pracy przygotowawczej w związku z nadawaniem nagród Fundacji im. Jurzykowskiego (w pierwszych dwóch latach) i o uczestnictwie w Kongresie Nauki Polskiej w Londynie. Osiemdziesięcioletni, schorowany człowiek — w ostatnich czasach będzie mówił gorzko, że już tylko mózg działa u niego sprawnie — dokonuje rzeczy, które są chyba jeszcze jednym dowodem prymatu ducha nad ciałem. Jego energia, siła woli, stała chęć działania muszą wzbudzać podziw. Podczas ostatniej wizyty w Kraju, dokąd jeździł często od 1957 roku stara się jeszcze o uzyskanie kopii modelu lampy naftowej Łukasiewicza z muzeum w Krośnie, aby zdeponować ją w Smithsonian Institute w Waszyngtonie.

Lato 1973 roku spędza pod Warszawą, odwiedzany codziennie przez dawnych przyjaciół i nowopoznanych, z którymi znajduje zawsze wspólny język. Z Kraju wraca ciężko chory. Po dwóch operacjach i szeregu miesiącach w szpitalach umiera 12 maja 1974 roku w Nowym Jorku. Jego pogrzeb jest prawdziwą manifestacją uczuć Polonii i przyjaciół.

Ojciec mój był jednostką niezwykłą w której odzwierciedlały się też triumfy i tragedie Jego pokolenia Polaków. Wielostronność zainteresowań była Jego cechą indywidualną a równocześnie jak bardzo typową dla najlepszych przedstawicieli inteligencji polskiej starszego pokolenia. Wchodząc w życie w okresie Młodej Polski był pod wyraźnym wpływem tej epoki. Zaprzyjaźniony z rodziną Pareńskich był entuzjastą i znawcą Boya. Literaturą interesował się zresztą zawsze i pisywał na tematy literackie, nie mówiąc już o wierszach i fraszkach pisanych na użytek wewnętrzny. W swym przemówieniu na Kongresie Nauki w Londynie cytował słowa z *Pogrzebu Kapitana Mayznera* — Słowacki był Jego poetą tak jak i większości ludzi Jego pokolenia. Muzyką interesował się namiętnie od najwcześniejszych lat i mawiał nieraz, że oddałby większość swych sukcesów za możliwość dyrygowania raz jeden w życiu. W swej młodości, którą zachował do ostatka, był gotów do przyjmowania nowych prądów w muzyce: interesował Go Penderecki i Lutosławski; gdy jeszcze mógł, jeździł na koncerty Skrowaczewskiego. Z równą uwagą śledził rozwój nowoczesnej technologii. Polityką zajmował się zawsze i był *au courant* tak amerykańskiej jak i międzynarodowej polityki.

Stosunek Jego do Kraju i rzeczywistości krajowej stanowił osobny rozdział. Z przekonania był demokratą, ale nie radykałem czy lewicowcem — te etykiety zresztą zatracają coraz bardziej swą *raison d'être*. Jako dyrektor PEN'u wierzył w ingerencję państwa w sprawy gospodarcze o tyle, o ile to było konieczne, a nie o ile było możliwe. Zdawał sobie sprawę z tego, że ze swym usposobieniem nie byłby zapewne przeżył okresu stalinowskiego i że nie było dla Niego miejsca w Kraju. Równocześnie przez długie lata nie mógł się wyzbyć uczucia, że okres poza Polską jest dla Niego w pewnym sensie stracony. Pomimo

tylu lat spędzonych poza Krajem nie oderwał się od rodzimych korzeni. Pamiętam jak mówił mi, że brnąc kiedyś piaszczystą drogą nad Bugiem i patrząc na krajobraz dookoła czuł, że tylko tu a nie gdzie indziej należy. Sprawami polskimi interesował się stale i przyjaciele w Kraju zdumiewali się jak bardzo potrafił być *au courant* lokalnych wydarzeń. Żył nie tylko przeszłością swego kraju, ale i teraźniejszością. Fakt ten skądinąd zaskakujący u człowieka Jego wieku zafrapował mnie również kiedyś u generała Kukiela.

Na okres międzywojennego dwudziestolecia potrafił patrzeć z dystansu. Jako zawodowy historyk tego okresu znajdowałem w wielu rozmowach z Ojcem na te tematy świeże i oryginalne spojrzenia, interesujące sformułowania, trafne i dające do myślenia refleksje. Były one tylekroć pomocą w mej pracy. Ojciec był niewątpliwie intelektualistą w polskim wydaniu i w wydaniu swego pokolenia. Był też dość po polsku niecierpliwym wobec ludzi obdarzonych nie tylko mniejszą inteligencją, ale tkwiących w stanie nieświadomości tego faktu. Potrafił, zwłaszcza w dawniejszych czasach, być porywczy, ale nie nietolerancyjny wobec innych przekonań. Wysoko cenił odwagę cywilną, na przykład u Władysława Studnickiego. I znów wydaje mi się, że Jego reakcje tak specyficzne i niepowtarzalne były równocześnie typowe dla Polaków pewnej formacji psychicznej tego okresu. Będąc bez wątpienia człowiekiem czynu, cierpiał podwójnie w ostatnich latach, gdy choroba stopniowo ograniczała coraz bardziej Jego aktywność. Rozwinał ogromną cierpliwość i opamiętanie; było to jak gdyby Jego ostatnie zwycięstwo nad sobą samym.

Ojciec był człowiekiem rodzinnym, choć nie zasklepiającym się w życiu rodzinnym. Na trzy miesiące przed śmiercią obchodził dwudziestopięcioletnie swego drugiego małżeństwa z Ireną Waydą, wierną, bliską i oddaną towarzyszką Jego doli i niedoli amerykańskich. W małym gronie rodziny i przyjaciół mówił o sekrecie dobrego małżeństwa; o poznawaniu i tolerowaniu wad towarzysza czy towarzyszki, bo z zaletami najbliższych żyć jest przecież łatwo. Na śmierć był przygotowany, choć los oszczędził Mu świadomości, że już jest tak bliska. Stosunek Ojca do życia i śmierci oddaje najlepiej Jego własny wiersz, znajdujący się w niedużym zeszycie wśród Jego papierów:

PRZED WIELKĄ PODRÓŻĄ

*Już płynie ku mnie tódź Charona,
Słyszę, jak Styksu wody pruje,
Doczesność we mnie zwolna kona,
A głos z zaświatów nawołuje.*

*Trzeba mi spieszyć się do drogi,
Powolność tylko czas wydłuży.*

Lecz jak opuszczać świata progi
Bez przygotowań do podróży?

Co tu zostawić, co wziąć z sobą
Ze swoich ziemskich rekwizytów?
A głos wewnętrzny brzmi przestrogą:
Trzeba się wyzbyć ziemskich zgrzytów.

Uwolnić się od ludzkich przywar
Beztróskim krokiem wejść do ładu;
Nie patrzeć wstecz, ale pogodnie
Przywitać wieczność co się rodzi.

Spływają ze mnie dawne grzechy,
Lecz wciąż powraca głośnym echem
Ten, co mnie drążył całe życie
I był największym moim grzechem.

Że nie pojąłem woli Boga
Gdy mnie na świata strącił łoś —
Jaka jest moja racja bytu,
Do czego mnie tu przeznaczono?

Jak biedny ślepiec, bez busoli
Błąkałem się wśród wichrów wycia
W poszukiwaniu swojej roli
Zgubionej gdzieś w mirażach życia.

W oczy Charona tylko skrycie
Rzucę spojrzenie, jak z przyłbicy,
Bom niebios dar największy — życie
Sprzedał za miskę soczewicy.

Byłem na swojej przeszłości pogrzebie,
Zegnałem miejsca, obrazy i ludzi
Wszystko zapadło się w otchłań nicości
I nic już wspomnień wygastych nie budzi.

Okaleczony, z kikutem przeszłości
Stąпам bezradnie nieśmiały mi kroki
Siłąc się pojąć sens rzeczywistości,
Której odcięto życiodajne soki.

Bo życie moje, to „wczoraj — dziś — jutro”
Różne tej samej całości ogniwa
Gdy „wczoraj” zgasto, „dzisiaj” jest bez treści,
„Jutro” we mgle śmiertelnej się rozwiewa.

W jednej z ulubionych książek mego Ojca, *Lalce* Prusa, ostatnim akordem przy śmierci starego subiekta są słowa *non omnis moriar*. Niech mi je wolno będzie powtórzyć na zakończenie tego wspomnienia: *non omnis moriar*.

Piotr WANDYCZ

Zahora

WSPOMNIENIE

Minęło pięć lat od śmierci Feliksa Zahory Ibiańskiego. Z wyjątkiem czasopism polskich w Argentynie, nigdzie indziej nie ukazało się żadne o nim wspomnienie, żadne pokwitowanie tego przedwczesnego odejścia. Zresztą poza Polakami w Buenos Aires i na prowincji argentyńskiej, poza nieliczną i coraz topniejącą garstką dawnych przyjaciół i kolegów, rozsianych po szerokim świecie, kto na emigracji wie, kim był i czym zajmował się Zahora Ibiański?

Poznałem go w jesieni roku 1935, dość przypadkowo, w warszawskim mieszkaniu wspólnych znajomych. Jak na owe czasy, dzieliła nas spora różnica wieku, która dziś byłaby już nieistotna — całe sześć lat. Zahora miał wtedy 32, ja — zaledwie 26. Poza tym był człowiekiem, jak to zwykle się mówi, już ustatkowanym, żonatym, na stanowisku. Zbliżyliśmy się dość szybko, bodaj po tygodniu już byliśmy per ty, czemu nie przeszkodziła znaczna różnica w poglądach politycznych, ale o tym za chwilę.

Wysoki, szczupły — szczupłość ta czyniła go jeszcze wyższym — o nieco wysadzonych do przodu, jasnych oczach i niemal płowej czuprynie, z nieodłącznym papierosem między różowymi — wmawialiśmy w niego, że je szminkuje — wargami, urzędował aż do wybuchu wojny w ciasnym, zaledwie dwupokojowym lokalu na Nowym Świecie 66, gdzie mieściły się dwie redakcje i wspólna administracja — dwutygodnika *Myśl Polska*, redagowanego właśnie przez Zahorę, i tygodnika *Biuletyn Polsko-Ukraiński*, którego założycielem i redaktorem był Włodzimierz Bączkowski. Ibiański dość często pisywał do *Biuletynu*, częściej, niż do własnego czasopisma.

Urodził się w roku 1903, w Piatigorsku, albo Kisłowodsku, już nie pamiętam, dokąd w owym roku losy zanosły jego rodziców, ale był synem Ziemi Kowieńskiej, Żmudzinem w niegdysiejszym tego słowa znaczeniu. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, osiadłej tam od wieków, dom rodzinny musiał opuścić bardzo wcześnie, a dane mu było go odwiedzić później tylko raz, na krótko przed wojną, gdy w konsekwencji chwilowego polepszenia się stosunków polsko-litewskich, we dworze u Wańkowiczów (a może to byli jacyś ich krewni?) odbył się kilkudniowy zjazd pisarzy i publicystów polskich i litewskich. Zresztą nie jestem pewny; może zjazd odbył się gdzie indziej, a tylko jego zakończenie w owym dworze... Wcześniej o takiej wizycie w rodzinnych stronach nie mogło być mowy. Zahora był zamieszany w głośny proces grupy młodzieżowej, oskarżonej o próbę wywołania zbrojnego powstania na rzecz Polski, i tylko z najwyższym trudem udało się uratować mu życie. Chyba zdecydował młody wiek — nie miał jeszcze ukończonych szesnastu lat.

W latach 1919-20 walczył, jako jeden z najmłodszych ochotników w szeregach 4 pułku ułanów Zaniemeńskich. Po złożeniu matury osiadł na stałe w Warszawie, gdzie ukończył studia uniwersyteckie z tytułem magistra filozofii i poświęcił się pracy dziennikarskiej, najpierw w Polskiej Agencji Telegraficznej, następnie w zespole wschodoznawczym, któremu przewodził Włodzimierz Bączkowski (wspomniany już *Biuletyn Polsko-Ukraiński*, *Myśl Polska*, oraz kwartalnik *Wschód*, którego redaktorem w okresie, gdy zbliżyłem się do Ibiańskiego, był profesor Olgierd Górka). Oczywiście działał czynnie w klubie „Prometeusz”, a tym samym utrzymywał bardzo ścisłe stosunki z emigrantami z Europy Wschodniej, z Kaukazu i Turkiestanu — z Ukraińcami, Gruzinami, Turkami Azerbejdżańskimi etc. Zdecydowany piśmudczyk, miał mimo to rozległe znajomości, czy nawet przyjaźnie w środowisku skrajnych nacjonalistów, co znowu nie przeszkadzało, że bardzo często zachowywał się jak typowy liberał.

Zdobywał się na dużą niezależność, choć przecież zdawał sobie sprawę, że wydawcy każdej chwili mogą go pozbawić posady redaktora. Naraził się kilkakrotnie cenzurze, a najbardziej, gdy wystąpił przeciw Berezie Kartuskiej. *Myśli Polskiej* przypięto w pewnych kołach etykietkę pisma faszystowskiego, proniemieckiego i antysemitckiego, co stanowiło grubą przesadę. Niewątpliwie, miało ono charakter zdecydowanie antykomunistyczny, antysowiecki, a to w latach intensywnego montowania „Wspólnego Frontu” nie było najlepszą rekomendacją. Ale Zahora na pewno nie był „reakcjonistą” w utartym tego słowa znaczeniu, potrafił lojalnie przyznać rację przeciwnikom politycznym i nie znosił dyskryminacji osobistych.

Jego przyjaciele ze skrajnej prawicy mieli mu za złe, że drukuje w *Myśli Polskiej* moje wiersze i artykuły. Jakże, toż jeszcze w roku 1937 Tadeusz Dworak potrafił w *Myśli Narodowej*, w obszernej recenzji z tomów „Rozmowa z ojczyzną” i „Demonom nocy” napisać, że „ojczyzną Łobodowskiego jest Związek Sowiecki”, i usilnie mnie namawiał, abym się przeniósł do Moskwy na stałe zamieszkanie. Zahora śmiał się i mówił, że nabrał do mnie zaufania po przeczytaniu wiersza „Generał Kornilow”, choć to było na dwa lata przed moim zerwaniem z komunizmem.

Wystarczyło mu, że potraktowałem białogwardyjskiego generała z atencją, a bez nienawiści. Pamiętam doskonale — nieraz ostro ścierał się właśnie z tymi przyjaciółmi ze skrajnej prawicy, gdy tylko uznał ich metody za niewłaściwe, sprzeczne z honorem, do którego przywiązywał znaczenie najwyższe. To dlatego ostro potępił w druku słynny napad Iphorskiego-Lenkiewicza na Słonińskiego, choć autora „Kronik Tygodniowych” serdecznie nie znosił; bardzo mu się nie podobały niektóre wysoki Juliana Babińskiego w *Merkuryuszu Polskim* i napisał, ku wielkiemu zgorzseniu Stanisława Piaseckiego, że profesorowi Handelsmanowi należałoby posłać bukiet kwiatów za odrzucenie pracy doktorskiej Karola Zbyszewskiego, „Niemcewicz z przodu i z tyłu”. Nawet wobec sprzymierzeńców nie chciał stosować „taryfy ulgowej”, gdy chodziło o ocenę moralną. Lojalność i rycerskość stała ponad orientacje polityczne i komeraże grupowe.

Zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji międzynarodowej i z zagrożenia z obu stron, uważał, że wszystko jest dobre, co służy wzmocnieniu Rzeczypospolitej. Gdy ukazało się „Rozdroże” Marii Dąbrowskiej i, posądzone o zbyt daleko idący radykalizm społeczny, wywołało gorącą dyskusję, oświadczył krótko: „Jeżeli stuprocentowa reforma rolna, z wyłączeniem włącznie, ma wzmocnić państwo i zwiększyć jego obronność wojskową, jestem zdecydowanie za reformą!” Zważmy, że powiedział to człowiek, wychowany w starych tradycjach ziemiańskich, szlachecko-kawalerskich, dla którego zgoda na drastyczną likwidację stanu ziemiańskiego nie mogła być decyzją łatwą, ani bezbolesną.

Wspominałem o wizycie na Litwie, gdy pożegnał się na zawsze z najbliższą rodziną. Chodziło na tym zjeździe między innymi i o to, by przedstawiciele literatury litewskiej skaptować do wzięcia udziału w zaprojektowanych na wrzesień 1939 obchodach rocznic Słowackiego; miały odbyć się w Krzemieńcu. Litwini dość łatwo wyrazili zgodę, natomiast Zahora bardzo bolał, że w atmosferze największego zadrażnienia w stosunkach polsko-ukraińskich nie mogło być mowy o udziale Ukraińców. Prowadził w tej sprawie długie rozmowy z poetą Jewhenem Małaniukiem, z którym Zahorę łączyła długoletnia przyjaźń, ale ten rozkładał

ręce bezradnie. Po zburzeniu tyłu cerkwi na Chełmszczyźnie, po Hrynkach i innych fatalnych wydarzeniach sprawa wyglądała wręcz beznadziejnie.

Z Litwinami, jako się rzekło, doszło wtedy do porozumienia. W gościnnym żmudzkiem dworze, w obecności miłych, kulturalnych pań, przy sówicie zastawionych stołach i gęsto krążących kielichach, nastąpiło odprężenie, a takt i dobra wola pertraktujących stron dokonały reszty. W pożegnalnym dniu odbyło się coś w rodzaju zawodów, czy popisów jeździeckich. Wańkowicze mieli kilka koni dobrej krwi pod wierzch — reszta dawnej fortuny — i dali je gościom do dyspozycji. Ułan zaniemeński został uznany za zwycięzcę; nie wszyscy spisali się równie dobrze. Jalu Kurek zaczął podobno całkiem niezłe, ale przed samym gankiem wierzchowiec zrobił psikusą, zrzucił jeźdźca na ziemię i z obojętną miną pocwałował do stajni.

Różnych przygód, jakich we dwójkę i w liczniejszym towarzystwie zazналиśmy w owych latach w nocnych lokalach warszawskich, nie spisałby na wołowej skórce. Ale nigdy nie widziałem, żeby Ibiański sam spowodował awanturę. Miał tęgą głowę, mógł wypić bardzo dużo i przetrzymać najbardziej renomowanych bibosów. Nie pamiętam już dokładnie, bodaj na wiosnę 1939 roku, albo może w lecie, bo nastroje były wojenne, na kwaterze pewnej, wielce szanownej korporacji, do której Felek należał, doszło do wódecznego pojedynku polsko-ukraińskiego. Nie należałem do reprezentacyjnej ekipy, byłem po prostu kibicem, ale z prawem do wyszynku. W połowie walnej bitwy wyszedłem, zajechałem dorożką do siebie na Litewską, wykąpałem się w zimnej wodzie, jako tako wytrzeźwiałem i po godzinie wróciłem, wielce zaciekawiony, jak się to skończy. Pobojuwisko już było zaśnane trupami, nawet profesor Pawło Zajcew, znakomity szweczenkolog, słynący z niezwyklej wytrzymałości na alkohol, drzemał w cieniu pustej butelki; na szancach trwało dwóch tylko ostatnich rycerzy: dziennikarz Andrij Kryżaniwśkyj i właśnie Zahora.

Po dalszych paru kolejkach pozostał sam na placu boju. Rozejrzał się nieco zmętniałymi oczami, policzył głowy, leżące na blacie stołu — cóż za okazja dla Podbipięty! — skinął pogardliwie: „Koroniarze, popili się... Gdzie im do nas!”. Była w tym swoista logika — skoro Ukraina przed rozbiorami stanowiła część Korony, to koroniarze. Nalał niepewną ręką dwa kieliszki: „Łoboda, wypij ze mną za Wielkie Księstwo Litewskie!...”. Rzecz działa się po pijanemu, ale toast miał swój sens. Bo Zahora czuł się Litwinem, w takim znaczeniu, jakie nadawano w dawnej Rzeczypospolitej; takimiz Litwinami czuli się jeszcze pogrobowcy powstania styczniowego, nie mówiąc o romantykach, z autorem

„Pana Tadeusza” na czele. To dlatego Zahora tak wysoko cenił publicystykę Cata Mackiewicza, z którym łączyło go niemal mistyczne umiłowanie rodzinnej Litwy.

Nie było w tym żadnego nacjonalizmu, we współczesnym znaczeniu tego pojęcia, więc tym bardziej ani żdźbła szowinizmu. Oczywiście, jakże łatwo powiedzieć, że chodziło o postacie anachroniczne, przeżytki niepowrotnej przeszłości, relikty, jak to się mówi w ludowych demokracjach, żywcem przeniesione w XX wiek z XVIII, bo przecież nawet Konstytucję Trzeciego Maja ci ludzie wspominali niechętnie, ponieważ zniosła nie tylko resztki odrębności, lecz nawet nazwę Wielkiego Księstwa. Jakże pięknie o tych sprawach i o tej „anachronicznej” postawie pisał Józef Piłsudski w swoich wspomnieniach z zesłania, Piłsudski, w którym Zahora Ibiański był trwale i bezwarunkowo zakochany. Nie w Marszałku odrodzonej Rzeczypospolitej, nawet nie w Komendancie Legionów, naturalnie, nie w przywódcy Frakcji Rewolucyjnej PPS i, broń Boże, nie w ekspropriatorze spod Bezdán, lecz w Piłsudskim, litewskim szlachcicu, którego matka z Billewiczów uczyła wierszy Słowackiego prawie równocześnie z pacierzem, w Piłsudskim, pogrobowcu, jak sam Zahora i ludzie jego typu, „Litwy, ojczyzny naszej”.

Może to i śmieszne, zwłaszcza dla szyderców i prześmiewców romantyzmu, ale jestem głęboko przekonany, że gdyby pogrobowcy tego rodzaju stanowili większość i mieli głos decydujący, inaczej, lepiej potoczyłyby się dzieje drugiej Rzeczypospolitej i znacznie bogatszy przekazałyby dorobek. Gdy chodziło o sprawy najważniejsze, był Zahora człowiekiem zdolnym do każdego poświęcenia, działającym spokojnie, z uporem (żmudzkiem?), a bez egzaltacji, bez nadmiernego patosu, po prostu w imię obowiązku, od którego wymigiwać się nie wolno, jeśli się jest prawdziwym mężczyzną i odpowiedzialnym obywatelem. Romantyk, ale nie frazeolog, uczuciowiec, ale nie rozmażany sentymentalista, patriota, ale trzeźwy i krytyczny obserwator — takim go pamiętam z ostatnich paru przedwojennych lat, kiedy byliśmy ze sobą najbliżej i widywaliśmy się ze sobą prawie codziennie.

Byłem wtedy stałym współpracownikiem *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego*, a bardziej dorywczym — także *Myśli Polskiej*. W *Biuletynie* drukowałem wiersze oryginalne, przekłady z prozy i poezji ukraińskiej, wreszcie artykuły polityczne, te — od pewnej daty, pod pseudonimem Stefan Kuryłło. Długo byłoby opowiadać, dlaczego pseudonim i właśnie ten, a nie inny. Różnie z pseudonimami u mnie bywało i bywa; w tym wypadku jego użycie zostało mi narzucone z góry, ale nie przez Bączkowskiego, ani Zahorę Ibiańskiego.

Wymienione dwa czasopisma przez lata całe prowadziły trud-

na, uciążliwą pracę nad zbliżeniem polsko-ukraińskim, nad wyłączeniem, czy choćby osłabieniem wzajemnych pretensji, zapiekłych krzywd, fatalnych urazów i kompleksów. Niestety, na tle ówczesnej rzeczywistości wyglądało to na walkę z wiatrakami. Podobno zasłużyliśmy na miano don Kichotów, zaś nasi przeciwnicy i przeciwnicy byli rzekomo wielkimi realistami. Rychło miało się okazać, że było akurat odwrotnie. Rzekomi realisci zostali przez wydarzenia historyczne bezlitośnie wykpieni, wstrychnięci na dudków, a po nas, żałosnych don Kichotach, pozostało przynajmniej wspomnienie, żeśmy jasno widzieli nadciągające niebezpieczeństwo i właściwą drogę, choć byliśmy bezsilni w naszych daremnych próbach namawiania, by nas naśladowano. Co prawda, i dziś bardzo wielu nie przyzna mi racji, a już najbardziej ci, co żyją wspomnieniami prowincjonalnych opłotków, ci, których najlepiej charakteryzuje świetne ukraińskie powiedzenie: „politycy światowi w skali powiatowej”.

Podczas wojny zetknąłem się z Zahorą tylko raz, a i to przełotnie, w Paryżu, na początku roku 1940. W sześć lat później napisał do mnie z Londynu, nieco później objawił się w Buenos Aires. W jednym z listów namawiał mnie gorąco, bym na parę miesięcy wpadł do Argentyny. W 1954 wyszedł w Paryżu, nakładem Instytutu Literackiego, tom moich wierszy o problematyce polsko-ukraińskiej, pt. „Złota Hramota”. Wyszedł z kilkunastoletnim opóźnieniem; gdyby nie wybuch wojny, byłby się ukazać w „Serii Poetów” Mortkowicza. Oczywiście, w takim wypadku tom wyglądałby nieco inaczej, ponieważ nie weszłyby do niego wiersze, powstałe w latach późniejszych. Tom, przygotowywany dla Księgarni Mortkowicza, były szczuplejszy mniej więcej o jedną trzecią.

„Trzy wiersze — pisałem we wstępie — zaopatrzone są w dedykacje. 'Wiosna zdradzona' zadedykowana została Henrykowi Józewskiemu, którego poznałem bliżej w okresie mojej dziennikarskiej i poetyckiej działalności na Wołyniu, a który pomimo nieuniknionych błędów i pomyłek, pozostał wierny aż do końca wiosnie 1920 roku; 'Dumę o atamanie Petlurze' poświęciłem Feliksowi Zahorze Ibiańskiemu, który pierwszy wprowadzał mnie w koła wschodoznawcze przedwojennej Warszawy; 'Helladę Scytyjską' przyjąć zechce poeta ukraiński, Jewhen Małaniuk, pod którego auspicjami powstał wspomniany wiersz...”

Zahora ucieszył się, że zachowałem przedwojenną dedykację, a w liście obok podziękowania zamieścił melancholijną, a dla mnie zbyt pochlebną uwagę: „Ze wszystkich naszych prac i zabiegów na odcinku ukraińskim, ze wszystkich marzeń i złudzeń nie pozostało nic, prócz twojej 'Złotej Hramoty’...”

W Warszawie było inaczej. Wiedzieliśmy wszyscy doskonale,

że cały ten nasz „prometeizm” jest w pewnym sensie zawieszony w powietrzu. W polskim społeczeństwie nie chwycił, ba, przeważnie nawet do niego nie docierał. Ukraińcy, Białorusini, Litwini konfrontowali go z rzeczywistością społeczno-polityczną na kresach i konfrontacja ta wypadła z reguły nie wesoło. A i środki, którymi się rozporządzało, były żałośnie niewspółmierne z ważnością sprawy. Miała to być wyprawa na słońce, cóż, kiedy nie dano nam do ręki niczego, poza bezradną motyką!

Ale liczyliśmy, że z czasem wszystko się zmieni na lepsze i że będzie w tym także część naszej zasługi. Było w tym więcej chwalebnej wiary, niż trzeźwej oceny. Wraz z końcem roku 1938 uległ likwidacji, czy jeśli kto woli, przekształceniu tygodnik *Biuletyn Polsko-Ukraiński*; zamiast niego, zaczął wychodzić pod tą samą redakcją miesięcznik *Problemy Europy Wschodniej*. Gdy tygodnik zamienia się w miesięcznik — to już niedobrze. Nowe pismo było niby w zasadzie kontynuacją *Biuletynu*, ale tylko w zasadzie. Mniej uwzględniania spraw aktualnych, bieżącej polityki, więcej historii i teoretycznych rozważań. Ci, od których zależała decyzja, jak gdyby przyznawali się tym pociąganiem do poniesionej klęski. Bączkowski nadrabiał miną, ale wszyscy dobrze wiedzieliśmy, co to znaczy.

Zahora Ibiański miał ambicje literackie, sięgające daleko poza biurko redaktorskie. Bardzo wstydliwie dbał, by tych ambicji nie ujawniać, jednak w stałym obcowaniu trudno było mu się z tym nie zdradzić. Redagowanie *Myśli Polskiej* nie zabierało całego wolnego czasu (dwutygodnik!), ale pensja, którą otrzymywał, była, jeśli nie mizerna, to w każdym razie skromna; musiał dorabiać ubocznymi pracami. Obiecywał sobie, że wkrótce jakoś się to ułoży, że stworzy sobie warunki, które pozwolą mu zająć się pracą literacką; był jeszcze młody, pełen życia i optymizmu. Wojna rozciąła to życie, jak tyle innych, na „nie przystające do siebie połowy”.

Przygód wojennych Zahory prawie nie znam. Z żoną pożegnał się po swojemu, lapidarnie i optymistycznie: „Nic mi się nie stanie! Wrócę w randze rotmistrza i z krzyżem Virtuti Militari!”. Po zmobilizowaniu został przydzielony do jakiegoś sztabu; 16 września zastał go tuż przy granicy rumuńskiej, miał razem z innymi kolegami pozostać w terenie, ale nazajutrz przysłała wiadomość o wkroczeniu Armii Czerwonej, nie miał najmniejszej ochoty dostać się w ręce sowieckie, wolał nie ryzykować. W Rumunii wypadło posiedzieć dość długo, „Regina” nie bardzo chciała mieć we Francji takich, jak on. Dostał się do Bułgarii przez zieloną granicę. Sowicie opłacony taksówkarz, rosyjski emigrant, dowiózł go i paru towarzyszy podłą, polną drogą (w Dobrudży), kilkunastometrowy bieg przez zarośla — i po wszystkim.

Kilka minut przedtem jeden z pasażerów zapytał szofera, czy w razie czego rumuńska straż graniczna nie będzie strzelać. „Skądże znowu — odparł pogardliwie Rosjanin — toż oni nie mają ostrej amunicji!”. Strażnicy istotnie nie strzelali, w ogóle ich na tym odcinku nie było. Z Bułgarii Zahora już bez większych trudności dostał się do Grecji; parę dni w Atenach i z Pireusu francuskim statkiem do Marsylii.

Nie wiem, czy krótkotrwałą kampanię francuską odbył w Brygadzie Maczka, czy w innym oddziale; w każdym razie wye-wakuował się do Anglii, by po czterech latach powrócić na kontynent z Pierwszą Dywizją Pancerną. Koniec wojny, krótki epizod włoski, znowu Anglia, wreszcie Argentyna, już na stałe, już ostatecznie. Po pewnej przerwie, gdy nie bardzo wiedziałem, gdzie się obraca i co robi, zacząłem regularnie otrzymywać *Kurier Polski*, którego redaktorem Zahora był aż do śmierci. Nie byłem zachwycony. Ale czy można postawić czasopismo na dobrym poziomie, gdy nie ma środków finansowych, gdy nie płaci się współpracownikom honorariów, choćby nawet groszowych?

W późniejszym okresie trafiały się w tym *Kurierze* teksty, z emigracyjnego punktu widzenia niezbyt ortodoksyjne. Nawymyślałem Zahorze, ile wlaźło, za obnoszenie się z Romanem Bratnym, gdy ten przyjechał do Ameryki Południowej z wizytą i objawił się na krótko, na bruku Buenos Aires. Z zażenowanej odpowiedzi Felka wynioskowałem bez trudu, że w ogóle nie miał pojęcia, kim jest Bratny i co reprezentuje. Zahora mieszkał w swojej podmiejskiej pustelni, o wiele bardziej odcięty od wiadości z kraju, niż my w Europie. Pustelnia? Gdy mnie zapraszał do siebie po raz pierwszy (1950) pisał, że mieszka z nim pies, kot i dwa ptaki. Później to najwidoczniej uległo zmianie.

Docierały do mnie przykre wieści, że po ciężkich przeżyciach osobistych załamał się całkowicie, pije więcej, niż kiedykolwiek (o wiele za dużo), że zamierza wrócić do kraju. To już byłoby zupełnym nonsensem. Do rzeczywistości Polski Ludowej najzupełniej nie pasował. Więc chyba tylko dlatego, że czuł zbliżającą się śmierć, a nie chciał umierać w Argentynie.

Sama śmierć nastąpiła w okolicznościach co najmniej dziwnych, żeby nie powiedzieć — wysoce podejrzanych. Któregoś dnia na próżno czekano na Zahorę w redakcji. Nazajutrz także się nie zjawił. Udało się dowiedzieć tylko tyle, że wyszedł z domu o zwykłej porze, by udać się do miasta; dalsze ślady znikły. Upłynęło kilka dni, zanim przez policję ustalono, że krytycznego dnia na przedmieściu Avellaneda znaleziono zwłoki mężczyzny i natychmiast je pochowano na tamtejszym cmentarzu. Identyfikacja była niemożliwa, gdyż przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów. Dopiero później podano rysopis i szereg szcze-

gółów, na podstawie których uznano, że chodziło o Zahorę Ibiańskiego. Na ekshumację zwłok, w celu rozwiania wszelkich wątpliwości, władze nie zgodziły się.

Wszystko razem wyglądało bardziej niż dziwnie. O zaginięciu Ibiańskiego policja została zawiadomiona drugiego dnia. Skąd taki pośpiech z pogrzebem, zazwyczaj się tego nie robi przed identyfikacją. Argument, że zwłoki zaczynały się rozkładać, nie wytrzymuje krytyki — od tego są nowoczesnie urządzone kostnice. A wreszcie sprawa najbardziej zagadkowa: dlaczego nie pozwolono na ekshumację, co normalnie nie powinno natrafiać na większe trudności?

Opieram się na relacjach osób trzecich, może są to relacje niekompletne, ale chyba obiektywnie podane. Tyle dokoła tego zgonu nagromadziło się znaków zapytania, a na żadne nie ma zadawalającej odpowiedzi. Czy Zahora istotnie, jak głosiła plotka, prowadził pertraktacje z konsulem PRL w sprawie powrotu do kraju? Odkąd to policja stwierdza tożsamość na podstawie samego rysopisu, bez żadnych innych danych? W jaki sposób i dlaczego Zahora znalazł się na przedmieściu Avellaneda, skoro jechał w innym kierunku? Na pytania te chyba nigdy już nie otrzymamy odpowiedzi; śledztwo wtedy, w marcu 1969 roku nie zostało przeprowadzone, potem już było za późno. Jakie w tych warunkach nie podejrzewać, że zaszło coś tajemniczego, że nie był to zgon naturalny?

◆

Prawicę polską z dwudziestolecia niepodległości utożsamia się zazwyczaj z obozem narodowym, popularnie — z endecją. Jest to oczywiste nieporozumienie. Gdzie indziej prawicę stanowili zawsze konserwatyści; u nas, w wyniku nienormalnego rozwoju społeczeństwa, spowodowanego brakiem własnego państwa, nigdy nie powstała silna partia konserwatywna, obejmująca cały kraj. Konserwatywna, to wcale nie znaczy, że nie dostrzegająca konieczności stopniowych reform społecznych i gospodarczych. Mamy dość przykładów w historii, udowadniających, że mądrzy konserwatyści ułatwiali postęp, podczas, gdy niektóre rewolucje prowadziły w dalszych konsekwencjach ku skrajnej reakcji. Przykład najjaskrawszy: rewolucja bolszewicka.

Tacy, jak Zahora Ibiański znaleźli się w Polsce Niepodległej bez określonego przydziału politycznego. Był bezwarunkowym zwolennikiem Piłsudskiego, ale nie BBWR, nie podobał mu się Brześć, ani późniejsza Bereza Kartuska. Pracował dla wojska, ale raził go nadmierny kult munduru. Nie nosił pod sercem Żydów, ale odrzucało go od programowego antysemityzmu. Był nacjonalista, ale nie w wąskim tego pojęcia znaczeniu. Religijnie dość

obojętny, żywił tradycyjny szacunek dla Kościoła. Typowe szlachcko-ziemiańskie narowy potrafił opanowywać i swoje sympatie stanowe (bo nie klasowe, jakby powiedział marksista) podporządkowywać celom nadrzędnym. Demokracji liberalnej przypartrywał się z pobłażliwym uśmiechem, uważał że tylko rządy autorytatywne mają przyszłość przed sobą, ale nigdy nie wykazał żadnych ciągów prohitlerowskich. Zdawał sobie sprawę, że Polska ówczesna była Rzeczpospolitą tylko z nazwy i przeżywał to boleśnie. Bo co tu dużo gadać! — artykuł 110 Konstytucji, określający prawa tzw. mniejszości narodowych, był w Polsce Niepodległej stale gwałcony. Jeszcze jako tako dotrzymywano go w stosunku do Żydów, ale nie Ukraińców, czy Białorusinów. Polska z biegiem czasu stawała się państwem coraz bardziej nacjonalistycznym, co pozostawało w oczywistej sprzeczności z pojęciem, zawartym w nazwie Rzeczpospolita.

Z dzienników chyba tylko wileńskie *Słowo* sporadycznie podejmowało sprawę wschodniej polityki. Cat-Mackiewicz był sztandarowym antykomunistą, rozumiał wiele rzeczy, nigdy jednak nie zdobył się na koncepcję ogólną, która by ujęła całokształt zagadnień tzw. Kresów wschodnich. Pewnie był na to za młody i brakowało mu znajomości zasadniczych problemów. To bodaj dlatego, ni stąd ni zowąd, zaatakował wojewodę wołyńskiego, Henryka Józewskiego, właśnie wtedy, gdy ten był obiektem skoncentrowanych ataków, organizowanych przez tych, którzy byli Mackiewiczowi najbardziej nie mili. Skąd się to wzięło, nie wiem. Niedostateczna informacja, osobisty uraz, nadmiar temperamentu? Tak czy owak, wypadło bardzo niedobrze.

W redakcji przy Nowym Świecie, gdzie Mackiewicza ceniono i lubiono, następowała w takich wypadkach konsternacja. „No, widzisz — mówił do mnie Zahora, prawie płacząc — to niby nasz sprzymierzeniec i nagle wstawia kontrę!” Polityka Józewskiego, „żelaznego wojewody” za życia Piłsudskiego, mogła budzić i budziła zastrzeżenia, ale włączenie się Mackiewicza do gwałtownej kampanii anty-józewskiej akurat wtedy, gdy należało wojewodzie przyjść z pomocą, było wyskokiem wręcz niekonsekwentnym. Pytałem o to Mackiewicza w Paryżu, w styczniu 1940; nie bardzo pamiętał i mocno się zdziwił, gdy mu wypomniałem, z kim się dwa lata wcześniej sprzymierzył.

Psuły nam krew gorszące wybryki antyukraińskie. Zdaje się, w jesieni 1938, w poznańskim tygodniku *Kultura* ukazał się artykuł Jerzego Bandrowskiego, pt. „Widły w herbie”. Jerzy Bandrowski, autor przeciętnych powieści (najlepsza — o rewolucji bolszewickiej, „Wściekłe psy”), nie dorównywał talentem swemu bratu, Juliuszowi (Kaden-Bandrowskiemu). Mówiono o nich, że nie utrzymują ze sobą żadnych stosunków, poróżnili się śmiertel-

nie na tle politycznym; Juliusz był piłsudczykiem, Jerzy — narodowcem. Takich politycznych wojen między rodzonymi braćmi, czy bliskimi krewnymi, było w owym okresie znacznie więcej; niektóre z nich przybierały formy wręcz zabawne.

Wspomniany artykuł Bandrowskiego stanowił wypowiedź antyukraińską, prawdziwie nieprzytomną w nienawistnym zacietrzewieniu. Nie było inwektywy, której by autor nie użył, odmawiając Ukraińcom jakichkolwiek zalet, rozdmuchując wszystkie, prawdziwe i urojone grzechy. Zresztą wystarczył sam tytuł: „Widły w herbie”. Bandrowski pił do tryzuba, którym pieczętowali się jeszcze kijowscy Rurykowicze. Zahora ogłosił wtedy list otwarty do redaktora *Kultury*, ostro protestując przeciw obraźliwemu tonowi artykułu Bandrowskiego i podkreślając całą niewłaściwość zamieszczenia go na łamach czasopisma właśnie katolickiego. Przypominał, że polityczne i materialne krzywdy nie budzą tak wielkiej nienawiści, jak poniewieranie godności narodowej. Jeżeli dobrze pamiętam, artykuły tego rodzaju przestały odtąd ukazywać się w poznańskiej *Kulturze*. Niestety, nie brakowało ich gdzie indziej, a najbardziej w krakowskim *Ilustrowanym Kurierze Codziennym*.

Ibiański dostał się do Francji dopiero przy końcu stycznia 1940, ja — znacznie wcześniej — w pierwszej połowie listopada 1939. Wkrótce przewinął się przez Paryż Włodzimierz Bączkowski i po krótkim pobycie pojechał ponownie do Londynu. W „Reginie” ten i ów występował z inicjatywą rozmów polsko-ukraińskich, kogoś tam zapraszano na herbatki, zamawiano jakieś ulotki; wszystko to szło niemrawo, bez należytej orientacji, bez z góry powziętego planu, przeważnie przy użyciu najbardziej niewłaściwych osób. Próbowano stosować absurdalne klucze partyjne.

Profesor i minister, Stanisław Kot, wykazał w rozmowie ze mną oszałamiającą znajomość rzeczy, wyraziwszy życzenie, by nawiązywać kontakty tylko z przedstawicielami ukraińskiego ruchu ludowego. „Jest chyba u nich jakiś odpowiednik Polskiego Stronnictwa Ludowego...”. Bardzo był zdziwiony, gdy powiedziałem, że nie ma. Następnie wtrąciłem skromną uwagę, że rozmawiać należy, zarówno w kraju, jak na emigracji, z tymi, co posiadają prawdziwe znaczenie i wpływy w masach. „Czy ma pan na myśli O.U.N.? Wykluczone! To nie jest stronnictwo demokratyczne!” Ano, właśnie... Ostatecznie skończyło się na pustej gadaninie i nic z tych nieśmiałych inicjatyw nie wynikło.

W *Kurierze Polskim*, redagowanym przez Zahorę po wojnie w Buenos Aires, program „prometejski”, pomimo różnych politycznych niekonsekwencji i naiwności, utrzymał się, choć już nie był stawiany tak jasno i bezkompromisowo, jak za warszawskich

czasów. Informacje wspólnych znajomych w ostatnich latach świadczyły, że jest człowiekiem, którego życie złamało. A śmierć? Jestem absolutnie przekonany, że samobójstwa, o co niektórzy go podejrzewali, nie popełnił. Chyba tylko przypadek może kiedyś sprawić, że wyjdą na jaw okoliczności jego tajemniczego zgonu. Trudno twierdzić na ślepo, ale hipoteza, że został zamordowany, nie jest pozbawiona pewnych podstaw. Ale, jak powiedziałem, tylko przypadek mógłby tę sprawę wyjaśnić. Na razie musiano przyjąć oficjalną wersję policyjną, która nikogo nie była w stanie przekonać.

Jeżeli w przyszłości zostanie napisana historia polskiego ruchu „prometeuszowskiego” (książka Lewandowskiego na ten temat, wydana w kraju, z wiadomych względów nie mogła wyczerpać tematu, ani zdobyć się na pełny obiektywizm), niejedna postać polityczna, czy dziennikarska zostanie wydobyta z niepamięci. Między nimi szlachetna postać Feliksa Zahory Ibiańskiego.

Józef ŁOBODOWSKI

“POLONIA”

KSIEGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Kronika kulturalna

Profesorowie U. J. w latach dwudziestych

Gdy Jerzy Giedroyc prosił mnie o kilka słów wspomnień o profesorach Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie w latach dwudziestych, kiedy to sam byłem słuchaczem tej uczelni, zacząłem szukać w pamięci sylwetek i twarzy ludzi, w większości już od dawna przeze mnie zapomnianych. O tych profesorach, których znałem bliżej — w szczególności o trzech ówczesnych luminarzach Wydziału Prawa U.J., a jednocześnie ostatnich Stańczykach — to znaczy o Władysławie Leopoldzie Jaworskim, o Stanisławie Estreicherze i o Adamie Krzyżanowskim, pisałem wiele i często: pierwszy zmarł w lipcu 1930 roku w Milanówku; drugi zginął w obozie Sachsenhausen na początku 1940 roku; trzeci, dożywszy sędziwego wieku lat 90, zmarł w Krakowie w końcu stycznia roku 1963. Gdybym chciał, czy mógł zebrać tylko to wszystko, co napisałem o tych trzech niepospolitych uczonych, pisarzach i politykach — zebrałby się na pewno tomik, który by zajął cały, a może nawet podwójny zeszyt *Kultury*. O samym Adamie Krzyżanowskim, pisałem nekrologi dwukrotnie: raz w końcu 1939 r., kiedy się w Londynie rozeszła wiadomość — na szczęście jak się później okazało, nieprawdziwa — że został zamordowany przez Gestapo, a drugi raz w 1963 roku, kiedy smutna wieść o jego zgonie była, niestety, faktem.

Teraz przypomniałem sobie, że jeszcze w Monachium, już „po Gomułce”, a więc gdzie w latach 1956-58 (bo w końcu 1958 roku opuściłem Monachium) dowiedziałem się o śmierci Rafała Taubenschlaga, i z miejsca machnąłem wspomnienie o nim do *Wiadomości* w Londynie. Nie miałem pojęcia, co w tym wspomnieniu było, pamiętałem jednak dokładnie, iż Grydzewski z miejsca napisał mi ocenę tej notatki, najbardziej pochwalną

ze wszystkich jakie kiedykolwiek otrzymałem od niego w ciągu wielu, bardzo wielu lat naszej znajomości i współpracy. W Bibliotece Polskiej w Paryżu, dzięki uprzejmości i pomocy Pani Dunin-Borkowskiej odnalazłem ten tekst, który poniżej w całości podaję:

„TAUBENSCHLAG”

„Przeglądając dzisiaj rano — służbowo i mechanicznie — pracowite zestawienia nasłuchów radiowych, na którejs kartce natrafiłem na zdanie, że pogrzeb zmarłego śmiercią samobójczą prof. Taubenschlaga odbędzie się w Krakowie...

Rzuciłem kartkę do kosza, bo nie odpowiadała moim zapotrzebowaniom służbowym, ale nie mogłem o niej zapomnieć. No tak. To przecież mógł być tylko Rafał Taubenschlag, profesor prawa rzymskiego w Krakowie przed wojną, w czasie wojny w Columbia University, po wojnie w Warszawie. I w oczach stawała mi ciągle ta sala Kopernika w krakowskim Collegium Novum, przepelniona i wypelniona tłumem ubogich studentów, w łachmanach, w ojcowskich portkach w paski, w rozlatujących się mundurach legionowych czy wojska polskiego, wygłodzonych, śmierdzących, skulonych u stóp wysokiej katedry. I pamiętam jak na tej katedrze punktualnie się zjawiał prof. Taubenschlag i „trzymał” godzinny wykład o Pandektach i prawie pretorskim, i „usufructus”, i tylu innych rzeczach, które wówczas wydawały mi się tak ważne, tak istotne, a teraz? Było dwóch profesorów prawa rzymskiego podówczas w Krakowie: wielki Wróblewski, siostrzeniec większego fizyka, mefistofeliczny, machiaveliczny, łysy, faustowski, późniejszy prezes komisji kodyfikacyjnej, prezes Akademii Umiejętności, zbyt mądry, zbyt przefajnowany, by biednych „akademików” czegoś nauczyć; i był Taubenschlag, belfer uniwersytecki, „konował”, ale dobry pedagog, który wbijał nam w głowę prawo rzymskie, taki sumienny, rzetelny „wkuwacz”. Był mały, wygolony, miał nos semicki, krótkie nóżki, głos trochę staccato, z lekkim żydowskim akcentem, bladolicy, jakiś też biedny i smutny i prowincjonalny.

Pamiętam dalej że za cenę Bóg wie jakich ofiar kupiłem wówczas, na tym pierwszym roku upragnionego uniwersytetu, podręcznik prawa rzymskiego Girarda. „Manuel de droit romain” nazywało się to wielkie tomisko, w którym uplasowałem już wówczas przejściową — jak się okazało — namiętność do prawa, do nauki; i namiętność, która mnie dotąd nie opuściła nigdy, i mam nadzieję będzie mi wiernie towarzyszyła do grobowej deski: namiętność do Francji, ukochanie jej języka.

Pamiętam jak — bezgranicznie dumny z tego nabytku — złapałem kiedyś we framudze okna na korytarzu Collegium No-

vum Taubenschlaga i pokazałem mu mego Girarda. Pamiętam, jak usiadł we framudze okna, jak jego krótkie nóżki bełtały się w powietrzu. Pamiętam jak kartkował tego mego Girarda i wreszcie rzekł:

— No, jak pan się tego wszystkiego nauczy, to będzie pan wiedział tyle co ja.

Pokraśniałem z radości. Potem Taubenschlag mówił coś dalej, i zapamiętałem, że w tym monologu użył wyrażenia „naukowcy” zamiast „uczeni”. Wydało mi się to bardzo dziwne, niezgodne z zasadami języka polskiego, ale nie śmiałem oponować.

Potem zdawałem egzamin z prawa rzymskiego nie u niego, ale u Wróblewskiego, celując zresztą. Potem się nasze stosunki rozluźniły. Jeszcze póki byłem na uniwersytecie wymienialiśmy ukłony. Ale po doktoracie nie spotykałem go nigdy, a może nie poznawałem go po prostu. Nie wiem gdzie mieszkał. Nie wiem czy był żonaty, czy miał rodzinę. Nie wiem czy coś pisał: w każdym razie nigdy nic jego pióra nie czytałem, nigdy o jego pracach nie słyszałem. Lata minęły.

Kiedyś, na kilka lat przed wojną, zawadziłem o Kraków. Na Plantach było zielono, a na Rynku ciepło i gwarno. Ex-kolega, ongi filar konserwy, potem zajadły sanator, dzisiaj pono czołowy „marksista”, spotkał mnie na AB i trzymając za guzik, pytał:

— Czy wiesz, że Taubenschlag się wychrzcził, he, he? I że pani Kryśia Potocka [wdowa po namiestniku Andrzeju, miała wówczas 70 lat] wraz z Wróblewskim trzymali go do chrztu, hi, hi, hi, ha, ha, ha?

I pamiętam, że ten krakauerski ton taniego dowcipu i wydrwiwania nie spodobał mi się i że choć Taubenschlaga już od lat nie widziałem, odparłem cierpko, wyniośle i oschle:

— Myślę, że Taubenschlag nawrócił się z przekonania, a że Wróblewski i pani Andrzejowa zgodzili się być jego rodzicami chrzestnymi, to tylko dobrze o nich świadczy.

Znowu minęły lata. Przyszedł potworny Wrzesień, owoc lekomyślności Becka i Rydza. Dowiedziałem się, że Taubenschlag się wydostał, dotarł do Ameryki. Ucieszyłem się, ale do niego nie napisałem. Przyszły krwawe, mroczne lata wojny. Dowiedziałem się że Taubenschlag został profesorem prawa rzymskiego na nowojorskim Columbia University. Ucieszyłem się, ale nie odezwałem się do niego ani słowem. Potem przyszedł koniec wojny, i któregoś dnia powiedziano mi, że Taubenschlag rzucił katedrę i spokojny i zapewniony byt na Columbia University i powrócił do Polski. Nie ucieszyłem się, ale zrozumiałem że wrócił nie dla kariery, nie dla zaszczytów, ale dlatego że Polskę kochał i że ciężko mu było żyć poza Krajem. Taubenschlag był nie tylko Żydem polskim — był Polakiem.

I dzisiaj ta notatka. Nie dowiem się nigdy, jaki był powód tego samobójstwa. Nieuleczalna choroba? Samotność? Poczucie czczości życia? Duszenie się w niewoli? Lub może mary krewnych, przyjaciół, współplemieńców, osób drogich i kochanych, wygazowanych w piecach Oświęcimia? Nie wiem, nie dowiem się nigdy. Może zwątpił o tym Credo, które kiedyś za Wróblewskim i Andrzeją Potocką powtarzał, może czuł wyrzuty sumienia że wyrzekł się Wielkiego Zakonu Izraela? Nie wiem, i może nikt nie wie.

I nie wiem także, dlaczego ta śmierć człowieka tak mi obojętnego, tak zapomnianego, nagle ścisnęła moje wystygłe, zgorzkniałe serce. Czy może majestat śmierci, zawsze tak groźny, nabiera dodatkowej złowrogiej wagi gdy łączy się z samobójstwem, tym wyzwaniem Boga? Czy może buchnęła mi raz jeszcze w twarz odwieczna prawda, że życie każdego z nas — a więc i moje — jest zagadką, dopóki nie oddamy ostatniego tchnienia? Czy może ponownie, poza banalnym *fait divers*, wyczułem niezrozumiałą tajemnicę duszy żydowskiej, geniusz i przekleństwo Izraela, którego Taubenschlag padł ofiarą? A może — jakby powiedział jakiś nieudolny uczeń Prousta — rozkuliłem się nad samym sobą i spoza zamglonego oblicza zapomnianego profesora spojrzeć na mnie nieznamy, daleki student, szczupły i czarny, i smagły, i biedny, i nędzny, ale z ideałami, z wiarą, z entuzjazmem, student, któremu podówczas wszyscy do znudzenia przepowiadali wspaniałą przyszłość, wróżyli ogromną karierę...

A dzisiaj ten student żywi bezgraniczną pogardę dla życia, dla świata, dla swych zajęć, dla całego swego otoczenia, i przede wszystkim dla samego siebie.

I może dlatego, zamiast grudki ziemi na ten daleki, obcy, niepotrzebny grób, to niepotrzebne wspomnienie z daleka i z oddali rzuca obcy, daleki przechodzień.

Krzysztof Nienaski

Dwa słowa wyjaśnienia. Wspomnienie to zostało wydrukowane w Nrze 29/30 (642-634) *Wiadomości* z 20-27 lipca 1958. Miałem wielkie trudności z odnalezieniem tego tekstu, bo zupełnie zapomniałem o tym moim podpisie „Krzysztof Nienaski” wymyślonym przez Grydzewskiego, już nie bardzo wiem z jakiego powodu, i którego od lat nie używam. Byłem sam zdumiony rzewnością i sentymentalizmem tego wspomnienia; wiadomość o samobójstwie Taubenschlaga musiała zrobić na mnie bardzo silne wrażenie. Dzisiaj już nie byłbym w stanie tak mocno tego zgonu przeżyć i odczuć, więc przepraszam, że po tym pierwszym wspomnieniu — które nic by nie zyskało, gdybym chciał je

uzupełnić — dalsze będą o wiele kamertonów niższe. Nikt z moich dawnych profesorów krakowskich dzisiaj już nie żyje, z jedynym wyjątkiem Stanisława Kota, który jednak od lat jest już tylko żywym trupem, oraz Zweiga, który nie był moim profesorem, bo zjawił się dopiero pod koniec moich studiów jako asystent przy katedrze ekonomii, tak że znałem go jako starszego kolegę i dziennikarza, nie jako profesora. Nie powiem też nic tym razem o Stanisławie Wrólewskim; niech ten obrazek subtelnego Mefista, i wielkiego z pewnością prawnika — ale nadającego się dla doktorantów, nie dla początkujących studentów — który we wspomnieniu o Taubenschlagu umieściłem, wystarczy.

Na 1-szym roku Prawa wykładali, poza Wróblewskim i Taubenschlagiem, Stanisław Estreicher, (Prawo zachodnio-europejskie), Stanisław Kutrzeba (Historia prawa polskiego), i Brzeziński (Filozofia prawa). Był to w ogóle słaby profesor, ten zacny staruszek Brzeziński, wykladał prawo kościelne po Ulanowskim, — obciążono go tą „Filozofią prawa”, która była przedmiotem nowym, a Wydział nie wiedział komu wykłady powierzyć. Oczywiście zamiast tego bla-bla-bla, pojętego zbyt obszernie i zbyt mgławicowo, trzeba było wprowadzić porządne i systematyczne wykłady logiki, i żądać wypracowań i egzaminów piśmiennych, tak zresztą jak i ze wszystkich innych przedmiotów. Brzeziński nikogo nigdy nie ścinał, więc nikt nigdy się nie uczył i nie znał ani jego prawa kanonicznego, ani jego Filozofii prawa. W praktyce obie te katedry były nieobsadzone.

Kutrzeba uchodził za luminarza, był jedynym z lekka endekoidą wśród profesorów na Wydziale Prawa, dodatkową glorię czerpał z faktu, że był ekspertem delegacji polskiej na konferencji pokojowej w Wersalu w roku 1919. Zawodowi dowcipnisie, do których należeli wówczas moi koledzy, Konstanty i Stefan Grzybowski — późniejsi dwaj profesorowie Wydziału U.J. (Stefan był także Rektorem tej Wszechnicy) — opowiadali każdemu, kto tylko znał język francuski, sensację wywołaną w Paryżu pojawieniem się „du professeur Cu-Très-Bas”, jak nazwisko Kutrzeby rzekomo nad Sekwaną wymawiano. Jakoś nigdy poza Krakowem nie słyszałem tej gadki. Kutrzeba był bratem generała Kutrzeby; był bardzo blond, o typie mazurskim, o dużym sumiastym wąsie, krótkowidz, ciągle mrugał oczami zza swoich szkielek. Był to „pracuś”, szalenie dużo umiał, był to historyk, a prawnikiem był tylko dodatkowo; był to dobry pedagog dla przygotowywania studentów do kariery naukowej, ale powinien był mieć swoją katedrę na wydziale filozoficznym — obok Konopczyńskiego, Sobieskiego i innych; dla prawników jego grube podręczniki, jego dobre i zajmujące wykłady, a także jego seminaria, gdzie okazywał uczniom wiele serdecznej pomocy i dobrej rady —

były raczej zbędne. Mnie np. Kutrzeba posyłał do krakowskiego urzędu Akt Dawnych, gdzie czytałem i przepisywałem dla niego różne notatki po łacinie z XIV wieku; co to prawnikowi dawało? Tak samo Kutrzeba zlecił mi napisanie pracy seminaryjnej o Statucie Litewskim, bo znając język rosyjski orientowałem się w jego tekście białoruskim; ale znowuż cały ten Statut Litewski był tak prymitywny, i tak zupełnie różny od współczesnych warunków, że żadnej korzyści z moich wysiłków nie wyniosłem. Kutrzeba dużo czasu poświęcał także wykładom o uwłaszczeniu włościan na ziemiach polskich. Był to temat bardzo ważny w XIX wieku, ale już w roku 1920 zupełnie nieaktualny. Najlepiej i najserdeczniej wspominam Kutrzebę z zebrań Bratniej Pomocy, czyli Bratniaka, którego był kuratorem; w przepełnionej sali Kopernika siedział on obok prezesa Walnego Zebrania, którym był zwykle mój kolega Wyderko, dzisiaj bankier w Zurichu, i dotąd słyszę, jak Kutrzeba się zrywał ze swego krzesła, gdy hałas i harmider stawały się niemożliwe, i nawoływał do spokoju. Na tych zebraniach Bratniaka głównymi mówcami byli zawsze dwaj główni tenorzy ówczesnej krakowskiej młodzieży akademickiej, Bielecki i Ciołkosz, o dotąd ich obu widzę i słyszę, jak doniosłe ryczeli: „Proszę o głos w sprawie formalnej”. Zebrania Bratniaka nie były dobrą szkołą dla debat parlamentarnych, ani dla mówców politycznych; dyskusja zawsze schodziła na to, że ci czy tamci mieli większe porcje, albo bezprawnie wprowadzali swych przyjaciół lub sympatyków politycznych do stołówek w Domu Akademickim przy ul. Jabłonowskich. Później, gdy mój znajomy lepiej Anglię, doszedłem do wniosku, że lepszy był system Oxford Union, z prezesem, zarządem i mówcami we frakach, z dyskusją na tematy abstrakcyjne, skopiowaną na obradach Izby Gmin, z zaproszeniami dla wybitnych parlamentarzystów. Myślę, że i Ciołkosz, i Bielecki zyskaliby na istnieniu takiego klubu politycznego na U.J. w Krakowie. No cóż, byliśmy na taki klub, jak i na wszystko inne, za biedni. Ale jednak stosunki na U.J. za moich czasów były sto razy lepsze, niż później: kwestia żydowska nie istniała, antagonizmy „endeków”, „socjalistów”, „piłsudczyków” nie były zbyt namiętne, a być wówczas w Krakowie „konserwatystą” było szczytem dobrego tonu. Poza Bratniakiem była druga instytucja, specjalna dla Wydziału Prawa, tak zwana Biblioteka Słuchaczy Prawa. Zdaje mi się, że ta „Biblioteka” nie miała ani jednego tomiku na własność, i że jej obrady odbywały się w jednej z sal w starym i pięknym średniowiecznym gmachu Biblioteki Jagiellońskiej przy ul. św. Anny. Prezesem tej Biblioteki był za moich czasów Tabaczyński, z którym byłem po imieniu. Był on wesoły, miły, sympatyczny, inteligentny, dowcipny, popularny. Wróżono mu karierę polityczną: jego ojciec

był przecież wybitnym posłem z ramienia Narodowej Demokracji. Potem straciłem go zupełnie z oczu, i spotkaliśmy się dopiero w Monachium. Jakżeż się biedak w międzyczasie zmienił! Ostatni raz widziałem go w Londynie, w Ognisku, na krótko przed jego śmiercią; miał wówczas niespełna sześćdziesiąt lat, a wyglądał na zgrzybiałego starca...

Stanisław Estreicher był Rektorem U.J. w roku, gdy m się na ten Uniwersytet zapisał, więc już z góry miałem dla niego specjalną rewerencję. Wyglądał wspaniale w rektorskich gronostajach i w ogóle w todze profesorskiej i w birecie; jego twarz czerstwa, zorana bardzo głębokimi bruzdami, o rysach ostrych i surowych, o klasycznym profilu, bardzo męska i twarda, wyglądała jakby wyjęta z drzeworytu, przedstawiającego teologa, albo prawnika z XV wieku. Estreicher był jednym z najbardziej „gotyckich” ludzi, których w życiu widziałem. Był to najlepszy mówca na uniwersytecie, wolałem go dużo od jedyne go jego rywala w tym względzie, Ignacego Chrzanowskiego, który dawał mi się zawsze raczej wielkim aktorem, niż z Bożej Łaski mówcą i wykładowcą. W akcencie, bardzo krakowskim, Estreichera, była jakaś oschłość, surowość i zwłaszcza stanowczość, która doskonale pasowała do nauki prawa, albo teologii: Estreicher zawsze mówił tonem, jakby proklamował prawdy niezbite i wieczne. To nie był człowiek tak modnego dzisiaj relatywizmu, ani „kontestacji”. Wszystko w nim było kanciaste, jasne, klarowne, logiczne, zdecydowane, precyzyjne, stanowcze. Na swej katedrze wykladał on historię prawa Zachodniej Europy, zarówno prawa prywatnego, jak konstytucyjnego i doktryn prawniczych. Mediewalistyka mnie nigdy nie interesowała, i uważałem zawsze wykłady o tych „nawiązkach”, czy prawie magdeburskim za nudne i niepotrzebne, ale gdy Estreicher przechodził do Wieku Oświecenia, do którego sam wyraźnie należał, to był i wielkim uczonym, i znakomitym prawnikiem konstytucyjnym, i uczył nas tych podstaw prawa, czyli tak zwanej filozofii prawa, o której pojęcia nie mieli ani nasz zacny Brzeziński, ani Jarra w Warszawie. Pamiętam, jak Estreicher wbił nam w głowę różnicę między Monteskiuszem a Rousseau. Pierwszy, prawil, był prawnikiem, drugi tylko publicystą, doskonałym, znakomitym, bardzo interesującym, ale jego doktryny z prawem nic wspólnego nie miały, i w końcu doprowadziły tylko do Rewolucji Francuskiej i do Terroru, który jest zawsze synonimem bezprawia. Estreicher najśluszniej nas uczył, że prawo musi być zdepersonalizowane, że motyw, doktryny nie mają żadnego znaczenia; trzeba brać tekst prawny, dobrze go zrozumieć, i dokładnie go stosować. Każda ustawa musi być tak napisana, jakby miała obowiązywać na wieki; stąd zmiana ustaw, a nawet ich nowelizacja, powinna być

bardzo rzadka, wyjątkowa, a rozporządzenia wykonawcze powinny się ograniczać do szczegółów czysto porządkowych. Były to ogólnie przyjęte pojęcia prawne z okresu lat 1870-1914 — okresu wielkiej stałości stosunków politycznych, socjalnych i ekonomicznych — po burzliwych zmianach roku 1848, kiedy to monarchie konstytucyjne zastąpiły monarchie absolutne, a dyktatura prawa — omnipotencję monarchów i rządów. Wyższość prawa nad polityką, sądów nad administracją, szacunek dla prawa, dla porządku prawnego, równoznacznego z samą istotą państwa, praworządność, jako najwyższy kanon polityki, oto zasady, czyli filozofia prawa, które wpajał w swych uczniów Estreicher. To samo robił w dziedzinie ekonomii Krzyżanowski, który wpajał w nas stałość i wieczność praw ekonomicznych. Te pojęcia prawne odpowiadały stałości stosunków sprzed 1914 roku. Były one, jak się okazało, odpowiednikiem stałości warunków życia, przewagi rolnictwa i wsi, słabego zaludnienia krajów europejskich, stabilizacji pojęć religijnych, moralnych, politycznych, i stałości techniki, która okazała się za naszych czasów największym rewolucjonistą. Dzisiaj żyjemy pod hasłem teorii względności nawet w fizyce. Cóż dziwnego, że dziś pojęcie prawa jest pojęciem elastycznym, mgławicowym, zawsze chwilowym i tymczasowym. Dzisiaj *de facto* żadnego prawa, żadnej nawet konstytucji nie ma. Całe prawo cywilne obracało się dookoła pojęcia własności, które teraz można doskonale obejść robiąc inflację, czy podwyższając podatki, czy anulując wierzytelności, czy upaństwowiając całe przemysły — więc po co prawo cywilne? Konstytucje zmieniają się całkowicie *via facti*; systemy partyjne są zastąpione organizacją grup zawodowych, robotników, przedsiębiorców, rolników, menagerów itd.

Estreichera poznałem dużo lepiej i dużo bliżej w redakcji *Czasu*, dokąd się dostałem już w końcu 1923 roku, mając lat 20. Estreicher przez długie lata pisał do *Czasu* wstępne artykuły, nigdy nie podpisane. Przychodził do redakcji punktualnie o 5-tej po południu, zasiadał natychmiast w swej małej klitce, tuż koło wejścia, przeglądał gazety polskie, i zagraniczne, *Le Temps*, *Neue Freie Presse* wiedeńską i *Neue Züricher Zeitung*, wpadał do Beaupre'go, i mówił mu o czym zamierza pisać, ale to był oczywiście tylko akt kurtuazji, po czym siadał przy biurku i swym szerokim piśmem, unoszącym się zawsze z lewa na prawo w górę, zapisywał stale pięć arkuszy, nigdy więcej, rzadko mniej. Jako talent publicystyczny zaliczam go do trzech największych, jakich w Polsce znam, obok Matuszewskiego i St. Mackiewicza. Od obu był niepomiernie bardziej wykształcony, jako stylistą był dużo staranniejszy, znał wybornie łacinę, czego o tamtych dwóch nie można było powiedzieć; miał styl klarowny, jasny, precyzyjny,

dystyngowany, może chwilami zanadto profesorski. Estreicher był większym publicystą, niż politykiem, w przeciwieństwie do W. L. Jaworskiego; nigdy nie był posłem, nigdy nie zajmował żadnego administracyjnego czy rządowego stanowiska, poza Uniwersytetem, gdzie zresztą był doskonałym Rektorem i Dziekanem i to się odbijało na jego artykułach. Najlepszym z nich był „Rokosz”, napisany już 12 maja 1926 roku na pierwszą wiadomość o majowym zamachu stanu; Estreicher zawsze uważał, że Konstytucja marcowa była *non viable*, ale prawnik zwyciężył, i gromił zamach stanu bardzo ostro, jako zamach na praworządność. Polityk zachowałby się ostrożniej — i Jaworski się nie wychylił, choć w duszy myślał to samo, co Estreicher — i stąd Estreicher był *bête noire* rządów sanacyjnych, podczas gdy Adam Krzyżanowski został jednak posłem i gen. referentem budżetu, i o mały włos byłby został ministrem oświaty, na którą to tekę Estreicher nadawał się dużo lepiej od niego. O wiele gorszą tragedią było aresztowanie i zgon Estreichera w Sachsenhausen. Nie znam wypadku większego obłędu ze strony Niemców, bo jeżeli ktoś w Polsce był pod wpływem kultury niemieckiej — oczywiście nigdy hitlerowskiej, ale tej prawdziwej, klasycznej — to był nim Estreicher, który nigdy nie ulegał demagogii, ani manii germanofobii. Estreicher był człowiekiem starej daty, ale był także klasycznym przedstawicielem tak rzadkich w Polsce cnót mieszczańskich; był on z tej gliny, z której wyrosli *les grands commis de l'État* we Francji, w Anglii, w Niemczech, w monarchii Habsburskiej, a te dynastie partycjuszów mieszczańskich są nie to potrzebne, ale konieczne.

Na drugim roku było nas, słuchaczy Wydziału Prawa, 250-ciu zamiast tysiąca — była to głównie zastługa Estreichera, który ścinał bezlitośnie. Egzaminy na Uniwersytetach powinny być nieubłagane, a nadto konkursowe, ze stopniowaniem i seryjnymi numerami, jak egzaminy wstępne do *Grandes Écoles* i *Corps Constitués* we Francji; inaczej studia wyższe są komedią, albo błażenadą, a wyższe uczelnie produkują tylko bezrobotną, awanturującą się i zbędną ćwierć-inteligencję. Toteż dopiero na 2-im roku prawa zaczęliśmy naszą prawdziwą erę „akademicką”. Studenci się poznali; ci co przeszli barierę egzaminów u końca I-go roku zaczęli wszyscy chodzić na seminaria, studia stały się serio. Wykłady na II-im roku obejmowały prawo kanoniczne, prawo międzynarodowe, prawo konstytucyjne i ekonomikę. Prawo kanoniczne wykładał znowu biedny Brzeziński. Mówiłem już, że jego wykłady były markowaniem, a zresztą prawo kanoniczne nie ma dzisiaj żadnego praktycznego znaczenia. Po Brzezińskim katedrę tę objął mój kolega, Adaś Vetulani, dzisiaj, jak słyszę, na emeryturze. Po ukończeniu studiów nigdy go nie spotkałem, choć byliś-

my po imieniu; był to szczupły, niewielki chłopak, żywy, inteligentny i sympatyczny. Prawo międzynarodowe wykładał Michał Rostworowski, który może nie był oryginalnym umysłem, ale za to wybornym pedagogiem. Wbijał nam w głowę nauki, których, niestety, ani nasze MSZet, ani nasi politycy, i to wszystkich obozów, nigdy sobie nie przyswoili. Rostworowski tłumaczył, że dyplomacja zaczyna się od NOTY, że nawet *aide-mémoire* nie posiada żadnego znaczenia prawnego, a już tak zwane rozmowy dyplomatyczne nic absolutnie nie znaczą; tylko traktaty mają wartość prawną, a więc znaczenie dyplomatyczne, a reszta, to gra w szachy, albo pogaduszki kawiarniane. Mylił się o tyle, że dzisiaj nawet traktaty nie mają żadnego znaczenia, wszystko jest w stanie płynnym, ale w latach dwudziestych wierzono jeszcze w zasadę *pacta sunt servanda*. Tak samo w prawie konstytucyjnym — które też wykładał (na spółkę z Jaworskim) — Rostworowski zwracał trafnie uwagę na konieczność indywidualnej odpowiedzialności ministra, wysokiego urzędnika, etc.; bez końca powtarzał, że odpowiedzialność ciał zbiorowych, Sejmu, rządu, administracji, komisji, komitetów, cóż dopiero Partyj, to po prostu brak jakiegokolwiek odpowiedzialności. Jaworski wykładał w teorii i prawo cywilne, i prawo konstytucyjne, ale był już tak chory, że jego wykłady nie odbywały się prawie nigdy — ograniczał się do przyjmowania po kilku uczniów w domu, u siebie, przeważnie w pojedynkę, bo na większą ilość nie było w jego gabinecie miejsca, i więcej osób go męczyło. Co tydzień, czasem dwa razy na tydzień bywałem u Jaworskiego, prawie zawsze sam jeden, mówiliśmy tylko o prawie konstytucyjnym i o polityce, bo jakoś do cywilytyki nie miałem nigdy serca. Egzaminy z prawa międzynarodowego zdawałem u Rostworowskiego, z prawa konstytucyjnego u Jaworskiego, który się sam dla mnie do Collegium Novum deranżował. W tym szkicu nie podobna streścić ani wiedzy, ani uroku, ani finezji Jaworskiego; więcej się od niego nauczyłem, niż od kogokolwiek innego w życiu, i właściwie wszystkie moje podstawowe poglądy polityczne jemu zawdzięczam. Choroba mu uniemożliwiła działalność polityczną, ale sądzę, że dla człowieka urodzonego w roku 1856, była ona w każdym razie po roku 1918 w Polsce niemożliwa. Wyrósł on w innych warunkach i choć był niezwykle wrażliwy na nowe prądy — do tego stopnia, że czytał nawet Wiecha i uważał go za najciekawsze zjawisko polityczne i językowe w roku 1924 — choć był umysłem wyjątkowo liberalnym i krytycznym, to jednak nie dałby sobie rady, ani z Sejmem, ani z pokoleniem legionowym, ani tym bardziej z następnym. Poza tym był to człowiek czarujący, o wyjątkowej erudycji, nieprzytomnie wszechstronny; był to jedyny znany mi Polak, który czytał Ojców

Kościół, i interesował się teologią, oczywiście w sensie najbardziej tradycyjnym. W Krakowie często dyskutowano o relatywnych walorach Bobrzyńskiego i Jaworskiego, dwóch najwybitniejszych mężów stanu ostatniej generacji Stańczyków, z nie mniejszym zacięciem — ale z dużo większym obiektywizmem — niż w Warszawie dyskutowano o walorach Piłsudskiego i Dmowskiego. Bobrzyńskiego poznałem, gdy był już starszym, przeszło 80-letnim, więc oczywiście zdecydowanego sądu o nim mieć nie mogę. Był to człowiek silniejszy od Jaworskiego, dużo bardziej dogmatyczny — a to i jako polityk, i jako historyk — ale Jaworski był subtelniejszy, bardziej finezyjny, i bardziej sceptyczny, co ujmowało mu siły, a dodawało uroku.

Wreszcie na tym Drugim roku doznałem pierwszego *coup de foudre* w mym życiu, mianowicie zapoznałem się z tajemnicami nauki ekonomicznej na wykładach, na seminariach i w rozmowach z Adamem Krzyżanowskim, którego stałem się — jak i Jaworskiego i Estreichera — ulubionym uczniem, pupilkiem i nawet — o ile różnica wieku na to pozwalała — przyjacielem. Tyle razy już o Panu Adamie pisałem, że tym razem do niego nie powrócę. To nie był wielki teoretyk, ale znakomity profesor POLITYKI EKONOMICZNEJ, a tylko ta dziedzina mnie interesowała. Adam Krzyżanowski miał tę pierwszą zaletę, którą każdy profesor i pedagog mieć powinien: umiał zainteresować swych uczniów, zakochać ich w swej specjalności. Krzyżanowski kazał nam śledzić wypadki bieżące, politykę ekonomiczną nie tylko Polski, ale także większości krajów współczesnych. Pamiętam jakiś jego wykład o polityce ówczesnego ministra skarbu Południowej Afryki, którego szalenie chwalił; chwalił też politykę Raszina, ministra skarbu Czechosłowacji, politykę ks. Seipla, kanclerza Austrii, politykę Komitetu Finansowego Ligi Narodów (o której napisałem moją pracę doktorską w Genewie), ale zawsze i głównie interesował się polityką finansową Anglii, dla której miał najwyższy szacunek. Jeszcze po wojnie pisał mi do Londynu, zapytując, jak sobie tłumaczę degradingą finansową Anglii, której rozmiary zdumiewały go już w roku 1946 — 30 lat temu — i to na odległość. Krzyżanowski był człowiekiem za dobrym i za miękkim, by być wielkim ministrem skarbu, i sam z tego zdawał sobie sprawę. Po cichu marzył o prezesurze Banku Polskiego. Na pewno sto razy bardziej się na tę funkcję nadawał, niż Byrka, niż Feliks Młynarski — którego jakoś nigdy nie potrafiłem brać całkiem na serio — i niż Koc, który był człowiekiem bardzo porządnym, ale ograniczonym, niedokształconym i niesłychanie powolnym. Pomijając czystych praktyków skarbowych, jak Matuszewskiego i Jerzego Zdziechowskiego, z profesorów ekonomiki stawiabym w Polsce na pierwszym miejscu Adama Krzyża-

nowskiego, dużo wyżej od Tadeusza Zawadzkiego, przez jakiś czas ministra skarbu, od Taylora, Rybarskiego, St. Grabskiego i wielu innych, a z młodszych tylko Adam Heydel miał dane na dużo większego teoretyka, ale on jeden, i on tylko. Langego nie cenilem nigdy, poza tym był antypatyczny, a całe towarzystwo z „Gospodarki Narodowej” było tylko brelokiem tak typowych dla Polski mętniaków.

Skoro wspomniałem Adama Heydla — który później był jednym z najbliższych moich przyjaciół, i jednym z najbardziej przeze mnie podziwianych — to wspomnę również o dwóch innych asystentach na Wydziale Prawa w owych latach — o Ferdynandzie Zweigu i o Grażyńskim. Zweig był autorem bardzo licznych artykułów ekonomicznych w IKAC’u i, jako dziennikarz gospodarczy, był doskonały, znający temat, przystępny, zajmujący, żywy, trzeźwy, rozsądny. Był to dobry, nawet znakomity popularyzator. Ale jako polityk gospodarczy stał o mile w tyle za Krzyżanowskim, a jako teoretyk ekonomii, nie mówiąc już o ogólnej kulturze, naukowej, filozoficznej, także artystycznej nie mogło być żadnego porównania między nim a Heydlem, ale tym niemniej między Zweigiem a takim Czesławem Bobrowskim była przepaść. Grażyński był asystentem Kutrzeby. Gdy pisałem dla Kutrzeby prace seminaryjne był zawsze usłużny i pomocny, ale gdy zasmakowałem w ekonomii straciłem z nim kontakt, i później nigdy nie próbowałem go odnowić. Nigdy nie robił na mnie wrażenia wielkiej inteligencji, czy dobrego prawnika; był to raczej politykier, niż administrator. Dzisiaj, a zresztą od początku, uważałem pozycję Grażyńskiego, jako wojewody śląskiego, za taki sam dziwoląg, jak ministerstwo b. dzielnicy pruskiej: albo jest państwo scentralizowane, albo jest zespołem „Krajów”, jak b. Austria (a zresztą i dzisiejsza), jak NRF, jak kantony szwajcarskie, jak USA, ale autonomia dla Śląska przy totalnym jej braku dla Poznańskiego, Krakowa, Małopolski Wschodniej, Wileńszczyzny, była nonsensem. W dobrze rządonym i administrowanym państwie autonomia dla jednego tylko województwa, z wojewodą — rodzajem wice-króla czy nawet udzielnego władcy — powinna była być skasowana. Względny ekonomiczny dobrobyt Śląska został okupiony zwiększoną nędzą i bezrobociem innych dzielnic, przede wszystkim Ziemi Krakowskiej, która najbardziej była przeludniona, najbardziej potrzebowała emigracji, i wobec zamknięcia dostępu do USA, znalazłaby ratunek tylko w emigracji do Katowic, podobnie, jak dla *Mezzogiorno* ratunkiem była po wojnie emigracja sześciu milionów Neapolitańczyków i Sycylijczyków do Turynu i do Lombardii. A z Krakowa do Katowic było bliżej, niż z Palermo do Fiata w Turynie. Za bardzo względną pod rządami Grażyńskiego *prosperity* Śląska

Zachodnia Małopolska zapłaciła Myślenicami i Nowosielcami. Po wojnie kilkakrotnie widziałem w londyńskim Ognisku Grażyńskiego, który wyraźnie mnie nie poznawał, udawałem to samo, i od lat uniwersyteckich nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Był to zabawny „piłsudczyk”, tak obcy mentalnością i zainteresowaniami „pułkownikom”. Matuszewski nie znosił Grażyńskiego, i zawsze mówił, że gdyby został premierem, wylałby go natychmiast; inni byli ostrożniejsi w swych uwagach, ale w sercu myśleli chyba nie inaczej. Więc czemu go trzymali?

Na trzecim roku Prawa mieliśmy skarbowość, którą znowu wykładał Adam Krzyżanowski, prawo karne, które wykładali Krzymuski i Rajnhold, prawo administracyjne, które wykładał Kumaniecki, razem ze statystyką, i wreszcie prawo cywilne, które zajmowało gros IV-ego roku. Krzymuski był ze wszystkich profesorów Wydziału Prawa tym, który najlepiej i z najlepszym akcentem mówił po francusku. Pochodził ze znanej rodziny ziemiańskiej z Kujaw, lubił studentów i zapraszał ich do siebie w niedziele na miłe i dystyngowane podwieczorki, na których jego ulubionym gościem wydawał się być Władysław (czy Michał?) Czarnota-Bojarski, piękny i rośły chłopak, o świetnych manierach, który później był moim kolegą w radio Wolnej Europy. Ponieważ język francuski był zawsze moją fortą, więc Krzymuski zapraszał i mnie na te herbatki i torciki, i zwykle ze mną rozmawiał po francusku. Pamiętam dotąd następujący zabawny epizod: właśnie za mych lat studenckich przypadła kolej na rektorat Edmunda Krzymuskiego; zgodnie z tradycją „trzymał” on rektorską mowę w czasie inauguracji roku szkolnego. Z konieczności taka mowa była zawsze dość banalna, i mowa Krzymuskiego nie stanowiła wyjątku. Krzymuski gadał, gadał, senat uniwersytecki grzecznie siedział, a my, „akademy” grzecznie staliśmy w głębi auli, aż wreszcie dystyngowany Krzymuski, z pięknym uśmiechem postanowił widocznie przypomnieć audytorium swe talenty językowe, i rzekł dosłownie, *à propos* niczego: „Uczeni, *les savants*, jak mówią Francuzi...” Pomimo głębokiego respektu Krakowa dla każdej Magnificencji, głośny śmiech rozległ się na całej sali, ale Krzymuski nie spieszył się, i dał dalsze przykłady swej znajomości francuszczyzny. Krzymuski umarł nagle w Ostendzie. Jakoś zaraz po tej smutnej wiadomości, byłem u Władysława Leopolda Jaworskiego, który mi rzekł ze swym filuterynym, dyskretnym mrugnięciem oka, jak to czynił zawsze, gdy wygłaszał dowcip: „Krzymuski był szykowny do końca, nawet umarł w Ostendzie, ja, jak umrę, to pewno w Muszynie!” Nie omylił się, bo umarł wprawdzie nie w Muszynie, ale w Milanówku...

Krzymuski nie był wielkim uczonym, ani myślicielem, ale

był dobrym profesorem i człowiekiem niezmiernie sympatycznym. Dziwnym trafem, podczas gdy Adam Krzyżanowski musiał wyklądać aż na dwóch katedrach, ekonomiki i skarbowości, były aż dwie katedry prawa karnego; drugą zajmował Reinhold, który już gdzieś koło 1929 roku umarł młodo na raka. Był to taki sobie profesor-kujon, którego pamiętam tylko z jednego incydentu; oto na jego seminarium dyskutowaliśmy, w którym punkcie usiłowanie przestępstwa staje się karalne, i Reinhold zadał naszym dwom koleżankom, Izie Starowieyskiej i Marynce Rosner, następujące pytanie: „Może mi panie powiedzą czy, jeżeli jakaś kobieta połknie kilka główek zapalek w celu przerwania swojej ciąży, czy to wystarcza, by uznać to za usiłowanie spędzenia płodu?”. Obie panny się zarumieniły, zapłoniły, wreszcie się rozpląkały, ja uratowałem sytuację, mówiąc, że wobec niewspółmierności celu i środków żadnego usiłowania w ogóle nie ma, ale obie panny poskarżyły się Dziekanowi, że Reinhold je zaambarasował tym nieskromnym pytaniem, i Reinhold dostał z rektoratu oficjalną naganę i ostrzeżenie na przyszłość, że podobne pytania mogą się źle dla jego kariery profesorskiej skończyć. Mój Boże, kto by dzisiaj się takimi głupstwami przejmował?

O Kumanieckim już pisałem, a teraz czas pomówić o cywilistach. Największym był oczywiście Jaworski, ale ten w praktyce nigdy nie wykladał. Po Jaworskim za drugiego największego prawnika uchodził wówczas Fierich, który wykladał procedurę cywilną. Ale Fierich był także prezesem Komisji Kodyfikacyjnej, i prawie zawsze na drzwiach sali jego wykładów widniała kartka, że z powodu jego wyjazdu do Warszawy na posiedzenia Komisji Kodyfikacyjnej wykład się nie odbędzie. Toteż Fiericha pamiętam raczej z widzenia, niż z wykładów czy tym bardziej z seminariów. Był bardzo wysoki, bardzo chudy, bardzo staroświecki i bardzo dystyngowany, bardzo zimny, i wyglądał na dostojnika; mówił mało, powoli, cicho, widać było, że jest prawnikiem bardzo subtelnym, i wie o co chodzi; odnosił się w szczególności z wielką pogardą i niechęcią do kruczków adwokackich, do kauzypedów, do prób naginania procedury dla przewlekania sprawy, czy to cywilnej, czy karnej. Wydaje mi się, że byłby doskonałym prezesem Sądu Najwyższego. Ale wysłuchałem tak niewiele jego wykładów, byłem na tak niewielu jego seminariach, że go właściwie prawie nie znałem. Był to na pewno wielki prawnik, i wielki gentleman, ponadto był prawnikiem, człowiekiem i profesorem bardzo starej daty i bardzo konserwatywnym. Wkrótce po moim doktoracie Fierich umarł, już jako człowiek bardzo wiekowy, ale czynny i aktywny do końca. Żałuję bardzo, że z jego wiedzy i doświadczenia skorzystałem tak mało.

W praktyce prawo cywilne i procedurę cywilną wykładali

Fryderyk Zoll, junior, i Stanisław Gołąb. Ten drugi małego wzrostu, był typem belfra uniwersyteckiego, tak jak i Taubenschlag. Ja sam właściwie studiowałem cywilistykę tylko u Zolla, który choć „junior” (bo jego ojciec, też Fryderyk, był przez długie lata profesorem prawa rzymskiego na U.J.) był już mocno starszym panem, dobrze po sześćdziesiątce. Był to człowiek uprzejmy, serdeczny, dystyngowany, wykształcony, dobry prawnik, jak wszyscy profesorowie U.J. w tych czasach, który po egzaminie z prawa cywilnego (które mnie zawsze nudziło) powiedział mi publicznie: „Stawiam Panu piątkę, bo nigdy nie widziałem, żeby student, który tak słabo zna kodeks, tak umiał sobie dawać rady przy wszystkich odpowiedziach!” Był i drugi powód do tej seryjnej piątki, którą — jak wszystkie inne — inkasowałem na Uniwersytecie automatycznie, tak że gdybym studiował za czasów austriackich miałbym prawo do tytułu *summa cum laude* i do złotego pierścienia od samego „Cysarza”. Oto Zoll zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc w przetłumaczeniu na język francuski polskiej ustawy o prawie patentowym, której był autorem. Było tam coś ze 250 artykułów, tłumaczenie było przeznaczone dla międzynarodowego Instytutu Prawa Patentowego, więc musiało być niesłychanie wierne. Nigdy w życiu tyle się nie napociłem, i nie napracowałem jak w trakcie tego tłumaczenia, które mi zajęło dobrych kilka miesięcy. Tłumaczyliśmy na spółkę z Zollem; znał on francuski język wcale dobrze, ale chodziło o wygładzenie tekstu francuskiego, tak by był nie tylko wierny, ale, i o ile możliwości, poprawny stylistycznie. Co to za trudny temat, to prawo patentowe, jak trudno ująć w pojęcia abstrakcyjne chwilę, kiedy zaczyna się plagiat cudzego wynalazku, kiedy jest ulepszenie, a kiedy jest autentyczne *novum*. Gdyśmy z Zollem skończyli te heroiczne wysiłki, zaprosił mnie na kolację do Starego Teatru, i nigdy tak nie czułem, żem na tę ucztę uczciwie zarobił, jak właśnie wówczas.

Prawo handlowe wykladał Dziurzyński, przystojny i sympatyczny, z którym później, już po studiach, dość często spotykałem się w restauracji Starego Teatru, bo Dziurzyński był kawalerem i nie stołował się w domu. Był dość seryjny, ale miły, i bardzo uprzejmy. Z tego co słyszałem, żył on najdłużej z moich profesorów na Wydziale Prawa, i umarł dość niedawno w Krakowie.

Chyba już wyliczyłem wszystkich profesorów na Wydziale Prawa. Wszelako chodziłem także na inne wykłady i nawet seminaria. Początkowo miałem pasję do łaciny, chciałem koniecznie mówić równie płynnie po łacinie co nowoczesnymi językami. Zapisalem się na seminarium prof. Sinki, który był dobrym pedagogiem, i pamiętam, że czytaliśmy tam Horacego. Równocześnie, pomimo ubóstwa, zafundowałem sobie prywatne lekcje konwer-

sacji łacińskiej u jednego z pięciu czy siedmiu synów profesora astronomii, Birkenmayera. Ale potem mi się to znudziło i dałem spokój tym ambicjom. Chciałem studiować historię; Kutrzeba oddał mi fatalną przysługę, skierowując mnie na seminarium prof. Semkowicza, piramidalnego nudziarza, mediewalisty, który mi historię zobrzydził. Jestem pewien, że gdybym chodził na seminaria Konopczyńskiego, to bym coś z nich wyniósł. Byłem na kilku wykładach prof. Sobieskiego, które były dość powierzchowne i banalne. Spróbowałem chodzić na wykłady filozofów, głównie prof. Rubczyńskiego (ale nie jestem pewny, czy nie przekręcam jego nazwiska) ale znowuż po krótkim czasie doszedłem do wniosku, że nie mam powołania do zagłębiania się w Kancie: w Krakowie filozofia zaczynała się na Platonie, a kończyła się na Kancie. Folkierski mi nie trafił do gustu, a jeszcze mniej Wędkiewicz, który dawał mi od czasu do czasu coś zarobić w *Przeglądzie Współczesnym* Stanisława Badeniego, którego był redaktorem. Wędkiewicz był przyczynkarzem, belfrem; może był „romanistą”, ale po francusku mówił źle, a o kulturze i umysłowości francuskiej nie miał pojęcia. Był jednym z najgorszych, najbardziej pasywnych redaktorów, jakich znałem. Wolałem już Dybowskiego, anglistę, który był banalny, choć poprawny, ale lubił ze mną rozmawiać po angielsku, bo miał po temu w Krakowie bardzo mało sposobności. Byłem parę razy na wykładach Kallenbacha, który był bardzo miłym i dystyngowanym starsuzkiem. Poza tym poznałem wielu profesorów na gruncie towarzyskim. Do nich zaliczę w pierwszym rzędzie prof. Kota, który był „przyjacielem” *Czasu*, i często do redakcji przychodził; spotykałem go także u Jaworskiego, a co rano przychodził na gazety do „Udziałowej”, kawiarni na rogu Plant i ul. Garncarskiej, naprzeciw teatru „Bagatela”, gdzie gwiazdą była wówczas Kazia Skalska, w której cały Kraków się podkochał; na mnie, bidusia, nie chciała nigdy nawet spojrzeć. Kot zawsze mnie wzywał do swego stolika, gdy tylko mnie dostrzegł na ulicy; przesiadywał w kawiarni wiecznie z Kukiem, który był wówczas dużo mniej sympatyczny, niż później w Londynie; było to kółko najbardziej zapalonych Sikorszczyków, i Kot mnie wielokrotnie usiłował wciągnąć do tej „Łoży”, ale jakoś nigdy prawdziwego przekonania do geniuszu Sikorskiego nie miałem. Kot był doskonałym pedagogiem, był bardzo wierny swym dawnym uczniom i znajomym z Krakowa, zabawny, dowcipny, żywy, inteligentny, ale w polityce nic go nie interesowało poza personaliami, plotkami i zamięłowaniem do intryg. Poza tym wydawał mi się zawsze szalenie naiwny. Choć był człowiekiem stronnictwa ludowego, nie lubił Witosa, nie lubił Rataja, tak samo jak później nie lubił Mikołajczyka; był naprawdę oddany Sikorskiemu, był żyty z Ku-

kielem, poza tym był bardzo krakowski, swego rodzaju patriota NKN'u, niewyżyty polityk, który powinienby był za czasów „Sejmowładztwa” być posłem do Sejmu i ministrem w gabinecie Witosa, albo w gabinecie Wł. Grabskiego, jako mąż zaufania Sikorskiego. Nigdy nie wierzyłem w talenty polityczne Kota, ale zawsze spotykałem go z przyjemnością, był zabawny, zwykle w dobrym humorze, serdeczny, plotkarski. Miałem zawsze wrażenie, że Kot odnosił się do mnie z dużą sympatią. Jeżeli tak nie było, to Kot był mistrzem w omamianiu młodych ludzi. Ale dużo większy wpływ na mnie wywarł, i dużo wyżej cenilem innego filara NKN, mianowicie Konstantego Srokowskiego, z którym rozmowa była wielokrotnie bardziej interesująca i bardziej pouczająca, niż z Kotem. Obok Jaworskiego, Krzyżanowskiego, Estreichera, Stempowskiego, Tennenbauma, zaliczylibym Srokowskiego do nielicznych prawdziwych intelektualistów, których w Polsce dobrze znałem; każda jego uwaga była interesująca, a jego erudycja fenomenalna. Srokowski też się nie nadawał do rządzenia, ale to był, jak mówią Francuzi, *un maître à penser*, a Kot, Kukiel, Sikorski, albo, z innej beczki, Askenazy znali może dużo faktów, mieli talenty realizacyjne, ale intelektualnie ciekawi, ani interesujący nie byli. Tak, warto by, by ktoś o Srokowskim napisał rozprawę, zebrałszy jego niezliczone artykuły, rozrzucone w *Czasie*, w *Nowej Reformie*, w *Ikacu*, tym trudniejsze do zebrania, że zwykle podpisywane różnymi literkami albo pseudonimami. Pod pewnymi względami umysłowość Srokowskiego była podobna do umysłowości Ignacego Rosnera; obaj byli wykształceni na sosie wiedeńsko-germanistycznym. Rosner był mniej prowincjonalny od Srokowskiego, ale uważam, że intelekt Srokowskiego był wyższej klasy.

To mi przypomina, że w Krakowie dobrze znałem prof. Aleksandra Rosnera, brata Ignacego. Gdy studiowałem w Krakowie, Rosner był wdowcem (był żonaty z Osiecimską-Czapską), mieszkał z córką, Marynką Rosner, która studiowała prawo, więc stąd ją dobrze znałem i wiele razy byłem u niej i jej ojca na kolacji. Rosner był znakomitym ginekologiem, i wszystkie damy „z towarzysztwa” w Krakowie i na sto mil dookoła, rodziły pod opieką Rosnera. Gadka krakowska mówiła, że nie wolno nigdy wypowiadać słowa krytyki pod adresem klanu Potockich spod Baranów, Excellencji Władysława Leopolda Jaworskiego i prof. Rosnera — co do tego ostatniego, jestem świadkiem, że każde słowo krytyki pod jego adresem było uważane przez wszystkie krakowskie hrabiny za rodzaj bluźnierstwa. Otóż kiedyś na kolacji u Rosnera, zgadało się o przeludnieniu, i, jako wierny uczeń Adama Krzyżanowskiego, wpadłem zaraz na mego Maltuzjańskiego konika, zaperzając się, jak nigdy. Rosner mi przerwał.

„Kochany panie, powiedział, nie jestem ekonomistą, nic o przedniem nie wiem, ale jako ginekolog stwierdzam, że by być zdrową fizycznie i psychicznie, każda kobieta musi rodzic przynajmniej dwa razy, lepiej trzy...”. Jeżeli po 50 latach pamiętam to zdanie, to dowód, jak silne na mnie zrobiło wrażenie.

Znałem doskonale całą rodzinę Estreicherów, żonę Rektora, jego syna Karola, dzisiaj profesora U.J., obie jego córki, Ewę Grodzicką w Londynie, i Krzysię Grzybowską, która niestety już nie żyje. Znałem dobrze syna W. L. Jaworskiego, starszego ode mnie, Iwona, profesora Uniwersytetu wileńskiego, który, niestety, też już nie żyje. Byłem w przyjaźni z moim kolegą Wojtkiem Natansonem, i stąd dobrze znałem jego ojca, Rektora Wł. Natansona. Znałem piękną Kasię Rozwadowską, i stąd znałem także jej ojca, Rektora Michała Rozwadowskiego, później prezesa Akademii Umiejętności. Znałem prof. Kazimierza Morawskiego, prezesa Akademii, i jego pełnego wdzięku brata, Excellencję Zdzisława Morawskiego, b. ministra dla Galicji. A ile pań, ile osób, nie związanych bezpośrednio z Uniwersytetem! Myślę, że nigdzie nie miałem tylu znajomych i tylu przyjaciół; Kraków był małym miastem, wszyscy się znali, wszyscy wszystkich wечно spotykali, i *au fond* było dużo więcej „sztamy” i przyjaźni, niż wrogości, zawiści czy niechęci. Zawsze Bogu dziękuję, że studiowałem w Krakowie, a nie w Warszawie, zawsze mym latom krakowskim przypisuję, że uratowałem się całkowicie od zaszczepienia Rosją, myślą rosyjską, co mi groziło, skoro urodziłem się i spędziłem dzieciństwo na Ukrainie. Dzisiaj jeszcze mógłbym powiedzieć, że po Paryżu, Rzymie i Wenecji uważam Kraków za najpiękniejsze miasto na świecie, może obok Innsbrucka i Salzburga, a także Monachium.

Rozgadałem się o przeszłości. Ale ani chwili się nie łudzę; Polska moich lat studenckich, i w ogóle międzywojenna, skończyła się na zawsze, jak cała ówczesna epoka.

W. A. ZBYSZEWSKI

Zakazane szkice Conrada

W związku z 50-tą rocznicą zgonu Conrada-Korzeniowskiego pierwsze pełne wydanie jego dzieł, podjęte przez warszawski PIW, jest już na ukończeniu. Od początku jednak, jak już dawano na łamach Kultury, cenzorzy w Polsce mieli nielada

kłopot z „rosyjską” powieścią Conrada „W oczach Zachodu”, w której pisarz poddaje krytyce nie tylko rosyjski despotyzm, ale samego ducha Rosji. Długo wahały się losy tego dzieła, a PIW odwlekał jego wydanie. Ale opuszczenie jednej z najgłośniejszych powieści Conrada w zbiorowym wydaniu jego dzieł musiałoby stać się skandalem międzynarodowym i tego zapewne cenzorzy stać się ułękli. Dość, że w końcu udzielili powieści imprimatur, zadowolony się usunięciem przedmowy, w której Conrad wskazuje na historyczną niezmienną Rosji. Ten ostatni aktualny akcent przedmowy był widocznie już nie do przyjęcia.

Bardziej bezceremonialnie obeszła się cenzura z tomem szkiców Conrada „O życiu i literaturze” (Notes on Life and Letters), które po prostu wydano bez niewygodnych artykułów politycznych o namiętnym, antyrosyjskim nastawieniu („Autokracja i wojna”, „Uwagi o sprawie polskiej” i „Zbrodnia rozbiorów”). W tym wygnanym towarzystwie znalazł się także niewinny „Cenzor sztuk teatralnych”, w którym Conrad ośmiesza instytucję cenzury... w Anglii.

Podajemy tutaj bardziej charakterystyczne ustępy z usuniętych przez polską cenzurę szkiców wraz z przedmową do „W oczach Zachodu”, które na pewno zainteresują czytelników Kultury, choćby samą świetnością i pasją swoich sformułowań. A jeśli idzie o kraj, raz jeszcze potwierdzi się prawda, że wolnego słowa nie da się unicestwić: wygnane z Polski, wróci do niej okrężną drogą.

(Wybór i przekład W. Tarnawskiego)

PRZEDMOWA AUTORA DO „W OZCACH ZACHODU”*

Przyznać należy, że przez zwyczajną kolej rzeczy „W oczach Zachodu” stało się już rodzajem powieści historycznej, której przedmiotem jest przeszłość.

Uwaga ta da się zastosować w pełni do zdarzeń powieści; ponieważ jednak jest to w swej istocie próba przedstawienia raczej psychologii Rosji, aniżeli jej stanu politycznego — śmiem żywić nadzieję, że i dzisiaj nie straciła ona całkowicie swego znaczenia. Nie potrzebuję chyba zapewniać, że pisząc tę powieść nie miałem innego celu na oku, jak przedstawić pod postacią zdarzeń zmyślonych ogólną prawdę zawartą w wydarzeniach — wraz z moimi szczerymi przekonaniami o moralnym obliczu pewnych faktów mniej lub więcej znanych całemu światu.

Obowiązek absolutnej rzetelności został mi nałożony przez względy historyczne i dziedziczne — szczególne doświadczenia narodowe i rodzinne, nie mówiąc już o zasadniczym moim przekonaniu, że tylko prawda może być racją bytu jakiegokolwiek twórczości literackiej, która rości sobie najskromniejsze prawo

* Powieść wyszła w 1911 roku. Przedmowa została napisana przez Conrada w dziesięć lat później, już po przewrocie bolszewickim. Podajemy ją w skrócie.

do imienia sztuki i pragnie znaleźć miejsce w dorobku kulturalnym ludzi swojego czasu.

Rozmaite postacie, które biorą udział w tej historii nie zawdzięczają swego istnienia bezpośredniemu doświadczeniu, lecz ogólnej wiedzy o sytuacji w Rosji, jak też o moralnych i uczuciowych reakcjach rosyjskiego temperamentu na ucisk tyrańskiego bezprawia, które — używając ogólnoludzkich terminów — można by sprowadzić do formuły: bezsensowna desperacja, wywołana bezsensowną tyranią.

Najbardziej przeraża refleksja, że wszyscy ci ludzie nie są zjawiskiem wyjątkowym, lecz powszechnym — są normalnym wytworem swego kraju, czasu i rasy. Okrucieństwo i głupota rządów autokratycznych, odrzucając wszelką praworządność i opierając się w gruncie rzeczy na zupełnej anarchii moralnej, wywołują niemniej głupią i dziką reakcję całkiem utopijnego rewolucjonizmu, który oddaje się niszczeniu, nie przebijając w środkach — w tej dziwacznej wierze, że w ślad za upadkiem istniejącego porządku musi przyjść zasadnicza przemiana w sercach. Ci ludzie nie są w stanie zrozumieć, że mogą osiągnąć jedynie zmianę nazw. Zarówno prześladowcy jak prześladowani są na wskroś Rosjanami; i świat raz jeszcze przekonywa się o prawdziwości przysłowia, że tygrys nie potrafi zmienić pręg na swej skórze ani lampart cętek.

J. C.

1920.

AUTOKRACJA I WOJNA

(Autocracy and War)

Ten głośny artykuł Conrada został napisany w 1905 roku po japońskim zwycięstwie nad Rosją. Jest to najgwałtowniejszy z jego antyrosyjskich szkiców i próba zdemaskowania Rosji oraz jej współnika w rozbiorach Polski — Prus, w oczach nieuświadomionego Zachodu. Oto wyjątki:

Rosja jest i była negacją wszystkiego, dla czego warto żyć. Jest ziejącą otchłanią, oddzielającą Wschód od Zachodu, bezdenną przepaścią, która pochłonęła wszelką nadzieję na zmiłowanie, każdą dążność do osobistej godności, wolności, wiedzy, każde uszlachetniające pragnienie serca, każde odkupiające westchnienie sumienia. Ci co zajrzeli w tę otchłań, wiedzą dobrze, że nie ma tam oparcia dla niczego, co mogłoby choć trochę służyć nawet najskromniejszym potrzebom ludzkości.

Despotyzm rosyjskiej autokracji jest zgoła nie europejski. Ale nie był też azjatycki w swej istocie. Jest czymś zupełnie odrębnym, nie spokrewnionym ani z Europą, ani ze Wschodem. Wy-

daje się nawiedzeniem, przekleństwem spadłym z nieba na bezkresne równie lasów i stepów, leżące na pograniczu dwóch kontynentów — pustynię, której nie ożywia ani duch Wschodu ani Zachodu.

Uważny przegląd rosyjskiej literatury, jej Kościoła, jej administracji i sprzecznych prądów myśli musi doprowadzić do wniosku, że współczesna Rosja nie ma prawa orzekać w żadnej sprawie dotyczącej przyszłości ludzkości, ponieważ od samego swego początku niezbędnym warunkiem jej istnienia było brutalne niszczenie godności, prawdy, uczciwości, słowem wszystkiego, co jest szlachetne w naturze ludzkiej. Cała tajemnica rządzenia tym imperium, które książe Bismarck nazwał słusznie *Le Neant* — nicność, polegała na wykorzenieniu jakiegokolwiek umysłowej nadziei. Mówić wobec takiej przeszłości o możliwości ewolucji, to srogie żart. Żadna ewolucja nie może począć się w grobie.

ZBRODNIA ROZBIORÓW*

Gdy z końcem XVIII wieku podział Polski stał się faktem dokonany, świat określił go od razu jako zbrodnię. Oczywiście, że to surowe potępienie wyszło z zachodu Europy; trudno było oczekiwać, aby mocarstwa Europy Środkowej, Prusy i Austria przyznały, iż grabież ta podpada pod kategorię czynów moralnie nagannych i noszących piętno zbrodni przeciw ludzkości. Co do Rosji, trzeciej współniczki przestępstwa i twórczyni jego planu, nie miała ona w owym czasie w ogóle narodowego sumienia. Wola jej władców była zawsze przyjmowana przez naród, jako wyraz wszechmocy pochodzącej wprost od Boga. Do usprawiedliwienia rozbiorów, aktów zwykłego rozboju, wystarczyło Rosji to, że przypadek umożliwił ich dokonanie: popełniono grabież i miało się sposobność zatrzymania rzeczy zagrabionej. Katarzyna Wielka z cynicznym zadowoleniem spoglądała na to powiększenie obszaru, którym władała. Użyty przez nią argument polityczny, że zniszczenie Polski oznacza stłumienie idei rewolucyjnych i zahamowanie wzrostu jakobinizmu w Europie, był pretekstem szczególnie bezwstydnym. Tu i ówdzie znajdowały się zapewne wśród Rosjan umysły, które pojmowały, lub może tylko przeczuły, że Rosja przez zabór większej części Rzeczypospolitej Polskiej przybliżyła się do wspólnoty narodów cywilizowanych i przestała być, przynajmniej terytorialnie, mocarstwem azjatyckim. Faktem jest, że dopiero po rozbiorach Polski zaczęło państwo rosyjskie odgrywać poważną rolę w Europie.

* „Zbrodnię rozbiorów” (The Crime of Partitions) Conrad napisał i ogłosił w 1919 roku, już po powstaniu Państwa Polskiego, *Kultura* nr 6, 1948.

W oczach takich mężów stanu, jakich Europa wówczas posiadała, ów akt rozboju musiał zatem uchodzić za dowód głębokiej mądrości politycznej.

Dobrze byłoby pamiętać, że niepodległość Polski ucieleśniona w Państwie Polskim, nie została nam darowana przez żadną działalność dziennikarską, ani nie zrodziła się z jakiegoś szczególnie życzliwego nastawienia, ani tym bardziej z czyjegoś jasno uświadomionego poczucia winy. Wiem, co mówię, jeżeli twierdzę, że pierwotną i jedynie aktywną koncepcją polityczną w Europie była myśl oddania losu Polski w ręce caratu rosyjskiego. A pamiętajmy, że przypuszczano wówczas, iż będzie to carat zwycięski. Myśl ta była wypowiedziana otwarcie, rozważana poważnie, przedstawiana jako wyraz dobrej woli, z dziwnym niedowidzeniem jej groteskowego i koszmarnego charakteru. Według tej koncepcji miano z uprzejmym uśmiechem i ufnym zapewnieniem, że „wszystko będzie dobrze” wydać ofiarę w ręce nieoprawnego mordercy, który przez sto lat i więcej podrzywał z pasją jej gardło, a po którym obecnie spodziewano się, że nagle się ze swą ofiarą zaprzyjaźni i ucałuje ją w oba policzki, na mistyczną rosyjską modłę. Był to szczególnie koszmarny wymysł polityki międzynarodowej, lecz oficjalnie nie zezwalano nawet na szeptanie o jakimkolwiek innym.



Polska musi żyć w zetknięciu z Niemcami i Rosją do końca swych dziejów. Fakty muszą być brane w rachubę, a zwłaszcza przerażające fakty tego rodzaju, na które nie ma na świecie ratunku. Z przyczyn, które są, mówiąc właściwie, fizjologiczne, perspektywa przyjaźni z Niemcami czy Rosjanami jest nawet w najdalszej przyszłości nie do pomyślenia. Jakiegokolwiek przymerze serc, czy umysłów byłoby tu rzeczą potworną, a potwory, jak nam wszystkim wiadomo, nie mogą żyć. Nie wolno swego postępowania opierać na koncepcji potwornej. Możemy zasługiwać, albo nie zasługiwać na byt niepodległy, ale groza sytuacji psychologicznej, w jakiej się znajdujemy, wystarcza, aby obłąkać umysł narodu.

Jedyna droga, jaka pozostaje odrodzonej Polsce, jest opracowanie, wprowadzenie w życie i utrzymanie jak najbardziej poprawnego systemu stosunków politycznych z sąsiadami, dla których samo istnienie Polski musi być upokorzeniem i obrazą. Jest to, rozważając na zimno, trud przerażający, można jednak pokładać nadzieję w polskim usposobieniu narodowym, które jest całkowicie wolne od ducha agresji i rewanzu. W nim tkwią podstawy wszelkiej nadziei. Powodzenie odrodzonego życia tego narodu, którego losem jest pozostać na wygnaniu — zawsze w odcięciu od Zachodu, we wrogim otoczeniu — zależy od życzliwego zrozumienia jego problemów, przez jego odległych przyjaciół — mocarstwa zachodnie, które muszą uznać, w swoim

demokratycznym rozwoju, istnienie moralnego i umysłowego pokrewieństwa z tą odległą placówką ich własnej cywilizacji, co stanowiła jedyną podstawę polskiej kultury.

Jakakolwiek będzie przyszłość Rosji i ostateczny ustrój Niemiec — nic nie zdoła złagodzić dawnej wrogości, a zasadniczy antagonizm musi trwać nadal. Zbrodnia rozbiorów została popełniona przez rządy autokratyczne, właściwie swojej epoki; ale rządy te były nacechowane w przeszłości i będą nacechowane w przyszłości, narodowymi rysami swoich ludów, które to rysy nie dają się zgoła pogodzić z polską umysłowością i z polskim uczuciem. — Zarówno niemiecka uległość (choćby miała charakter idealistyczny), jak i rosyjskie bezprawie (wyrósłe z rozkładu wszelkich cnót) są w zupełności obce Narodowi Polskiemu, którego zalety i wady należą do zgoła innego rodzaju — zmierzając raczej do pewnego wybudowania indywidualizmu i — być może — do bezgranicznej wiary w moc dobrowolnej zgody — jedynej istotnej i niezmiennej zasady w wewnętrznych rządach dawnej Rzeczypospolitej.

Conrad napisał w roku 1916 jeszcze inny artykuł, poświęcony Polsce pt. „Uwagi o sprawie polskiej” (Notes on the Polish Problem). Przynajmniej jego wymowniejszy ustęp:

Nie podobna przypuścić, by państwo tej potęgi i o takich tradycjach jak Rosja, zniosło w łonie własnego imperium uprzywilejowaną grupę narodową, niejednorodną z Rosją. Historia wykazuje, że tego rodzaju kombinacje, choćby chronione najbardziej uroczystymi umowami i oświadczeniami, nie mogą być trwałe. W tym szczególnym wypadku koniec musiałby być tragiczny. O wchłonięciu polskość przez Rosję nie podobna myśleć. Ostatnich sto lat historii europejskiej dowiodło tego niezbitcie. Pozostaje wytracenie do szczętu, drogą krwi i żelaza; i oto ostatni akt polskiego dramatu rozegrałby się wówczas przed oczyma Europy, zbyt zmęczonej aby mu zapobiec — i przy poklasku Niemiec.

Niesłuszne byłoby również twierdzenie, że zniknięcie Polski przyda sił słowiańskiej ekspansji. Sił by to nie przydało, natomiast zniknęłaby w ten sposób skuteczna zaporą przeciw nie spodziankom, jakie przyszłość może nieść w swym zanadru dla mocarstw Zachodu.

CENZOR SZTUK TEATRALNYCH (1907 r.) (The Censor of Plays)

W „Cenzorze sztuk” przedmiotem lękowej obsesji polskich cenzorów była, zdaje się, nie tyle antyrosyjskość tego szkicu — bo Rosja została tu wspomniana tylko raz i przelotnie —

lecz atak Conrada na samą instytucję cenzury. Chociaż w artykule mowa jest o cenzurze angielskiej, a atak nie ma charakteru politycznego, był on dla cenzury widocznie nie do strawienia. A oto kilka wyjątków:

Przed kilkoma laty zachęcono mnie do napisania jednoaktowej sztuki. Gdy ukończyłem ją, zostałem poinformowany, że na wystawienie trzeba uzyskać zezwolenie cenzury. W ten sposób dowiedziałem się o istnieniu cenzora sztuk teatralnych. Mogę powiedzieć bez popadania w próżność, że jestem dość inteligentny, ażeby zdumieć się tego rodzaju informacją. Fakty bowiem muszą w jakiś sposób być w zgodzie z miejscem i z czasem, w którym się dzieją — a żyję w Anglii, Anglii dwudziestego wieku. Tamten fakt zaś nie zgadzał się ani z czasem, ani z miejscem. Słowem był to fakt niewłaściwy. Mówię niewłaściwy, to znaczy taki, którego należy się wstydić.



Urząd cenzora kryje się w cieniu, w którym wszelkiego rodzaju tyrania swobodnie buja. Ten, który w nim zasiada, nie musi mieć mózgu ani serca, wzroku ani smaku, nawet odrobiny wyobraźni czy uczucia. Nie potrzeba mu tych rzeczy. Posiada władzę. Może zabijać myśl, a z nią często prawdę i piękno, jeżeli zamieszkały w dramatycznej formie. Może to zrobić niczego nie widząc, nie rozumiejąc, nie czując — po prostu przez głupią podejrzliwość. Może to uczynić i nikt nie ma prawa powiedzieć mu: nie. Może nawet wezwać swoją kucharkę i dawać jej każdego rana pięć aktów jakiejś sztuki do oceny! Może... lecz czegoż on nie może!



Nie powinien posiadać świadomości. To jeden z warunków jego urzędowania. Musi być ciemnym, nieważnym przeciętniakiem — w myśleniu, działaniu, mowie i uczuciach. Nie może wiedzieć niczego o sztuce, o życiu — i o samym sobie. Bo jeżeli by wiedział, nie odważyłby się być tym, kim jest.



Mówiąc otwarcie, czy nie czas już stracić ten niewłaściwy przedmiot z półki? Stał tam za długo. Potworek ten, wychodowany niegdyś w Pekinie, przywędrował do nas zapewne poprzez Moskwę. Jest zagranicznego pochodzenia. Nie przynależy tutaj. Czy więc już nie pora zmieść go z ciemnej półki jakimś narzędziem odpowiednim do jego wartości i stanu? Na przykład kijem od starej szczotki.

Józef CONRAD-KORZENIOWSKI

O filozofii Bierdiajewa

Rosję cechowała zawsze rozbieżność pomiędzy tym, czym w danym momencie była, a tym czym mogła lub powinna, toteż nad głowami myślących Rosjan zawsze unosiło się pytanie „co robić?” i Czernyszewski jedynie wypowiedział je głośno. Pytanie to nadało dziejom myśli rosyjskiej charakterystycznie utylitarne piętno, które formalnie zaznaczyło się brakiem ostrego podziału na filozofię „ścistą”, literaturę piękną i publicystykę, zaś w treści wyraziło się swoistym mesjanizmem, koncentrującym uwagę na obracalnym pytaniu: „jak zbawić człowieka poprzez świat?” lub *vice versa*: „jak zbawić świat poprzez człowieka?”. Pierwsza wersja, dotycząca rewolucji społecznej, stanowiła wspólny mianownik sporów zapadników ze słowianofilami i narodników z marksistami, po czym została zamrożona przez rewolucję bolszewicką; druga, dotycząca rewolucji moralnej, dała Rosji myślicieli i pisarzy takich jak Sołowjow, Tołstoj, Dostojewski i ich kontynuatorzy, aż po Sołżenicyna dzisiaj. Obydwa nurty stanowią składowe rosyjskiego życia intelektualnego i znajomość ich pomaga lepszemu rozumieniu Rosjan.

W ubiegłym roku upłynęła setna rocznica urodzin Nikołaja Aleksandrowicza Bierdiajewa (1874-1948), filozofa reprezentującego nurt refleksji moralnej. Ponieważ pisał dużo i niesystematycznie, lepiej znane są jego szczegółowe i często wzajemnie sprzeczne opinie o komunizmie, historii czy religii, niż jego osobliwa, trudno dająca się ująć w słowa wizja świata, stanowiąca ich wspólne źródło. Warto ją zrekonstruować i przypomnieć, gdyż ułatwia lekturę jego pism i nadaje treści kluczowym dla niego pojęciom wolności, działalności twórczej i osobowości — tj. pojęciom, które w użyciu potocznym stały się uosobieniem napuszonego pustostłowa.

Przypomnę na wstępie życiorys Bierdiajewa. Pochodził ze środowiska ziemiańskiego; urodził się na wsi podkijowskiej i spędził dzieciństwo i wczesną młodość w Kijowie. Zgodnie z rodzinną tradycją został oddany do szkoły kadetów, lecz wystąpił z niej po kilku latach — przy jego anarchistycznym usposobieniu byłoby dziwne, gdyby wytrwał w niej do końca. Po eksternistycznej maturze rozpoczął studia na uniwersytecie w Kijowie — przyrodoznawstwo i prawo — a równocześnie związał się z ruchem socjaldemokratycznym i wkrótce zaczął uchodzić za jednego

z głównych reprezentantów kierunku, znanego jako „legalny marksizm”. Działalność ta pociągnęła za sobą wydalenie z uniwersytetu po pierwszym roku studiów (1898), dwuletni nadzór policyjny i trzy lata zesłania w Wołogdzie — w warunkach zresztą komfortowych. Wykorzystał ten okres na lekturę i napisanie swej pierwszej książki¹ — w duchu marksistowskim — która ukazała się w czasie jego pobytu w Wołogdzie. Ale już w tym czasie Bierdiajew zaczyna oddalać się od materializmu i stawia pierwsze kroki na drodze, którą inny były „legalny marksista” Siergiej Bułhakow określił w tytule swej książki z 1903 roku: „od marksizmu do idealizmu”.

Po powrocie z zesłania, w czasie którego zetknął się m.in. z Sawinkowem, Łunaczarskim i Remizowem, Bierdiajew ożenił się i w 1904 roku osiadł w Petersburgu celem założenia pisma, które miało dać wyraz jego nowym zainteresowaniom mistycznym i religijnym. Zainteresowania te nie opuściły go już do końca życia.

Ten radykalny zwrot nie był zjawiskiem izolowanym, raczej odzwierciedlał wiernie ówczesną atmosferę w Rosji. W autobiografii² — opublikowanej dopiero pośmiertnie — Bierdiajew tak wspomina ten okres:

„Rosyjski renesans kulturalny początku stulecia był jedną z najciekawszych epok w historii rosyjskiej kultury. Była to epoka twórczego wzlotu poezji i filozofii po okresie upadku. Była to równocześnie epoka, w której pojawiła się nowa dusza, nowa wrażliwość. Dusze ludzkie otwarły się na przyjęcie wszelkiego rodzaju prądów mistycznych, zarówno pozytywnych jak negatywnych. Nigdy jeszcze najrozmaitsze natchnienia i opętania nie występowały u nas z taką siłą. A zarazem w dusze rosyjskie wstąpiło przeczcucie nadeciągających katastrof. [...]”

Renesans kulturalny pojawił się u nas w epoce przedrewolucyjnej i towarzyszyło mu wyraźne przeczcucie nadchodzącej śmierci starej Rosji. Było podniecenie i napięcie, nie było prawdziwej radości. Jak to często bywa, pierwiastek twórczy i autentyczny zmieszał się z pierwiastkiem naśladownictwa i mody. Zbyt wielu stało się nagle estetami, mistykami, okulistami, gardziło etyką i pogardliwie odnosiło się do nauki. Zaden spóźniony racjonalista i pozytywista nie mógł w tym okresie liczyć na powodzenie w miłości. Tak samo jak latach 40-tych [XIX-go wieku] na powodzenie w miłości mógł liczyć jedynie idealista i romantyk, w 60-tych tylko materialista i myślicy realista, w 70-tych — narodnik, składający siebie w ofierze dla szczęścia i wyzwolenia ludu, a w 90-tych — marksista. Ruch kulturalny i duchowy tej epoki był swoistym rosyjskim romantyzmem... [...]”

Dla rosyjskich prądów literackich początku XX-go wieku jest bardzo charakterystyczne, że szybko nastąpił zwrot renesansu ku religii i chrześcijaństwu. Rosyjscy poeci nie mogli zatrzymać się na estetyzmie. Różnymi drogami starali się przezwyciężyć indywidualizm. Pierwszym w tej dziedzinie

był D. Mereżkowski. Potem przywódcy symbolizmu zaczęli przeciwstawiać *sobornost'* indywidualizmowi i mistykę estetyzmowi. W. Iwanow i A. Bielyj byli nie tylko poetami, ale i teoretykami mistycznie zabarwionego symbolizmu. Nastąpiło zbliżenie z prądem, mającym swój początek w marksizmie i idealizmie. Może właśnie ja byłem tu głównym pośrednikiem. [...] Powstały towarzystwa religijno-filozoficzne w Moskwie, Petersburgu, Kijowie. [...]”

Towarzystwa religijno-filozoficzne wytworzyły swój własny styl prezentowania i dyskusowania problemów. Każde zagadnienie rozpatrywano jako duchową całość; w każdym zagadnieniu: filozoficznym, kulturalnym, społeczno-historycznym doszukiwano się religijnego centrum i podstawy. Dyskusje toczyły się na wysokim poziomie i prowadziły do niezwyklej subtelności rozumowań. [...] Czynnikiem uczestniczyłem [później we Francji] w dyskusjach w Pontigny i w „Union pour la vérité” i muszę powiedzieć, że nasze rosyjskie spory miały wyższy poziom i były głębsze. A oto w czym różnica. W Zachodniej Europie, szczególnie we Francji, wszelkie zagadnienia rozpatrywano nie z punktu widzenia ich istoty, lecz z punktu widzenia ich odbicia w kulturze, ich odzwierciedlenia w doczesnym ludzkim świecie. Gdy rozpatrywano problem np. samotności (przypominam sobie dekadę w Pontigny, poświęconą temu zagadnieniu), mówiono o samotności u Petrarke, Rousseau czy Nietzsche'go, nie zaś o samotności jako takiej. Zabierający głos stawali nie wobec najgłębszej zagadki życia, lecz wobec kultury. [...] U nas w Rosji, w epoce naszych dawnych dyskusji, rzecz szła o problemach ostatecznych, granicznych, o istotnym, nie o odbiciu, o drugorzędnym. Tak było nie tylko w towarzystwach religijno-filozoficznych, lecz i w dyskusjach w domach prywatnych, przypominających spory zapadników ze słowianofilami w latach 40-tych. Bieliński po dyskusji trwającej całą noc mówił: nie rozchodźmy się, jeszcze nie rozstrzygnęliśmy problemu Boga! Tak było i u nas, gdy zbierali się S. Bułhakow, M. Gerszenzon, L. Szestow, W. Iwanow, A. Bielyj, H. Raczyński i inni”.

W takim klimacie — z którego wiele zostało w jego twórczości — Bierdiajew spędził lata przedrewolucyjne; początkowo w Petersburgu, gdzie pismo jego, *Woprosy zizni*, ukazywało się wprawdzie tylko przez rok, ale gdzie obracał się w centrum ówczesnej intelektualnej Rosji, a później — od 1907 — w Moskwie, w której mieszkał aż do wysiedlenia za granicę. Już w tym czasie zyskał sobie znaczny rozgłos³, toteż w porewolucyjnym porywie „proletariackiego uniwersalizmu kulturalnego” został mianowany profesorem filozofii na uniwersytecie moskiewskim (mimo, że był tylko samoukiem); zdołał też w tym okresie zorganizować przypominającą przedrewolucyjne towarzystwa religijne instytucję, noszącą nazwę Wolnej Akademii Religijno-Filozoficznej. Impreza ta została oczywiście zlikwidowana przez bolszewików, ale dopiero w 1922, kiedy to Bierdiajew wraz z innymi „niepożądanymi idealistami” został wysiedlony do Niemiec⁴. Z po-

3. Publikacje książkowe z tego okresu: „*Sub specie aeternitatis*”, 1907; studium o Chomiakowie, 1912, *Filozofia swobody* i *Smysł twórczestwa*, 1916.

4. W Berlinie ukazała się napisana jeszcze w Rosji polemika ze światopoglądem bolszewików: *Filozofia nierówności* (*Pis'ma k niedrugam po socialnoj filozofii*), 1923; *Smysł istorii*, 1923; *Nowoie sredniewiekowie*, 1924; studium o Dostojewskim.

1. *Subiektywizm i indywidualizm w obszczestwiennej filozofii. Kritisckiej etiud o N. K. Michajłowskom* (z przedmową P. B. Struwe); Petersburg, 1901.

2. *Samopoznanie (Opyt filozofskoj awtobiografii)*, Paryż, 1949.

mocą amerykańskiej YMCA odtworzył w Berlinie swą Akademię i instytucja ta przeniosła się wraz z jej twórcą w 1925 do Paryża, w którym Bierdiajew pozostał do śmierci. Ostatnich kilkanaście lat mieszkał — wraz z żoną, szwagierką i ukochanym kotem — w Clamart pod Paryżem, w willi, zapisanej mu przez jedną z entuzjastek jego filozofii. Był redaktorem emigracyjnego pisma *Put'*, dyrektorem wydawnictwa YMCA-Press i wiele pisał. Większość jego prac — tłumaczonych na kilkanaście języków — powstała we Francji⁵. Do jego rozgłosu przyczyniła się zbieżność jego indywidualistycznej filozofii religijnej, którą nazywał na przemian egzystencjalizmem i personalizmem, z rozkwitem podobnych zainteresowań w międzywojennej Europie (Maritain, Mounier, Gabriel Marcel i Jean Wahl we Francji, Jaspers i Heidegger w Niemczech). Utrzymywał kontakt z całą europejską elitą intelektualną; wyrazem hołdu było nadanie mu — na kilka miesięcy przed śmiercią — honorowego doktoratu teologii przez uniwersytet w Cambridge.

Jak wygląda jego filozofia? Nie można odpowiedzieć na to pytanie krótko i wyczerpująco równocześnie. Wspominając w swojej autobiografii pewnego szwajcarskiego teologa (F. Lieba), Bierdiajew jako najwyższą pochwałę dorzucił ciepło: *... w niom była ruskaja chaoticznost'* — i cechy tej nie był pozbawiony sam Nikołaj Aleksandrowicz. Nie uważał jej za wadę; we wstępnym rozdziale jednej ze swych ważniejszych książek (*O niewoli i wolności człowieka*, 1939), charakterystycznie zatytułowanym „O sprzecznościach w mej myśli”, pisze:

„Nigdy nie byłem filozofem typu akademickiego i nigdy nie chciałem by filozofia była abstrakcyjna i oderwana od życia. Mimo, że zawsze wiele czytałem, źródła mej myśli nie są książkowe. Nie byłem nawet nigdy w stanie zrozumieć żadnej książki inaczej, jak tylko zestawiając ją z własnym doświadczeniem. Sądzę poza tym, że prawdziwa filozofia zawsze jest walką. Taką była filozofia Platona, Plotyna, Kartezjusza, Spinozy, Kanta, Fichte'a, Hegla. Sprzeczności, które można znaleźć w mej myśli są sprzecznościami walki duchowej, sprzecznościami samego istnienia, których nie da się ukryć pod złudną jednością logiczną. Prawdziwa jedność myśli, wiążąca się z jednością osobowości, jest jednością egzystencjalną, nie logiczną. Egzystencjalność zaś jest wewnętrznie sprzeczna”.

Ta romantyczna awersja do logiki — cały egzystencjalizm jest w istocie romantyczną peryferią filozofii — nie ułatwia pre-

5. Bibliografia Bierdiajewa jest bardzo obszerna, tutaj przytaczam tylko ważniejsze pozycje książkowe: *Filosofia swobodnego ducha*, 1927-8; *O naznaczeniu człowieka. Opyt paradoksalnoj etiki*, 1931; *Ja i mir obiektow. Opyt ob odinocznosti i obszczennii*, 1937; *O rabstwie i swobodie człowieka. Opyt personalistycznej filozofii*, 1939; *Ruskaja idea*, 1946; *Opyt eschatologiczkiej metafiziki (Tworczestwo i obiektywacja)*, 1947; pośmiertnie *Samopoznanie*, 1949; *Carstwo Ducha i carstwo Kiesaria*, 1951.

zentacji głównego zrębu myśli Bierdiajewa, godzi się natomiast dobrze z rosyjskim sensem słowa *uczenie*, oznaczającym zespół poglądów popartych nie tyle logicznym wywodem, co siłą przekonania ich głosiciela. Filozofia Bierdiajewa jest takim *uczeniem* — i książki jego robią wrażenie fragmentów monumentalnego kazania, osnutego wokół kilku podstawowych pojęć, wciąż i wciąż powracających. Styl, który sam filozof określał jako „aforystyczny i intuicyjny” sprawia, że każdy fragment wykładu rysuje się ostro i wyraziście, natomiast kontury całości zacierają się na krańcach przestrzeni dyskursywnej, której punktami odniesienia są Bóg, człowiek i świat. Jest to niecodzienna przestrzeń, w której spotykają się konstrukcje pojęciowe wschodnich gnostyków i zachodnich mistyków, teozofów, idealistów i neoromantyków; jej cechą wyróżniającą stanowi symbioza abstrakcji z obrazowością, przywodząca na myśl rodzaj gigantycznych dekoracji do „Fausta”, część druga. O tym wizualnym aspekcie dobrze pamiętać, gdy próbuje się znaleźć jakiś punkt zaczepienia wśród bierdiajewowskich abstrakcji.

Wyjściowym aksjomatem Bierdiajewa jest istnienie Boga; reszta stanowi rodzaj prywatnej teologii, próbującej *primo* rozwikłać trudności związane z samym aksjomatem i *secundo* — wysnuć wnioski praktyczne, to znaczy zbudować na metafizyce etykę. Stosunek czytelnika do jego rozważań będzie więc różnił się w zależności od tego, czy dzieli on z Bierdiajewem wiarę w Boga czy nie; w tym drugim wypadku można śledzić całość jako grę intelektualną, polegającą na wyprowadzaniu twierdzeń z apriorycznie przyjętego pewnika. Pewnik ten zawiera w sobie pewne inherentne trudności.

Główną trudnością związaną z pojęciem Boga jest założenie — wynikające *ex definitione* — boskiej wszechmocy. Założenie to nie tylko prowadzi do znanych paradoksów (np. „czy Bóg może stworzyć tak ciężki kamień, by Sam nie mógł go podnieść” — co jest naiwnym sformułowaniem istotnego problemu), ale także powoduje konflikty z innymi założeniami, np. z założeniem, że Bóg nie pragnie zła. Każda koncepcja religijna, łącząca obraz wszechmocnego, dobrego Boga ze stwierdzeniem, że na świecie istnieje zło, rodzi automatycznie problem teodycei, czyli konieczności usprawiedliwienia Boga z tego faktu. Chrześcijańska doktryna upadku tłumaczy powstanie zła jako skutek przeciwstawienia się woli Boga; pociąga to jednak pytanie, dlaczego Bóg — wszechmocny przecież — na to zezwolił? Odpowiedzi na to pytanie są różne i nie dla wszystkich przekonujące. Bierdiajew wypracował własną odpowiedź; była nią koncepcja „przedwiecznej wolności”.

Przedwieczna — dosłownie „nie-stworzona” — wolność (*nie-*

sotworennaja swoboda) jest według Bierdiajewa niezależnym od Boga, odwiecznym składnikiem wszechświata, konkretnym niemal żywołem. Człowiek jest w równej mierze tworem Boga jak i przedwiecznej wolności. Ponieważ zło jest wynikiem wolnego wyboru człowieka, pochodzi z wolności; ponieważ zaś wolność jest niezależna od Boga, Bóg nie jest winien złu. Doktrynę tę nazywał Bierdiajew „prymatem wolności nad istnieniem” i rozumiał to sformułowanie niemal dosłownie — przypominam wizualny aspekt tych spekulacji — w ten sposób, że zanim w kosmosie zaistniało cokolwiek, wolność już w nim była (dla jasności pomijam subtelne rozróżnienia pomiędzy pojęciami „bycia” i „istnienia”). Ponieważ wolność była, zanim powstało Cokolwiek, jest częścią przedwiecznego Nic, jest „zakorzeniona w Nicości” — i tu następowała formuła końcowa: „Bóg jest wszechmocny wobec Wszystkiego, lecz bezsilny wobec Niczego”.

Bierdiajew uważał, że wywód ten rozwiązuje dwa problemy naraz: zachowuje boską wszechmoc, a zarazem przenosi winę za zło świata na element nie-boski. Nie wszyscy byli tym rozwiązaniem ukontentowani: Cerkiew prawosławna oskarżyła Bierdiajewa o szerzenie herezji i tylko wybuch pierwszej wojny światowej oszczędził mu konsekwencji prawnych; jego przyjaciel, Lew Szestow, zarzucił mu pomniejszanie Boga na rzecz człowieka.

Dla lepszego zrozumienia tej koncepcji i usytuowania jej w dziejach myśli — co m.in. pozbawia ją charakteru indywidualnego dziwactwa — konieczny jest rzut oka na początki europejskiej teozofii.

Centrum teozofii, to znaczy mistyki „zracjonalizowanej”, były protestanckie Niemcy, gdzie splatały się dwie tradycje: rodzima mistyczna, wiodąca od dominikanina Mistrza Eckharta (ca. 1260-1327) i kabalistyczna, sięgająca *via* Hiszpania korzeniami swymi bliskowschodniego gnostycyzmu.

Od Eckharta bierze początek terminologia metafizyczna, pełna pojęć takich jak *Sein*, *Wesen*, *Wesenheit*, *das Nichts*, etc., a ponadto zapoczątkował on koncepcję *Seelenfunken*, *scintilla in anima* — iskierki mistycznej prawdy w duszy ludzkiej, pozwalającej na bezpośredni kontakt z Bogiem. Eckhart, niewątpliwie autentyczny mistyk, tłumaczył możliwość takiego kontaktu nie tylko pożądaniem Boga przez człowieka, ale i boską potrzebą człowieka. Idea ta rozwinęła się w teozoficzną koncepcję teurgii, ludzkiego oddziaływania na Boga; gdy w przeszło pół tysiąclecia po Eckharcie Bierdiajew powtórzy z właściwą sobie dobitnością, że Bóg tak samo potrzebuje człowieka jak człowiek Boga, łatwiej można zrozumieć zaniepokojenie Świętego Officium w 14-tym wieku niebezpieczną chwytliwością idei świątobliwego dominikanina.

Odporne na czas okazały się też spekulacje, związane z asymilacją tradycji żydowskiej, Kabały, przez chrześcijaństwo. Wiązały się one początkowo z przymusowym nawracaniem Żydów na chrześcijaństwo w XIII-tym wieku w Hiszpanii; zarówno nie-swojo czujący się konwertyci jak i ich katecheci starali się wykazać — sobie i otoczeniu — że mozaizm jest w istocie swej zgodny z chrześcijaństwem i że dowody na to znajdują się w zaszyfrowanej formie w Kabale. Kabalistyka zaczęła wkrótce żyć własnym życiem i jako rodzaj wiedzy tajemnej rozeszła się po Europie; szczególnie gorliwych adherentów znalazła wśród niemieckich pietystów.

Bóg kabalistów był Bogiem rosnącym, *ens manifestativum sui*, bytem ewoluującym przez określone stadia — ich określaniem zajmowali się właśnie kabaliści — ku pełni swej potencjalnej konkretności (stąd też związek z chrześcijańską doktryną chrystologiczną o Słowie, stającym się Ciałem). „Bóg rosnący”, nie całkiem różny od heglowskiego *Weltgeist*’u i marksistowskiej Historii, w połączeniu z tradycją mistyczną dał początek spekulacjom, tworzącym podziemny nurt teozofii, który wraz z masonerią i romantyzmem rozgałęził się po całej Europie siecią kanałów, zasilających wprost lub przez osmozę większość doktryn metafizycznych tego kontynentu. Rosyjska filozofia XIX wieku wznosiła się na gruncie, który — używając tej samej przenośni — krył pod sobą rozległe podziemne jezioro teozofii.

Jednym z klasyków teozofii był Jakub Böhme (1575-1624), niemiecki szewc-mystyk, który wywarł ogromny i nie całkiem jeszcze zbadany wpływ na myśl europejską. Pod jego wrażeniem pozostawali Newton i Leibniz, Schelling i Hegel; bez Böhme nie można zrozumieć Sołowiowa i trudno zrozumieć Bierdiajewa.

Centralnym punktem doktryny Böhme był obraz rosnącego Boga, rezydującego w Bezdni, zwącej się po niemiecku *Ungrund*. Böhme nie znał łaciny i zmuszony do pisania po niemiecku posługiwał się, podobnie jak Eckhart, neologizmami, mistrzowsko operując ich wieloznacznością. W terminie *Ungrund* obraz otchłani czy przepaści (niem. *Abgrund*) łączy się z pojęciem dowolności, „bez-przyczyny” (*Un-grund*, tak jak *Un-gnade*, *Un-sinn*, etc.) — i oczywiście bierdiajewowska przedwieczna wolność to *Ungrund* Jakuba Böhme. Bierdiajew nie ukrywał tej zależności; rekapitułując swą teodyceę posłużył się nawet oryginalnym terminem: „Duch ludzki nie pochodzi jedynie od Boga, lecz także od przedwiecznej wolności, z Bezdni. Na tym właśnie polega podstawowy paradoks ducha: jest emanacją Boga, lecz równocześnie jest w stanie odpowiadać Bogu w taki sposób, że odpowiedź nie pochodzi od Boga”.

Ta „paradoksalna” pozycja człowieka we wszechświecie wymaga etyki również paradoksalnej — i tak nazywał swą etykę Bierdiajew. Była ona odmianą kantiańskiej doktryny o kategorycznym imperatywie i wyrażała się formułą: „*Obowiązkiem człowieka jest nie zbawienie, lecz twórcza działalność*”. Znowo nietrudno zrozumieć zastrzeżenia prawosławnej Cerkwi.

Przypisując wolności tak wielkie znaczenie, że uznał ją za niezależną od Boga, Bierdiajew nie mógł pogodzić się z tradycyjną etyką chrześcijańską, traktującą moralność jako objawione człowiekowi boże zyczenie (wspomnijmy Dostojewskiego: „*Jeśli Boga nie ma, to wszystko wolno*”). Bierdiajew uważał, że powoływanie Boga na gwaranta norm moralnych jest wyrazem niewolniczego stosunku człowieka do Boga, który odrzucał. Według Bierdiajewa człowiek jest partnerem Boga, nie rabem — nie darmo Bierdiajew uważał się za ucznia Nietzschego. Jego etyka odwoływała się do poczucia obowiązku u człowieka, do *noblesse oblige*, nie pokory. Ludzka *noblesse* pochodzi stąd, że człowiek jest współnikiem teogonii: Bóg potrzebuje człowieka, ponieważ ludzka twórczość urozmaica i wzbogaca wszechświat, a zatem i Boga. Obowiązek twórczej aktywności jest wyrazem zrozumienia przez człowieka swej roli *osoby* w kosmicznym dramacie. „Osoba” to w rzeczywistości psychologicznej *osobowość*: człowiek w pełni swych uzdolnień i możliwości; jednostka, nie „członek zbiorowości”. Często podkreślany „arystokratyzm” poglądów Bierdiajewa, jego niechęć do kolektywizmu i „burzujstwa” znajdowały swe uzasadnienie teoretyczne w metafizyce.

Bardziej przyziemnym źródłem tego indywidualizmu filozoficznego niewątpliwie był indywidualizm czy wręcz egocentryzm samego filozofa. W jego autobiografii trudno znaleźć choćby jedno zdanie bez zaimka „ja”, „mój” czy „mnie”, a czytając inne jego prace trudno oprzeć się wrażeniu, że i Bierdiajewowski „człowiek” jest często tylko synonimem „ja”. Sądzę, że tu między innymi leży źródło niespójności całej koncepcji. Jej zamysł jest uniwersalny, lecz w szczegółach widać wyraźnie, że kosmiczny dramat toczy się pomiędzy Bogiem a pojedynczym człowiekiem — czyli samym Bierdiajewem. Szczególnie wyraźnie widać to w związku z czwartym obok wolności, osobowości i twórczości — kluczowym pojęciem tej filozofii: „obiektywacją”, tzn. urzeczowieniem, czy też uprzedmiotowieniem świata. Wkraczamy tu w najmroczniejsze regiony doktryny.

Doktryna Bierdiajewa stanowi skrzyżowanie dwóch koncepcji: teozoficznej i kantiańskiej. Na pozór są one podobne. Dla teozofa świat jest szyfrem, kryjącym w sobie rzeczywistość „prawdziwą”, dostępną jedynie wtajemniczonym. Nieco podobnie, w potocznej wersji filozofii Kanta — do którego Bierdiajew trafił

poprzez Schopenhauera — rzeczywistość rozpada się na fenomeny — obrazy, jawiące się w określonych formach — i noumeny (albo „rzeczy same w sobie”), które stanowią podłoże owych obrazów, ale których poznać nie jesteśmy w stanie. W istocie te dwie koncepcje są nieprzywiedlne, ponieważ teozoficzna dotyczy budowy świata, zaś kantiańska ludzkiej percepcji. Bierdiajew połączył je jednak, otrzymując obraz świata dzielącego się na rzeczywistość codzienną, „fenomenalną”, i utajoną, „noumenalną” — przy czym założył, że bariera pomiędzy nimi nie jest nieprzekraczalna. Kluczem do rzeczywistości „głębszej”, autentycznej — utożsamionej właściwie z człowiekiem, polegający na kultywowaniu własnej osobowości i twórczym działaniu. Świat taki, jakim go znamy, jest objęty tyranią czasu, materii i przyczynowości — i stąd cierpienie i zło; człowiek jednak jest w stanie wyzwolić się z niego, pogrążając się w rzeczywistość noumenalną, w której kategorie ziemskie tracą moc. „*Głębia bytu samego dla siebie* — czytamy w „Przeznaczeniu człowieka” — *nie jest ani 'dobra' ani 'zła', są to tylko ujęcia symboliczne*”.

Dla Bierdiajewa cały świat jest w gruncie rzeczy symboliczny; to my sami zamykamy się w niewoli i cierpieniu ziemskim, biorąc te symbole za ostateczną rzeczywistość, *urzeczowiając* je. „Obiektywacja” jest dla Bierdiajewa synonimem chrześcijańskiego pojęcia upadku. „*Być w świecie już jest upadkiem*” — brzmiała jego formuła i wynikało z niej między innymi i to, że świat jest w pewnym sensie naszym własnym tworem; spojrzenie „obiektywujące”, nie dostrzegające symboliczności zjawisk doczesnych jest jakby spojrzeniem Gorgony, zamieniającym żywy, swobodny byt w masę miazdzących kamieni.

Nie trudno dopatrzeć się tu wpływu Schopenhauera („*die Welt als Wille und Vorstellung*”); równocześnie pojęcie „obiektywacji” jest dobrym przykładem charakterystycznego dla Bierdiajewa przemieszania rzeczywistości psychologicznej z rzeczywistością *tout court*, które pozwala na podwójną wykładnię jego twierdzeń: dosłowną i metaforyczną. Metafora „obiektywacji” jest łatwo uchwytna: można ją rozumieć jako zabsolutyzowane echo tego wrażenia spłaszczenia i zubożenia świata, jakiego doznaje się patrząc np. na perwieniusza, traktującego sztukę jako „lokata kapitału”, czy żołdaka u władzy, spoglądającego na resztę ludzkości jak na zwalę armatniego mięsa; w tym sensie „uprzedmiotowienie” jest czymś w rodzaju metafizycznego filisterstwa. Granica pomiędzy dosłownością a metaforą pozostaje tu jednak wciąż płynna i nie przyczynia się to do jasności doktryny.

Z pojęciem obiektywacji łączy się też Bierdiajewowska historiozofia. Historia dzieli się tu również na fenomenalną, przebie-

gającą w zwykłym czasie historycznym i noumenalną, autentyczną, dziejącą się w czasie „egzystencjalnym” — czyli właściwie poza czasem — i stanowiącą *oconomia divina*. Historia zwyczajna dzieje się w świecie „urzeczwionym”, jest więc podobnie jak i on zła i nie posiada sensu — w tym znaczeniu, że nie prowadzi do żadnego wypełnienia dziejów. Wypełnienie historii musi, według Bierdiajewa oznaczać zakończenie kosmicznego dramatu, czyli musi być końcem świata — w tym znaczeniu też Bierdiajew mówi o „przechodzeniu historiozofii w eschatologię”. Koniec świata nie oznacza tutaj kosmicznej superkatastrofy, tylko likwidację świata fenomenalnego, w istocie więc przejście człowieka na stałe do rzeczywistości „głębszej”, noumenalnej. Jest to jakby indywidualny koniec świata dla każdego człowieka z osobna i można go utożsamiać z chrześcijańskim pojęciem „dobrej śmierci”. W jaki sposób można by rozszerzyć tę koncepcję na ogół ludzkości i całą historię — nie podejmuję się wyjaśnić. Rwie się ona z chwilą, gdy próbujemy przenieść ją z sytuacji: Bóg — człowiek (a właściwie: Bóg — Bierdiajew) na bardziej obiektywną płaszczyznę. W terminach wewnętrznych teorii próba taka stanowi zresztą właśnie „uprzedmiotowienie”, czyli zatracenie perspektywy noumenalnej na rzecz kategorii codziennych, nieautentycznych, z których filozofia ta miała nas wyprowadzić. Trzeba *credere quia absurdum*.

Podaję, że ta właśnie cecha stanowi główną atrakcyjność Bierdiajewa dla jego zwolenników; stanowi ją poczucie stania twarzą w twarz z Tajemnicą. Działa tu — jak się zdaje — mechanizm błędnego koła, który wygląda mniej więcej następująco: przed naszymi oczami wyrastają fragmenty pozornie jednorodnej koncepcji (Bierdiajew pisze z niezachwianą pewnością proroka) i fragmenty te odpowiadają częściowo naszym własnym przeżyciom wewnętrznym (pragnieniu wolności; poczuciu odrębności od innych; u wierzących — przekonaniu o własnej nieśmiertelności; etc.) — są więc w jakimś stopniu prawdziwe. Równocześnie pomiędzy tymi fragmentami pojawiają się luki logiczne; ale logika została właśnie odrzucona, jako część ułudy, zakrywającej ukazywaną nam prawdę — nie możemy więc do niej się odwoływać. Luki należy przewyciężyć „inaczej” — i sam fakt istnienia rozwijanej przed nami koncepcji zdaje się dowodzić, że ta inna droga istnieje; chwilami zdaje się, że jesteśmy już o krok od zrozumienia... tuż, tuż... daremnie, ale na wargach pozostaje cierpki smak Tajemnicy. Nie odkryliśmy samej Prawdy, ale wiemy, że istnieje — podczas gdy inni nawet tego nie wiedzą. Więc już posiadliśmy część Prawdy.

Nie ma to bynajmniej znaczyć, że Bierdiajew zwodził czytelnika celowo; przeciwnie: wpatrzony w wirowanie błędnego koła

swej koncepcji wierzył głęboko, że siłą intuicji wydziera światu jego zagadkę. Miał talent i kulturę literacką, więc pisał dobrze. Na tle topornej prozy sowieckiej i prymitywizmu intelektualnego, jaki jest nieuchronnym produktem ubocznym totalizmu lektura jego dzieł musi dawać taką chociażby przyjemność, jakiej doznaje się oddychając górskim powietrzem po wyjściu z zadymionej knajpy — i w tej sytuacji fakt, że góry są tylko namalowane, staje się kwestią drugorzędną. Sądzę, że jest to jedna z przyczyn zainteresowania Bierdiajewem w „nieoficjalnej Rosji”. Przyczyną naczelną jest oczywiście fakt, że należy on do rodzimych klasyków refleksji moralnej.

Można tu jednak zapytać: jakie jest znaczenie tej filozofii „w ogóle”? Jaką ma ona wartość w kręgu myśli pozarosyjskiej? Zdania są podzielone i mogą przedstawić jedynie własne. Nie mam sympatii dla irracjonalizmu, gdyż uważam go za postawę o bezwładniającą, więc szkodliwą — ale sądzę równocześnie, że byłibyśmy znacznie ubożsi w teorie metafizyczne, gdyby ich twórcy — tworząc — nie wierzyli w nie sami i nie poświęcali dla tej wiary wszystkiego, nawet zdrowego rozsądku. Metafizyka zaś — pod warunkiem nietraktowania jej jako wiedzy o faktach — jest czymś cennym: współczesną mitologią, przy czym słowo „mitologia” nie ma tu konotacji obelżywej. Jest ona podobnie jak poezja zbiorem potencjalnych alegorii, a dzięki swej abstrakcyjności często sięga dalej i głębiej niż poezja. Daje oparcie myślowe, którym brak było dotychczas wspólnej, międzyludzkiej formy. Teorie metafizyczne wzbogacają ludzki *univers du discours*, nie tylko dlatego, że są zbiorem gotowych ilustracji „na wyrost”, ale i dlatego, że w ogóle są: — wypełniając puste miejsca w przestrzeni dyskursywnej zmuszają człowieka do posuwania się dalej lub gdzie indziej.

Dla ilustracji tego znaczenia metafizyki można by — przywołując oczy na neoromantyczny patos porównania — odwołać się do znanego nam już obrazu rosnącego Boga-Kosmosu, zmierzającego ku pełnej realizacji swej potencjalnej różnorodności poprzez ludzką twórczość. Obraz ten zawdzięczamy Bierdiajewowi i w słowie „zawdzięczamy” mieści się już część odpowiedzi na pytanie, czy ofiarował coś światu.

M. BROŃSKI

Polemiki

Enwer Pasza

Zdarza się, że czasem czuję jak stara ciotka. Siedzę na kanapie w odległym kącie, nie biorąc czynnego udziału w zabawie, i mam za złe. Co i komu?

Bałamuctwo, oczywiście. Nie seksualne jednak i nie tylko młodym. Intelktualnie bowiem bałamucą u nas również rodacy w starszym i dojrzałym wieku. Niekiedy przyznają się szczerze, że nieraz ponosiła ich wyobraźnia, tak podobna do pamięci. Niekiedy usprawiedliwiają się przerwaniem filmu pamięci przez jakiś trujący zastrzyk. Niekiedy piszą o tym, co jest im wiadome pomimo braku źródeł (*though documentation is scarce, it is known...*). Może to są okoliczności łagodzące, ale gdy na mojej obskurnej kanapie czytam o rzekomym pokaleczeniu Stołypina przez bombę na Aptekarskiej Wyspie, o okolicznościach w jakich Piłsudski miał nawiązać kontakt z Sawinkowym, czy o rzekomych rozmowach Hołówki z Leninem i Trockim na wiosnę 1918, flaki mi się przewracają i zła krew zalewa. Raz, gdy chodziło o rzekome zasługi Balfoura przy odzyskaniu naszej niepodległości, dałem jej upust, co wywołało nie najmilsze skutki. Obecnie rzadko spotykane zagęszczenie błędów co do faktów w kilku-nastu wierszach druku, skłania mnie znów do publicznego stwierdzenia, że tak jak Kara Mustafa nie szedł przez Alpy na Kraków, Enwer Pasza w 1919 nie walczył na czele niewielkiego legionu ochotników tureckich z bolszewikami w Turkiestanie. Poza dwoma faktami, że Enwer Pasza został odsunięty od władzy w Turcji w 1918 (i w 1919 skazany na karę śmierci) oraz że poległ w walce z oddziałem Armii Czerwonej (4 sierpnia 1922 w pogranicznej z Afganistanem kotlinie górskiej), nic z tego co czytam o nim na stronie 80 w nrze 5/320 *Kultury* nie jest zgodne z prawdą historyczną. A prawda ta jest dość interesująca, romantyczna i częściowo z naszą historią związana.



Enwer, najprzód Bej a później Pasza, był najwybitniejszym i najbezwzględniejszym przywódcą rewolucji młodotureckiej w 1908. Nazywano go często tureckim Ludendorffem. W znacznej mierze przyczynił się do wejścia Turcji do wojny europejskiej po stronie państw centralnych i osiągnął w czasie wojny władzę niemal dyktatorską. Po klęsce, oskarżony został o jej spowodowanie; wraz z dwoma innymi Młodoturkami był sądzony i 8 lipca 1919 zaocznie skazany na karę śmierci. Udało mu się jednak ujść z kraju i w połowie 1919 przedostał się do Berlina. Tam, za pośrednictwem niejakiego „Tomasza” nawiązał kontakt z Moskwą.

Kim był ów „Tomasz”, właściwie nie wiadomo; używał w życiu tak wielu pseudonimów (James Gordon, Rubinstein itd.), że w końcu sam ponoć zapomniał pod jakim nazwiskiem się urodził w latach 1880-tych prawdopodobnie na terenach dawnej Rzplitej. Umarł pod nazwiskiem Y. S. Reich w latach 50-tych w Ameryce. O jego osobie i działalności wiemy tylko tyle, co w 1935 w Berlinie zechciał opowiedzieć Borysowi Nikołajewskiemu, a ten ogłosić w 1964 w zeszytach 1 i 2 *Socjalistycznego Wiestnika*.

Po przyjeździe do sowieckiej Rosji ze szwajcarskiego Berna w lutym 1919, brał udział w organizowaniu Kominternu i wydał pierwszy numer jego organu. Którejś nocy latem 1919 wezwał go nagle Lenin i powiedział, że ma jechać do Niemiec. Instrukcje były krótkie:

„Weźcie jak najwięcej pieniędzy, przysyłajcie sprawozdania i, jeśli możliwe, gazety, a w ogóle róbcie co nakaze sytuacja. Tylko róbcie!”.

Następnie Fürstenberg-Hanecki, którego Tomasz znał od wielu lat i który wówczas zarządzał „nielegalną kasą”, wydał mu milion rubli w walucie niemieckiej i szwedzkiej, po czym — tu zacytuję opowiadanie Tomasz:

„Poszliśmy jakimiś korytarzami do piwnicy, po ciemku z latarnią. Okute drzwi, które Hanecki otwierał kilku kluczami. Weszliśmy do dużej sali źle oświetlonej, bez okien. Nie od razu dostrzegłem jakieś półki na ścianach oraz skrzynie i walizy na podłodze. Wszędzie złoto i kosztowności; drogie kamienie, wybrane z opraw leżały w kupkach na półkach — ktoś widocznie zaczął je segregować, lecz rzucił. Przy wejściu skrzynia pełna pierścionków: zaczął je segregować, lecz rzucił. Przy wejściu skrzynia pełna pierścionków: zaczął je segregować, lecz rzucił. Hanecki poświecił w drugiej tylko oprawy z już wyjętymi kamieniami. Hanecki poświecił dookoła latarnią i, z uśmiechem, powiedział: No, wybierajcie”.

Były to kosztowności zabrane przy rewizjach i przekazane przez Czezwyczajkę na poufne wydatki. Nieco speszony Tomasz powiedział, że nie zna się na biżuterii i nie wie jak ją oceniać. Hanecki odpowiedział:

„Myślicie, że ja się znam. Tu trafia ten tylko, do kogo Lenin ma zaufanie. Wybierajcie na oko; Iljicz kazał, żebyście wzięli jak najwięcej”.

Ponieważ Tomasz nie miał do czego brać, Hanecki wyciągnął z kąta jakąś skórzaną walizkę z nieco zepsutym zamkiem, którą

Tomasz wypełnił kamieniami. Złota nie brał, bo zabierało zbyt dużo miejsca. Pokwitowania na kamienie nie wystawiał, ale na walutę wypisał. Od Dzierżyńskiego Tomasz otrzymał „murowane” dokumenty meksykańskiego Attaché Handlowego i, na jesieni 1919, przez Łotwę i Litwę przyjechał bez trudności do Berlina. Tu zastał sytuację dość specyficzną. Rządzili socjaliści, ale oficjalnie rząd berliński nie utrzymywał stosunków z Moskwą i jej pierwszy na wpuć oficjalny wysłannik, Radek-Sobelsohn, przebywał w więzieniu. Nie był tam jednak izolowany i, jak pisał w ogłoszonych w 1926 w nrze 10 *Krasnaja Now'* wspomnieniach, prowadził „salon polityczny”:

„Jednym z pierwszych gości, pisał Radek, byli Wielki Wezyr, szef młodotureckiego rządu, Talaat Pasza i jego minister wojny, bohater obrony Trypolisu, Enwer Pasza. Po klęsce Turcji, przebywali oni na wpuć legalnie w Berlinie — Ententa żądała ich wydania — i rozmyślali jak bronić Turcji w dalszym ciągu. Enwer... pierwszy zaczął przekonywać niemieckich wojskowych, że sowiecka Rosja jest nową rosnącą siłą światową, z którą się muszą liczyć, jeśli istotnie chcą dalej walczyć z Ententą” (164).

Wśród dalszych licznych gości „salonu” Radka byli m.in. Rathe-nau oraz kolega szkolny Ludendorffa, Baron Reignitz, który ofiarował mu u siebie gościnę po zwolnieniu z więzienia. Wówczas z Radkiem rozmawiał także zaufany Ludendorffa płk Bauer, mówiąc o możliwości porozumienia niemieckich kół wojskowych z partią komunistyczną i Rosją sowiecką. „Oni rozumieją — pisał o tym Radek — żeśmy niepokonalni i że jesteśmy sojusznikami Niemiec w walce z Ententą” (170).

Tomasz odwiedził Radka jeszcze w więzieniu, podając się za korespondenta niestniejącej żydowskiej gazety. Znali się dobrze uprzednio, ale gdy Tomasz zaczął mu mówić o swych planach, Radek ustosunkował się do nich nieufnie, ale niedługo się przekonał do „wścieklej energii” oraz talentów organizacyjnych Tomasa. Chodziło m.in. o nielegalne przetrzucenie Radka i Enwera do Moskwy.

Dysponując ogromnymi funduszami, Tomasz kupił dwa „Jun-kiersy” oraz zaangażował doświadczonych byłych wojskowych lotników, którzy mieli przewieźć wskazane przez niego osoby jeśli nie bezpośrednio do Moskwy to na tereny zajęte przez wojska Bermondta na Łotwie, skąd przetrzucenie ich przez linię frontu było już przygotowane. O oficjalną polską wizę tranzytową dla Radka zabiegał jednak w Mikaszewiczach Marchlewski i w końcu ją uzyskał, toteż przeznaczone dla Radka miejsce w samolocie Tomasa zajął inny Turek, być może Talaat Pasza.

Wieczorem 15 października 1919, stacjonujący na pograniczu Łotwy w Abelach oddział litewskiego wojska został nagle zaalarmowany z powodu wylądowania na pobliskim polu wojskowego samolotu. Jego pilot, po zorientowaniu się, że nie jest to jeszcze teren zajęty przez Bermondta, chciał lecieć dalej, ale Litwini zasekwestrowali samolot a jego pasażerów odesłali koleją do Kowna. Tam okazali oni wystawione w Niemczech i zaopatrzone

w litewskie wizy paszporty na nazwiska: 1) Dr Dmitri Nicola *alias* Sayd Emin, urodzony w Bułgarii, Turek-Chrześcijanin (stąd dwa nazwiska), z zawodu chemik i pracownik tureckiego Czerwonego Krzyża; 2) Mohammed Ali Sami, doktor medycyny z Konstantynopola, szef tureckiego Czerwonego Krzyża w Rosji. Trzecim pasażerem był Abraham Frenkel, podający się za tłumacza Turków, w istocie kurier Tomasa. Załogę samolotu stanowili nadporucznik-lotnik Hans Hesse oraz mechanik Paweł Maruszek. Zarówno władze litewskie jak przebywający w Kownie przedstawiciele Sprzymierzonych nie mieli wątpliwości, że dane w dokumentach pasażerów samolotu nie są prawdziwe, nie potrafili ich jednak zidentyfikować ani odczytać znalezionych przy Frenklu zaszyfrowanych raportów Tomasa. Ponieważ przy „Nicoli” znaleziono poważną sumę 80 tys. rubli, uważano, że jest on kimś ważniejszym niż podający się za jego szefa Sami. Do czasu wyjaśnienia powstałych wątpliwości, Turków zatrzymano i umieszczono w jednym z fortów kowieńskiej twierdzy.

Ponieważ zidentyfikowanie Enwera groziło mu postawieniem przed sąd Sprzymierzonych jako przestępcy wojennego (m.in. za rzezie Ormian), Tomasz wykazał w Berlinie zaiste „wściekłą energię” i organizacyjny geniusz. Kosztowało go to, jak mówił Nikołajewskiemu, „masę pieniędzy”, ale gdy któregoś dnia internowanych Turków wyprowadzono z fortu na przechadzkę, w pobliżu znalazł się samolot pilotowany przez niemieckiego instruktora lotniczego w wojsku litewskim Rothera, który steroryzował strażników, zabrał internowanych i odwiózł ich do Królewca. Te godne scenariusza filmowego wypadki wzbudziły sensację wśród nielicznych osób o nich poinformowanych i znalazły miejsce we wspomnieniach m.in. Generała A. Niessela, *L' Evacuation des pays Baltiques par les Allemands*, 1935, str. 83, oraz funkcjonariusza konsulatu brytyjskiego w Kownie, E. J. Harrissona, *Lithuania Past and Present*, 1922, str. 199-200, a nawet 24 października 1919 zostały poruszone przez Sir Eyre Crove na posiedzeniu Rady Najwyższej w Paryżu (*Doc. on Br. For. Policy 1919-1939*, First Series, vol. 2, str. 4448). Na ogół jednak fakt, że jednym z bohaterów tych niezwykłych przygód był głośny Enwer Pasza pozostawał przez dłuższy czas nieznanym. W 1942 w Potsdamie wyszła książka Adolfa von Hatzfelda, *Der Flug nach Moskau*, omawiająca tę historię w sposób niezbyt prawdziwy.

Incydent kowieński przedłużył o kilka miesięcy pobyt Enwera w Berlinie. W tym czasie utrzymywał z nim „bliskie stosunki” przywódca krymski Seydahmet Kirimer, który był polonofilem i wybierał się do Warszawy. We wspomnieniach ogłoszonych w londyńskiej *Niepodległości* w 1950, t. 2, płacząc nieco chronologię, Kirimer twierdził, iż Enwer i Talaat upoważnili go „do przekazania Marszałkowi Piłsudskiemu ich pozdrowień i opinii” oraz rzekomo radzili nawiązanie „szczerych i ścisłych stosunków z Polską” (43-4). Sami jednak w dalszym ciągu stawali na Moskwę. Przerzucenie ich tam nastąpiło dopiero w połowie 1920, gdy, w związku ze zwoływaniem w lipcu 2-im kongresem Kominternu,

Tomasz zorganizował na dużą skalę nielegalną komunikację z Rosją. Szczególną rolę odegrał przy tym niejaki A. M. Sliwkin, któremu, ze względu na jego rolę w Wilnie, chciałbym poświęcić słów kilka.

W Wilnie Sliwkin zjawiał się po jego zajęciu przez wojska czerwone w styczniu 1919. Był protegowanym wybitnego komunisty petersburskiego Jewdokimowa i zrobił szybką karierę. Przyjechał na kierownika komisariatu pracy samorządu miejskiego, a w tydzień awansował na „p.o. ludowego komisarza aprowizacji” na całą sowiecką Litwę z prawem „dokonywania rewizycji, rewizji, opieczętowywania składów oraz konfiskaty”, jak głosił komunikat Komitetu Wojenno-Rewolucyjnego, wydrukowany w *Przetomie*, Nr 18 z 26 stycznia 1919. Podobnie jak Tomasz, Sliwkin odznaczał się wściekłą energią i organizacyjnym geniuszem. Stworzył specjalne oddziały milicji aprowizacyjnej: żydowskie dla przeprowadzania rewizji i rewizycji u chrześcijan, a chrześcijańskie u Żydów. Działalność ich była tak energiczna, że po kilku tygodniach musiano Sliwkina odwołać i nawet zamierzano oddać go pod sąd, on jednak — jak pisał w moskiewskiej *Proletariackiej Rewolucji* w 1922 (Nr 8, ods. na str. 840) wileński żydowski socjalista S. Gincburg-Girinis:

„skopiu prilicznuju summu w zolotie, skrytsia w Giermanju. Ob etom prochodimce Wilna dolgo nie zabyła: 'sliwkiniada' stała simwołom wsiaкої korystnoj gnusnosti”.

W Niemczech Sliwkin stał się nieocenionym współpracownikiem Tomasza, który tak o nim mówił Nikołajewskiemu:

„Sliwkin został swego rodzaju znakomitością dzięki niezwykłemu talentowi dawania łapówek. Na pensji u niego byli wszyscy potrzebni ludzie od szeregowych policjantów do naczelników policji. Pamiętam gdy w 1920 wracałem z Moskwy, do Szczecina na statek przyszedł miejscowy *Polizei-präsident*, który już o mnie wiedział i, postawiwszy wizę na moim fałszywym paszporcie, wręcz spytał, czy nie mam jeszcze innych paszportów do ostemplowania”.

Victor Serge, który korzystał z usług Sliwkina przy nielegalnej podróży z Moskwy do Berlina w 1922, w swoich *Mémoires d'un Révolutionnaire*, 1957, str. 158 pisał:

„Sliwkin, gros garçon jovial commis à toutes les contrabandes imaginables et qui avait acheté toutes les polices, toutes les douanes, tous les contrôles situés sur son itinéraire”.

Posiadając takie kwalifikacje, Sliwkin nie miał najmniejszych trudności z przetruceniem Enwera do Moskwy. Przyjęty jako honorowy gość, Enwer został ulokowany w pałacu dawnego „króla cukru”, gdzie mieszkała rodzina Litwinowa oraz inni znakomici cudzoziemcy (L. Fischer, *Man and Politics*, 126). Po rozmowie z Leninem, z której obaj wynieśli wzajemne zastrzeżenia oso-

biste, Enwer pojechał do Baku na zwoływany tam w pierwszych dniach września wielki Kongres Ludów Wschodu.

Nie sposób tutaj w największym nawet skrócie przedstawić niezwykle skomplikowaną politykę sowiecką wobec ludów wschodu w ogóle a Muzułmanów w szczególności. Wystarczy powiedzieć, że celem bakińskiego kongresu — na otwarciu którego wiele mówiono o Warszawie, zaś prowadzoną z „białą Polską” wojnę określano jako wojnę „nie tylko proletariuszy Zachodu ale i ludów Wschodu przeciwko wspólnym naszym ciemiężcom” — było proklamowanie „Świętej Wojny” wszystkich mahometan, ale nie w dawnym znaczeniu walki wyznawców Proroka z giaurami, lecz „Świętej Wojny przeciwko grabieżcom i kapitalistom”, angielskim i francuskim w pierwszym rządzie (*1yj Sjezd Narodow Wostoka, Baku, 1-8 sentjabria 1920, Stenograficzeskije otczety*, 1920, str. 12 i 231).

Zorganizowany na bardzo dużą skalę kongres nie przyniósł oczekiwanych rezultatów, w pierwszym rządzie ze względu na wewnętrzne waśnie wśród ludów Wschodu. Osoba Enwera, który zgłosił się na kongres jako przedstawiciel „Związku Organizacji Rewolucyjnych Maroka, Algierii, Tunisu, Tripolitanii, Egiptu, Arabii i Hindustanu” okazała się też bardzo kontrowersyjna. Nie przyznano mu uprawnień formalnego uczestnika kongresu, lecz 4 września odczytano jego kilkustronicową deklarację, w której wyrażał żal, „iż byliśmy zmuszeni walczyć po stronie nie-mieckiego imperializmu” i oświadczał, „że dziś stoimy ramię przy ramieniu z wiernym i rzetelnym sojusznikiem — Trzecią Międzynarodówką” (108-9). O stanowisku kongresu, czy raczej jego organizatorów i kierowników, wobec tej deklaracji i jej autora świadczyła odczytana przez Bela Kuhna rezolucja, mówiąca w punkcie 3-im o konieczności szczególnej ostrożności w stosunku do wodzów, którzy w przeszłości w interesie jednej z imperialistycznych grup wiedli na rzeź tureckich chłopów i robotników:

„Zjazd proponuje owym działaczom aby czynem wykazali, iż są gotowi służyć obecnie ludowi pracującemu i wyrównać swoje dawne fałszywe kroki” (117).

Bezpośrednio po deklaracji Enwera, na kongresie odczytana została inna deklaracja również solidaryzująca się z kongresem, ale w tonie nieco powściągliwszym. Złożona była przez Ibrahima Tali w imieniu rewolucyjnego rządu anatolijskiego w Angorze (Ankarze), na czele którego stał Mustafa Kemal Pasza, później Ataturk. Rywalizował on w Turcji z Enwerem jeszcze podczas wojny światowej i jego gwiazda wschodziła równie szybko jak gaśła gwiazda Enwera. Obecnie miał za sobą rewolucyjny rząd w kraju i armię odnoszącą coraz większe sukcesy, wówczas Enwer musiał legitymować się dość egzotycznym i wątpliwym mandatem z Maroka czy Hindustanu. Gdy Enwer po kongresie wrócił do Moskwy, rząd sowiecki przez pewien czas się

wahał i usiłował doprowadzić do porozumienia Enwera z Kemalem. Nic z tego nie wyszło, gdyż Enwer uważał, że Kemal winien mu się podporządkować jako bardziej doświadczonemu i popularnemu wśród mas. „Każde dziecko muzułmańskie zna imię Enwera Paszy, a Mustafy Kemala nikt nie zna w kraju ani za granicą”, mówił.

Wówczas gdy w Moskwie toczyły się na ten temat targi, w Warszawie 5 listopada 1920 Kirimer został przyjęty przez Piłsudskiego i złożył mu „wyrazy szacunku i pozdrowienia przesyłane osobiście przez Talaata Paszę i Enwera Paszę”. Talaata Paszę, wspomina Kirimer, Piłsudski „znał bardzo powierzchownie, natomiast Enwer Paszą zainteresował się bardzo. Wypytywał o jego stan zdrowia, jego myśli i zamiary”, a przy pożegnaniu miał prosić „o pozdrowienie i złożenie serdecznych życzeń” (48-9).

Tymczasem w Moskwie szala przechylała się na rzecz Kemala i 16 marca 1921 został z nim zawarty oficjalny traktat (*Dok. wn. pol.*, t. 3, 597-607). Enwer wyciągnął z tego daleko idące, lecz na razie nie ujawniane, wnioski. Toteż, gdy wyraził życzenie pojechania na Kaukaz, otrzymał do dyspozycji salonkę. Proszono go jednak o powstrzymanie się od jakiegokolwiek anty-kemalowskiej akcji. Enwer obiecał, lecz nie dotrzymał i, po skontaktowaniu się w Batumie ze swymi zwolennikami, zaczął szykować przewrót polityczny w Turcji. Nie uszło to uwadze policji i gdy Enwer usiłował przekroczyć granicę turecką, władze sowieckie mu to uniemożliwiły, proponując powrót do Moskwy. Enwer oświadczył, że chciałby jeszcze zobaczyć się ze swym przyjacielem Dżemalem Paszą, który przyjechał z Afganistanu na polowanie w Bucharze. Istotnie latem 1921 Enwer zgłosił się u sowieckiego przedstawiciela w Bucharze, który jednak wkrótce potem stracił z nim wszelki kontakt.

Sytuacja polityczna w Bucharze była wówczas dość skomplikowana. Przed wojną i rewolucją było to na wpół niezależne państwo i jej Emir był wasalem Cara. Został obalony dopiero we wrześniu 1920 i odtąd w Bucharze teoretycznie rządziły miejscowe sowiecy, w pełni popierane przez Rosję. Wśród miejscowej ludności szerzył się jednak antysowiecki ruch tzw. Basmaczy. Enwer stanął na jego czele i przez prawie rok dość skutecznie walczył ze stopniowo okupującymi kraj oddziałami Armii Czerwonej. Spodziewana pomoc afgańska, czy nawet angielska, nie była dość wydatna i przewaga sił rosyjskich rosła. W nocy na 14 czerwca 1922 w okolicach Derbentu doszło do większej bitwy oddziału Enwera z dywizją generała Kakurina. Przewaga liczebna i techniczna (artyleria) spowodowały klęskę Basmaczy, którzy rozpierzchli się w kierunku granicy afgańskiej. Ku niej też posuwały się planowo oddziały czerwone. 4 sierpnia 1922 jeden z takich oddziałów, liczący około stu jeźdźców, wszedł do wąskiej górskiej kotliny, gdzie liczna gromada Basmaczy prowadziła jakieś obrady. Gdy dostrzegli czerwonych, chwycili za broń i wyparli ich z kotliny. Niedługo jednak, zaalarmowany strzelaniną, nadszedł liczniejszy oddział sowiecki i w kotlinie rozpoczęła się

zaciepła walka wręcz, wspierana przez sowieckie działo. Czerwoni odnieśli zwycięstwo, utrzymując pokrytą trupami kotlinę. Resztki Basmaczy uszły do Afganistanu.

Wśród zwłok w tubylczych wschodnich szatach wyróżniały się jedne w długich butach, obcisłych bryczesach i zapiętym pod szyję niebieskim mundurze. Na jednym z palców ręki był cenny sygnet. W kieszeniach były trzy listy z Berlina, notatnik oraz bruiliony rozkazów pisanych po turecku. Na tej podstawie utożsamiono zwłoki Enwera. Pochowano je na miejscu w nieoznaczonym grobie, zaś znalezione przy nich przedmioty przekazano do wojskowego muzeum w Taszkencie.

Tak, na podstawie informacji generała Kakurina i innych dygnitarzy sowieckich, opisuje śmierć Enwera Paszy Louis Fischer w rozdziale „Story of Enver Pasha” w tomie pierwszym *The Soviets in World Affairs*, twierdząc, że wersja jakoby jego głowę obnoszono następnie po ulicach Samarkandy oraz inne romantyczne legendy opowiadane o życiu i śmierci Enwera nie odpowiadają prawdzie.

Wiktor SUKIENNICKI

POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.
Tel.: 370-2210.

Książki

Dziś, przedwczoraj, wczoraj, jutro...

Dzisiaj

Przeglądając onegdaj jakiś tygodnik krajowy natrafiłem tam na dziennikarski felieton z dzisiejszej Polski, obrazek z jej prowincji, podbeskidzkiego skrawka Dzikich Pól. Była tam historia o koniu ze złamaną nogą. Ano, jakiś nieuczony kierowca samochodu, który poniesiony pasją motoryzacji wybrał się tam swoim wartburgiem czy pobiędą na wycieczkę, zderzył się z chłopską furą zaprzęzoną w jednego konia i w rezultacie nieszczęsne zwierzę zostawił ze złamaną nogą. Obrazek z *mondo cane*.

Felieton był z kategorii tych gromkich, piętnujących niedołęstwo, brak decyzji, upominających się o porządek, prostowanie krzywd, nawołujących do podejścia do tego rodzaju spraw rzeczowego i rozsądnego i ludzkiego. Bo jakże tu, u dyszla przychylonego do rowu wozu stoi przecież na widoku ludzkim koń ze złamaną nogą, a więc sytuacja i patetyczna i domagająca się natychmiastowego rozwiązania, interwencji. Koń ze złamaną nogą jest skazany na doraźną, prędką śmierć. Nawet cennym, rasowym koniom wyścigowym strzela się wtedy w łeb. Tylko że tu nie było z tym tak łatwo. Było w tym sprawozdaniu o tym że najbliższy zaalarmowany posterunek M.O. wysłał, oczywiście, na miejsce swego przedstawiciela. Ten jednak skonstatował że wypadek zdarzył się na terenie, który nie podlegał jurysdykcji powiatu gdzie mieściła się jego komenda, a więc nie miał prawa czy autorytetu interweniować w tej drażliwej sytuacji, użycia dla humanitarnych celów swej broni służbowej. Do właściwej egzekutywy porządkowej tego terenu było wiele mil. Tak więc koń ze złamaną nogą stał tam dzień cały, a pewnie i noc, i gdyby ktoś

chciał bardzo zlitować się nad nim to i tak nic by tu nie zrobił, bo niby jak?

Działo się to w miejscu gdzie trzydzieści lat przedtem porzucona broń walała się wszędzie i mógł ją każdy podnieść, a kulę z niej wpakować bez ceregieli — co tam koniowi — byle człowiekowi.

Przed-przedwczoraj

W Wenecji, w roku 1653 wyszła spod prasy tamtejszych tłoczni książka której autorem był Natan Hanower, syn Mojżesza Hanowera Aszkenazego z Niemirowa. Żydzi, którzy od czasu Henryka Pobożnego znaleźli w Polsce schronienie, nadawali krajom swej Diaspory biblijne nazwy, wzięte z mowy sprzed dwu tysięcy lat. Niemcy nazwali od miana Fenicji Corfath. Sephard to nazwa Bosforu przeniesiona na Hiszpanię. Aszkenaz było imieniem własnym północno-azjatyckiego ludu i tym nazwali kraje słowiańskie, nazywane także przez nich Ziemią Kanaan.

Książka Natana Hanowera jest historią spraw, które zaszły pięć lat przedtem na tej ziemi — terenie pierwszej części powieściowego tryptyku Henryka Sienkiewicza. W tej relacji o straszliwym całopaleniu, wojnie religijnej zażętej od co tylko wygasłego pożaru Wojny Trzydziestoletniej, o piekle rzezi w Niemirowie, Tulczyniu, Zasławiu, Konstantynowie, Barze, Piławcach, Ostrogu, Korcu, Połonnem rozpisywali się inni autorzy ówczesnych kronik, latopisów i pamiętników, nie szczędząc obrazów okrucieństw, pastwienia się, z pedantycznymi opisami wbijań na pał, gwałtów, pożarów, ludobójstwa. Natan Hanower wyliczając tysiące męczenników nigdy nie zaniedbał w zdaniu wtrąconym dodać „niechaj Pan w niebiosach pomści ich krew”. Zawsze przy imieniu króla polskiego dodawał „oby Pan wzniósł, majestat jego”. A kiedy przychodziło mu wymieniać Bohdana Chmielnickiego, herbu Abdank, a jakże, przedtem pisarza zaporoskiego a potem hetmana kozackiego (bo atamanem kozowym nie mógł być, jako że warunkiem wyboru na kozowego było iż kandydat miał być niepiśmienny), to zawsze z nieodzownym „oby wymazane było imię jego”.

Czy Natan Hanower, spisujący pod italskim niebem swą ukraińską historię był jej świadkiem naoczny? A może słuchał tylko wieści opowiadanych trzęsącymi się wargami tych co ocalili? A może do realistycznych i akurdatnych opisów posłużyły mu sztychy, w których współczesny mu Jacques Callot ukazał tak dojmująco okrucieństwa i potworności niedawnych wojen religijnych na Zachodzie?

Zadziwia epizod jakby żywcem przeniesiony z Ukrainy do powieści wywodzącego się stamtąd pisarza, który wprawdzie tam urodzony poszedł w świat, zapatrzył się w piramidy żagli, w dalekie miraży wysp, w zwierciadła mórz i oceanów, przyjął obcą mowę, by w wieku dojrzałym zabrać się do spisywania opowieści o tym innym świecie, poobwlekany w mgły, rozhuśtanym tajfunami i zastygłym w bezruchu cisz morskich, by ukazać innym uniwersalność cnót honoru i wierności. Ale skąd zadziwiająco w swym „Nostromo” wskrzesił z nicości postać jakiegoś żydowskiego męczennika? Był nim Senor Hirsch, handlarz skór z Sulaco, nad którym znęca się uniwersalny prototyp nieludzkości. Czyżby pisarz z dalekiej domowizny zachował w pamięci opowieści i legendy zasłyszane kiedyś po chałupach, czworakach, na jarmarkach, u wejść do cerkwi, przy tołokach, czy bajdurzone przez nianię?

Ale i współczesnym mu Ukraina była już niewyraźna, daleka i romantyczna. Ten jej romantyzm, te tęsknoty za nią, dumki, wieczernycie i haiwki, i tak dalej, były bardzo zawsze w modzie i młody Henryk Sienkiewicz kiedy w Warszawie początkował jako dziennikarz i pisał sprawozdania z warszawskiego karnawału dla swej gazety, nadmienia o tym jak zjeżdżające tam i olśnione Warszawą po prowincjonalnych balach kijowskich, berdyczowskich i odeskich kontraktów panny na wydaniu, córki ukraińskich obszarników, i tych urodzonych i tych dorobkiewiczów co urodzonych wyzuli z ich czarnoziemiu i cukrowni, te panny kokietowały tęsknotą za bezbrzeżną Ukrainą, stepami, kurhanami — „a hakami by ich na tę Ukrainę z warszawskiego karnawału nie wywlókl”, pisał młody Sienkiewicz.

Bo naprawdę jednak jest tak, że ziemia tamtejsza w jakiś sposób uwodzi, chciałoby się powiedzieć że biją w niej jakieś kastalskie źródła natchnień, jeżeli wybaczoną mi będzie klasyczna uroczystość tej paraleli. Nawet teraz, kiedy na jej daleki bezkres spadła zasłona nie do przebiccia, kiedy wydawałoby się że odeszła, nie myśmy odeszli ale ona odpłynęła gdzieś, dokądś...

Przedwczoraj

Choć zabij, nie pamiętam co to był za film na który wybrałiśmy się wtedy, bo to było przecież dawno, lata temu, przedwczoraj. Może to była „Ekstaza” (z Heddy Lamarr), prototyp niewinny w porównaniu z tym co można teraz sobie oglądać. A może był to *travelogue*, film podróżniczy, ukazujący znudzoną jednym miejscem daleki świat gór, mórz, dżungli, pustyni,

lodowców, palm, wiszących ogrodów, pałaców i metropolii, byle tylko z daleka od zasiedziałego.

Ale jak się przymuszę, zavezmę się, to sobie przypomnę co to było. Tylko komu mam to opowiedzieć, przedstawić po tylu latach? Po takim przedziale czasu? Za takim rumowiskiem spraw i dzieł się jakie mnie od tamtego przedzielają i odgradzają. Zapytają, a cóż to za waśniak jakiś popisujący się tym wszystkim? Ale może z grzeczności, uprzejmości, delikatności, dobroci nie zbęda, nie odwrócą się, nie wzruszą ramionami, zechcą nawet pomóc. I zapytają także oczywiście. A przepraszam, jak godność? A z których to? Tyle lat, pan wybacz...

We Lwowie — „w mieście Lwowie, w sławnym mieście, w każdym domu okien dwieście, w każdym oknie piękna pani, za sto koron suknia na niej...” we Lwowie był tak zwany Teatr Skarbkowski. W tymże teatrze, po dniach chwały, kiedy już jej więcej nie stało, kiedy tak zwaną świątynią Melpomeny stał się nowy w stylu wiedeńsko-burżuazyjnym teatr z kopulastą sylwetą, wysztuczonymi gabarytami, posągami muz z palmowymi liśćmi w rękach, ten pierwszy był zapomniany, z czarną czeluścią łuków *porte cochère* i wykorzystano go utylitarnie pomieszczając w nim kino. Kino Lew, KINO LEW, i ten lew figurował stale u nagłówka jednej z kolumn gazetowych, reklamując aktualny program na ekranie. Figurował tam przez całą szerokość płachty gazetowej, kroczył tam wydłużony, na solidnie postawionych łapach z ogonem zwieńczającym esowato potężne lwie barki i tułów. Tylko ciężki, obramiony wspaniałą grzywą łeb zwracał ku admirującym jego lwia potęgę, z twarzą namarszczoną i starczą, lwia, groźną i łagodną zarazem.

To jemu, zredukowanemu do roli famulusa, kazano zawsze podtrzymywać kartusze herbowe, jego lwiej paszczę przydano pierścienie i kołatki u bram, zdobiono nią guzy mundurów i podpinek u hełmów. Jego pazurzaste łapy zakańczyły nogi krzesel kurulnych i kanap w stylu Récamier. Uskrzydłony w symbolu Ewangelisty będzie przywłaszczony przez chytrą, potężną, kupiecką republikę, od niego zapożyczą nazwy dla dynastii i państw, Castilla y León, albo wywiodą wspaniały przydomek Lwiego Serca. Rzyga krwią kiedy na asyryjskich płaskorzeźbach z boków jego sterczą powtykane w nie włócznie. Herkules rozdarł mu na ogrodowej rzeźbie szczęki i zdarłszy zeń żywcem skórę zwiesza ją sobie z barków, podpierając się sękatą pałą. Rozpalonymi do czerwoności żelazami wypędzą go z lochów na przeraźliwy blask areny, by podał tam na komendę „servus!” łapę Androklesowi i będzie jeszcze musiał z wdzięcznością polizać rękę pana kolczasym lwim językiem. Pokazują go na monetach, na pieczęciach, podpierają balkony, wartuje u podejść i schodów, zwieńcza tym-

panony, przyozdabia naczynia i wazy, a nawet urywały. Grubo to on zapłacił za tę przystojność jaką obdarzyła go natura, wszędzie teraz pokutuje ten o kudłatej grzywie nie tyle król co kłown świata zwierzęcego.

A naprawdę to przecież tylko duży kot, tchórzliwy i leniwy, namarszczony ale łagodny. Najchętniej wysypiałby się całymi dniami, polowanie zostawia lwicom swego haremu, które dobrze muszą się napracować, kiedy zgrają ścigają i naganają coś na stół władcy. A najczęściej żyje ścierwem, odpędziwszy od niego złe hieny.

No dobrze. Wielka sala skarbkowskiego teatru była odrapana z dawnych, galicyjskich splendorów. Nie zostało ni śladu z łóż, pluszów foteli, balkonów, galerii, portier, złocień, pilastrów, najrozmaitszych fidrygałków przystających stylowi galicyjsko-biedermajerskiemu cesarstwa, żadnych tu kinkietów, lamp, żyrandoli, gołe, pionowe ściany, odrapane ale w nikłym świetle i tak to nie widać bardzo. Tylko widownia z rzędami krzesel na parkiecie i mrocznym cieniem plafonu. Nieliczni o tej porze popołudniowej widzowie, kinomani jak i my, ja i ona, wreszcie światła się ściemniają i na prostokącie ekranu pierwsze kolorowe litery taniej reklamy przed filmem.

A że zapomniałem co to tam było na tym przedwczorajszym ekranie to niech już będzie *travelogue*, temat zawsze z dalekich podróży, więc o drogach, o widokach z nich przywiezionych. Takim idealnym sprawozdawcą z tych podróży któż to będzie? Oczywiście Sienkiewicz, taki pan Sienkiewicz, którego córki Sienkiewiczówny brały lekcje u naszej matki, on sam był maszynistą kolejowym. Bo dbał, by mu dzieci w czasie tej wojny bez nauki, szkół, świadectw nie wyrosły dziczkami.

Sienkiewicz mieszkał w domkach kolejowych przy stacji węzłowej, skąd rozchodziły się odnogi, na wchód, przez Husiatyn, Jarmolińce, Żmerynkę, na południowy-zachód przez Czortków, Buczacz, Monasterzyska na Stanisławów, na północny-zachód przez Mikulińce, Strusiów, Trembowłę. Tarnopol do Lwowa. A miejsce było w ogóle rozdrożem, którym przetaczały się wszystkie armie, zaciągi, pochody, marsze, treny, forszpany, zagony, watahy, („Sława Melnykowy i jeha Kozakam!” na transparencie wpoprzek ulicy), tabory, podwozy, gruzowiki. Na stacji, na tyłach magazynu towarowego odbywały się na prędcie egzekucje, rozstrzelano tam dzień w dzień ludzi, za coś, za jakieś niewiadome winy i zbrodnie, a może by wzbudzić postrach dla jakiejś chwilowej, chwiejącej się na glinianych nogach władzy politycznej.

Pan Sienkiewicz wytaczał z na poły rozwalonej pociskami parowozowni, takiej stajni dla parowozów-ogierów, cielsko ma-

szyny na obrotnicę a potem pod rampę. Tu piętrono na tendrze zwały polan, węgla już dawno nie było, wreszcie pod cysterne, z której zakrzywiona fajkowato rura przelewała do zbiorników wodę, aż przepełnione ściekały jej nadmiarem po blasze. I w świat! Cóż to nam pan Sienkiewicz przywoził z tego świata? I owszem, pamiętny na rodzinę, a także na naszą matkę która dawała lekcje jego córkom, jakże zdrowym, tryskającym życiem, młodością, z bijącą od nich dziewczęcnością, przywoził jakieś z okazji podróży wyhandlowane, wyszabrowane wiktuały, materiały i umiał po dzielić się tym z innymi w czasie tej „smuty” i braków.

Czy z podróży tych przywoził jakieś opowiadania, relacje o pięknie widzianych z pokładu lokomotywy wzgórz, łąków kwitnącej hreczki, oczeretów, stawisk, gajów i wertepów, o kolo-rach słoneczników i malw na tle lepionych ścian chałup pochowanych w kępach drzew, o czereśniach i pasiekach na cmentarzach przycerkiewnych, weretach bielonych na błoniu nad wodą, złocień stogów użatku, o porośniętych zielenią mchu łopatkach i szprychach młyńskiego koła znieruchomiłego pod stawidłem?

Czy też o tym jak pociągi godzinami stały u rozmytych nasy-pów, a w wagonach, na ich dachach i złączach powieszane tłumy, rozpacz, hamulcowi to pouciekali, w niektórych wagonach „pali się oś”, para w kotle nie podnosi się i strzałka manometru ani drgnie, a nad karkiem stoją mu z naganem, a za lasem łąna pożaru palącej się wsi, wzdłuż toru nieopogrzebane trupy końskie i mijane stacje to pogorzelska z poopalanymi kikutami drzew i most położony na prędcie na pokrzywionych, sterczących z wody stalowych belkach starego wysadzonego i u słupa semaforu, z jego zwicniętymi bezradnie ramionami na drucie kołyszze się wisielec...

Wczoraj

Więc jak to było z tymi źródłami kastalskimi natchnień tej ziemi? Te krynice, „kiernycie” inspirowały tylu piszących: Vincenz, Wołoszynowski, Bogusławski, Iwaszkiewicz, Choromański, Stempowski Jerzy, Buczkowski, Kuśniewicz, Lem, Szolginia, tylu innych. O wczorajszym pisze o niej najmłodszy — Włodzimierz Odojewski w swym „Zasypie wszystko, zawieje...”

Wszyscy oni, jak tata Sienkiewicz-maszynista, zabierają nas w podróż sentymentalną po tej ziemi, oglądanej przez muślin wyobraźni, mającej się jakby to była jakaś daleka Ultima Thule, albo obraz innej, wymyślonej przez jakiegoś autora fantazji naukowej planety, zagubionej w przestrzeni i w czasie.

Dzisiaj, przedwczoraj, wczoraj, jutro...

Tu chciałbym powtórzyć to co ten jakże nieprzyjemny, obleśny, łasy na beneficja i prebendy duchowny, czuły na rozgłos i sukces towarzyski autor „Podróży sentymentalnej” umiał jednak powiedzieć:

„Co tu ubierać w słowa! Czas przemija, jakże chyżo! Kiedy piszę to z jakimże pośpiechem ten czas ściga pióro, którym wędzę te litery. Jego dni, godziny — Heddy Lamarr, Kochanie — beczenniejsze niż perły wokół twej szyi, przelatują nad naszymi głowami jak nikle obłoki pędzone wiatrem, by już nigdy więcej nie nawrócić. Wszystko tak goni, przegania się — kiedy kręcisz w palcach swój loczek! widzisz! siwieje... Niech Bóg zlituje się nad nami obojgiem...”

Jutro...

Zygmunt HAUPT

„Poland” Mariana Brandysa

Marian Brandys jest tym historykiem, który docieklivość badacza łączy z talentem ukazywania postaci w sposób na tyle przykuwający uwagę czytelnika, że przenosi go w niemal w opisywaną epokę. Brandys przedstawia dzieje ludzi i ulubionych przez niego okresów metodą tak dalece odbiegającą od tradycyjnego pisarstwa i powieściopisarstwa historycznego, że stanowi w literaturze polskiej zjawisko unikalne. Oczywiście ten typ pisarstwa nie jest pomysłem oryginalnym, niemniej w literaturze polskiej Brandys jest niekwestionowanym mistrzem tego typu warsztatu.

Wydawać się by mogło, że książki Brandysa mogłyby pełnić nie tyle jaką rolę w nauczaniu historii. Ileż to już naurągano nudnym belfrom, którzy poprzez wyzmaczki podręczników i programów szkolnych włączali do głowy uczniów daty i wydarzenia, z których nie pozostał ani ślad ani wspomnienie. Czyż w tych warunkach Marian Brandys nie byłby wymarzoną autorem książek, z których spoglądałyby nie manekiny historii, ale żywi ludzie, których uczynki poruszyłyby mózgi najbardziej pozbawionych wyobraźni hebesów szkolnych?

Niestety — nie. Z dwóch ważnych powodów. Brandys kocha tylko niektóre epoki historyczne i chyba najbardziej Księstwo Warszawskie i czasy napoleońskie. Pisanie o najnowocześnie-

szych dziejach ojczystych jest dla niego niemożliwe jeszcze i z innego powodu. Z tego samego — dla którego nie można i długo jeszcze nie będzie można wydać w PRL „Historii Komunistycznej Partii Polski”: ładunek kłamstw, zawartych w tego rodzaju dziełku celem zadowolenia Wielkiego Brata, mającego najwięcej w tej sprawie do powiedzenia, przekraczałby prawdopodobnie granice wytrzymałości nawet wybitnych aktywistów partyjnych. O zwykłych czytelnikach nie wspomnę, bo ci i tak by tego nie czytali. Ale to najmniej ważne, bo w Polsce wiele książek oddaje się do druku, ale nie do czytania.

Mimo to Marian Brandys napisał książkę pt. „Poland”, wydaną po angielsku w Stanach Zjednoczonych. Obejmuje ona na 156 stronach tysiącletnie Polski i przeznaczona jest na ewentualny użytek młodszych roczników amerykańskich *college'ów*. Książkę opublikowało wydawnictwo „Doubleday”. Nie ma jej na półkach księgarskich i trzeba ją zamawiać w centrali wydawnictwa, w Garden City. Książkę wydano w ładnej szacie, z licznymi ilustracjami. Nakład jest przypuszczalnie niewielki, bo na masowego czytelnika firma nie liczy, ale „Doubleday” ryzyka handlowego nie ponosi, ponieważ wydawnictwo finansował ktoś inny. Kto — nie trudno się domyśleć. W wyobrażeniu warszawskich zamówiodawców książki „Poland”, młody odbiorca amerykański — to taki, któremu najzupełniej wystarczy kondensat papki historycznej, przyozdobionej kilkunastoma anegdotkami. Coś pośredniego pomiędzy podręcznikiem historii a komiksem. I to można by wybaczyć panom z „Towarzystwa Łączności Polonii Zagranicznej”, biorąc pod uwagę rzeczywistość niezbyt wysoki poziom studentów młodszych roczników — przynajmniej niektórych amerykańskich *college'ów*. Ale właśnie dlatego, że wiedza tych ostatnich o Polsce jest równa wiedzy polskich maturzystów o Patagonii, inicjatorzy książki Brandysa uznali, że dzieje Polski — to teren, na którym można sobie niefrasobliwie pobrykać, nie dbając o prawdę, za to przetykając opowieść dykteryjkami na temat polskiego humoru, polskiej fantazji i polskiego bohaterstwa.

Nie wydaje się jednak, żeby przy zatłoczonym amerykańskim rynku księgarskim książka Brandysa mogła znaleźć wielu amatorów. I dlatego czytelnikowi dawniejszych książek Brandysa nasuwa się natychmiast pytanie: *Po co autor ją napisał?* Dlaczego tego wdzięcznego dzieła nie podjął się Zbigniew Załuski? Pewno woleli Brandysa. Nic dziwnego — kaliber zgoła inny.

Kiedyś dawno, dawno temu, gdy Gomułka przeżywał swój krótki miodowy miesiąc z narodem, przypomniał rzecz starą jak świat: że 50% prawdy jest gorsze od całego kłamstwa. I chyba miał rację, bo jak ktoś kłamie w 100%, to można go podejrzewać o nadmiar wyobraźni, ale gdy tylko w 50% — to na pewno jest fałszerzem. Nie wiadomo po co to wówczas Gomułka powiedział, skoro w miarę lat redukowało procenty prawdy, ale to ostatecznie jest sprawą komunistycznych polityków, których profesją jest kłamstwo. Natomiast pisarz w PRL

* Wydawnictwo „Doubleday & Company” Inc. Garden City, New York.

nie musi, jeśli nie chce, pisać ani 10- ani 20-procentowej prawdy. I nie ma przy tym potrzeby łamać pióra. W każdym razie nie musiał tego robić Marian Brandys, który w swych ulubionych zakątkach historii był wolny od szykan cenzury. Wystarczyło tylko oprzeć się nowym pokusom. Jeśli Marian Brandys dał się nakłonić do napisania „Poland” na użytek zbliżenia pomiędzy Polonią amerykańską a PRL, to niech postara się w Polsce o maksymalną anty-reklamę swojego dzieła. O Amerykanów niech się zbytnio nie martwi, bo mało kto tutaj tę książkę przeczyta.

Z książki Brandysa można się mimo wszystko sporo dowiedzieć o historii Polski. Ale przeważnie tej odległej, która dotyczy dziejów politycznie „nie zaminowanych”. A więc Chrzest Polski, Mieszko, Dąbrówka, Rozbicie Dzielnicowe, Krzyżacy, Złoty wiek Jagiellonów, a nawet panowanie Stanisława Augusta, któremu — jak pisze autor — „nigdy nie zapomniano, że został wprowadzony na tron przy pomocy obcych bagnatów”. No cóż, słówko zabrzmiało ryzykownie i aluzyjnie — ale tylko dla obywatela PRL, do którego książka nie trafi. Ten pomyślałby sobie: „Ot, były czasy. Teraz załatwia się takie sprawy przy użyciu czołgów”. Młodemu Amerykaninowi w *college*, jeśli do książki zajrzy, żadne porównanie się nie nasunie, bo z lektury Brandysa dowie się tylko, że Polska przez wieki była źle geograficznie położona, co powodowało — jak pisze autor — liczne wojny z agresywnymi sąsiadami, lub powstania przeciw zaborcom. Ale to było dawno temu — do końca II Wojny Światowej. Potem, jak wiadomo, położenie geograficzne bardzo się polepszyło.

„Polacy — są dziwnym narodem — powiadają odwiedzając Polskę cudzoziemcy. Może ta książka wytłumaczy to wrażenie” — pisze na pierwszych stronach Brandys. W istocie nie bardzo się stara ową „dziwność” wyjaśnić, choć w innym miejscu wraca do „dziwności” Polaków w kontekście nieco zaskakującym. Wspomina, że pod murami krakowskiego barbakanu umieszczono mogiły tych sowieckich saperów, którzy „oddali swe życie, rozbrajając niemieckie miny, by ratować jagiellońskie zabytki”. „Takich historycznych konfrontacji — pisze Brandys — jest w Polsce sporo. Może dlatego cudzoziemcy uważają Polskę za dziwny kraj”. W tym samym rozdziale Brandys pisze, że „dzięki taktycznemu manewrowi Armii Czerwonej w roku 1945 Kraków uniknął zniszczenia. W nagrodę za to dowódca Frontu Południowego, marszałek Iwan Koniew, otrzymał honorowe obywatelstwo od Rady Miejskiej”. I znów czytelnik w Polsce powiedziałby: „Mój Boże, żeby to tylko skończyło się na honorowych obywatelstwach sowieckich marszałków łącznie z generalissimusem”. Ale Amerykanin, gdy przeczyta, wzruszy się w miarę swych amerykańskich możliwości i uzna jak to szlachetne było ze strony Iwana Koniewa ratowanie starożytnej stolicy Polski i jak pięknie postąpiła Rada Miejska, nadając mu honorowe obywatelstwo. A jak sprawa Warszawy i jej zabytków, nie mówiąc już o innych drażliwych szczegółach?

Warszawa i Powstanie Warszawskie omawiane są przez Brandysa na wielu stronach, choć ze zrozumiałych względów autor wyczerpuje sprawę w bohaterских epizodach. O założeniach politycznych i skutkach powstania nie mógł przecież pisać. Nie mógł sobie pozwolić na to, aby w najdyskretniejszej choćby formie dać do zrozumienia, że Stalin nie życzył sobie Niepodległej Polski. Z podobnych względów nie mógł Brandys poinformować czytelników, że rząd sowiecki poszedł jeszcze dalej: nie tylko nie pomógł powstańcom, ale sprzeciwił się, by samoloty alianckie, zrzucające pomoc dla powstańców i wracające z powrotem do Włoch, mogły lądować na urządzonej dla amerykańskiego lotnictwa bazie w Poławie.

Tego wszystkiego i wielu innych rzeczy nie mógł Brandys napisać i taka jest cena nie połowy ale znacznie większej części prawdy, którą zapłacił za wydanie swej książki. Cenę tę płaciło i płaci wielu pisarzy PRL. Godzą się ponosić ją w zamian za przywilej publikowania nawet najbardziej pokaleczoną przez cenzurę i organy partyjne książki, byle trafiła ona do rąk czytelnika. Ale motywy, które skłoniły Mariana Brandysa do napisania sfalszowanego przewodnika po dziejach Polski, są jeszcze bardziej zagadkowe. Jeśli książkę poświęcam tyle uwagi, to nie tyle ze względu na jej wartość, która jest znikoma, ale ze względu na dotychczasowy dorobek literacki autora. Bo akurat w tym miejscu przypomina mi się ustęp z opowieści „Bliźniak”, który opublikował w *Kulturze** autor z Kraju podpisując się pseudonimem „Korab”. Wątek „Bliźniaka” jest sprawa „antysjonistycznej” i antyintelektualnej nagonki z lat 1968-70, której ofiarą pada najtragiczniejsza postać opowiadania — działacz partyjny Piński. Poza nim, na marginesie opowiadania występuje pisarz polski Kamiński, który z potężnym wówczas generałem Moczarem ma również porachunki. Kamiński mówi o sobie tak:

„Czy my, z naszą gonitwą myśli, jesteśmy normalni? My, którzy, żeby nie bić łbem o mur łykamy librium, elenium, relanium czy jak się te środki nazywają...? Pisać jako murzyn, albo kreować jakiegoś fikcyjnego autora, podstawionego. Niektórzy mówią: nie dają ci paszportu — to emigruj. Dlaczego? Dlaczego właśnie ja? Tego przecież chce pan Moczar, więc już choćby dlatego — nie! I co ja mam robić na emigracji? Moje hobby literackie, to Księstwo Warszawskie. Mam wspaniały zbiór książek o tym okresie. Wiem o nim wszystko. Nie znam lokali dziesiętej Warszawy, ale w prusko-napoleońskich orientuję się doskonale. Pytam: komu to na świecie potrzebne?”

W kilka dni później — jak należy wnosić z toku opowiadania — Kamiński decyduje się ostatecznie nie poddawać się presji i pozostać w Kraju. Wydaje się jednak, że utrzymanie pozycji pisarza okupione zostało jakimś ciężkim dla niego kompromisem.

* Nry 9/300 i 10/301 z 1972 roku.

„Nie będę już nigdy tym Kamińskim, którym byłem. Wyrazam zgodę na niewiele. Byle żyć i pracować. Nie jest to bynajmniej postawa łatwa, taka zgoda na niewiele, małe zwycięstwa budzą tęsknotę za większymi, i wciąż trzeba sobie przypominać o tej filozofii na dzień dzisiejszy, kiedy się czyta, że ktoś odniósł sukces, że z kimś przeprowadzono wywiad, komuś dano nagrodę, ktoś noszony jest na rękach, tu pokazuje twarz, tam słychać głos, tam wymieniono, tam wspomniano a ty jesteś poza tym wszystkim, zepchnięty na margines, jak obcy, jak 'liszeniec'; ale nie wolno się tym przejmować, trzeba zagłuszyć w sobie resztki infantylnych ambicji, trzeba powtarzać sobie, że wszystko marność, czytać Eklezjastę, przypominać sobie kim byłeś kilka tygodni temu, i nie mów, że ta zgoda na niewiele zdrodzona jest z przestrachu, nie, raczej z okrutnego doświadczenia”.

I dalej, po kilku refleksjach:

„Więc ginąłem, tonąłem i wydawało się, że nie ma ratunku. I naraz znalazłem się na mieliźnie, czuję znów grunt pod nogami, prawda, że nieco rozmiękły. Oddycham, pozwalają mi żyć, czasem ktoś podsunie mi loda, żebym sobie liźnął, i chociaż wiem, że już nigdy nie otrząsnę się ze smutku, myślę sobie: byle nie tonąć. Zgoda na niewiele — to więcej niż nic”.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, listopad 1974

„Iz pod głyb”

Ukazaniu się zbioru artykułów „Spod głązów” towarzyszyły konferencja prasowa, zorganizowana przez Aleksandra Sołżenicyna w Zurychu (napisał o niej bardzo malowniczo i ciekawie Józef Czapski w *Kulturze* Nr 12, grudzień 1974) i — tego samego dnia — konferencja prasowa, zwołana przez Igora Szafarewicza w Moskwie. Już to tylko mogłoby wywołać zainteresowanie książką, o której Sołżenicyn powiedział: „Takiej nie było w Rosji od pół wieku”.

Tytuł książki, strona tytułowa, wywołują od razu wrażenie czegoś znajomego. Zapoznanie się z treścią zbioru to wrażenie potwierdza: autorzy umyślnie chcieli przypomnieć o dwóch książkach, których jakby przedłużeniem wydaje się być „Iz pod głyb”. Pierwsza z tych książek „Wiechi” („Drogowskazy”) — zbiór artykułów o inteligencji rosyjskiej — wyszła w Moskwie w roku

1909, druga — „Iz głąbiny” („Z otchłani”) — zbiór artykułów o rewolucji rosyjskiej, była przygotowana do druku w Moskwie w roku 1918. W książce „Iz pod głyb” — siedmiu autorów jak w „Wiechach” i jedenaście artykułów — tak jak w „Iz głąbiny”. Ale podobieństwo tych książek nie ogranicza się tylko do powyższych aluzji. „Wiechi”, których głównymi autorami byli: Nikołaj Bierdiajew, Siergiej Bułgakow, Piotr Struwe i Siemion Frank — były odzewem na nieudaną rewolucję 1905 roku i ostrzeżeniem dla rosyjskiej inteligencji. „Iz głąbiny”, której czołowymi autorami byli ciż sami czterej rosyjscy myśliciele — była odzewem na udaną rewolucję 1917 roku i gorzką konstatacją sprawdzenia się strasznych proroctw „Wiechów”. „Iz pod głyb” jest podsumowaniem wniosków 60-cioletniego istnienia porewolucyjnego państwa i ostrzeżeniem przed groźącym zniszczeniem kraju i narodu.

Z siedmiu autorów zbioru dwaj: Aleksander Sołżenicyn i Igor Szafarewicz — zamieścili po trzy artykuły, co razem stanowi więcej niż połowę książki. Sołżenicyna nie trzeba przedstawiać. Igor Szafarewicz — 50-cioletni matematyk, wybitny algebraista, członek korespondent Akademii Nauk i członek Komitetu Obrony Praw Człowieka w ZSSR. Po jednym eseju napisali do książki: 40-toletni cybernetyk Melik Agurskij, 31-letni historyk sztuki — Jewgenij Barabanow i 29-letni historyk Wadim Borysow. Dwaj pozostali autorzy podpisali się pseudonimami.

Niektóre z poglądów wyłożonych w książce są znane czytelnikom: przedstawiał je w swoich dziełach literackich i w swoich wystąpieniach publicystycznych, oraz w liście do wodzów Związku Sowieckiego, Sołżenicyn. W „Iz pod głyb” są one rozwinięte bardziej szczegółowo, a co ważniejsze przez kilku autorów. Dziś można stwierdzić, że poglądy Sołżenicyna to nie są tylko poglądy jednego człowieka, ale konkretnego ruchu umysłowego.

W krótkiej notatce trudno omówić całe bogactwo tematów książki, przedstawionych nierzadko bardzo wyraziście i — niezależnie od ogólnej wspólnej linii autorów — w sposób odmienny. Spróbuję wydzielić główne wątki. Przede wszystkim książka chce osiągnąć dwa cele: nawiązując do „Wiech” i do „Iz głąbiny”, przerzuca jakby most przez 60-cioletnią przepaść w przeszłość, aby mówić o przyszłości. Drugim celem jest polemika z innymi, najważniejszymi przejawami niezależnej myśli w Rosji w ostatnich latach. Książkę otwiera artykuł Al. Sołżenicyna pt. „Powrót oddechu i świadomości” — polemika z głośnym traktatem Sacharowa „Rozmyślania o postępie, pokojowej koegzystencji i intelektualnej wolności”; kończy ją artykuł I. Szafarewicza „Czy Rosja ma przyszłość?” — polemika z tezami Andrieja Almarika wyłożonymi w jego książce „Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?”. Autorzy zbioru polemizują i z innymi poglądami, wyrażanymi ostatnio w samizdacie.

Na tych dwóch płaszczyznach — nawrotu do idei „Wiechów” i polemiki z ich przeciwnikami — rozpatruje się w książce

„wieczne” tematy: Czym jest Rosja? Czym jest naród rosyjski? Jego miejsce i misja w świecie. Czym jest socjalizm? Czym jest inteligencja? Z tych tematów wynikają ich pochodne, które nabrały obecnie takiego znaczenia, jakiego nie mogły mieć przedtem: problem narodowościowy, stosunek do postępu, stosunek do demokracji.

Wiekowy spór rosyjski między „słowianofilami” i „zapadnikami” odnawia się w książce w tym samym miejscu, w którym został przerwany rewolucją — zwycięstwem — zdawało się wówczas ostatecznym — „zapadników”, tj. marksistów, bolszewików. „Iz pod głyb” to ostre, kateryczne odrzucenie Zachodu: zachodnich idei, zachodnich modeli społecznych. Odrzuca się filozofię, która przysłała z Zachodu: racjonalizm, pozytywizm, materializm. „Tak jak organizm odrzuca obce białko, tak dzisiaj następuje odrzucenie 'pozytywnych filozofii' i całej związanej z nią oficjalnej ideologii” (str. 152). Odrzuca się „racjonalistyczny humanizm”. W Marksie, Nietzschem, Freudzie „humanistyczny bunt ludzkości przeciw Bogu osiągnął swój teoretyczny szczyt. Totalitaryzm naszego wieku był tylko zastosowaniem teorii w życiu, praktycznym rezultatem humanizmu” (str. 204).

Odrzuciwszy teorie zachodnie, autorzy odrzucają również zachodnią praktykę: „Dzisiaj, demokracje zachodnie przeżywają polityczny kryzys i znajdują się w duchowej rozterce. I dzisiaj też mniej niż kiedykolwiek w minionym stuleciu dostrzegamy w zachodnim ustroju parlamentarnym *jedyn*e wyjście dla naszego kraju” (25). Jest to cytata z artykułu Sołżenicyna. Agurski, który w swoim artykule daje analizę współczesnych systemów społeczno-ekonomicznych, dochodzi do takiego wniosku: „Wielu ludziom wydaje się rzeczą oczywistą, że ustroje demokratyczne obecnego typu są same w sobie absolutnym dobrem... Dlaczego więc w państwach parlamentarnych tak wielu jest niezadowolonych...” (str. 82).

Fakt, że autorzy książki tak wyraźnie widzą wady zachodnich demokracji parlamentarnych nie oznacza naturalnie, że są zwolennikami totalitaryzmu. Wystarczająco przekonywująco wykazali to w swojej wściekłości z sowieckim totalitaryzmem. Na ich stosunek do demokracji typu zachodniego składa się kilka przyczyn. Jest wśród nich niedostateczna znajomość Zachodu i wpływ prasy sowieckiej, od którego niezmiernie trudno się wyzwolić (np. w artykule Agurskiego znajdujemy stwierdzenie, że „swoboda poruszania się wewnątrz kraju, wyjazdu i powrotu do niego może być łatwo wykorzystana przez przestępców, albo przez wrogie państwo totalitarne dla akcji szpiegowskiej”). Głównym jednak powodem odżegnywania się od demokracji typu zachodniego, jako drogi wyjścia dla Rosji, jest jej nieprzygotowanie do wolności: „Przygotowanie Rosji do takiego ustroju — pisze Sołżenicyn — bardzo niskie w roku 1917 — przez ubiegłe pół wieku mogło się tylko jeszcze bardziej obniżyć” (str. 25). Sołżenicyn szczegółowo wyklada swoje poglądy na ustroje autorytatywne, które krótko sformułował już w swoim „Liście do wodzów” i

które wywołały oburzenie na Zachodzie. W pierwszym rządzie Sołżenicyn zapytuje: „Jeśli Rosja przez wieki żyła w systemach totalitarnych, zaś w systemie demokratycznym przez 8 miesięcy, 1917 roku poniosła taką klęskę, to może — nie twierdzą tego, a jedynie zapytuje — należałoby przyznać, że ewolucyjne przejście naszego kraju od jednego systemu autorytatywnego do drugiego będzie dla niego bardziej naturalne, płynniejsze i mniej bolesne?” (str. 27). Bezbolesne... To słowo szczególnie dobrze wyjaśnia obawy przed nieostrożnym daniem swobody narodom sowieckim. Obawa związana przede wszystkim z tym, że ZSSR jest państwem wielonarodowym.

Z wielu artykułów książki mimo woli wynosi się wrażenie kraju-wulkanu; pod cienką skorupą zastraszonego reżymu kipi lava, która wyrwawszy się może swą niszczącą siłą wstrząsnąć światem. Kipiąca lava to problem narodowościowy. „W naszym kraju problem narodowościowy jest wyjątkowo nabrzmiały” — pisze Szafarewicz, i dodaje: „W okresie zamieszek nienawisć klasowa zapewne nie będzie mogła być tą zapałką, która podpali nasz dom, ale *narodowościowa* na pewno może” (str. 113). Koncepcje „Iz pod głyb” w sprawach narodowościowych różnią się — jak pisze Szafarewicz — od prawie wszystkich „samizdatowych” wypowiedzi na ten temat. Przyjętą w samizdacie linię Szafarewicz przedstawia następująco: „Wszystkie problemy życia narodowego narodów nierosyjskich sprowadzają się w ostatecznym rozrachunku do uciskania tych narodów przez Rosjan, przy jednoczesnym dążeniu do ich rusyfikacji. Obszary zamieszkałe przez te narody nazywane są rosyjskimi koloniami. Przed tymi narodami stoi wyraźny cel: uwolnienie się spod rosyjskiej kolonialnej władzy”. Koncepcja ta wydaje się Szafarewiczowi, Sołżenicynowi i wszystkim innym autorom artykułów, poświęconych problemowi narodowościowemu, zbyt prymitywna. Twierdzą oni, że naród rosyjski nie mniej cierpi od reżymu — jeśli nie więcej — niż inne narody; jego stopa życiowa jest niższa niż wielu innych narodów: gruzińskiego, ormiańskiego, ukraińskiego, łotewskiego czy estońskiego; w okresie kolektywizacji Rosjanie bardziej ucierpieli na skutek deportacji niż inni; niszczenie prawdziwej rosyjskiej kultury narodowej zaczęło się zaraz po rewolucji; cerkiew prawosławna podlega takim samym ograniczeniom i represjom jak i inne kościoły. Autor programowego artykułu w sprawach narodowościowych — Szafarewicz — wzywa do „uwolnienia się od pewnej sztancy myślowej, od nieprzemysłanego i niesprawdzonego przekonania, że zerwanie z Rosjanami i stworzenie samodzielnego państwa będzie dla każdego narodu automatycznym rozwiązaniem wszystkich jego problemów” (str. 107). Dla niego „zasadnicze cechy życia narodowościowego ZSSR są bezpośrednim skutkiem panującej u nas ideologii socjalistycznej. Ta ideologia jest wroga każdemu narodowi tak samo, jak jest wroga każdej pojedynczej ludzkiej jednostce”.

Odrzuciwszy „prymitywną koncepcję” dekolonizacji, uwolnienie spod rosyjskiej hegemonii, autorzy książki proponują

Ajdukiewicz po angielsku

Kto w latach trzydziestych studiował humanistykę we Lwowie musiał zachować w miłej pamięci sylwetkę Kazimierza Ajdukiewicza, filozofa ogromnego wzrostu i takiegoż uroku osobistego. Przed wojną Ajdukiewicz miał za sobą kilka poważnych publikacji, m.in. „Logiczne podstawy nauczania”, podręcznik propeutyki filozofii dla liceów, albo „Główne zasady metodologii nauk i logiki formalnej”, skrypt dobrze znany studentom ze ściślejszego grona przy profesorze. Swoją międzynarodową reputację uczony zawdzięczał przede wszystkim trzem rozprawom ogłoszonym po niemiecku w *Erkenntnis* i *Studia Philosophica*, z których na czoło wybijała się „Sprache und Sinn” (1934). Ajdukiewicz, podobnie jak w tym samym okresie Wittgenstein, zajmował się szczególnie sprawą znaczenia językowego. Nawet już jedna z jego wcześniejszych prac nosiła tytuł „O znaczeniu wyrażenia” (1931).

Ajdukiewicz z wielką umiejętnością wprowadzał swych uczniów w sedno badań. Na seminariach u niego w owych czasach czytało się „Die logische Syntax der Sprache” Carnapa, albo „Logik der Forschung” Poppera, na długo zanim dzieło to jako „The Logic of Scientific Discovery” zrobiło karierę w latach pięćdziesiątych na Zachodzie.

Jego książka, która obecnie doczekała się przekładu na angielski („Problems and Theories of Philosophy”, translated by H. Skolimowski and A. Quinton, Cambridge University Press, £ 2.90) ukazała się w Polsce jeszcze w roku 1949 jako „Zagadnienia i kierunki filozofii”, w obliczu rosnącego na sile stalinizmu.

Tematycznie wyrosła ona z problematyki, którą Ajdukiewicz przedstawił niegdyś z właściwą sobie jasnością w przedmowie do „Głównych kierunków filozofii” (1923). Postanowiwszy poprzedzić powtórnie wstępem powojenne wydanie owej antologii, autor spostrzegł wkrótce, że nowa wersja przybrała znacznie większe rozmiary niż to przewidywał. To skłoniło go do opublikowania jej jako osobnej książki. Składa się ona zasadniczo z dwóch części. Pierwsza obejmuje dyskusje z zakresu teorii poznania (np. zagadnienie prawdy, albo zagadnienie granic poznania, zwłaszcza w odniesieniu do Kanta), druga (nieco dłuższa) zawiera przegląd stanowisk w metafizyce. Tu autor omawia ontologię, pewne odmiany idealizmu, stosunek duszy i ciała w świetle różnych teorii, determinizm i indeterminizm, mechanizm i finalizm, wreszcie kwestie nieśmiertelności duszy i istnienia Boga.

Ajdukiewicz przygotowując ten nowy wstęp nie zamierzał dać w nim wyczerpujących analiz rozpatrywanych zagadnień i ich roz-

wiązań. Zastrzegł się on wyraźnie, że niejedno sformułowanie może się wydać niektórym czytelnikom niedostatecznie precyzyjne. Miał przy tym na oku głównie przeciętnego czytelnika i to takiego, który uzyskał już pewną orientację w przedmiocie. Nie jest to więc studium ściśle badawcze, lecz pozycja, która miała wypelnic znamienne lukę w polskiej literaturze filozoficznej.

Tłumacze książki, profesorowie Skolimowski i Quinton, zwracają uwagę na to, że praca ta wytrzymuje porównanie z „The Problems of Philosophy” Russella. Ale dzięki Russella, które wciąż jeszcze pokutuje na listach lektur uniwersyteckich, wydaje się dziś znacznie mniej atrakcyjne niż pół wieku temu. Ajdukiewiczowy przegląd zagadnień i teorii należałoby raczej uważać za istotne uzupełnienie w stosunku do podręczników tego typu co np. „An Introduction to Philosophical Analysis” Hospersa, gdyż pokrywa on dziedzinę, o których Hospers ma niewiele do powiedzenia. Miejmy nadzieję, że obecnie skorzystają zeń studenci brytyjskich i amerykańskich uczelni.

Tłumacze przypominają nam też o sławnej, a raczej bardzo niesławnej kontrowersji, jaka miała miejsce w latach 1952/53. Oto Adam Schaff, z polecenia Centralnego Komitetu, ostro zaatakował poglądy Ajdukiewicza, usiłując wykazać, że nie są one niczym innym niż zamaskowaną formą idealizmu. Idealizm filozoficzny w jakiegokolwiek postaci na równi z trockizmem, faszyzmem, syjonizmem i kapitalizmem, jak wiadomo, jest grzechem, który w świecie komunistycznym pozostaje bez odpuszczenia. W wypadku idealizmu jest tak przede wszystkim dlatego, że komunistom, pod wpływem Lenina, ubzdurało się, że tezy idealistyczne muszą podtrzymywać wiarę w istnienie Boga (wiary tej jakoś nie widać prawie u Hegla, ani wcale u Bradleya). „Oskarżenie” wysunięte przez Schaffa miało ten ironiczny aspekt, że kilka lat przed wojną na jednym z kongresów filozoficznych (w roku 1936 w Krakowie) właśnie profesor Ajdukiewicz wygłosił odczyt stanowiący wnikliwą krytykę przedstawicielem był idealizmu tzw. „szkoły badeńskiej” (którego przedstawicielem był Heinrich Rickert). Ajdukiewicz w odpowiedzi na zarzuty Schaffa podkreślił, że jego poglądy uległy „przefasonowaniu”, zanim poddano je krytyce. W rzeczy samej o takie „przefasonowanie” Schaffowi chodziło, i to nie tylko myśli, ale również samego myśliciela. Ostatecznie jednakże Ajdukiewicz wyszedł z tej polemiki większym człowiekiem i jeszcze bardziej zasługującym na nasz szacunek, podczas gdy Schaff, którego moskiewskie studia wybornie predestynowały na ideologicznego „politruka” wśród polskich filozofów, w swej dalszej karierze przestał się cieszyć względami Schaffów. I jeszcze jedno: nawet gdyby — *per impossibile* — Ajdukiewicz okazał się wtedy idealistą, komunistom z centralnego komitetu nie wypadałoby uznać, że jeden idealista w wielkim stylu jest wart więcej niż pięćdziesięciu Schaffów.

Przypomnieć należy również, że w roku 1953 wyszedł „Zarys

logiki" Ajdukiewicza (książkę tę przetłumaczono w roku 1958 na niemiecki jako „Abriss der Logik”). W latach późniejszych filozof ogłosił zbiór swych rozpraw pt. „Język i poznanie” (pierwszy tom w roku 1960 — drugi wydano pośmiertnie w roku 1965). Tam znajdują się jego najciekawsze prace przedwojenne, dziś już trudno dostępne gdzie indziej.

Przekład dobrze oddaje suchość stylu, tak charakterystyczną dla pism Ajdukiewicza.

Władysław JAWORSKI

Krajowe nowości wydawnicze

opracowała

MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Historia szkolnictwa

37. TABIŚ, Jan: *Polacy na Uniwersytecie Kijowskim, 1834-1863*. Kraków, 1974, Wydawnictwo Literackie, str. 178, ilustr.

Jest to rozprawa doktorska, prawdopodobnie z Uniw. Jagiellońskiego, oparta na materiałach źródłowych z archiwów kijowskich, przechowujących akta kancelarii generał-gubernatora wojskowego dla guberni kijowskiej, podolskiej i wołyńskiej, żandarmerii kijowskiej, kijowskiego kuratora szkolnego, kijowskiego gubernatora cywilnego i kancelarii uniwersytetu kijowskiego. O uzyskanie dostępu do tych archiwaliów starali się wielokrotnie polscy historycy szkolnictwa, przede wszystkim Tadeusz Turkowski, ale próby te, jak pisze Tabiś „nie zostały uwieńczone powodzeniem” i „dopiero w nowym układzie stosunków politycznych po II wojnie światowej stało się możliwe udostępnienie Polakowi materiałów archiwalnych dotyczących uniwersytetu kijowskiego i życia politycznego jego młodzieży w XIX wieku”. Plon tych poszukiwań przeszedł, jak sądzę, najśmielsze oczekiwania, bo — jak wynika z opracowania Tabisza — niezmiernie cenne materiały do dziejów Uniwersytetu kryły się w aktach policyjnych w formie raportów o zachowaniu młodzieży i jej nielegalnych organizacjach.

Na wstępie kilka przypomnień. Po klęsce powstania listopadowego przy osobistym czynnym udziale cara Mikołaja I w kwietniu 1832 roku zapadła decyzja „przeniesienia” do Kijowa słynnego Liceum Krzemienieckiego i przekształcenia go w Uniwersytet św. Włodzimierza w oparciu o zbiory i fundusze szkoły wołyńskiej. Decyzję tę poprzedziły zamiary kompletnej likwidacji Liceum. Ukaz carski wykonano tak dokładnie, że przewieziono nie tylko bibliotekę z meblami, pochodzącymi w większości z Zamku Królewskiego, wyposażenie pracowni i obserwatorium astronomicznego (także w znacznej części zamkowego), gabinet numizmatyczny królewski — ale nawet okazy botaniczne z ogrodu szkolnego. Gdy Uniwersytet Kijowski zdobył potrzebne tereny rozpoczęła się jedyna chyba w dziejach świata karna ewakuacja ogrodu. Długi sznur furmanek wiózł do Kijowa „plenty” krze-

mienieckie, by służyły sprawie „asymilacji” młodzieży polskiej z Ukrainy prawobrzeżnej. Pierwotne koncepcje władz rosyjskich opierały się na przypuszczeniu, że nowopowstały uniwersytet stanie się ośrodkiem rusyfikacji młodzieży polskiej. Taki był zamiysł cara. Nowa uczelnia nie stała się jednak bynajmniej ogniskiem wynaradawiania i wychowywania przykładowie sprawujących się poddanych. Była natomiast w pierwszym trzydziestoleciu istnienia i wielokrotnie potem źródłem stałego zatrudnienia policji carskiej i lokalnego generał-gubernatora.

Z rzeczowych danych przytoczonych przez Tabisza składało się na to wiele przyczyn. Pierwszą i zasadniczą był wysoki procent studentów Polaków. W okresie objętym rozprawą wynosił on przeciętnie 52% a w roku 1838/9 — 62,5%. Procent ten mógł być nawet wyższy, bo autor jest niezmiernie ostrożny przy podawaniu cyfr. W braku statystyk, podających narodowość słuchaczy, opierał się, przy korzystaniu z wykazów studentów, na brzmieniu nazwisk i imion, imionach rodziców, wyznaniu itp. Ilość Polaków z „prawobrzeżnej Ukrainy” ocenia na 485.000, 9/10 własności ziemskiej było w ich rękach. Doliczył się 1.644 studentów pochodzenia szlacheckiego (87%) i 2% szlachty zagrodowej. Najwyższy procent studentów pochodził z Wołynia (43%), potem Podole (29,7%) i gubernia kijowska (26%). Reszta pochodziła z Białorusi i Litwy.

Procent wykładowców Polaków był niższy, ale zwłaszcza w pierwszych latach istnienia uczelni kijowskiej nadawali oni ton życiu uniwersyteckiemu i towarzyskiemu. Dziewięćciu przeniosło się do Kijowa z Wilna, 6 z Krzewa, 6 z Krzewa, 6 z Krzewa; po wysłużeniu emerytur wracali zazwyczaj do stron rodzinnych.

W okresie początkowym Uniwersytet nie przyjmował kandydatów z Królestwa. Stan ten uległ zmianie w roku 1856.

Wysoki procent studentów korzystał ze stypendiów, co jest wymownym świadectwem, że nie byli to synowie magnatów. Studia lekarskie uruchomiono dopiero w roku 1841 (po zlikwidowaniu Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Wilnie). Od tej daty wzrasta ilościowo element polski. W oczach Tabisza nie była to „reprezentacja bogatych obszarników, tylko raczej deklaryujący się element drobnoszlachecki, który wybierał studia kierunkowe, stwarzające możliwość awansu społecznego, i łączył osobiste aspiracje życiowe stwarzające sympatiami do idei narodowo-niepodległościowej oraz skłonności do radykalizmu społecznego”. O stosunku ich do sprawy chłopskiej świadczy najwymowniej fakt, że wczesne organizacje młodzieży akademickiej w Kijowie wyłoniły ze swego grona tzw. „chłopomanów” a jedną z trosk przywódców ruchów studenckich było zwalczanie i ośmieszanie tzw. „bałagudów”, panielików trawiących czas na hulankach i kartograjstwie.

Inny wymowny aspekt sytuacji — to przyjazne stosunki z młodzieżą ukraińską. Nawet coś więcej: rodzaj przyjaznego patronatu nad poczynaniami „italianców zadnieprzańskich” — bo tak nazywano kolegów z lewobrzeżnej Ukrainy. Polskie organizacje studenckie czynne z dramatycznymi przerwami przez całe omawiane przez Tabisza trzydziestolecie, utrzymywały stałe kontakty z Bractwem Cyryla i Metodego. Przyjacielem Szewczenki był Polak, Julian Belina-Kędrzycki a na ustach młodzieży zarówno polskiej jak ukraińskiej były dotąd aktualne słowa autora „Kobzarza”: „Biliśmy się dopóki było o co, a teraz zarówno ich jak nas jedna ręka za gardło trzyma”.

Ta ręka trzymała istotnie za gardło i to mocno. Tak np. w roku 1837 z wyroku sądu wojskowego dwu studentów zesłano w żołdacy a jednego wyznaczono na nauczyciela w kazańskim okręgu szkolnym za kolportaż wydawnictw emigracyjnych. Dochowały się tytuły przyłapanych przez policję książek: były to „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” Mickiewicza, poezje Seweryna Goszczyńskiego i biografia Kościuszki pióra Leonarda Chodźki w wersji francuskiej. O rok wcześniej wykryto u studentów polskich w Kijowie „Pana Tadeusza”, odpis „Sonetów krymskich”, zbiór przemówień pt. „Polska,

ustępu", obejmującego wiersze o tytułach „Droga do Rosji”, „Przedmieścia stolicy”, „Petersburg” itd. Jeśli nawet jest to opis obejmujący kilkadziesiąt stron druku a wydanie obecnie tom liczy 268 stron — przybyłyby trzy czy cztery arkusze druku a rzecz zyskałaby na znaczeniu źródła naukowego do tła „Dziadów”.

Ale i to, co do tomu weszło jest dokumentem dużej wartości. Uświadamia przede wszystkim osobliwą nierównomierność traktowania oskarżonych w procesie Filomatów. Mickiewicz, Józef Jeżowski, Franciszek Malewski, Cyprian Daszkiewicz i właśnie Pietraszkiewicz objali się po Petersburgu, Moskwie, Odessie itp., mieli możliwość starania się o pracę nauczycielską, biurową czy bibliotekarską, poruszali się względnie swobodnie (mimo stałego nadzoru policyjnego). Tomasz Zan skazany był natomiast na rok twierdzy a Jan Czeczot i Adam Suzin — na sześć miesięcy. Odsiedzieli ją w Kizylu o 60 km. od Orenburga, po czym w warunkach niezmiernie trudnych wegetowali w Ufie, Uskałyku itp. w okolicach Orenburga. Stąd przebijający wyraźnie z listów Czeczota żal do losu i otwarta krytyka postępowania Mickiewicza w listach Zana i Czeczota na którą poeta odpowiedział sżnizną epistołą z 5/17. I. 1827.

Warto przyrzeć się bliżej losom Pietraszkiewicza. Urodzony w roku 1793, a więc starszy od większości Filomatów, studiował w Wilnie i Warszawie, w okresie procesu pracował w Wilnie w tzw. Massie Radziwiłłowskiej. W początku pobytu w Moskwie pracował fizycznie w Bibliotece Uniwersyteckiej i w ręce wpadały mu tomy z napisem „Bibliotheca Radziviliana Niesviensis albo Białensis”. W jesieni 1830 roku odwiózł do Wilna trumnę ze zwłokami przyjaciela, Cypriana Daszkiewicza. Wrócił, dotrzymując danego policji słowa. W czerwcu 1831 posądzono go o współdziałanie w próbie ucieczki do powstania pięciu oficerów, Polaków stacjonowanych w Moskwie, aresztowano — i skazano na śmierć. Po dwumiesięcznym oczekiwaniu na wykonanie wyroku, karę śmierci zamieniono na wygnanie na Syberię i pozbawienie szlachectwa. Od lutego do lipca 1832 wędrował pieszo etapami do Kazania a następnie Tobolska, by spędzić tam 28 lat. W roku 1860, schorowany, wrócić mógł do Wilna, by w trzy lata później dokonać żywota. Mimo to, przy pomocy rodziny i przyjaciół zdołał uratować potężnych rozmiarów „Archiwum Filomatów”!

Wydany obecnie tom jest od dnia ukazania się rzadkością. Ukazał się w nakładzie sześciuset czterdziestu egzemplarzy.

Biografie i wspomnienia

39. CIEPIEŃKO-ZIELIŃSKA, Donata: *Klaudyna z Dziatyńskich Potocka*. Ludzie i czasy. Kraków (1973), Wydawnictwo Literackie, str. 376, (2), ilustr., bibliografia.

Podtytuł: „Ludzie i czasy” jest w pełni uzasadniony, bo autorka włącza życiorys Klaudyny Potockiej do karykaturalnie rozbudowanej kroniki rodzinnej, najeżonej genealogiami i biogramami kilku pokoleń Dziatyńskich, Potockich i spokrewnionych z nimi rodów. Nim na kartach książki pojawi się dwuletnia „Klaudynka” przebrnąć trzeba przez kroniki rodzinne od XV wieku wzywać z dłuższym przystankiem np. przy drugim mężu babki, Rochu Władysławie Gurowskim. Z życiorysu ojca dowiadujemy się, że Franciszek Ksawery Dziatyński był nie tylko poważnym działaczem politycznym ale i członkiem obsady pojazdu, w którym książę Józef (wyprzedzając pomnik Thordwaldsena?) „w kostiumie Adama” przedefilował przed Królem na placu Saskim. Po Dziatyńskich — Potocy. Stosunkowo niewiele o mężu Klaudyny, Bernardzie — dużo o Janie Potockim, autorze „Rękopisu znalezionego w Saragossie”, który był i nie był teściem Klaudyny, bo życie

sobie odebrał, gdy przyszła synowa miała lat czternaście. „Znacie, no to posłuchajcie”. Na tej zasadzie odnawiamy znajomość ze wstępnymi do księżki Jana Potockiego i „Piękną Bitynką” Łojka i bliżej poznajemy teściową, Potocką z Potockich, córkę Szczęsnego, i jej drugiego męża, Edwarda Raczkińskiego, skąd już prosta droga do Rogalina. Tu, na pochwałę autorki, należy wspomnieć, że uczciwie, powołując się na wydanie londyńskie, cytuje „Rogalin i jego mieszkańców” amb. Raczkińskiego.

Gdy wreszcie pojawi się „Anioł Emigracji” i kobieta, która „godziła z rodzajem ludzkim” Mickiewicza, cytaty przesuwają się na dotyczące bezpośrednio Klaudyny archiwalia z Kórniku. *I to jest cenne*. Zawodzi natomiast interpretacja cierpliwie wyluskanych materiałów biograficznych. Do miast interpretacja cierpliwie wyluskanych materiałów biograficznych. Do miast interpretacja cierpliwie wyluskanych materiałów biograficznych. Do miast interpretacja...
wytyczy to np. męża Klaudyny i jej stosunku do niego. „Nieziemna” jej wypowiedź, że „nie lubi dzieci, woli konie”, bo „żrebakowi przynajmniej obrokiem można dogodzić, a czymże dziecku zapewnić szczęście?” odcina się jaskrawo od poglądów obarczonych tuzinami dzieci babek i ciotek i brzmi awangardowo „na tle epoki”. Fakt, że w ostatnim a już 35-ty roku życia dogorywująca Klaudyna spodziewała się *pierwszego* dziecka nie doczekała się interpretacji psychologicznej i lekarskiej ze strony autorki. W stosunku do nadmiaru obfitości o przodkach i powinowatych Klaudyny razi lakoniczność omówień sytuacji stanowiących istotne tło jej działalności i życia.

Autorka słusznie dopatruje się w Klaudynie poprzedniczki Florence Nightingale. Samarytańską działalność Polek w czasie epidemii cholery i w lazaretach wojskowych osadzić jednak należało w tle służby zdrowia zorganizowanej pod kierunkiem gen. Karola Kaczkowskiego, na którego pamiętniki i działalność autorka tylko przelotnie się powołuje.

I Klaudyna i Emilia Szczaniecka były niewątpliwie wybitnymi indywidualnościami, skoro działalność ich wywołała tak powszechny odzew, a legenda przetrwała do dziś. Gdy idzie o Klaudynę podkreślić wypadałoby silniej spontaniczność jej reakcji i zmysł organizacyjny, przejawiający się nawet wtedy, gdy działając jej wypadało w pojedynkę albo w oparciu o minimalną pomoc innych.

Niezręcznie, jakby bojąc się postawić kropkę nad i, nakreśliła autorka obraz „przyjaźni” Klaudyny ze Stefanem Garczyńskim. Spotkanie dwojga egzaltowanych gruzlików, w atmosferze żalu do zaniedbującego młodą kobietę męża, a nawet owe starannie palone karteczki nastroczały szerokie możliwości udowodnienia, że „anioł opiekuńczy” był także zakochaną kobietą.

Autorka przytacza liczne cytaty odnoszące się do itinerariów i stanu zdrowia Garczyńskiego, zaniedbuje jednak jego twórczość, w której więcej — może nawet i o Klaudynie — dałoby się wyczytać. W hierarchii dzisiejszej Garczyński był poetą „mniejszym” od Mickiewicza. Ten jednak oświadczył poważnie Lelewelowi, iż „talent wielki i daleko pójdzcie; już teraz jest na stanowisku, na którym ostatnie moje dzieła tematycznych u obu poetów; tury dopatrzili się wielu pokrewnych wątków tematycznych u obu poetów; zapożyczenia szły w dwu kierunkach. Jeśli nawet Garczyński był cieniem Mickiewicza, był to cień o wyraźnych konturach a bez znamion karyka-Mickiewicza, w okresie pisania III Części „Dziadów”, tury. W sporach drezdeńskich, w okresie pisania III Części „Dziadów”, był partnerem na poziomie, wspierał Mickiewicza gruntowną znajomością nowej filozofii niemieckiej. Warto było także przypomnieć ułożony przez Mickiewicza napis na grobowcu Garczyńskiego na cmentarzu St. Veran w Awinionie („Miles, Vates, Exul”), skoro płytę ufundowała Klaudyna.

W sumie: raczej biogram *in crudo* niż biografia, jak to określały Angliki „definitywna”.

40. ZAWIEYSKI, Jerzy: *Dobrze, że byli*. Wyboru dokonali Tadeusz Mazo-

wiecki i Stanisław Trębaczewicz. Warszawa, 1974, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, str. 307, (1). (Biblioteka „więzi”, tom 36).

W papierach pośmiertnych Zawieyskiego znaleziono tezkę z napisem „Dobrze, że byli”, do której składał wspomnienia „o ludziach bliskich, dla których żywił wdzięczność, podziw, nierzadko przyjaźń”. Z wyjątkiem „Kartek z dziennika” i nekrologów Mieczysława Brauna i Leona Pomirowskiego, są to teksty pierwotnie ogłoszone w *Tyg. Powszechnym* i innych pismach krajowych. Jakkolwiek niepomysłane tak świadomie, układają się w cykl wspomnień o entuzjastach tych form pracy teatralnej, które w pamięci naszej kojarzą się z Osterwą i Cierniakiem. Zawieyski-pisarz tworzył pod przemożnym i zdecydowanie dla niego niekorzystnym wpływem Żeromskiego. Porwał się nawet na kontynuację „Przepióreczki” w „Powrocie Przełęckiego”. Rolę głównego bohatera grał w sztuce Zawieyskiego Osterwa, dla którego Żeromski był „panem Stefanem” a „Przepióreczka” utworem o trwałym wpływie na historię „Reduty” i „osobistą historię każdego z członków zespołu”. Przed rokiem 1939 Zawieyski jako kierownik wakacyjnych kursów nauczycielskich na 130 takich kursach omawiał „Przepióreczkę” i organizował dyskusje o Żeromskim. Echem tej działalności był „Krag Porębian”, związek miłośników Żeromskiego.

To tłumaczy klimat książki. Bohaterami wspomnień są: Osterwa — kapłan sztuki zmierzający do przekształcenia „Reduty” w zakon św. Genezjusza; Cierniak, twórca teatru ludowego; Andrzej Pronaszko — „współtwórca plastyczny monumentalnych dzieł Schillera”; Iwo Gall, „artysta teatru”; Irena Solska (z ostatniej, napiętnowanej chorobą, lat życia); Andrzej Munk — reżyser filmowy — wszyscy fanatycy teatru, realizujący opornie wielkie koncepcje pod wspólnym patronatem Żeromskiego. Odcina się pozornie od tego grona „entuzjastów” Zofia Nałkowska, ale i ją potrafił Zawieyski odpowiednio ucharakteryzować i uszlachetnić.

Książka zamyka wspomnienie o matce, która małemu Zawieyskiemu „kazała się modlić o talent” i ślepo wierzyła w możliwości syna. On sam, na krótko przed tragicznym zgonem czuł się „pusty i głupi”, i wszystko, czym był obciążony, wydawało mu się „nadmiernym ciężarem”.

Nadesłane nowości wydawnicze

STEMPOWSKI (Jerzy). (Paweł Hostowiec). *Listy z Ziemi Berneńskiej*. Przedmowa Wiktora Weintrauba. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Str. 168 i 4 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974; cena £2.00).

PETERKIEWICZ (Pietrkiewicz) (Jerzy). *Scena ma trzy ściany (1950)*. Sztuka sceniczna. Pierwodruk w numerze jubileuszowym *Wiadomości* z 23. 12. 73. Str. 39 i 1 nlb. (Nakładem *Wiadomości*, Londyn, 1974).

RAKOWSKI (Janusz). *Światło z Lucerny*. Europejska Konferencja dla Spraw Obrony Praw Człowieka i Samostanowienia Narodów. Str. 23. (Published with the Assistance of the Polish National Fund, Londyn-Zurych, 1974).

MILLER (Jan Nepomucen). *Na krzywej przemian*. Str. 321 i 3 nlb. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1973. Cena zł 20).

SOWA (Paweł). *Po obu stronach kordonu*. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974. Cena zł 20).

SKRZYDLIŃSKI (Kazimierz Maria). *Gorzka dojrzałość*. Wiersze. Str. 66 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974. Cena zł 10).

FUSZCZA (Jan). *Matylda i inne opowiadania*. Str. 229 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974. Cena zł 24).

MURZYŃOWSKI (Stanisław). *Historija żalosa a straszliwa o Franciszku Spierze oraz Ortografija polska*. Opracowali Janusz Małek i Franciszek Peplowski. Str. 178 i 8 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974. Cena zł 50).

BROWIŃSKI (Czesław). *Olsztyn 1945-1970*. Tom II pracy zbiorowej. Str. 356 plus mapa I: zniszczenia wojenne Olsztyna w 1945 roku, mapa II: rozbudowa Olsztyna w latach 1956-1972. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn, 1974. Cena zł 62).

PACHMAN (L.). *Jak to było*. Zprawa o czynności šachového velmistra za obdobi 1924-1972. Str. 390 i 2 nlb. (Wyd. Nakladatelství, Toronto, 1974).

BRANDSTAETTER (Roman). *Faust vaincu et autres poèmes*. Préface de Guy Chambelland. Traduction de Lucienne Rey. Str. 47 i 9 nlb. (Wyd. Librairie Chambelland, Paryż, 1974).

KANFER (Irene). *Endurer la terre. Miroir oblique*. Str. 47 i 1 nlb. (Wyd. Editions Saint Germain-des-Prés, Paryż, 1974).

MOND (Georges). *Information dans les grandes villes*. (Nadbitka z Revista del Instituto de Ciencias Sociales, 1974, str. 113-127. Diputación Provincial de Barcelona).

EXIL N° 3 Eté 1974. Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Genève-New York, Montreal-Paris-Moscou - Lisbonne). Numer zawiera m.in. artykuł Alexandry Kwiatkowskiej *Le non-conformisme dans la revue „Nowy Mir”* (str. 163).

RUDNICKI (K. S., DSO). *The Last of The War Horses*. Illustrated with maps and with eight pages of photographs. Str. 255 i 3 nlb. (Wyd. Bachman and Turner, Londyn, 1974; cena £4.65).

Contemporary Polish Marian Poetry. Introduced by Rev. Prof. Zdzisław J. Peszkowski. Str. 87 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1974).

ROWIŃSKI (Christopher). *Polish Words in English*. (Nadbitka z *Antemurale XVIII*, 1974, str. 63-73).

MOCHA (Frank). *The Karamzin-Lelewele Controversy*. (Nadbitka ze *Slavic Review American Quarterly of Soviet and East European Studies*, Volume 31, Number 3, September 1972, str. 592-610).

Australian Dictionary of Biography. Volume 5: 1951-1890 K - Q, hasła: Kossak Ladislaus Sylvester. Kubary, John Stanisław — opracowane przez L. K. Paszkowskiego. (Wyd. Melbourne University Press, 1974).

PALEY (Mykoła M.). *Sentymentalna Ukrajina*. (Narysy, humor i satyra). Str. 126 i 2 nlb. (Wyd. Julian Serediak, Buenos Aires, 1974).

Europa — Bilanz und Auftrag. Redakcja Alfred Domes. Str. 319 i 1 nlb. (Wyd. Atlantic Forum, Bonn-Brukselles-New York 1974).

Historeska och Litteraturhistoreska Studier år 49. (Wyd. Svenska Litteratursällskapet i Finland, Helsingfors, 1974).

KRZYŻANOWSKI (Jerzy R.). *The Haunted World of Tadeusz Konwicki*. Str. 485-490. (Nadbitka z *Books Abroad — An International Literary Quarterly*, XLVIII, No. 3, Aug. 1974).

BRZEZIŃSKI (Tadeusz). *The Yesterday and the Today of the Polish Community in Canada*. Str. 15-25. (Nadbitka z *Past and Present*. Wyd. Canadian-Polish Research Institute, Toronto, 1974).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

19-9-74

Komsomolska Prawda donosi o aresztowaniu szeregu osób zajmujących się tajnymi radiostacjami. Według informacji pisma takich tajnych radiostacji, zajmujących się głównie nadawaniem współczesnej muzyki, w samym zagłębiu donieckim jest ponad 1000.

14-10-74

Jak donosi warszawski *Express Wieczorny* PRL jest głównym eksporterem podków. Samo NRF zakupuje około 400 ton rocznie.

16-10-74

Muzeum literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie zorganizowało wystawę „Początek polska w latach 1944-1974”.

6-12-74

W sierpniu br. ukazało się w Moskwie nowe samizdatowe pismo *Ziemia*, wydawane przez b. redaktora pisma *Wieczny*, Włodzimierza Osipowa. Pismo ma charakter chrześcijańsko-nacjonalistyczny. ■ W latach 1975-80 zostaną podwojone dostawy fińskiego papieru dla PRL. Finnowie również dostarczą na warunkach kredytowych urządzenia dla projektowanej papierni w Kwidzynie. W zamian PRL zapewni Finlandii dostawy węgla do 1990 roku. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 69 lat, Hilary Minc, działacz komunistyczny i ekonomista. W 1957 roku został przeniesiony na emeryturę mając zaledwie 52 lata.

10-12-74

W Moskwie został aresztowany Aleksander Glaser, jeden z czołowych sowieckich malarzy abstrakcjonistów. Aresztowanie nastąpiło w jego mieszkaniu; został wyprowadzony siłą, gdyż odmówił udania się z przedstawicielami policji.

11-12-74

W Warszawie zmarł prof. Juliusz Starzyński, Dyrektor Instytutu Sztuki, historyk sztuki. Jego wieloletnia działalność odznaczała się w pierwszym rzędzie oportunistycznym.

12-12-74

15 czołowych polskich intelektualistów wystosowało list do władz PRL domagając się by Polacy, zamieszkali w Związku Sowieckim, mogli posiadać własne szkolnictwo i kontakt z polską kulturą. Idzie o blisko półtora miliona obywateli sowieckich pochodzenia polskiego. List został podpisany przez: Zygmunta Mycielskiego, Tadeusza Konwickiego, Antoniego Słonimskiego, Edwarda Lipińskiego, Kazimierza Brandysa, Andrzeja Szczygińskiego, Marka Nowakowskiego, Zbigniewa Herberta, Ks. Jana Ziębę, Wiktora Woroszyńskiego, Włodzimierza Zonna, Jana Napomucena Millera, Jacka Bocheńskiego, Andrzeja Kijowskiego i Zofię Małynicz. W związku ze zbieraniem podpisów pod tym listem władze bezpieczeństwa zaarrestowały Adama Michnika, który został przetrzymany przez 24 godziny i podobno zmaltretowany przez władze bezpieczeństwa.

15-12-74

Prasa krajowa donosi, że powrócił do PRL Mieczysław Lach, współpracownik sekcji polskiej Radia Free Europe. ■ Z dniem 1. 1. 1975 nie będzie można wysyłać do Polski zleceń na przekazy PKO-Skup. Za zlecenia do *Wyboru* — odbiorca w Polsce otrzyma bony dolarowe. Przy wymianie bonów w PKO odbiorca otrzyma jedynie 33 zł. 20 za dolara zamiast dotychczasowych 60 zł.

17-12-74

Prezes Rady Ministrów PRL P. Jaroszewicz, w swym przemówieniu w sejmie zapowiedział, że w roku 1975 odbędzie się VII Zjazd PZPR. Według krążących pogłosek zjazd ten m.in. zajmie się zmianą konstytucji i wprowadzeniem kolektywizacji na wsi. ■ IX krajowy zjazd delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich wybrał na przewodniczącego SDP Jana Mietkowskiego, wiceprezesa Komitetu do spraw radia i telewizji — Polskie Radio i Telewizja. ■ W PRL wypuszczono nowe banknoty 500 zł. z wizerunkiem Tadeusza Kościuszki. ■ Austria należy do największych odbiorców polskiego węgla w Europie. W okresie od 1945 do 1973 roku PRL sprzedała Austrii 33 mln. ton, pokrywając w 39 % zapotrzebowanie kraju na węgiel kamienny, w tym 100 % na potrzeby kolei. Nową dziedziną współpracy w dziedzinie energetyki są dostawy prądu elektrycznego z Polski do Austrii. Rozpoczęto je w półroczu zimowym 1973-74 podwajając ilość w ciągu bieżącej zimy. W toku dyskusji znajduje się obecnie wielki kontrakt dotyczący dostaw prądu z Polski w latach 1979 do końca XX wieku.

18-12-74

Na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSSR N. Balbakow podał do wiadomości, że zbiory w bieżącym roku były bardzo złe. Zebrano jedynie 195 milionów ton zbóż. W roku ubiegłym, też złym, urodzaj wynosił 200 milionów ton. ■ Anatol Marczenko, który przebywa na przymusowym osiedleniu w Tarusji (ok. 100 km. od Moskwy) wysłał depezę do przewodniczącego Rady Najwyższej ZSSR Podgornego z rezygnacją z obywatelstwa sowieckiego. Marczenko jednocześnie złożył podanie o wyjazd do USA. ■ Wybitna poetka rosyjska Natalia Gorbaniewska, która wielokrotnie była internowana w Zakładach psychiatrycznych po głośnej manifestacji na placu Czerwonym w Moskwie przeciw inwazji Czechosłowacji — otrzymała odmowę na podanie na emigrację z rodziną na Zachód.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-10-74

W Sztokholmie władze reżymowe otworzyły Instytut Polski, który ma służyć współpracy naukowo-kulturalnej i gospodarczej polsko-szwedzkiej. Instytut otworzył wicepremier i minister Kultury i Sztuki, Józef Tejchma. ■ Janusz Dunin Ficiński otrzymał 1-szą nagrodę Akademii Literatury w Paranie (Brazylia) za powieść obyczajową *ARIGOS* (robotnicy drogowi).

24-10-74

W Niemczech Zachodnich ukazały się przekłady trzech książek autorów polskich: Maria Kuncewicz „Adieu Tristan”, w przekładzie Eddy Werfel w Europa Verlag; Zbigniew Herbert „Herr Cogito” w wydawnictwie Suhrkamp, Frankfurt; Stanisław Lem „Die Astronauten” w Insel Verlag, Frankfurt.

25-10-74

Prof. A. Zygmund, jeden z najwybitniejszych polskich matematyków (wykłada w USA) otrzymał doktorat honorowy Uniwersytetu m. Paryża. Przy tej okazji prof. Zygmund wygłosił odczyt „Ondifferentiability of functions”.

6-11-74

W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa obrazów Ewy Kuryluk. ■ W Centralnym Ośrodku Duszpasterstwa Emigracji w Rzymie odbył się zjazd duszpasterstwa polonijnego. Protektorat nad obradami objął Kardynał Wyszyński, Prymas Polski i Opiekun polskiej emigracji. Z ramienia Episkopatu polskiego w zebraniu uczestniczyli: Kardynał Wojtyła i Bp Dąbrowski, sekretarz Episkopatu. Obradom przewodniczyli księża biskupi Rubin i Wesoły. W spotkaniu wzięli udział rektorzy Polskich Misji Katolickich i następujących krajów: Anglia i Walia, kraje Beneluksu, Brazylia, Dania, Francja, Hiszpania, Niemcy, Szkocja, Szwajcaria, Szwecja oraz duszpasterz dla Polaków we Włoszech. Polskie zgromadzenia zakonne, pracujące na emigracji, Chrystusowcy, Marianie, Oblaci, Pallotyni i Redemptoryści były reprezentowane przez księży prowincjałów lub przez ich przedstawicieli. Obecni byli również rektor Polskiego Seminarium Duchownego w Paryżu, przedstawiciel Seminarium Polskiego w Orchard Lake, dziekan Kompanii Wartowniczych w Niemczech, prezes Unii Księża Polskich w Kanadzie oraz przedstawiciel Papieskiej Komisji d/s Migracji i Turystyki. Tematyka obrad koncentrowała się wokół trzech zagadnień: powołania kapłańskie na emigracji, ocena pracy duszpasterskiej księży przybyłych z Polski i problem najnowszej emigracji.

11-11-74

W Sztokholmie ukazał się pierwszy numer kwartalnika *Jedność*, wydawanego przez Polski Związek b. Więźniów Politycznych. Redaktorem naczelnym został Ludomir Garczyński-Gąssowski z nowej emigracji. ■ Rita Tornborg, autorka szwedzka pochodzenia polskiego, wydała nową powieść pt. „Hansson i Goldman”, poświęconą polskiej tematyce emigracyjnej. Książka spotkała się z bardzo pozytywną oceną prasy szwedzkiej. Z początkiem przyszłego roku ukaze się nowa powieść szwedzkiej autorki polskiego pochodzenia Zeni Larsson pt. „Droga do domu”.

25-11-74

W Sztokholmie odbył się wieczór dyskusyjny Towarzystwa Przyjaciół *Kultury*, poświęcony „Archipelagowi GUŁag” Al. Sołżenicyna. Wieczór został zagajony przez p. Ewelinę Lipko-Lipczyńską i dr. Bronisława Appela.

29-11-74

Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu zorganizowało wieczór poświęcony tematowi „Francja i Polska w stosunkach literackich”. Wieczór zagał ks. Poniatowski, p. J. Winczakiewicz wygłosił referat „Echa listopadowe u Claudela”, a p. Frank Schoell ze Szwajcarii „Wielki przyjaciel Francji — Boy”.

1-12-74

Z okazji roku kopernikowskiego p. Jacka Tupalska z Canberra (Australia) wykonała rzeźbę w drzewie, przedstawiającą Kopernika dwumetrowej wysokości. Rzeźba znajduje się w Polskim Klubie w Canberra.

2-12-74

Tygodnik Polski w Melbourne, który po śmierci redaktora Romana Gro-nowskiego został przez spadkobierców wystawiony na licytację, został zakupiony przez Spółdzielnię Domu Polskiego im. Tadeusza Kościuszki w Melbourne za sumę 3.000 dolarów. Spółdzielnia będzie również wydawcą pisma, które będzie się ukazywało pod tym samym tytułem. ■ Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Melbourne obchodziło 20-lecie swego istnienia wystawiając „Rewię urodzinową” w reżyserii Gwidona Boruckiego. Koło jest zastróżoną polską placówką kulturalną w Australii. W okresie 20-tu lat ani jedna z comiesięcznych imprez nie została odwołana.

3-12-74

Czerwony Krzyż zachodnioniemiecki podaje, że w ciągu 9-ciu miesięcy 1974 roku do NRF przybyło ok. 20.000 emigrantów z krajów Europy Wschodniej (6.794 Rumunów, 6.773 Polaków, 5.578 obywateli sowieckich, 541 Jugosłowian, 398 Węgrów, oraz 329 Czechów i Słowaków).

4-12-74

W czasie pobytu L. Breźniewa w Paryżu współpracownicy redakcji *Kultury* byli zmuszeni do meldowania się przez 4 dni, dwa razy dziennie, w miejscowym komisariacie policji.

5-12-74

Młody dziennikarz szwedzki, Karol Bejbom, otrzymał doroczną wielką nagrodę dziennikarską. Bejbom przeznaczył połowę swej nagrody na Amnesty International, a drugą dla Pen Clubu z zaznaczeniem, że ma zostać użyta na pomoc dla Gabriela Superfina, współpracownika Sołżenicyna, który obecnie znajduje się w więzieniu. Bejbom, który zna dobrze język polski (matka Polka), zdobył rozgłos, gdyż będąc przypadkowo w Gdańsku i Szczecinie w czasie wypadków grudnia 1970, był pierwszym dziennikarzem zagranicznym, który podał obszerną relację o tych wydarzeniach do prasy zachodniej.

7-12-74

Sekcja polskiej YMCA we Francji zorganizowała doroczny kiermasz dobroczynny. ■ W związku ze stale wzrastającym kryzysem ekonomicznym rząd australijski zrewidował w sposób drastyczny swoją politykę imigracyjną. Australia przechodzi w chwili obecnej okres największego bezrobocia od czasu wielkiego kryzysu lat trzydziestych. Dwa i pół procent bezrobotnych nie jest może zastraszające dla innych krajów uprzemysłowionych, ale w Australii jest niemałym zmartwieniem dla rządu Partii Pracy. Inflacja, która przekroczyła już 20 % i nie daje się opanować, również nie przysparza rządowi popularności. Kwota imigracyjna na rok 1974/75 została ustalona na 80 tysięcy. Ilość ta uzależniona jest jednak od stanu zapotrzebowania australijskiego rynku pracy. W zasadzie pierwszeństwo wstępu do Australii mają w dalszym ciągu najbliżsi członkowie rodziny i narzeczone mieszkańców Australii, następnie imigranci rzemieślnicy i członkowie wolnych lub Cypru, a w końcu wykwalifikowani specjaliści. Zapotrzebowanie to zawodów, na których jest aktualnie zapotrzebowanie. Zapotrzebowanie to jednak zmienia się z tygodnia na tydzień. Tak czynniki rządowe, jak i opinia publiczna, jak wreszcie związki zawodowe, przyszedłoby przystąpienie do inflacji, a za nią bezrobocia. Od stycznia przyszłego roku przestanie obowiązywać przywilej wolnego, bezwizowego wjazdu do Australii dla obywateli wszystkich krajów wspólnoty brytyjskiej i Irlandii. Nawet obywatele sąsiedniej Nowej Zelandii będą musieli starać się o wizę, chcąc nawet tylko odwiedzić Austra-

wiednik ministra Spraw Wewnętrznych i Kultury — wniósł projekt nowelizacji ustawy o obywatelstwie. Projekt przewiduje, że obywatelstwo będzie można otrzymać nie po 5-ciu, ale po 3-ich latach legalnego pobytu w Kanadzie. Sądy, rozstrzygające sprawy obywatelstwa, przeprowadzają odpowiednie badania, egzaminują kandydatów i decydują o przyznaniu, względnie o odmowie przyznania, obywatelstwa. Decyzja jest zaskarżalna — wniosek odwoławczy może wnieść zarówno Minister, jak i kandydat na obywatela. Obywatelstwo traci się automatycznie z chwilą nabycia obywatelstwa innego kraju. Dzieci Kanadyjczyków — ślubne i nieslubne — urodzone za granicą uzyskują automatycznie obywatelstwo bądź ojca, bądź matki, natomiast dzieci w drugim pokoleniu urodzonych za granicą obowiązują zadeklarowanie się przed ukończeniem 28 lat.

TADEUSZ WYRWA

W CIENIU LEGENDY MAJORA HUBALA

Str. 126.

Cena £1.50; \$4,00; F. 18,00.

Jest to pierwsza książka o Hubalu, prokursorze polskiego ruchu oporu w czasie ostatniej wojny, oparta na autentycznych dokumentach, zwłaszcza na kronice oddziału Hubala. Zawiera również rozdział o 25 pp. A.K. (utworzonym na Kielecczyźnie w 1944 roku), zatytułowany „Historia zwycięzców czy zwyciężonych?”. Książka ta rzuci światło na fałszowanie w Kraju najnowszej historii Polski.

Do nabycia we wszystkich księgarniach lub u wydawcy:

POETS' AND PAINTERS' PRESS, 146, BRIDGE ARCH,
SUTTON WALK, LONDON, S.E.1. 8XU

albo u autora:

TADEUSZ WYRWA, 42, RUE LACROIX, 75017^c. PARIS.

Listy do Redakcji

Hamilton, 25 listopada 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Artykuł p. J. Mieroszewskiego w listopadowej *Kulturze* odmawia mi prawa publikacji w tym miesięczniku. Nigdy się o to nie ubiegałem. Spособności do publikacji — jak Pan o tym wie doskonale — mi nie brak.

Artykuł mój, który wywołał tak gniewną reakcję Mieroszewskiego napisałem na Pańskie (i jego zresztą) zaproszenie. Przyjmując je, w rozmowie z Panem w Paryżu w dn. 16 maja br., zastrzegłem sobie prawo, jeśli to uznam za stosowne, „odpowiedzi na odpowiedź”, które mi Pan wówczas przyrzekł. Przypomniałem o tym Panu w liście z 26 sierpnia, którego kopię załączam. Ostentacyjna zmiana stanowiska *Kultury* przypomina praktyki, które wydawnictwo to piętnuje u innych.

Z artykułem p. Mieroszewskiego, personalnym raczej niż rzeczowym, i ja nie widzę celowości polemiki. Chciałbym tylko stwierdzić jedno: która z dróg zmierzająca do niepodległości Polski jest słuszna tego nie da się zadekretować.

Z poważaniem,

Adam BROMKE

Trzeba pewne rzeczy uściślić. Z inicjatywą wyłożenia swych poglądów na łamach *Kultury* wystąpił p. A. Bromke — nie był to artykuł zamówiony przez Redakcję. Rzeczywiście p. Bromke prosił, by mógł odpowiedzieć na krytykę *Kultury* ale nie otrzymał na to zgody Redakcji.

Niewątpliwie dróg do niepodległości jest wiele. Czy jednak droga którą wytycza p. Bromke do nich należy? Czytelnicy najlepiej osądzą zapoznawszy się z jego artykułem. — *Redakcja*.

Flushing, N.Y., 5 listopada 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z listem Adama Podgóreckiego (*Kultura* Nr 10, 1974) pragnę oświadczyć co następuje:

1. Redakcja *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej Państwowego Wydawnictwa Naukowego* zwróciła się do mnie ok. 1964 roku o napisanie hasła o Petrażyckim, albowiem:

— byłem autorem jedynej w tym czasie w Polsce wielotomowej *Historii Doktryn Polityczno-Prawnych*, zawierającej m.in. obszerny, niemal monograficzny, rozdział o Petrażyckim — por. M. Maneli: *Historia Doktryn Polityczno-Prawnych, wiek XIX-XX*, cz. 2-ga, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 1964, str. 254-268;

— publikowałem o Petrażyckim pierwszy w bloku socjalistycznym esej w tzw. organie teoretycznym, jakim były *Nowe Drogi*, Nr 5/1960;

— wykładałem już piętnasty rok na UW i zawsze teoria Petrażyckiego była częścią mego kursu.

2. Nic mi nie wiadomo jakoby Adam Podgórecki napisał przede mną artykuł dla *Encyklopedii*, oczywiście żadnej recenzji o nim nie pisałem, ani nawet Redaktorzy *Encyklopedii* nie prosili mnie o to, gdyż wiedzieli, że nie zwykłem pisać żadnych poufnych, redakcyjnych recenzji o ząbkujących pracownikach nauki, do których zaliczałem, słusznie czy niesłusznie, Adama Podgóreckiego.

3. Insynuacja, jakobym wykorzystał Podgóreckiego „dane faktyczne i bibliograficzne” jest dziecinna, komiczna i jawnie fałszywa. Moje opracowanie tematu było obszerniejsze i co najmniej o pięć lat wcześniejsze niż publikacja odnośnego tomu *Encyklopedii*, Nr 8/1966. A ponadto dane przytoczone przeze mnie w krótkim artykule w *Encyklopedii* są elementarne i każdy student mógł je otrzymać albo w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego albo w Katedrze, którą w tym czasie kierowałem. Przesyłam osobnym listem odbitki moich publikacji, z uprzejmą prośbą o łaskawe udostępnienie ich każdemu, kto chciałby się naoznie przekonać, że mój artykuł w *Encyklopedii* jest ich skrótem.

Traktuję list i insynuację Adama Podgóreckiego jako dalszy element osławionej kampanii przeciwko „syjonistycznym” redaktorom Państwowego Wydawnictwa Naukowego i przeciwko grupie profesorów, do których się zaliczam, wyrzuconych z Uniwersytetu za „postawę i działalność dydaktyczną pozostającą w rażącej sprzeczności z...” celami uniwersytetów PRL — cytata pochodzi z listu skierowanego do mnie przez Ministra H. Jabłońskiego; treść listu — jak zaznaczono — uzgodniona była z Premierem, J. Cyrankiewiczem. W ramach akcji zmierzającej do zatarcia mego imienia na wieki wieków, poproszono Adama Podgóreckiego o napisanie nowego artykułu do *Encyklopedii*. Ten fakt, oraz okoliczność, że opuścił moją wzmiankę o krytyce przez Petrażyckiego procesu o mord rytualny — mówią same za siebie.

Łączę wyrazy należnego szacunku,

Dr Mieczysław MANEŁI

Profesor, City University of New York,
b. profesor prawa Uniw. Warszawskiego,
b. kierownik Katedry Doktryn Polityczno-
Prawnych, UW.



Chicago, Ill., 17 października 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Tak wcale nie było; nikt mnie nie zdymisjonował ze stanowiska prezesa Wydziału Kongresu Polonii Amerykańskiej w Chicago z powodu, jak sugeruje *Kultura* (Wydarzenia Miesiąca, Kronika Amerykańska, nr 9/324) organizowanych przeze mnie manifestacji przed konsulatem PRL 22 lipca br. i bojkotem wystawy Poland Today. Naprawdę nie!

Faktem jest, że w końcu lipca złożyłem rezygnację z zajmowanego stanowiska. W liście skierowanych do członków zarządu Wydziału, później opublikowanym w tutejszej prasie polonijnej, stwierdziłem, że: „Motywem mojej

rezygnacji jest konieczność ograniczenia moich obowiązków i odpowiedzialności. Sądzę, że będę je mógł lepiej spełniać ograniczając je do prac w Zarządzie Głównym KPA na stanowisku wiceprezesa i przewodniczącego krajowej Komisji dla Spraw Polskich, a na terenie Wydziału do uruchomienia programu rozwoju studiów polskich”. Nikt mi nie udzielał dymisji; stanowisko jest z wyboru a nie z mianowania. Pracując zawodowo na działalności publicznej można poświęcić x godzin. Uważam, że koncentrując się na zagadnieniach wymienionych powyżej wykorzystam te x godzin bardziej efektywnie.

Decyzja moja nie miała też nic wspólnego z demonstracją przed konsulatem. W rzeczywistości parę tygodni potem, już po mojej rezygnacji, zorganizowałem z ramienia Wydziału zupełnie udaną publiczną manifestację pod hasłem: Upominamy się o 3 Miliony Polaków w Rosji, na której głównie przemówienie wygłosił prezes Zarządu Gł. KPA mec. A. Mazewski.

I jeszcze jedna uwaga na temat rzekomego bojkotu wystawy *Poland Today*. Została ona zaplanowana i wykonana na skutek porozumienia między tutejszym Muzeum Wiedzy i Przemysłu i warszawskim Ośrodkiem Postępu Technicznego przy pełnym współdziałaniu konsulatu PRL w Chicago i ambasady w Waszyngtonie. Kiedy w jesieni ub. roku Muzeum zasięgało opinii na jej temat powiedziałem, że nasza reakcja będzie zależała od stopnia w jakim reżym zechce ją wykorzystać dla własnych celów propagandowych. W konsekwencji Muzeum zastrzegło sobie prawo eliminacji aspektów polityczno-propagandowych.

Oczywiście, wystawa ilustrująca dzisiejszą Polskę nie może być tych aspektów całkowicie pozbawiona. Były one jednak nie rażące. Nasze stanowisko dyktowane było rozumowaniem, że ponieważ przeciętny Amerykanin nie wie o Polsce nic, albo bardzo mało i to z niewłaściwego źródła, w interesie naszym, i polskim i polonijnym, jest pechać mu tę Polskę przed oczy. Oczywiście można dyskutować czy wystawa spełniła to zadanie bardzo dobrze, dobrze, czy tylko dostatecznie. Można też spierać się w jakim stopniu zwiędający identyfikował przedstawiony mu obraz dzisiejszej Polski z 30-leciem reżymu.

Faktem jest, że kilkaset tysięcy Amerykanów, a wśród nich także Amerykanów polskiego pochodzenia zwiędziło wystawę i w większości po raz pierwszy przekonało się, że oprócz kolorowych strojów ludowych Polska szczyt się tysiącletnią kulturą, naukowcami i intelektualistami na skalę światową, i że jest krajem na wysokim szczeblu rozwoju cywilizacyjnego. To jest coś warte.

W tej sytuacji trudno mówić o bojkocie. Raczej przeciwnie, zdając sobie doskonale sprawę, że zwłaszcza wobec Polonii wystawa stanowi pewien atut w akcji reżymu, oceniam ją pozytywnie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Kazimierz ŁUKOMSKI



Londyn, 2 grudnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Bohdan Brodziński do ogłoszonego na łamach *Kultury* artykułu pt. „Sprawa Polska Ltd.” wprowadził krytyczne zdanie o *Dzienniku Polskim*, które zawierało twierdzenie niezgodne z prawdą a wysoce krzywdzące dla zespołu jego powierników.

Ponieważ autor artykułu nie sprostował do tej chwili tego krzywdzącego

twierdzenia, pragniemy oświadczyć, że powiernicy *Dziennika Polskiego* pełnią swe czynności bezinteresownie, zaś niżej podpisani, jako dyrektorzy Wydawnictwa, otrzymują pobory, które stanowią w sumie dwa i pół procent ogólnej sumy jego wydatków.

Łączymy wyrazy prawdziwego szacunku,

Dyrektorzy *Dziennika Polskiego*
Witold CZERWIŃSKI Juliusz SAKOWSKI

SPROSTOWANIE

Kultura Nr 11/326, str. 151, w rubryce „Wydarzenia miesiąca”, w części zatytułowanej „Międzynarodowy Zjazd Sławistów”, winno być: R. Sza**W**łowski a nie Szabłowski.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
800 Mannheim-Schoenau Lihenthalstr 300

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal 1^{er} trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 Celis., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 7,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	3 Can. 2,50 DM. 7,00 F. 11,00	\$ Can. 13,00 DM. 40,00 F. 65,00	\$ Can. 24,00 DM. 75,00 F. 120,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F.120, półroczna - F. 65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,40.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

TOM 250 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY

zawiera m.in. prace: B. Z. Wojas: *Dzieje Polonii Charbińskiej*; M. Wyziembły: *Losy Polaków...*; W. Babińskiego: *Z materiałów archiwalnych*; W. Stachewicza *Konferencja Aliantów w Moskwie* (w przededniu wojny 1939 r.); W. Sukiennickiego: *Memoriał o sprawie litewskiej Wł. Zawadzkiego z 1917 r.*; Ł. Hirszowicz: *Memorandum gen. Sikorskiego*; O. Dumina: *Prawda o Ukraińskiej Organizacji Wojskowej*; T. Romera: *Moja misja jako ambasadora R.P. w Zw. Sowieckim*; B. K. Piekarskiego: *Zielna 25* (Ostatnie Dni Polskiego Radia Warszawa); W. T. Drymmera: *Wspomnienia* (4) oraz RECENZJE I LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)



TOM 251 — MICHAŁ HELLER

ŚWIAT OBOZÓW KONCENTRACYJNYCH — A LITERATURA SOWIECKA

Książka, która ułatwia zrozumienie „Archipelagu GUŁag”
Aleksandra Sołżenicyna.

Str. 324.

Cena F. 30 (dol. 7,00)

W PIERWSZYM KWARTALE 1975 ROKU UKAŻE SIĘ:

MARII DANILEWICZ ZIELIŃSKIEJ

KULTURA (1958-1973)

ZESZYTY HISTORYCZNE (1962-1973)

Bibliografia zawartości oraz

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Jest to dalszy ciąg pracy podjętej przez Jana Kowalika pt. „KULTURA 1947-1957”, pracy niezbędnej dla zorientowania się w materiałach opublikowanych przez Instytut Literacki na przestrzeni 27 lat.

Cena 17 F